

JADOWSKA

ANETA



THORN UNIVERSE



SZAMAŃSKA SERIA 2

SZAMAŃSKIE TANGO

fabryka słów®

JADOWSKA

ANETA

SZAMAŃSKA SERIA

SZAMAŃSKIE TANGO

Tom drugi przygód Witkaca



THORN UNIVERSE

Ilustracje
Magdalena Babińska

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Rafowi – z którym nic nie jest łatwe, ale bez którego byłoby nieznośnie i niemożliwie
Magdzie Babińskiej, wspaniałej ilustratorce i jeszcze wspanialszej przyjaciółce

Rozdział 1



Przy tej ilości krwi ciężko było uwierzyć, że pochodziła z ciał tylko dwóch kobiet. Beżowy dywanik przy łóżku był przesiąknięty, tylko na krawędzi dało się jeszcze dostrzec pierwotny kolor. Biało-różowe magnolie na fototapecie przy łóżku były teraz bardziej czerwone niż rano. Na pościeli, skotłowanej i niezbyt świeżej, kolejne rozbryzgi opowiadały historię o brutalnym ataku i szybkiej, niepotrzebnej śmierci młodej kobiety. Druga wykrwawiła się na korytarzu. Oba ciała zabrano do kostnicy, zanim się pojawiłem, ale kałuża na lśniących panelach wciąż była lepka i czerwona jak rozgniecione maliny.

Zapowiadało się ciężkie śledztwo. Byłem w stanie to ocenić na pierwszy rzut oka. Podwójne morderstwo w środku sezon ogórkowego, który w Toruniu trwał większą część roku, przyciągnie mnóstwo uwagi lokalnych mediów. Zabójstwa nie zdarzały się tu często, a tym bardziej podwójne. Będą naciski i oczekiwanie, że w trzy godziny wskażemy i zatrzymamy sprawcę. Tymczasem nie było świadków czy podejrzanych.

Pewnie dlatego Anita zadzwoniła do mnie mimo mojego wolnego dnia. Wyrobiła sobie niezdrowe przekonanie, że jestem magikiem, który wyciągnie jej rozwiązanie sprawy z kapelusza. Owszem, czasami widziałem nieco więcej niż normalny człowiek, ale nie tym razem. Teraz widziałem tyle samo albo nawet mniej niż każdy z kręcących się tu techników. Zbierali setki odcisków palców, a byłem niemal pewny, że większości z nich nie ma w naszej bazie danych. Kowalscy i Nowakowie odwiedzający przybytek Pink Velvet nie byli notowani, mieli normalną pracę, rodziny, tyle że po ciężkim tygodniu lubili wpaść na figle z kobietą, która nie była z mordowana uganianiem się za dziećmi. Niestety, jeden z nich nie tylko się zabawił, ale zabił też dwie osoby. I to jego będziemy musieli znaleźć. Są dni, kiedy ta robota jest po prostu do bani.

Owszem, sprawca zostawił po sobie strzępki tego, co można nazwać mentalnym odciskiem palca, ale to niewiele. Wiedziałem, że był wkurzony i nie zrównoważony, jego emocje szalały po skali. Choć zmasakrowane ciała dwóch kobiet mogły mi powiedzieć to samo. Nie było sensownych badań nad wykorzystaniem nadprzyrodzonych zmysłów w kryminalistyce i wiedziałem tyle, ile usłyszałem od byłej partnerki, która była wiedźmą i z wykorzystaniem empatii na miejscu zbrodni radziła sobie znacznie lepiej. Ja na podstawie tego, co odbierałem, mogłem tylko przypuszczać, że sprawca był młody, albo bardzo niedojrzały – to właśnie zdradzały te głębokie wychylenia amplitudy. Z listy podejrzanych raczej mogliśmy wykreślić emerytów. Trudno to nazwać solidnym tropem.

– Witkacy, ta dziewczynka na schodach przyjechała z tobą? – zapytał jeden z techników, wyrывая mnie z zamyślenia.

Przez chwilę nie wiedziałem, o czym mówi, a potem nagle przyszło objawienie. Przekląłem, uświadamiając sobie, jak bardzo spieprzyłem.



Siedziała na schodach. Wysoka, szczupła, w kraciastym płaszczu, z ciemnymi włosami niesfornie wystającymi spod czapki i wyciągniętymi przed siebie długimi, chudymi nogami w przetartych na kolanach dżinsach. Czerwone glany były jak wykrzykniki.

Nie widziałem jej twarzy, więc nie mogłem ocenić skali problemów, w jakie popadłem. Lekko zgarbiona i zaczytana w grubym tomiszczu, które musiała przynieść w wypchanym i zbyt ciężkim dla niej plecaku, wydawała się krucha i spięta.

Zszedłem po schodach i przysiadłem na tym samym, na którym siedziała.

– Kurczaczku, przepraszam, że tyle zeszło – zacząłem. Poczucie winy wybrzmiewało w każdej sylabie. Popołudnie przeszło już w późne popołudnie, a powietrze zrobiło się znacznie chłodniejsze.

Spojrzała na mnie. Miała wielkie, ciemne oczyska swojej matki.

– Witkacy, rozmawialiśmy o tym – powiedziała tylko, zaciskając usta w wąską linię.

– Wiem, miałem mieć dzień wolny...

Pomachała mi ręką przed nosem.

– Nie to! Mówię o kurczaczkowaniu. Ustaliliśmy, że mówisz do mnie Wiktoria albo Wikta.

Przytaknąłem, bo faktycznie, prosiła mnie o to, a ja obiecałem, że się postaram. Kurczaczek było jej dziecięcym przezwiskiem, którego tak naprawdę nie miałem prawa używać. Nie było mnie przy niej, gdy powstało. Tylko jej matka mogła wciąż nazywać ją tak od czasu do czasu, a i tak musiała się liczyć z całym tym typowym dla nastolatków wzdychaniem i przewracaniem oczami.

– Idziemy? – zapytała. – Mogą wrócić i znów się napatrzę.

– Widziałas... – Zawahałem się przy słowie „duchy”, bo jeden z techników przynosił akurat torby z dowodami do samochodu.

– Masakra. A wiesz, co jest najgorsze?

Nie wiedziałem. Moja prawie szesnastoletnia córka – tak jak ja – widziała duchy. Była także wrażliwa na eter, a byty ektoplazmowe i graniczne, wszystkie duchy i upiory, czuły do niej pociąg jak koty do kocimiętki. Nie były agresywne, ale dość napastliwie domagały się uwagi dla siebie, swoich niezłatwionych spraw czy porachunków. Względem mnie trzymały się na dystans, po tym jak w ostatnim czasie dość spektakularnie odesłałem kilka na drugą stronę. Ona wydaje im się nieszkodliwa. Być może nie wiedzą, że jest jedynym znanym mi szamanem, który jeszcze przed szkoleniem potrafił znokautować ducha za pomocą ciosu karate. Więc nie, nie wiedziałem, co w tym wszystkim uznała za najgorsze.

– Były całe pokrwawione, szalone, zapętlone na ostatnich chwilach. A ja zrobiłam się strasznie głodna – powiedziała. – Ssie mnie.

- To naprawdę najgorsze – przyznałem i zacisnąłem usta, by nie zacząć się śmiać.
- Dlatego nie możesz mnie winić za to, co zrobiłam. Byłam głodna, mój mózg nie działa dobrze, gdy jestem głodna – zaznaczyła.
- Co zrobiłaś?
- Rozejrzałam się – powiedziała niewinnie.
- Nie wchodziłaś chyba do środka? – zapytałem, bo byłem tak zajęty, że mogłem nie zauważyć mojej córki przeskakującej nad kałużami krwi.
- Nie, no coś ty. Ale chyba powinieneś coś zobaczyć... – Zamknęła książkę i wstała ze schodka. – Wyniuchałam coś, co chyba ma związek z twoją sprawą.



- Wyniuchałaś? – zapytałem z rezygnacją.
 - Pachniało ciasteczkami. A ja byłam głodna. Rozumiesz.
- Rozumiałem. Mały talent Kurczaczka do znajdowania tajemnic i rzeczy, jakie ludzie chcą trzymać w ukryciu, poznałem już jakiś czas temu, gdy w moim mieszkaniu znalazła zakopany gdzieś na dnie szuflady z bielizną stary świerszczyk, a potem, co gorsza, dokopała się do skrytki z magicznymi księgami, które miałem naprawdę dobrze schowane w specjalnie skonstruowanym sejfie za regałem. Gdy zapytałem, jakim cudem je znalazła, powiedziała, że ładnie pachniało i że czasami znajduje coś, bo pachnie ciasteczkami albo kręcą się nad tym świetliki. Im bardziej ktoś próbuje coś ukryć, tym mocniejszy zapach. Ten dzieciak wiedział stanowczo za dużo o sekretach swoich

nauczycieli, sąsiadów... i najwyraźniej moich. Ustaliliśmy wówczas twarde reguły – ona będzie trzymała się na dystans od moich pachnących ciasteczkami szuflad, a ja nie wspomnę jej mamie o tym skandalicznym naruszeniu zasad. Przejęła się wizją donosu tylko dlatego, że mogłoby wyjść na jaw, iż niektóre szuflady Konstancji też pachną ciasteczkami.

Podniosła plecak, zarzuciła go na ramię i ruszyła zdecydowanie przed siebie, jak Alicja za białym króliczkiem. Poszedłem za nią. Maszerowała dalej dobre pięćdziesiąt metrów, wreszcie przeszła na drugą stronę przez pasy koło przystanku i zatrzymała się przy betonowym koszu na śmieci.

Zajrzałem do niego i natychmiast zauważyłem zwinięty kłęb szarej bawełny. Bez rozwijania rzucała się w oczy plama krwi na materiale.

– W środku jest coś jeszcze – powiedziała.

– Dotykałeś tego?

– Nie jestem głupia, Witkacy. Skoro zostawił to zabójca, masz dowód, nie?

– Jesteś pewna, że to on?

– Ciasteczkowy ślad, zaufaj mi, to on.

No ładnie. Szanse na to, że technicy sprawdzaliby kosz na śmieci na przystanku autobusowym pięćdziesiąt metrów dalej, nie były duże. Po drodze stało kilka innych, bliżej bliźniaka zajmowanego przez przybytek Pink Velvet, a chyba nikt z nas nie pomyślał, że sprawca może odjechać autobusem miejskim.

– Poczekasz na mnie jeszcze chwilę? – zapytałem pełen wyrzutów sumienia, bo naprawdę nie tak się umawialiśmy.

– Przyrowadź któregoś z mądrali, niech zrobią to porządnie. Nie chcemy, żeby w czasie procesu odrzucono dowody, bo łańcuch dowodowy został zerwany – powiedziała poważnym tonem. Oglądała stanowczo za dużo procedurali.

Zostawiłem ją na przystanku i pobiegłem po technika.

Borowski obfotografował kosz i okolice, po czym rozłożył arkusz folii na chodniku i wyciągnął kłęb bawełny, który po rozłożeniu okazał się szarą bluzką z rysunkiem buldoga na piersi, ledwie widocznym spod plam krwi. W środku tłumoczek faktycznie było coś więcej – składany nóż z ułamanym czubkiem. Zarówno on, jak i rączka były pokryte krwią.

– No ładnie, Witkacy, jak to znalazłeś? – powiedział, starannie pakując dowody.

– Wiesz, solidna policyjna robota – odpowiedziałem.

– Widzę tu przynajmniej jeden całkiem ładny odcisk palca. Dobra nasza. – Wyszczrzył się w uśmiechu.

– Dziesięć punktów dla Gryffindoru – szepnęła konspiracyjnie Kurczaczek.

Zachowałem kamienną twarz tylko dlatego, że miałem mój moment profesjonalisty. Borowski puścił jej oko.

– Dobra, zmywam się, jutro przejrzę fotografie i to, co znaleźliście.

– Zaczynasz od noża? – zapytałem.

– Jasne. Teraz wierzę, że mamy szansę dopaść go do końca tygodnia. Może nie znajdziemy kolejnych pociętych dziewczyn.

– Oby – powiedziałem, bo gwałtowne emocje pozostawione przez sprawcę były

niepokojące.



Mój poobijany jeep zaparkowany był prawie na końcu ulicy, bo wcześniej radiowozy, samochody techników i furgonetka do przewożenia zwłok zajmowały wszystkie miejsca bliżej miejsca zbrodni. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy i sięgnąłem od środka, by odczepić kawałek drutu, który blokował drzwi pasażera. Zamek centralny zepsuł się jakiś czas temu, rok, może dwa. Kurczaczek wpakowała się szybko do środka i powiedziała stanowczym tonem:

– Jeśli mnie nakarmisz pizzą, nie powiem mamie, że zabrałeś mnie na miejsce zbrodni.

– Zgoda. Capricciosa?

– Z dodatkowym bekonem. Mówiłam, że jedna z nich była naga?

– Bekon, zanotowano.

Zadzwoiłem do pizzerii, gdy ruszaliśmy. Do mieszkania powinniśmy dotrzeć na kilka minut przed dostawcą. Byliśmy na lewym brzegu. Odbierałem młodą ze szkoły dla magicznie uzdolnionych dzieci, prowadzonej przez półanioła i szpiega Nissima, dobrego znajomego mojej przyjaciółki Ti. Nie dość dobrego, by wpłynęło to na wysokość czesnego Kurczaczka, ale dość, by przyjął moje dziecko do szkoły w środku semestru i nie kazał nam czekać do września.

Co tydzień spędzała w szkole po kilka godzin w sobotę i niedzielę. Wydawała się to lubić. Dziś, gdy ją odebrałem, opowiadała mi o trzech typach bytów granicznych, pojawiających się tylko w wigilie świąt, przesilen i równonocy. Właśnie wtedy zadzwonił mój telefon, a na zielonym ekranie starej nokii – jedynej komórki, która nie smażyła się nawet po bliskim kontakcie z upiorem – wyświetlił się numer mojej szefowej, Anity. Wysoki Sądzie, naprawdę próbowałem go ignorować, przysięgam, w końcu to był mój wolny dzień, do tego dzień z córką! (A Wysoki Sąd w mojej głowie miał twarz Konstancji). Jednak telefon dzwonił i dzwonił, aż Kurczaczek przestała mówić i patrzyła na mnie ze zniecierpliwieniem i ciekawością.

– Zamierzasz to odebrać? – zapytała.

– Nie.

– Dlatego, że tu jestem?

– Tak.

– Nie chcę ci się kojarzyć z ograniczeniami. Przecież wiem, że jesteś dorosłym facetem i masz jakieś życie osobiste.

Prawie się roześmiałem na samą myśl, że miałbym je mieć. Ostatnia – i pierwsza od lat – dziewczyna, z którą się spotykałem, zerwała ze mną delikatnie i dyplomatycznie, jeszcze zanim w moim życiu znowu pojawiła się Konstancja, moja pierwsza miłość i pierwsze złamane serce. Z moją pierwszą i – mam nadzieję – jedyną córką. Byłem policjantem, który wyrabiał drugi etat jako jedyny pracujący szaman w tym mieście, a poza tym uczyłem się być ojcem. Gdybym miał wolne popołudnie, pewnie zrobiłbym pranie i się przespał.

– To praca.

– Jestem córką pielęgniarki i policjanta. Nie wydaje ci się, że powinnam już rozumieć, co to jest nagły telefon z pracy? – Machnęła ręką i dodała: – Mama by odebrała.

Więc odebrałem. I dostałem w splot słoneczny monologiem Anity – że wszystko zawsze musi się pierdolić, kiedy nie ma jej w mieście, jakby nie mogło poczekać do poniedziałku, aż wróci, że Wilk odeszła, Zając siedzi w psychiatryku, a ten opijus Nowakowski jest nawalony jak świnia i ona nie pozwoli mu w takim stanie wejść na miejsce zbrodni, bo może puścić pawia, więc właściwie nie mam wyjścia, że to i tak będzie moja sprawa, a ona nie da podwójnego morderstwa nowicjuszowi. A potem podała adres oddalony o dziesięć minut jazdy od szkoły Nissima. Reszta była historią.



– Więc jak zamierzasz złapać tego, który im to zrobił? – zapytała moja córka, napychając sobie policzki pizzą jak wyrośnięty chomik.

– Jak zwykle, cierpliwością, upierdliwością i odrobiną szczęścia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Gdybym miał wskazać, który z przymiotów jest w tej pracy najbardziej przydatny, postawiłbym na upierdliwość. Nikt nie ma ochoty dzielić się informacjami, nikt nie chce się mieszać w śledztwo, nikt nie marzy o tym, by łączono jego nazwisko ze współpracą z policją. Komuna dawno minęła, ale policjanci wciąż płacili za grzechy milicji. Taka karma.

– One się tego zupełnie nie spodziewały, wiesz? Nie bały się go, nie myślały o nim jak o zagrożeniu – powiedziała po chwili ciszy.

Nie naciskałem. Cokolwiek widziała, wyraźnie nią to wstrząsnęło. A ja nie zamierzałem wzmacniać jej traumy przesłuchaniem.

– Blondynka zginęła pierwsza. Ta druga zdążyła jeszcze krzyczeć i wzywać pomocy, zanim ją dopadł. Ale to i tak była chwila, wiesz? Nigdy nie myślałam, że tak szybko może być po wszystkim...

– Były zapętlone? – zapytałem, bo w przypadku gwałtownej i brutalnej śmierci takie duchy zdarzały się najczęściej. Nie miały dość energii, by uformować bardziej wyrazisty i świadomy byt, ale przemoc zatrzymywała duszę na ziemi, nie pozwalając jej przejść na drugą stronę. Odtwarzały więc ostatnie chwile swojego ziemskiego żywota, na wpół oszalałe, aż energia wyczerpywała się całkiem i było po wszystkim.

– Tak. Szkoda, że były tylko one, a nie zabójca, mogłabym ci teraz wszystko powiedzieć i złapałbyś go, i dopilnował, żeby jego dupa nie ujrzała światła dziennego poza aresztem.

Kurczaczkowi gniewne tyrady nie przeszkadzały w spożywaniu pizzy.

– A, i jeszcze jedno – dodała po chwili. – Lepiej, by ta cała sprawa ze mną na miejscu zbrodni pozostała między nami.

Przytaknąłem. Gdyby Konstancja wiedziała, pewnie ciosałaby mi kołki na głowie, całkiem słusznie zresztą. Ale dla Kurczaczka kluczowe było to, że mama by się martwiła. Przez lata ukrywała, że widzi duchy, żeby nie martwić mamy. Była bardzo opiekuńcza i czasami wydawała mi się aż zbyt dojrzała.

Niepokojące, gdy twoje dziecko zawstydzia cię na tym polu.

Rozdział 2



Przegrzebywałem się przez wydruki i raporty techników jak pijana żaba przez muł. Po latach w tej robocie rozumiałem już naukowy żargon na tyle, by się orientować, co mniej więcej chcę powiedzieć, ale nie byłem w nim biegły i moje szare komórki pocily się jak na intelektualnej siłowni. Owszem, na nożu, który znalazła Kurczaczek, były ślady krwi – trzy różne grupy, dwóch kobiet i faceta. Był też odcisk palca, całkiem wyraźny, niestety jak dotąd nie znaleźli go w bazie danych. Przeglądałem zdjęcia – stos matowych odbitek z miejsca zbrodni, zrobionych, zanim się tam pojawiłem, kiedy jeszcze ciała leżały na podłodze. I nie mogłem się oprzeć pewnemu wrażeniu, natrętnemu jak komar, które pojawiło się już wtedy, gdy oglądałem to mieszkanie na żywo.

To nie było zaplanowane morderstwo, a sprawca nie jest wcieleniem zła. To była – właściwie miałem co do tego pewność – jedna z tych głupich, bezsensownych zbrodni w porywie chwili i złego nastroju, godzina głupoty, która już kosztowała życie dwóch osób, a będzie i trzecią, kiedy ją znajdziemy. Smutne, ale ta robota składa się głównie ze sprzątania po idiotach. Oczywiście filmów i książek o tej części nie twarzą. Seryjni zabójcy, błyskotliwi przestępcy wymagający od policjantów intelektualnej woltyżerki byli znacznie ciekawszy. Tymczasem złapanie takiego porywczego idioty wcale nie jest łatwe. Tego z Pink Velvet nie znaleźli w bazie danych, może był za młody, by tam trafić. Mieliśmy jego krew, a więc i DNA, badanie zrobią błyskawicznie, bo sprawa ma wysoki priorytet – podwójne zabójstwo! bliskie wybory samorządowe! – ale co z tego, skoro nie ma z czym porównać próbki. Śladów, jakie pozostawił zabójca, nie było wiele, a jeszcze mniej znalazłoby się punktów zaczepienia. Żadnego nazwiska, nawet rysopisu. Nikt z sąsiadów nic nie widział, nikt nic nie wiedział ani nie miał ochoty na rozmowy z policją. Taka filozofia dzielnicy.

Wpatrywałem się więc w matowe zdjęcia masakry, targając dłonią włosy, które według Kurczaczka wymagały strzyżenia już rok temu, i próbując dojrzeć tam coś, czego właściwie nie było.

– Już przyszedł czas na modlitwy? Nie za wcześnie? – usłyszałem nad sobą głos szefowej.

Coś w jej wyglądzie wzbudziło mój niepokój. Na pozór jak zawsze prezentowała się doskonale. Ciemne włosy spięta elegancko, ale grzywka nadawała im nieco mniej formalny charakter. Delikatny makijaż dobrze podkreślał wyrazistą twarz, bardziej

przystojną niż piękną. Wiśniowy żakiet idealnie układał się na silnym, zgrabnym ciele, czarne spodnie uwydatniały długie nogi i pełne biodra, a jedwabna kremowa bluzka była zaskakująco kobieca z tą miękką falą dekoltu. Trzymała się świetnie jak na swoje lata, których żaden zdrowy na ciele i umyśle facet nie wypomniałby jej w twarz, choć jej syn był już prawie dorosłym chłopakiem. A jednak od kilku dni nie mogłem przestać się zastanawiać, co ją gryzie, bo wyglądała na sfrustrowaną i zmartwioną. Nie pytałem, spodziewałem się raczej zimnego przyjęcia mojej troski. Anita nie przyjmowała lekko choćby sugestii, że sobie z czymś nie radzi. Podejrzywałem, że cokolwiek jej dolega, wiąże się z tym, ile razy w ostatnim miesiącu dostawała wezwania na spotkania z górą. Zawsze był to nagły telefon, z krótkim terminem na reakcję, cokolwiek robiła. Więcej niż raz widziałem, jak musi przerwać w pół słowa odprawę, bo szef nie mógł poczekać choćby pół godziny. Coś się działo. Atmosfera na korytarzach była podgrzana, plotki krążyły jak tłuste gołębie, a wszystko odbijało się w oczach Anity.

– Więc co? Wymodliłeś rozwiązanie?

– Chyba nie jestem ulubieńcem niebios.

– Wpadnij do mnie, jak przejrzyś już wszystko. Opowiesz mi, co mamy – powiedziała, a po chwili, już na odchodnym, dodała: – Poza tym musimy porozmawiać.

Coś w sposobie, w jaki się wyraziła, postawiło mi włosy na karku. Nie chodziło tylko o to, że wzywanie na dywanik zapowiadało burę. Nie brzmiała groźnie. Nie wyglądała na złą. Raczej mi współczuła. A to napędziło mi pietra bardziej niż rzucanie przedmiotami o ścianę.

Idąc do jej gabinetu, robiłem rachunek sumienia. Akurat pierwszy raz od dawna nie miałem sobie do zarzucenia zbyt wiele. Obecność Kurczaczka motywowała. Za cholerę nie chciałem dawać jej złego przykładu, a jeszcze bardziej nie chciałem jej zawieść.

Anita siedziała za biurkiem, ale obróciła się na krześle tak, że patrzyła na okno, nie drzwi wejściowe. Palila papierosa, szara chmura dymu otaczała jej sylwetkę. W szklanym słoiku po oliwkach były niedopałki.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedziałem, nie wiem po co, przecież to nie była moja sprawa.

– Nie palę. Rzuciłam dziesięć lat temu – odparła. A potem popatrzyła na słoiczek w połowie wypełniony petami i westchnęła. – Chyba znów palę. Za dużo nerwów. Alternatywą była butelka wódki w szufladzie, starą tradycją, ale chyba mimo wszystko wolę papierosy.

Usiadłem na krześle naprzeciw biurka.

– Cisną o tę sprawę? Dopiero zaczęliśmy, przecież nie jestem jasnowidzem i nie wyciągnę od zmarłych nazwiska sprawcy – powiedziałem defensywnie.

– Szkoda, prawda? To by nam tak ułatwiło życie. – Pokręciła głową. – Też czasami tęsknię za Wilk.

– Ona też tego nie potrafiła.

– Tak mi w kółko powtarzaliście, ale kto was tam wie, diabelskie nasienie. – Uśmiechnęła się lekko. – Nie martw się sprawą, pracuj w swoim tempie, znajdziesz go, przecież wiesz. Powstrzymam górę przed pakowaniem nosa w twoje śledztwo.

– Więc co cię gryzie, szefowo?

– Nie mnie, tylko nas i nie gryzie, a podgryza, Witkacy. Próbowałam im to wybić z głowy, ale zdaje się, że zmiany dopadną i nas. Zmiana klimatu i twarde wdrożenie dekomu.

Przez chwilę próbowałam zrozumieć, co ustawa dekomunizacyjna ma z nami wspólnego. Jak ostatnio sprawdzałam, żadne z nas nie było pieszczochem starej władzy.

– Przecież nas to nie dotyczy, szefowo. Pracuję tu od którego? Dwa tysiące pierwszego? Można mieć różne opinie o trzeciej RP, ale na pewno trudno ją nazwać komuną.

– Mów za siebie, przyjacielu. Ja pracuję od marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. A to oznacza, że przez miesiąc pracowałam nie dla tej policji co trzeba.

– Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się tego miesiąca czepiać i nie wrzuci cię do jednego worka z generałem ZOMO.

– Nikt przy zdrowych zmysłach, co niewiele zmienia w mojej sytuacji. – Skrzywiła się.

– Ile ci brakuje do pełnej emerytury?

– Cztery lata. I to się raczej nie uda. Nie wiem, czy przetrwam rok. Zmiana nastąpi, ale dla nas będzie za późno. Bo moja pozycja jest obecnie za słaba, bym wciąż dała radę cię bronić.

– Potrzebuję ochrony? – zapytał zaskoczony.

– A kiedyś nie potrzebowałeś, przyjacielu?



Wrzuciła niedopałek do słoiczka po oliwkach i wyciągnęła następnego z prawie pustej paczki, po czym podsunęła mi ją, bym się poczęstował. Pokręciłem głową i wygrzebałem z kieszeni swoją papierośnicę. Prezent od Kurczaczka, z Kłapouszkiem na wieczku. Anita potrząsnęła zapalniczką i zapaliła papierosa. Poszedłem w jej ślady. Jeśli to była rozmowa na fajkę za fajką, przyjmowałem konwencję bez marudzenia, zwłaszcza że w budynku zwykle obowiązywał kategoryczny zakaz palenia.

– Ten zespół zawsze był im solą w oku. Banda wyrzutków, cyrk i poskramiaczka dzikich zwierząt. Tak o nas mówili. A potem Zajac trafił do psychiatryka, Wilk się zwinęła, już oficjalnie, swoją drogą. Nowakowski był zawsze kukułczym jajem, którego nikt nie chciał, ale miał za mocne plecy, by go wywalić. Teraz chyba nie wróci, ma już ponad dwadzieścia dziewięć lat służby. Aktualnie wycinają mu wyrostek, czy może woreczek, ale pewnie dociągnie te kilka miesięcy na L4. Wie co w trawie piszczy, lepiej niż ktokolwiek z nas. Zostaje kilku świeżaków. I ty.

– Robię swoje.

– Robisz. Ale jeśli każą ci nasikać w kubeczek, wylatujesz szybciej, niż ja przeliteruję „autorska mieszanka tytoniu”.

– No dobra. Wywalą ciebie, mnie, Nowakowskiego... Kto im będzie sprawy rozwiązywał? – zapytałem, bo nie mieściło mi się to w głowie.

To nie tak, że do pracy w policji pchają się tłumy. W każdym komisariacie są etaty nieobsadzone, bo nie ma ich kim obsadzić. Pobór z roku na rok był słabszy, nawet po obniżeniu kryteriów przyjęcia, tak że niewiele się różniły od tych do straży miejskiej.

– Gdyby wybiegali myślą tak daleko w przyszłość, nie byłoby problemu w ogóle. Powiem ci, na czym stoimy. Od dwóch miesięcy masz prawo do wcześniejszej emerytury. Radziłabym ci z niego skorzystać.

– Mam trzydzieści dziewięć lat. Mam przejść na emeryturę przed czterdziestką?
Nie odpowiedziała.

– Jakie mam alternatywy? – zapytałem, bo jak nigdy zależało mi na tym, by utrzymać tę robotę.

Starałem się o dzieloną opiekę nad Kurczaczkiem. Potrzebowałem pracy, by Konstancja czuła, że może mi zaufać i zmieniłem się na tyle, by mogła powierzyć naszą córkę mojej opiece. Że jestem innym facetem niż szesnaście lat temu, kiedy uciekła ode mnie, nie mówiąc nic o ciąży. Nie było mnie przez pierwsze piętnaście lat życia Kurczaczka. Nie zamierzałem tego teraz spieprzyć.

– Alternatywą jest dyscyplinarka. Tak mi to przedstawili.

– Za co?

– Możesz nasikać do kubeczka i dowieść niewinności? – zapytała.

Przeklinałem w duchu. Nie, nie mogłem. Byłem szamanem. Używałem wielu niedozwolonych substancji. I nie, nie mogłem wyjaśnić zwierzchnikom, że narkotyki nie mają na mnie takiego wpływu jak na zwykłych ludzi, są mi za to potrzebne do poszerzania świadomości i otwierania bramy do Zaświatów. Mogłem wyliczyć trzy zakazane substancje, które znajdowały się w moim papierosie domowej roboty. Nawet nie zgadywałem, co było w kapsułkach skrótu, ułatwiających mi uzupełnianie energii za

pomocą pasm eteru, ale podejrzewałem, że to też trafia do nerek i moczu.

– Przemyśl to, przyjacielu. Nie chcę, by stała ci się krzywda. Nie chcę też, by w zapomnienie poszło piętnaście lat twojej służby. Lubię cię. Przypominasz mi trochę mojego syna.

– Mam córkę – przyznałem się, choć wcześniej starannie omijałem ten temat. – Skończyła piętnaście lat. Potrzebuję pracy i stabilizacji.

– Chciałabym powiedzieć, że przeczekamy, ale zanim coś się zmieni, po nas nie będzie tu śladu. Przykro mi.

Wierzyłem jej. A jednocześnie nie mogłem na nią patrzeć w tym momencie, taką zrezygnowaną i przybitą. Anita Czarny była żywiołem, siłą witalną, przed którą drżała Dora Wilk i każdy rozsądny koleś na tym posterunku.

– Przez wszystkie lata trzymaliśmy się z dala od polityki. Szkoda, że ona nie odwdzieczyła się nam tym samym – powiedziałem.

– Wydymała nas, przyjacielu. I nawet nie postawiła kolacji.

Coś w tym było. Stanowczo czułem się wydymany. I nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić.

A to był dopiero początek chujowego dnia.

Po kilku godzinach grzebania w papierach, bazach danych i wydzwanianiu do potencjalnych świadków, którzy odstawiali trzy małpki – nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie powiedzą – wróciłem do swojego mieszkania zmęczony, zmarznięty (choć był koniec marca, wiało jak podczas styczniowej zawieruchy) i głodny, bo przez to wszystko zapomniałem wyjść po cokolwiek do jedzenia, a w maszynie vendingowej zostały tylko paluszki i zaklinowany snickers, który nie spadł nawet po tym, jak kopnąłem ją kilka razy. W planach miałem zjeść cokolwiek z lodówki, paść na łóżko i podumać nad tym, jak wszystko zmierza ku nieuchronnej katastrofie i jak będę wyglądał w oczach Konstancji, kiedy powiem jej, że mogę wpadać na wszystkie wywiadówki u Kurczaczka, bo skoro nie mam pracy, nie mam też problematycznego grafiku, nocnych dyżurów i wezwań do nagłych wypadków. Same korzyści! To nie tak, wcale nie potwierdzają się twoje obawy, że jednak jestem nic niewartym gnojkiem, który nigdy nie dorośnie i z którym nie powinnaś zostawiać swojej piętnastoletniej córki.

Plany wzięły w łeb, gdy wsunąłem klucz do zamka. Nie przekręcił się. Pewnie dlatego, że drzwi były otwarte. Choć przecież – pamiętałem dokładnie – rano je zamknąłem. Normalni ludzie pewnie wezwaliby policję, ale po pierwsze – sam jeszcze w niej byłem, po drugie – miałem graniczące z pewnością przeczucie, kto włamał mi się do mieszkania. Kolejny raz.

Rozdział 3



Myślałem, że ustaliliśmy zasady, kiedy poprzednim razem zabrałem ci klucze – powiedziałem w progę.

– Zabroniłeś mi się włamywać – powiedział Sęp, wrzód na mojej dupie łamane przez ducha opiekuńczy. W poprzednim wcieleniu musiałem być draniem bez sumienia, łupieżcą, inkwizytorem, a może nawet kimś, kto dla pustej frajdy miażdżył króliczki dla seksualnego dreszczyku, skoro trafił mi się taki duch opiekuńczy.

– A ty złamałeś tę zasadę z jakiegoś konkretnego powodu? – Założyłem ręce na piersi, automatycznie wchodząc w rolę tego dorosłego w mieszkaniu.

Nigdy nie mieszkałem w akademiku, rodzice zarabiali odrobinę za dobrze, bym dostał przydział. Teraz, patrząc na Sępa, który wbił mi się na chatę, siedział półnago na moim materacu i kończył wyżerać resztki z lodówki, cieszyłem się niezmiernie, że to doświadczenie zostało mi oszczędzone. Choć z drugiej strony dostawałem nim teraz między oczy, z nawiązką.

Zapewne powinienem się cieszyć, że był sam i brakowało mu odzieży tylko od pasa w górę, ale jakoś nie potrafiłem znaleźć w sobie tej radości.

– Nie włamałem się – powiedział stanowczo – dorobiłem sobie klucze.

– A to jest dużo lepsze z jakiegoś konkretnego powodu? – warknąłem, zaglądając do pustej lodówki. Skoro zostawiał w niej tylko światło, równie dobrze mógłby ją umyć z płam po ketchupie, jeśli przerastało go zamykanie opakowania.

– Nie musisz wymieniać zamków. – Wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

– Masz swoje mieszkanie, po drugiej stronie korytarza, złupione biednemu emerytowi.

– Nie miałem nic w lodówce – wyjaśnił.

– To całkiem jak ja – wycodziłem.

– No, czyli powinieneś zrobić zakupy. Może ta twoja dzierlatka mogłaby zadbać o prowiant?

Nie wiedziałem, czy miał na myśli Kurczaczka, czy Konstancję, ale w obu przypadkach nie podobało mi się założenie, że miałyby pilnować stanu mojej lodówki. Czy też jego, bo pewnie myślał o sobie. Jak zawsze.

– Całkiem dobrze radzisz sobie z kupowaniem gorzały. Wystarczy, że pójdziesz do sklepu z jedzeniem i powtórzysz ten proces.

– Ktoś tu jest zrzędlawy – zauważył w chwili objawienia. – Nie podoba mi się, gdy

mówisz do mnie takim tonem. Jest pozbawiony szacunku.

– Ktoś nie jest u siebie, więc jak mu się nie podoba mój ton, swobodnie może wyjść. Może też wrócić do Zaświatów i pozwolić mi samodzielnie wybrać ducha opiekuńczego, z którego będę miał jakikolwiek pożytek.

Nie trzeba było sięgać po policyjne techniki obserwacji, by zauważyć, że na samo wspomnienie Zaświatów wyraźnie zmarkotniał. I nagle zacząłem coś podejrzewać. Fakt, że siedział w moim małym i nieszczególnie wygodnym mieszkaniu, a nie u siebie, gdzie miał wypasione skórzane meble, stereo warte więcej niż mój samochód w chwili chwały, telewizor na pół ściany i inne gadżety, które kupował bez opamiętania, był czymś więcej niż wkurzaniem mnie i naruszaniem moich granic.

– Czy ty się tu ukrywasz? Wkurzyłeś kogoś na tyle, by cię szukał? – zapytałem z rezygnacją. Nie był facetem z gatunku tych, którego ścigają ojcowie uwiedzionych nastolatków czy niezadowolone byłe, więc musiało chodzić o coś poważnego.

Sęp był... nie wiem czym, ale wyglądało na to, że podpadł Przedwiecznym w Zaświatach, zresztą pewnie nie tylko. Gdy kiedyś zapytałem, powiedział, że żyje dość długo, by się wrogów uzbierało, ale na więcej szczegółów nie mogłem liczyć. Chyba że interesował mnie jakiś facet w Arizonie, który rzuca butelką i ta staje na korku, albo dzieciak w Budapeszcie, śpiewający piosenki Adele lepiej niż sama Adele. Sęp nie dzielił się ze mną niczym istotnym, za to swoją historią wyszukiwania na YouTube, przed którym zdawał się spędzać pół dnia – notorycznie.

– A co? Będziesz mnie chronił? – zapytał z przekąsem.

– Wyślę im twój aktualny adres pobytu, bo podejrzewam, że na ich gniew solidnie zapracowałeś. Może wchodziłeś do ich mieszkań bez pytania i wyżerałeś wszystko z lodówki? Tak więc w ramach wspólnoty doświadczeń chętnie cię przytrzymam, gdy cię będą tłuc.

Coś w mowie jego ciała się zmieniło. Usztywnił się, zaczął unikać mojego spojrzenia. Po najbardziej wyluzowanym koleśku z akademika nagle nie było śladu.

– Gdyby coś... ktoś... Pamiętaj, że uratowałem ci dupę wtedy, w Zaświatach. I być może przyjdzie czas, gdy będziesz musiał spłacić swój dług – oświadczył.

– A nie spłacam go wtedy, gdy wyżerasz moje żarcie? I kiedy jestem na tyle miły, by nie aresztować cię za włamanie? – sarknąłem.

Nagle zupełnie spoważniał. Oczy z jasnoblękitnych stały się czarne, ptasie i upiorne jak koraliki bez źrenic. Nawet głos mu się zmienił, był teraz niższy i bardziej skrzekliwy:

– Jesteśmy połączeni, Witkacy. Jestem twoim duchem opiekuńczym, nie da się odpuścić pewnych profitów z tego układu i korzystać z innych.

Zwykle emanacja istoty, która żyła sobie w ciele blondaskowatego playboya, przerażała mnie do szpiku, bo czułem, że czymkolwiek jest, włada magią wystarczającą, by zmieść mnie z powierzchni ziemi. Tym razem jednak byłem zmęczony, głodny i prawie bezrobotny, więc odpyskowałem:

– Przypomnij mi, kurwa, jakie są te korzyści? To ta rozległa wiedza, którą wciąż nie masz ochoty się ze mną dzielić? Pomoc w szkoleniu Kurczaczka, którą obiecywałeś i której nie mogę się doprosić? A może załatwienie sprawy w Zaświatach tak, bym mógł

się tam pojawić bez ryzyka spotkania wieśniaków z pochodniami, co, jak twierdziłeś, jest banalnie proste? Od miesiący nie mogę wykonywać swojej roboty tak, jak powinienem. Myślisz, że łatwo odsyła się upiory i duchy, gdy nie można otworzyć bramy szerzej niż na kilka centymetrów? Przypomnij mi, proszę, które z tych obiecanych korzyści już na mnie spłynęły? – krzychałem. Te awantury podejrzenie przypominały małżeńskie spory.

– Może trzeba było się zachować jak facet, przejść tę cholerną inicjację i mieć to wszystko za sobą? Nie pomyślałeś o tym? Wolisz to zwać na mnie? – odpowiedział bez podnoszenia głosu. – A twoja mała musi najpierw opanować podstawy, wiedza, którą mogę jej przekazać, jest zbyt zaawansowana. A na inne rzeczy musi poczekać, bo wydajesz się robić strasznie dużo szumu z okazji jej niepełnoletności.



– Pierdol się. I trzymaj się od niej z daleka, z boku.
– Zdecyduj się.
– Szkoda, że nie dawałeś mi wyboru jakiś czas temu. Mogłem trafić na jakiegoś miłego kruka czy sowę.
– I kiedy przyszedłby czas, miałbyś modelowo skopany tyłek.
– Jakbym z tobą nie miał!
– Nie wszystko musisz wiedzieć, nie wszystko możesz wiedzieć, jeszcze mniej powinieneś wiedzieć.
– Wyjdź z mojego mieszkania – powiedziałem, bo naprawdę miałem dość.
Nie czekając, aż posłucha, zadzwoniłem po pizzę. W tej sytuacji tylko na głód mogłem coś poradzić.

Wyszedł. Obrażony. Minie mu, gdy wyczuje dostawę pizzy przez swoje drzwi. Jak doszło do tego, że przez te kilka miesięcy nasza relacja popieprzyła się aż tak bardzo? Nie prosiłem się o ducha opiekuńczego. Sam się pojawił, kiedy Przedwieczni kopali mi dupę w Zaświatach. I miał rację, uratował mnie wtedy przed brutalną inicjacją. Tyle że z tego, co wyczytałem w podręczniku, duch opiekuńczy był najpotężniejszym narzędziem szamana, pomocnikiem, nauczycielem, wsparciem w robocie i po drugiej stronie. I każdemu szamanowi przysługiwał tylko jeden, więc jeśli utknąłem z irytującym współlokatorem z akademika – a na to wyglądało – nie miałem szans na nowy przydział. I miałem przesrane. Nawet Jeździec Burzy, mój mentor z Trójprzymierza i powietrzny szaman, umył ręce, odkąd towarzyszył mi duch opiekuńczy. Byłem pieprzonym samoukiem, próbowałem zapamiętać ile się da, z książek, grimmów i podręczników, ale wiedziałem, że to wciąż niewiele. I gdyby chodziło tylko o mnie, miałbym na to wyjebane – ale przecież chciałem przekazywać wiedzę Kurczaczce. Owszem, zaczęła naukę w szkole dla magicznie uzdolnionych dzieci, ale ponieważ musiała opanować podstawy, czyli to, co magiczne dzieciaki zwykle przerabiają w przedszkolu, była sfrustrowana i niecierpliwa. I wystawiona na niebezpieczeństwo. Bo jako kilkuletnia dziewczynka przez większość dnia byłaby otoczona opieką i gdyby duch, upiór czy inny granicznik pozwalał sobie na zbyt wiele, opiekun po prostu pozbyłby się go. Jako nastolatka chodziła samopas, więc zależało mi, by wiedziała, jak się bronić. I bałem się, że nie wystarczy mojej wiedzy do nauczenia jej tego. Młodzi szamani są szczególnie wrażliwi na opętania, a przyciągają graniczników jak miód misie. I o to byłem bardziej zły na Sępa niż o wyzeranie zapasów i regularne włamanie. On jednak miał to równie mocno w poważaniu.

Kończyłem pizzę, gdy rozdzwoniła się komórka. Jacek, jeden z młodziaków.

– On znowu uderzył – oświadczył bez powitania.
– Mamy kolejne ciało?
– Dziewczyna przeżyła. I chyba go mamy. Przyjeżdżasz?
– Jasne. Dokąd?
– Niedaleko ciebie, na Koniuchach – powiedział i podał dokładny adres.

Coś mi się kołatało, że byłem w tym miejscu kilka lat wcześniej. Zakłócanie spokoju, napaść, niedozwolone substancje – wszystko tworzące jedyny w swoim rodzaju

koktajl z nielegalną prostytutką i dziwnym fetyszem „matka z od niedawna pełnoletnią córką w pakiecie”.

Gdy dojechałem na miejsce, miałem już pewność, że pamięć mnie nie zawiodła. Wysoka i doskonale wyposażona brunetka, wyraźnie roztrzęsiona, otulała się kocem, pod którym miała chyba niewiele poza bielizną, i patrzyła na ręce ratownikowi, opatrującemu jej młodszą wersję. Podeszedłem sprawdzić, w jakim stanie jest dziewczyna. Na szczęście zamiast głębokich ran ciętych miała tylko kilka siniaków, w tym podbite oko, które już wyglądało jak duża, mięsista śliwka, i płytkie nacięcia na przedramionach, typowo defensywne. Ratownik sprawnie je opatrywał szerokimi bandażami i powtarzał, że może być spokojna, że wszystko jest dobrze i nic jej nie grozi. Młoda kobieta była spokojna, za to jej matka trzęsała się z każdą chwilą mocniej i bałem się, że zaraz zemdleje. Ratownik też to zauważył i poprosił, by usiadła w karetce obok córki.

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest, nic mi nie jest – powtarzała jak mantrę, szczękając zębami. Była w szoku i wiedziałem, że wiele się od niej nie dowiem. A przynajmniej nie teraz.

Wszedłem do domu. Żadnego szyldu na zewnątrz, tylko dyskretne ciemnoróżowe zasłony podświetlone neonem w kształcie serduszka, pozwalającym koneserom snuć fantazje o tym, jakie usługi świadczą panie Moroz. Przez ten czas, który minął od mojej ostatniej wizyty, niewiele się zmieniło. Panna Moroz miała już dwadzieścia parę lat, podobnie jak wykładowca w korytarzu i pokoju.

Po pomieszczeniach kręciło się kilku funkcjonariuszy i techników, słyszałem jakiś żarcik o tym, że w tym miejscu aż strach używać ultrafioletu ze względu na ilość materiału biologicznego. Minąłem ich i przeszedłem w głąb domu, w stronę, jak się okazało, kuchni, skąd dobiegał niski i stanowczy kobiecy głos. Przez chwilę łudziłem się, że Ti wróciła, ale nie – to Anita pouczała kogoś o jego prawach. Chwilę później na własne oczy zobaczyłem sprawcę.

Dzieciak miał z osiemnaście lat, może niewiele ponad. Ponieważ Anita nie wzywała nikogo od nieletnich, wnioskowałem, że jest już dorosły, ale nie było to oczywiste. Ważył nie więcej niż sześćdziesiąt pięć kilo i miał może metr siedemdziesiąt, do tego mierną muskulaturę i szczerzą twarz. Wydawał się równie wystraszony, jak pani Moroz przed domem, ale nie bał się policji, o nie. To Jaś Szafa napędził mu strachu – ochroniarz przybytku. Pani Moroz była doświadczoną w fachu niewiastą i doskonale wiedziała, że niektórzy chętnie dorzucali jej w gratisie bicie. Jaś Szafa był lekarstwem na te niechciane napiwki. Nie było to jego prawdziwe nazwisko, ale pasowało dużo lepiej niż Leśmian. Tak, ten wielki ciężarowiec nazywał się Jan Leśmian. Śmianie się z nazwisk jest raczej niesmacznym żarciem, ale Jan Leśmian... no właśnie. Jaś, mimo rozmiarów i lat nadużywania sterydów, był naprawdę łagodnym facetem, nieszukającym zwady, ale bardzo opiekuńczym wobec pani i panny Moroz. Tę drugą musiał znać, odkąd była małą dziewczynką, bo jego związek z matką trwał już dobre piętnaście lat.

Tylko po zawziętych spojrzeniach Jasia Szafy, spłoszonej postawie szczeniaka i obrażeniach dziewczyny w karetce zrekonstruowałem potencjalny przebieg wypadków, zanim jeszcze Anita się do mnie odezwała.

– Odciski pasują – oświadczyła z satysfakcją – właśnie dali znać. Wyniki krwi będą

jutro, ale już teraz możemy go zwinąć za podwójne morderstwo i próbę zabójstwa.

– Co z Julitką? – zapytał Jaś, splatając na piersi ramiona szersze niż moje udo.

– W porządku – zapewniłem – już ją opatrzyli, pewnie nawet nie musi jechać do szpitala.

Tak jak się spodziewałem, rozluźnił się natychmiast.

– Co tu się właściwie stało? – zapytałem.

– Ten tu – Jaś skinął głową na szczeniaka – zamiast zapłacić za to, co dostał, wyciągnął nóż i próbował zaszlachtować Julitkę. Maria była w pokoju z nimi, więc skoczyła na niego i podniosła alarm. Przez to, co się stało w Pink Velvet, wszyscy jesteśmy nieco bardziej drażliwi, więc nie siedziałem u siebie, ale w kuchni. Zjawiłem się naprawdę szybko. Mimo wszystko za wolno, bo już zdążył ją pociąć. – Rzucił szczeniakowi takie spojrzenie, że na jego miejscu pewnie popuściłbym w gacie. – Więc na nim usiadłem, a Maria wezwała policję. I go wam oddałem, choć mogło po nim nie zostać nawet śladu.

– Doceniamy, naprawdę. Moglibyśmy go szukać i szukać, bez widoków na sukces – powiedziałem z uśmiechem.

Było w Jasiu Szafie coś, co zawsze budziło mój uśmiech. Może to, że wypowiadał się tak ładnie i pełnymi zdaniami, bo przecież zanim zaczął swoją profesjonalną karierę łamignata i ochroniarza, zanim postawił nogę na siłowni, zanim jeszcze poznał smak sterydów, studiował pedagogikę. Z resocjalizacją.

– Mam stryja ze świńską fermą – dodał już do wiadomości sprawcy, nie mojej, i uśmiechnął się do niego jak głodny rekin. – Pamiętaj o tym, jakby ci przyszło kiedykolwiek do głowy, by zbliżyć się do moich kobiet.

– Dostanie pewnie trzy dychy, jeśli nie więcej, więc świnię będą musiały zostać przy diecie wegetariańskiej – powiedziałem i poklepałem Jasia po ramieniu.

Spisał się i gdyby nie on, miałbym w przeciągu dwóch dni kolejne podwójne morderstwo i wielkie nic. Postawiłbym mu piwo, ale uznałby, że jestem „jego człowiekiem w psiarni”, a za chwilę oczekiwał, że umorzę mu mandat. Tak to działa.

– No, lepiej, żeby tak było – mruknął wciąż rozdrażniony.

Anita podała mi dowód osobisty zatrzymanego. Zerknąłem na dane. Dziewiętnaście lat. Mieszkaniec Brodnicy. Wenancjusz Kapusta. Matko i córko, z takim zestawem każdy mógłby poczuć potrzebę mordy. Posterunkowy wyprowadził go w kajdankach i wiedziałem, że sprawa właściwie skończona. Jeśli uzgodnili odciski, a za chwilę dopasują krew – nie wywinie się. Wciąż uważałem, że to cholerna strata. Dwie martwe dziewczyny i ani śladu motywu.

– Powiedział, czemu je zabił? – zapytałem Anity dyskretnie. Wiedziałem, że chłoptaś wypaple mi wszystko podczas przesłuchania, ale znałem Anitę i jej siłę przekonywania. Nawet gdyby waga Jasia Szafy, siedzącego delikwentowi na plecach, nie wystarczyła jako narzędzie nacisku, moja szefowa wymusiłaby z niego zeznania samym spojrzeniem.

Skinęła głową i równie cicho odpowiedziała:

– Podobno próbowała go obrobić. Zasnął po seksie, a gdy się obudził, dziewczyna przeszukiwała jego portfel, więc złapał nóż i ją zabił. Podobno tego nie planował i nigdy

nie myślał, że będzie zabijał dziwki – jego słowa. A szefowa usłyszała krzyk dziewczyny i przybiegła na pomoc. Więc ją zadźgał, bo na pewno wzięłaby stronę złodziejki – znów jego słowa.

– Ja pierdołę – westchnąłem.

– Wiesz, ile miał w portfelu? – zapytała.

– No ile? Stówę? Nie wyglądał na takiego, który miałby więcej.

– Trzy dychy.

– Zabił dwie osoby dla trzech dych?

– Taaa. Jeśli kupujesz jego historię. Może po prostu nie chciał zapłacić za coś, co uważał, że powinien mieć za darmo – dodała głośniej.

– Kapitalizm niektórych po prostu przerasta – oświadczył filozoficznie Jaś Szafa, i nic nie poradzę, ale znów się uśmiechnąłem.

– Podrzuć mi do domu? – zapytała Anita. – Jutro załatwimy papiery. Ważne, że jest już pod kuratelą i nie zginie kolejna dziewczyna.

Potarła twarz zmęczonym gestem. Dopiero teraz zauważyłem, że jest bez makijażu i ma na sobie błękitne dzinsy z rozszerzonymi nogawkami, z wyhaftowanym na udzie smokiem, sweter i trampki.

– Byłam z Bogną i chłopcami w kinie, zostawiłam im samochód, przyjechałam taksówką – wyjaśniła, lekko się rumieniąc.

No przecież. Ona i nasza patolog się przyjaźnią i mają synów w podobnym wieku. Czasami zapominałem, że ma jakieś życie poza komendą. Jej chyba też zdarzało się o tym zapominać. Ale jeśli za chwilę to się zmieni – dobrze, że miała rodzinę i przyjaciół.

– Jasne, jeśli nie przeszkadza ci, że sprężyny fotela kłują w tyłek – odparłem i przepuściłem ją w drzwiach. Rzuciła mi kpiące spojrzenie, jakby mnie przyłapała na używaniu osobnego widelczyka do ryb.

– Cóż, zamknę oczy i wyobrazę sobie, że to końskie zaloty. Minęło już całkiem sporo czasu, więc uznam to za dodatkową atrakcję – powiedziała.

Parsknąłem. A potem raz jeszcze, gdy zobaczyłem jej minę na widok jeepa. Sięgnąłem nad fotelem kierowcy, by otworzyć drzwiczki. Wahała się o kilka sekund za długo. Dotknęła kawałka drutu, którym przywiązane było boczne lustro, obejrzała dziurawy fotel przykryty grubym kocem i westchnęła.

– Witkacy, na Boga, chyba nie wozisz tym dziecka? O kobiety nie pytam, bo te przy zdrowych zmysłach nie wsiaią tu z własnej woli.

– Ty wsiałaś.

– Po tylu latach ze świrami nie mogę być całkiem normalna – stwierdziła. – Czy on w ogóle ma przegląd?

Pokręciłem głową, nie ma mowy, by moje auto przeszło przegląd. Jeździło na przekleństwa, dobrą wolę, WD-40 i taśmę izolacyjną. A także kilka metrów strategicznie umieszczonego drutu.

– Mówiąc całkiem poważnie, musisz go zmienić. Wiesz, co by się stało z dzieckiem na fotelu pasażera, gdyby ci ten rżęch nawalił w czasie jazdy i na przykład straciłbyś władzę nad kierownicą czy hamulcami?

Skrzywiłem się.

– Nie jesteś już wolnym elektronem, przyjacielu. Jako rodzic musisz być trochę bardziej odpowiedzialny.

Skinąłem. Owszem, przyzwyczajałem się do myśli, że mam dziecko, ale wciąż nie bardzo wiedziałem, jak o sobie myśleć jako o rodzicu. Może niektórzy mają większe predyspozycje, by zostać odpowiedzialnym ojcem. Może to jak z szamanizmem – musisz mieć w sobie odpowiednią kość i w czasie jakiejś skomplikowanej inicjacji znajdujesz ją w ciele i pokazujesz światu. Z matkami jest chyba prościej – same narodziny dziecka są inicjacją, po której nie muszą już sobie niczego udowadniać. Ja wciąż miałem przed sobą wszystkie inicjacje tego świata. Może poza jedną czy dwiema, które wiązały się raczej z przyjemnością niż bólem i potem. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, oboje zamyśleni, i mogłem się założyć, że nie tylko ja nie myślę o sprawie, martwych dziewczynach i zabójcy.

– Myślałeś nad tym, o czym rozmawialiśmy, Witkacy? – zapytała cicho.

Wzruszyłem ramionami, bo to, że myślałem, nie znaczyło, że mam odpowiedzi.

– Posłuchaj starszej koleżanki, która popada w nieznośnie starczy ton, skoro jest na progu emerytury. – Skrzywiła się w wymuszonym uśmiechu. – Nie myśl o tym, co tracisz. Spróbuj pomyśleć, co zamierzasz ze sobą zrobić. Skup się na tym, co masz poza policją. Ja przez dwadzieścia sześć lat myślałam tylko o policji i o synu. Nie miałam czasu i energii, by zająć się czymś jeszcze. I teraz zostanę z niczym.

– Bartek nie zniknie razem z pracą.

– Ale za chwilę zrobi maturę i pójdzie na studia. Pewnie na tyle daleko, by się wyemancypować. I zostanę sama. Nie popełniaj moich błędów, Witkacy. Policjant, przechodząc na emeryturę, nie może znaleźć się w pustce. Jeśli tak się dzieje, szybko się rozpija albo umiera, traci motywację do życia. Zaufaj mi, przyjacielu, widziałam to zbyt często.

– Wiesz, że nie stoisz nad grobem i jeszcze wszystko przed tobą? Może poza udziałem w igrzyskach olimpijskich.

– To samo dotyczy ciebie – powiedziała i poklepała mnie po ramieniu.

– Jestem młodszy, może mógłbym powalczyć na olimpiadzie.

– Bardzo śmieszne.

– A myślałaś o sanatorium? Słyszałem, że na fajfach można wyrwać niezłe ciacha ledwie po sześćdziesiątce – zażartowałem.

– Uważaj, bo przestanę protestować, kiedy następnym razem usłyszę, że powinnam cię zesłać do drogówki.

– Nic nie mówiłem. Musiałaś się przestyszeć.

– Tak bywa na starość.

Spojrzałem na nią kątem oka. Stanowczo nie była staruszką. Wiedziałem, że jest pod pięćdziesiątkę, ale nie wyglądała na tyle. A już na pewno nie w miękkim, wełnianym swetrze i dzinsach, z włosami związanymi w niesforny kucyk. Mogła i chciała pracować.

Tyle że dla tych na górze byliśmy balastem i po prostu mieliśmy zniknąć.

Trudno mi było myśleć o sobie poza policją. Służba stanowiła kawał mojego życia i dawała jakieś ramy, które pozwalały się trzymać prostej ścieżki nawet w najbardziej popieprzonym czasie, czyli po odejściu Konstancji, gdy mrok wzywał błękitnymi

smugami eteru. Ale musiałem przyznać, że było lepiej niż jeszcze dwa lata temu. Wiedziałem już, że jestem szamanem, miałem konkretne obowiązki i robotę do wykonania. Miałem Kurczaczka. I w jakiś pokręcony sposób – też Konstancję, która wróciła równie niespodziewanie, jak kiedyś odeszła. Dwa lata temu informacja, że idę na zieloną trawkę, mogłaby mnie pchnąć na dno. Teraz martwiłem się o kwestie formalne i kasę, ale nie chwiała mi się w posadach cała tożsamość.

Nie byłem pewien, czy Anita mogła powiedzieć to samo. Teraz, gdy zniknęło jej żelazne wcielenie w garsonce i z ostrym jak brzytwa spojrzeniem, wyglądała na kogoś, komu zawalił się cały świat. I nie miałem pojęcia, jak jej pomóc.

Rozdział 4



Od rana na komendzie w powietrzu huczało jak w ulu. Panowało napięcie i niewyjaśnione poczucie zawieszenia, bo oficjalnie nikt nic nie mówił – nawet miejscowe duchy. Komenda dorobiła się już sześciu stałych bywalców i winiłem za to siebie – przypałały się za mną i odkryły, że to terytorium nie ma gospodarza. Zaczęły się plątać po korytarzach, przełazić przez ściany i zaglądać do pokoju przesłuchań, zwykle w najmniej oczekiwanych momentach. Więcej niż raz w ostatnich miesiącach wychodziłem na obłąkańca, który chodzi po korytarzach i mówi do siebie albo krzyczy na kogoś niewidzialnego. Ćwiczyłem się w szlachetnej sztuce ignorowania ich, bo nie dawały mi żadnych podstaw, by je odesłać. Nie były agresywne, nie łamały praw graniczników, były za to do wyrzygania przyjazne. Nie nawiązywałem kontaktu wzrokowego, by ich nie ośmielać. Na próżno. Jeden stał po pas w moim biurku, drugi wsadzał głowę do szafy pancерnej z dokumentami, a reszta jego pękatego ciała unosiła się nad podłogą, powiewając połami kraciastej koszuli. Między moim biurkiem a korytarzem kursował duch, który wyglądał jak pierwszy sekretarz z gminy Kopytkowo, do granic przejęty wizytacją. Nie wiem, czy przypomniały mu się wszystkie inspekcje centrali, jakie przeżył za swego urzędowania, ale nie mógł opanować buzującej w nim paniki.

– Zamówili kawę! Dużo kawy! – krzyczał. – To się nie może dobrze skończyć, skoro mają czas na kawę!

Znikał za drzwiami, a po chwili wpadał, wymachując rękoma, i z prawdziwą grozą w głosie oznajmiał:

– Zażądali teczek wszystkich pracujących dłużej niż dziesięć lat! Wszystkich!

Plotki żywych zgadzały się z tymi rozpuszczanymi przez duchy. Przyjechał ktoś z Centralnej i odstawiali ważenie dusz. Moja nagle zrobiła się cięższa na samą myśl, że za chwilę ktoś się pojawi i każe mi sikać do kubeczka. Zasiane przez Anitę ziarno wątpliwości kiełkowało za szybko, by nie miało się to odbić na mojej psychice.

Sama Anita zamykała się w gabinecie tylko po to, by po kilku minutach biec na wezwanie do szefa. Wracała szara na twarzy i podminowana, trzaskała drzwiami i zapach tytoniowego dymu owijał się miękko wokół rozwieszonych na ścianach tabliczek z napisem „Zakaz palenia”, które sama jakiś czas temu porozwieszała.

Nerwowa atmosfera udzielała się każdemu. A ja nie bardzo miałem czym się zająć. Napisałem tę część raportu, którą mogłem, zanim przyjdzie ostateczne potwierdzenie zgodności DNA aresztowanego ze śladami krwi na nożu, choć była to raczej formalność,

bo grupa krwi, rzadkie AB Rh-, się zgadzała.

– Witkacy, pozwól tu na chwilę! – zawołała zza drzwi.

– Masz kłopoty, stary! Masz kłopoty! – krzyczał pierwszy sekretarz Kopytkowa.

Stwierdziłem, że chyba jednak go odeślę. To było działanie na szkodę moralną żywych. Znajdę na niego paragraf, kiedy tylko wyjdę od Anity. Trzeba wiedzieć, jak ustalać priorytety.

Wszedłem więc w litą ścianę dymu. Słoik po oliwkach wypełnił się po pokrywkę, nową popielniczką była filiżanka z kwiatówkami wiśni.

– Nie masz czasem nic do załatwienia na mieście? – zapytała spokojnie.

– Piszę raport...

– Nie zrozumiałeś. Musisz wyjść na miasto, rozumiesz?

– Oczywiście, szefowo. Obywatele będą spokojniejsi, wiedząc, że nie kisimy się za biurkami – odpowiedziałem, gdy dotarło do mnie przesłanie.

– Bardzo słusznie. I kup sobie koszulę. Jutro może ci się przydać. Coś jasnego, co faktycznie wymaga prasowania.

– Jutro ląduję na grillu?

– Skoro nie dopadną cię dziś, bo masz coś pilnego na mieście? Kto wie. Może zadowolili ich dzisiejszy stos i jutro pójda szukać czarownic gdzie indziej.

– Dzięki za cynk.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała sucho, ale mrugnęła.

Tym sposobem w samym środku marcowego dnia miałem wolne i nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Normalnie ucieszyłbym się z laby, lecz w tej sytuacji nie oznaczała niczego dobrego.

Powinienem znaleźć milion produktywnych sposobów na spędzenie popołudnia, ale przychodziło mi do głowy tylko zrobienie zakupów i pranie. Ekscytujące. Rozważałem nawet odwiedzin u przyszpitalnych duchów, by się dowiedzieć, jak tam ich pośmiertny żywot, odkąd pozbyłem się terroryzującego je upiora. Rzecz jasna samo podejrzenie, że poszedłbym tam, ponieważ w tym właśnie szpitalu pracowała Konstancja, uznałbym za nieuzasadnione i absurdalne. Telefon wybawił mnie od łutki sentymentalnego durnia.

– Hej, Witkacy, miałbyś dla mnie godzinkę czy dwie? – zapytała Katia na powitanie.

– Jasne. Mój departament czy twój? – zapytałem wprost.

Jeśli miała problem z duchami, to była moja działka, jeśli zombie czy inna forma ożywieńców – jej. Nasze domeny się zazębiały, jeśli chodziło o coś, co od jakiegoś czasu było martwe, ale nie w wystarczającym stopniu. A znałem Katię dość długo, by dosłyszeć niepokój w jej tonie.

– A nie przyszło ci do głowy, że chcę spędzić z tobą trochę czasu? – zapytała flirciarsko.

Jej niski głos przywodził mi na myśl płynną czekoladę. Miała tę umiejętność dotykania cię głosem na odległość, którą kojarzyłem z gwiazdami złotej ery Hollywood. Była wspaniałą kobietą. A także moją eks. O dziwo, nie przeszkadzało nam to się dogadywać i chyba nawet przyjaźnić.

– Przyszłoby, gdybyś zaczęła tak od razu. Więc lepiej powiedz, który cmentarz.
– Za dobrze mnie znasz. Żwirki i Wigury. Inwazja grobowych robali i przesadnie podekscytowane duchy. Dasz radę dziś lub jutro? Jeśli nie ogarnę robali przed równonocą, będzie grubo.

– Co powiesz na za kwadrans? Akurat mam wolne popołudnie.

– Cudownie, wiesz, jak uszczęśliwić dziewczynę.

– Tak mówiłaś, a potem ze mną zerwałaś – zażartowałem, bo sprawy okrzepty na tyle, by móc o tym mówić.

– Gdyby to było takie proste, mój drogi. Czekam przy głównej bramie. I stawiam obiad po wszystkim – rzuciła i się rozłączyła.

Propozycja z tych bezpiecznych. Jej departament był zwykle tak obrzydliwy, że po wszystkim raczej nie zamówiłbym trzydaniowego posiłku. Pod tym względem z duchami było dużo prościej – śmierdzące rozkładem zdarzały się naprawdę bardzo rzadko.



Stała przy bramie, w wysokich żółtych kaloszach i płaszczu przeciwdeszczowym. Nie padało, nie zanosilo się też na deszcz, na niebie nie było nawet pół chmurki, a prawie wiosenne słońce grzało na tyle mocno, że musiało jej być naprawdę gorąco. A to stanowiło niezłą wskazówkę co do tego, jak paskudna i brudna czeka nas robota.

– Masz coś dla mnie? To mój ostatni płaszcz – powiedziałem.

Jeśli kiedyś powstaną związki zawodowe szamanów i nekromantów, na pewno zgłoszę wniosek o deputat na ciuchy. Nigdy nie miałem ich zbyt wiele, ale szamańskie fuchy i asystowanie nekromantce skutecznie przetrzebiły moją garderobę. Trudno sprać z ubrań nietoperzowe i szcurze odchody, woń rozkładu, płyny ustrojowe zombiaków, krew czy ekto plazmę.

– W bagażniku. – Wskazała na swojego malutkiego fiata.

Kombinezon wyglądał jak jeden z tych, które noszą malarze czy technicy na miejscu zbrodni. Zdjąłem prochowiec i sweter (wełna przechodziła zapachami szybciej niż sztuczne tkaniny), po czym naciągnąłem na siebie uniform. Wyglądałem idiotycznie, a po zasunięciu suwaka okazało się, że sztywny plastik przy każdym kroku uwiera mnie w delikatnych miejscach. Wolałem jednak to, niż wrócić do domu w ciuchach przesiąkniętych jakimś gównem. Obok ubrań zostawiłem plecak, wcześniej wyciągnąwszy z niego bransoletkę z małych dzwoneczków – moje podstawowe narzędzie szamańskie – i papierośnicę.



Katia wyjęła z bagażnika swoją łopatę i wręczyła mi coś, co wyglądało na skrzyżowanie kilofa i szpadla – ostry szpikulec z jednej strony, płaskie ostrze z drugiej, na długim trzonku.

Albo używała jakiegoś zaklęcia, które odwracało od nas uwagę, albo ludzi ogarnęła zbiorowa apatia, bo żaden z mijających nas przechodniów nie poświęcił nam nawet sekundy uwagi, choć wyglądaliśmy jak jedna z tych dziwnych ekip z serialu *Z Archiwum X* – wiecie, ci goście, którzy pojawiali się, by posprzątać po kosmitach. Brakowało nam tylko zielonkawej poświaty. Gdy jednak użyłem znaku widzenia, zobaczyłem, że jednak nie brakuje – poświata była, tyle że fioletowa, pulsująca trupią energią.

Przeszliśmy przez bramę i natychmiast wyczułem, że coś jest nie tak. Miałem gęsią skórę, a w nosie kręciło mnie od smrodu zgnilizny i pleśni.

– Więc to, z czym mamy do czynienia, to te trupie robale? – zagailem, rozglądając się ostrożnie.

– Grobowe robale – sprostowała i skrzywiła się z obrzydzeniem.

Postawiła torbę na ławce przy nagrobku i wyciągnęła miedziany pręt grubości mojego kciuka oraz półlitrową butelkę wody, zapewne święconej, którą wsunęła sobie do kieszeni.

– Co robią? – zapytałem, a gdy nie załapała, doprecyzowałem: – Gryzą, pluja, zmieniają w zombie?

– Są jak termyty, tylko wielkości kotów. Kopią, robią dziury w ogrodzeniu, pełzają.

– Nie brzmi groźnie.

– Powiedz to siostrom Brontë.

– Jeśli je spotkam. Ale nie słyszałem, by ich śmierci towarzyszyło cokolwiek nadprzyrodzonego.

– Ich śmierci nie. Ale już śmierci ich matki i kilkuset mieszkańców wsi Haworth owszem. Pech tym większy, że kościół i cmentarz były na wzgórzu, więc trupia energia spływała z każdym deszczem. Mieli tyle pogrzebów, że musieli zatrudnić drugiego pastora, bo jeden nie wyrabiał z sześcioro nabożeństwami dziennie. Tym drugim był ojciec Brontë. A wkrótce – wdowiec Brontë.

– Zamiast drugiego pastora powinni zatrudnić nekromantę.

– Nie inaczej. – Uśmiechnęła się. – Ale gdyby nie tragedia w rodzinie i życie we wsi, w której każdego dnia odbywa się kilka pogrzebów, kto wie, czy siostry Brontë nabawiłyby się gotyckiej wyobraźni i stworzyły *Wichrowe Wzgórza* czy *Dziwne losy Jane Eyre*.

– Interwencja nekromanty mogła sprawić, że nie powstałyby perły literatury?

To był urok obcowania z Katią. Podchodziła do swojej roboty z entuzjazmem i miała w zanadrzu mnóstwo historyjek. Na początku, gdy jeszcze się umawialiśmy, oszczędzała mi ich, by „nie wyjść na tę dziwną”, jednak odkąd randkowanie mieliśmy za sobą, przestała się ograniczać. I dobrze. Moje życie byłoby uboższe, gdybym nie wiedział, że grobowe robale zabiły matkę sióstr Brontë.

– Sam widzisz, musimy mieć wycucie. Ale tym razem zaryzykuję czyjaś karierę literacką, skoro po drugiej stronie ulicy jest szkoła. Robale przegryzają krąg wokół

cmentarza, więc osłona przestaje działać. Na pierwszy rzut oka nic nie widać, ale trupia energia przesącza się do wód gruntowych i skaża ziemię. Ludzie zaczynają chorować i szybko trafiają na cmentarz.

– A co duchy mają z tym wspólnego? – zapytałem, bo wcześniej o nich wspomniała, ale teraz nie widziałem żadnego.

– Pomagają o tyle, że gromadzą się przy gniazdach robali, jednak są upite grobową energią i nawet te zazwyczaj spokojne mogą być agresywne. Poradzisz sobie?

Wzruszyłem ramionami. Dopóki nie były upiorami na sterydach, powinienem sobie poradzić. Zaletą budowania reputacji przez ostatni rok było to, że część bitew wygrywałem, tylko pokazując się na miejscu i grzechocząc bransoletką.

– Jesteś gotowy? – zapytała Katia.

– Od urodzenia. Dajesz, mała.

Uśmiechnęła się słodko, a potem zaczęła śpiewać. Jej magia, jak moja, była związana ze śmiercią, a śmierć jest zaskakująco muzykalna. Melodia, jaką zanuciła Katia, przywołała na myśl irlandzki folk. Potem doszły słowa w języku, którego nie umiałem zidentyfikować; zawierały mnóstwo przeciąganych samogłosek. Była w tej melodii słodycz i tęsknota, coś, co dotykało serca zimnymi palcami. Pod stopami poczułem lekkie drżenie. Ziemia odpowiadała na miłosną pieśń Katii. Wciąż mnie to zaskakiwało. Katia zamilkła, wsłuchując się w odpowiedź. Wysokie dźwięki przypominały gwizdek czy godowy krzyk jakiegoś tropikalnego ptaka.

– Okej, jest ich naprawdę sporo – powiedziała. – Zaczniemy tam. – Kiwnęła głową w stronę wschodniego rogu cmentarza.

Zapaliłem papierosa, bo między nagrobkami zobaczyłem pierwszego ducha. Chwiał się nieprzytomnie, jakby tańczył do muzyki, której nie słyszał nikt poza nim. Oczy płonęły mu zielonkawą poświatą. Założyłem, że to właśnie trupia energia, bo stanowczo nie wyglądał normalnie. Pojawiły się kolejne duchy. Równie odurzone. Wysunąłem się przed Katię i wydmuchałem kłęb dymu, by przyciągnąć ich uwagę. Zwykle reagowały natychmiast, lecz dziś potrzebowały dłuższej chwili, a ja musiałem podejść znacznie bliżej. Kiedy wreszcie zwróciły na mnie uwagę, dzielił nas może metr i jeden nagrobek.

– Szaman – powiedział błyskotliwie facet w okolicach sześćdziesiątki, łysawy, w marynarce i kamizelce w kratę. Do pasa tkwił w nagrobku.

– Panowie i panie – powiedziałem, bo zza rzeźby anioła wyłoniła się starsza kobieta z rozpuszczonymi włosami, unoszącymi się wokół twarzy jak aureola z wodorostów – nie przyszedłem tu po was, ale jeden nierozważny ruch, jedno bezczelne słówko albo nieuprzejme spojrzenie na nekromantkę, a wyczyszcze ten cmentarz do zera i rozpiszę szybki przetarg na tę miejscówkę.

– Nie ma powodu, by być nieuprzejmym – powiedziała starsza kobieta.

– Też tak uważam. Więc odsuńcie się, z łaski swojej.

– Dostaniemy ziółek? – zapytał staruszek w piżamie w paski.

– Jeśli będziecie miłymi duszkami i pokażecie nam, gdzie są gniazda robali.

– One są takie pyszne... – zajęczała młoda kobieta z czarnym warkoczem owiniętym wokół bladej szyi jak sznur wisielczy.

– A w Zaświatach jest chłodno o tej porze roku. Poza tymi miejscami, gdzie rzeka

lawy wypala do kości nawet tych, którzy nie mają kości.

– Współpracujemy! – zapewnił duch w kamizelce. – Nie ma powodu, by być nieuprzejmym, szamanie. Wituś wam pokaże. – Przywołał chłopca, może dziesięcioletniego, z ulizanymi włosami i przedziałkiem. – On nie jest tak wrażliwy na ich jad.

Cała reszta wycofała się, formując ciasną gromadę przy postumencie rzeźby płaczącego anioła.

Chłopiec popłynął między nagrobkami i wskazał miejsce jakiś metr od muru cmentarnego, będącego przy okazji kręgiem ochronnym wokół poświęconej ziemi.

Katia zaczęła kopać. Łopata wbijała się w nieco twardy grunt z głuchym odgłosem. Już po kilku ruchach i odrzuceniu niewielkiej kupki ziemi podłoże zaczęło się wić, jakby roilo się tam od larw.

– No to zabawa się zaczyna – powiedziała Katia z obrzydzeniem.

Raz po raz uderzała łopatą, przecinając na pół wijące się ciała. Smród zgęstniał. Robale miały dobrze powyżej czterdziestu centymetrów, były grube jak spaste mopsy, ale nawet w ułamku procenta nie tak pocieszne. Wyglądały jak larwy much, lecz jeśli zachować proporcje, wyrosłyby na muchy wielkości krów. Ich wściekłe piski raniły uszy.

Z każdą sekundą ich przybywało, jakby ruszyły do ataku niczym mrówki w obronie mrowiska. Zabijałem te, które wymykały się z zasięgu łopaty Katii. Nadziwiałem je na kilof, ciachałem szpadlem. Rozbryzgiwały się z mokrym plaśnięciem, a ich śmierdzące rozkładem i pleśnią bebechy oblepiały mój kombinezon do wysokości kolan. Trupia energia unosiła się nad powierzchnią ziemi zielonkawą mgłą. Wituś cofnął się za nagrobek, wyraźnie niechętny, by się w niej taplać.

Trwało to może piętnaście minut – niedługo, jeśli siedzisz przed telewizorem, cholernie długo, jeśli w tym czasie siekasz, machasz szpadlem, odpierasz ataki zmutowanych robali.

Katia zagłębiła łopatę w ziemi jeszcze raz czy dwa, upewniając się, że żaden się nie ukrył.

– Tu mamy chyba wszystkie. Czy twój pomocnik może wskazać następne gniazdo?

– zapytała, bo choć widziała duchy, nie potrafiła się z nimi komunikować.

– Jest ich więcej? – zapytałem przygnębiony.

– Trzy albo cztery gniazda, skoro nad cmentarzem tej wielkości widzisz poświatę.

Były jeszcze dwa. Ostatnie nawet większe od pierwszego. Gdy skończyliśmy, byłem spocony, zmęczony, a kombinezon obciekał bebechami i zielonkawą mazią.

– A teraz, przyjacielu, musimy się ich pozbyć na dobre – powiedziała Katia bez śladu zadyszki. Nic dziwnego, że miała świetną kondycję, choć nie chodziła na siłownię. Machanie łopatą było wykańczające.

Zepchnęliśmy szczątki na trzy stosy. Robali musiało być dobrze ponad sto, może nawet bliżej dwustu. Gdy skończyliśmy, Katia pokropiła wszystkie stosy wodą święconą i schyliła się, dotykając miedzianym prętem gleby przy każdym z nich. Magia spływała z jej palców, sunęła przez pręt, wnikała głęboko pod powierzchnię. Katia zaśpiewała kolejną miłosną pieśń do Matki Ziemi, a ta przyjęła dar, który jej zostawiliśmy. W ułamku chwili robale zniknęły, pochłonięte przez piaszczyste podłoże. Nie było po nich nawet

śladu.

Katia odetchnęła z ulgą, a ja zapaliłem papierosa. Intensywny zapach mieszanki ziół i tytoniu na chwilę przytłumił trupi smród. Duchy wychyły się pomiędzy nagrobków – widać obserwowały nas z bezpiecznej odległości. Wypaliłem jednego skręta, a potem drugiego, aż stały się wyluzowane i przyjazne. Zawsze dotrzymywałem obietnic. Poza strachem i reputacją właśnie to pozwalało mi na niezłe relacje z granicznymi. A im były one lepsze, tym mniej duchów musiałem odsyłać, a więc i rzadziej ryzykować, że Przedwieczni wpadną z kolejną ofertą nie do odrzucenia.

Zdjąłem kombinezon, ostrożnie, by nie pobrudzić spodni i koszuli, i wrzuciłem do śmietnika przy bramie. Katia schowała narzędzia do bagażnika, zdjęła płaszcz i strzepnęła go energicznie, tak że większość płynów ustrojowych skapała na ziemię. Rozłożyła reklamówkę na asfalcie i stanęła na niej boso. Kalosze i zwinięty w kłęb płaszcz zostawiła w zamkniętym plastikowym kontenerze w bagażniku. Zawsze była doskonale przygotowana i zorganizowana. W zamszowych kozakach, aksamitnej kurtce, z wielką torbą na ramieniu wyglądała jak milion dolarów. Nikt by się nie domyślił, czym zajmowała się przez ostatnie półtorej godziny.

– Masz jakieś konkretne życzenia co do obiadu? – zapytała.

– Cokolwiek, byle ciepłe.

Zabrała mnie do Montenegro, restauracji niedaleko cmentarza. Wygląda na to, że w Czarnogórze też jedzą pizzę, kebab i makarony – jak wszędzie.

Kiedy czekaliśmy na pizzę, powiedziałem Katii, skąd ten mój wolny dzień i jaki mam wybór – wcześniejsza emerytura albo dyscyplinarka – a także, jak bardzo zmiany nie są mi teraz na rękę.

– Czasami to, czego się boimy najbardziej, jest nam najbardziej potrzebne – powiedziała, wodząc palcem po krawędzi szklanki.

– W tym momencie potrzebuję ubezpieczenia i stałych dochodów. Dobijam czterdziestki. Pracowałem tylko w policji. Nie mam innego doświadczenia i obawiam się, że nie będę najbardziej rozrywanym człowiekiem na rynku pracy. Poza tym nie każdą robotę da się pogodzić z etatem szamana i obecnością duchów, które umiarkowanie szanują definicję przestrzeni osobistej.

– Rozumiem cię, Witkacy, naprawdę. Ale myślałam o tym ostatnio, wiesz?

– O mojej pracy? – Nie zrozumiałem.

– Też. Jesteśmy potrzebni temu miastu, ty i ja. Pilnujemy, by martwi nie wchodzili w drogę żywym. Dziś ocaliliśmy dzieciaki z podstawówki. Nie tak dawno ratowałeś niemowlęta przed upiorem. Jak nazywasz to, co robimy?

Wzruszyłem ramionami. Odkąd się dowiedziałem, że jestem szamanem, robiłem to, co do szamana należy. Nie szukałem nazwy, bo mój słownik nie bardzo radził sobie z opisaniem wszystkich nowości od czasu objawienia.

– Popatrz: tak ważne dla społeczności zadania Gardiasz zleca wolontariuszom. Gdybyśmy któregoś dnia postanowili zastrajkować albo wyprowadzić się do Tomaszowa czy Sopotu, zostałyby bez szamana i bez zdrowego na ciele i umyśle nekromanty, bo przecież całą resztę trapi trupa choroba. Gdy cokolwiek odbiega od normy, wzywa nas i opieprza. Jakie właściwie ma do tego podstawy? Płaci nam? Podpisał z nami

jakąkolwiek umowę o pracę?

– Myślisz, że jesteśmy za starzy na wolontariat? – Uśmiechnąłem się szeroko, bo podobał mi się jej tok rozumowania.

– Narażasz życie i zdrowie. Widziałam, w jakim stanie byłeś po starciu z upiorem czy Różą, łątałam cię więcej niż raz po odsyłaniu duchów, gdy nie chciały odejść dobrowolnie. Czy masz chociaż ubezpieczenie zdrowotne pokrywające obrażenia magiczne? Wszystkie te, z którymi nie możesz pójść do ludzkiego szpitala? Nie masz. Ja też nie mam. Gdy pogryzł mnie ghul i leżałam tydzień z gorączką, nie mogłam pracować, nie zarabiałam, ale musiałam opłacić ZUS, wykupić paskudnie drogie mikstury lecznicze... Ile wydajesz miesięcznie na kapsułki skrótów?

Skrzywiłem się, bo kwota była spora i mocno nadwężała mój budżet.

– Może czas pomyśleć o tym, że nie jesteśmy frajerami na wiecznym wolontariacie?

– Mówisz, jakbyśmy mieli założyć związki zawodowe. – Roześmiałem się.

Katia pozostała poważna.

– Witkacy, dlaczego nie? Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a w kwestii pracy i świadczeń Thorn utknął w dziewiętnastym. Tyle że wtedy funkcjonowały mecenaty, stypendia ze szkatuły miejskiej, a większość z nas miała rodziny, które nas wspierały, czy majątki przynoszące dochód. Jaki mamy majątek dziś? Po kawalerce i samochodzie, którego nikt już od nas nie kupi, bo jest za stary i zbyt zdezelowany. Jeśli tobie duchy połamią kości albo mnie zombie wyłączą z życia na dłuższą chwilę... Czy mamy ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków? Nie mamy. Bo przecież nawet teraz nikomu nie wmówisz, że jeśli w środku nocy władujesz się pod samochód czy spadniesz z przęsła mostu, to byłeś na służbie.

– Naprawdę o tym myślałaś!

Pokiwała głową.

– Mam znajomą, też nekromantkę, węższa specjalizacja niż moja. Miała wypadek, dwa cementarne ghule połamały jej nogi i mocno poharatały. Dziewczyna wydobrzała, ale ma za sobą długie leczenie i rehabilitację. Tyle, że ona mieszka w Londynie i jest oficjalnie zatrudniona przez Starszyznę City. Ubezpieczenie pokryło jej leczenie, opłaty za mieszkanie na czas, kiedy była wyłączona z pracy, pielęgniarkę, która opiekowała się nią przez te miesiące, a nawet pieprzony hotel dla jej kotów, gdy była w szpitalu. I to nie było odszkodowanie tylko zabezpieczenie jej bytu, kiedy dochodziła do siebie po tym, jak została zraniona na służbie. Doceniają ją, bo jej usługi są potrzebne miastu i dzięki niej zwykli ludzie są bezpieczni. Czym różni się to, co robi ona, od tego, co robimy my?

Miała rację, byliśmy potrzebni. Przede mną w Toruniu i Thornie nie było szamana. Gdy zaczynały się problemy z duchami, Starszyzna na gwałt ściągала jakiegoś z innego miasta. Czasami pojawiali się już po miesiącu czy dwóch, a do tego czasu ludzie starali się omijać nawiedzone miejsca i trzymali kciuki, by duch czy upiór nie narozrabiał naprawdę grubo.

– I wiesz, o czym pomyślałam, gdy mi o tym wszystkim pisała? Że gdyby coś takiego spotkało mnie, miałabym przesrane. Gdyby ghule połamały mi nogi, nie byłabym w stanie zarabiać, płacić ZUS-u na firmę czy sprzedawać moich kubków. Nie byłoby

mnie stać na prywatną służbę zdrowia, a na państwowej czekałabym miesiącami na wizytę u ortopedy, a potem miesiącami na rehabilitację. Albo wzięłabym kredyt, by dostać opiekę medyczną. I miałabym cholerny kłopot, by go spłacić. Tak nie powinno być, Witkacy. Ile godzin w ostatnim miesiącu zapieprzałeś jako szaman?

– Nie liczyłem – przyznałem – ale drugi etat wyrobiłem jak nic.

– Widzisz, policja sobie poradzi bez Witkacego policjanta, ale czy miasto sobie poradzi bez Witkacego szamana? Masz córkę, potrzebujesz dla niej czasu.

– Nawet nie pytaj, ile wynosi chesne w szkole Nissima. Żałuję, że odmówiłem, gdy Dora proponowała, że załatwi mi zniżkę.

– Czemu dajemy się wykorzystywać? – zapytała retorycznie.

Byliśmy naiwniakami.

– Wiesz, że Dorze też nie zamierzali płacić za to, że jest Namiestniczką? Dopiero Roman zaprotestował, bo w przeciwieństwie do reszty Starszyny on rozumie siłę pieniądza. Gardiasz nigdy nie był człowiekiem, nie mieszkał w realnym mieście, jest martwy od zawsze, więc nie potrzebuje ubezpieczenia i opieki medycznej. I jako bóstwo jest jak pączek w maśle.

– Nie musisz już przekonywać przekonanego. Co robimy? – zapytałem.

– Wystosuję w naszym imieniu pismo do Gardiasza i Starszyny. Postawię ich przed faktem: albo nas zatrudnią i zapewnią przysługujące benefity, albo niech biorą naszą robotę i sami zasuwają.

– Podoba mi się to. – Uśmiechnąłem się. – A jeśli się nie zgodzą?

– W Londynie zawsze potrzebują szamanów i nekromantów, mają ogromne cmentarze.

– Nie zostawię Kurczaczka.

– Konstancja jest pielęgniarką. Myślisz, że jak długo musiałbyś ją przekonywać do przeprowadzki?

– Wszyscy nie wyjedziemy.

– Nie musimy wyjeżdżać wszyscy. Wystarczy, by pomyśleli, co się stanie, gdy wyjadą ci, którzy są im niezbędni do funkcjonowania.

– Jesteś niesamowita.

– Wiem. Ty też masz w sobie potencjał. – Uśmiechnęła się do kelnerki, która przyniosła nam zamówienie.

Zaczęliśmy jeść. A potem nagle, między jednym kęsem a drugim, Katia zapytała:

– A co tam z Konstancją?

– Nic – odparłem niemal zgodnie z prawdą.

– Po latach wraca miłość twojego życia, ta, która zepsuła cię dla wszystkich innych kobiet, i nic?

– Mam córkę – powiedziałem pozornie bez związku.

– To powód do radości, nie przeszkoda – wierciła niestrudzenie.

– Nie chcę ryzykować – przyznałem. – Spieprzę to, jak zawsze, a zawali się więcej niż zwykle.

– Dlaczego miałbyś to spieprzyć?

– Z tobą spieprzyłem, czyż nie? – pozwoliłem sobie na odrobinę sarkazmu.

Pokręciła głową i upiła łyk coli, a potem powiedziała:

– Niczego nie spieprzyłeś, Witkacy. Byłeś za dobry. – A widząc, że kręcę głową z niedowierzaniem, dodała: – Kusiło mnie, rozumiesz? Kusiło mnie, by się ustatkować, pobawić w dom i rodzinę. Spanikowałam, bo zaczęły mnie rozczulać ubranka dla niemowląt.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach.

Starannie kładła kleksy sosu czosnkowego na kawałku pizzy, wyraźnie unikając mojego spojrzenia. A potem westchnęła i przyznała:

– Oczywiście, że nie. Byliśmy ze sobą kilka miesięcy. Ale ja od jakiegoś czasu rozmawiam o nich sama ze sobą naprawdę często. Mam trzydzieści pięć lat. Nigdy nie wierzyłam w te bujdy o zegarze biologicznym, dopóki któregoś nocy skurwiel nie obudził mnie tykaniem.

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że ze wszystkich mężczyzn świata wybrałabyś mnie na ojca.

Uśmiechnęła się i pogładziła mnie po dłoni.

– Chciałam, żebyś to był ty, by to poszukiwanie było już za mną i bym mogła przejść dalej.

– Nie kochałaś mnie.

– Troszeczkę, ale nie dość. I wiedziałam, że ty nie kochasz mnie.

Pokręciłem głową. Szalałem za nią.

– Witkacy, byliśmy w sobie zakochani, ale nie kochaliśmy się. Miejsce w twoim sercu było już zajęte, a ja o tym wiedziałam. Wiedziałam, że gdzieś tam jest jakaś Konstancja.

– I dlatego zwinęłaś się bez ostrzeżenia i pozwoliłaś mi się zastanawiać, na czym właściwie stanęło?

– Alternatywa była prosta: wmówię sobie i tobie, że to właśnie to, a potem namówię cię na szybki ślub i bliźnięta.

– Myślisz, że dałabyś radę?

Zaśmiała się i część smutku, który pojawił się w jej oczach podczas tej rozmowy, zniknęła.

– Akurat z bliźniętami mogłoby być ciężko, ale reszta? Jasne. W jedwabnej bieliźnie jestem bardzo przekonująca. Byłbyś bez szans. Ale to by nie wyszło. Ona wciąż gdzieś tam była i pojawiła się na twoim progu tak czy inaczej. A ja zasługuję na kogoś, kto oddaje mi najlepszy pokój w swoim sercu, a nie schowek pod schodami. I naprawdę chciałabym, by „dopóki śmierć nas nie rozłączy” nie oznaczało zabójstwa w afekcie.

– Miałabyś fory. Gdybym był trupem, mogłabyś mnie wskrzesić.

– A ja byłabym dręczącym cię po kres twych dni duchem, bo nie miałbyś sumienia mnie odesłać.

– Niekoniecznie materiał na *love story*. Ale horror byłby z tego niezły.

– Tak to już jest w naszej specjalizacji. – Uśmiechnęła się i wróciła do jedzenia.

Dorzucałem się właśnie do rachunku i napiwku, gdy zadzwoniła moja komórka. Wygrzebując ją z plecaka, stawiałem na Anitę, ale to był Kurczaczek. Odruchowo zerknąłem na zegarek – nie było jeszcze piętnastej. Do szesnastej miała mieć zajęcia,

a potem godzinę basenu. Później zamierzałem ją odebrać, bo Konstancja wybyła dziś na jakieś szkolenie.

– Tato – powiedziała, choć nigdy się tak do mnie nie zwracała – możesz po mnie przyjechać? – w jej głosie słyszałem łzy.

– Co się dzieje?

– Jeśli mnie nie odbierzesz, wezwą pogotowie – powiedziała cicho.

Nie pytałem o nic więcej. Nawet nie pożegnałem się z Katią, po prostu ruszyłem do samochodu.

Rozdział 5



Szkolne korytarze były puste i zaskakująco ciche. Szukałem gabinetu pielęgniarki, ale chyba źle skręciłem albo pomyliłem piętra, bo nigdzie nie widziałem czerwonego krzyżyka, którego kazała mi wypatrywać woźna. Wróciłem na centralną klatkę schodową i skręciłem w to drugie lewo. Szybko zostałem nagrodzony widokiem nadszarpniętej naklejki PCK na miodowym, tłoczonym szkłe okienka w drzwiach do gabinetu. Pchnąłem je, czując w piersi nieznaną niepokój.

Etat pielęgniarki wieki temu został zredukowany, pewnie jeszcze w poprzednim ustroju. W środku zastałem pustą szklaną gablotę na leki, zakurzone biurko i ani śladu personelu medycznego. Bładozielona lamperia i kiwająca się na kablach lampa z dwiema jarzeniówkami, w których światło każdy wyglądał, jakby od dwóch dni niezauważenie dla otoczenia toczył go rozkład, też pamiętały poprzednią epokę. Część pomieszczenia odgradzała stalowa rama parawanu na kółkach, obciążonego żółtawym płótnem. Zajrzałem za niego pełen najgorszych przeczuć.

Leżanka z bordowego skaju wyglądała na starszą ode mnie. Przez rozpruty szew wyłaziła poźółkła, zetlała gąbka. Potrzebowałem chwili, zanim mogłem spojrzeć na Kurczaczka. Leżała skulona, niemal w płodowej pozycji, przykryta swoim własnym kraciastym płaszczem. Jakimś cudem jej długie nogi zmieściły się pod nim, tak że wystawały tylko czerwone martensy. Podeszedłem bliżej i odchyliłem kaptur, który przysłaniał jej część twarzy. Była blada, tak bardzo blada! Miała przymknięte powieki, ale nawet spod rzęs widziałem cienie. Cienie, których nie było tam przedwczoraj. Ciasno owijała tułów ramionami, jakby miała się rozsypać. Nie dostrzegłem ran ani złamań, więc gula w moim gardle powoli zaczęła ustępować. Przyklęknałem, tak by nasze twarze znalazły się na jednej wysokości, i zapytałem:

– Kurczaczku, co się stało?

Westchnęła, jakby zauważyła mnie dopiero teraz.

– Możemy już iść? – spytała głosem małej dziewczynki.

Przysunąłem sobie metalowy stołeczek na kółeczkach i usiadłem, by widzieć jej twarz wyraźniej.

– Albo mi wszystko powiesz, albo dzwonię po mamę i pozwolę jej grillować cię do skutku.

Prychnęła gniewnie i zacisnęła palce na wełnie płaszcza.

– Nie mamy wiele czasu, zaraz przyjdzie pani Mikołajczak, moja wychowawczyni.

Poszła tylko po wodę. Pilnuje mnie jak żandarm – powiedziała.

– Zajmę się panią Mikołajczak, ale musisz mi powiedzieć, co się stało, żebyś mógł ci pomóc, mała.

Usiadła na leżance, nieco chwiejnie, ręce przyciskając do nasady nosa i uciskając ją, jakby chciała przegnać ból głowy. Westchnęła.

– Załatwił mnie, rozumiesz? Znokautował po prostu i zemdlałam. Ktoś mnie znalazł na podłodze i wszczął alarm. Z trudem powstrzymałam dyrektorkę od wezwania karetki. Tyle, nic wielkiego, ale lepiej, by nie robili z tego wielkiej sprawy, bo zauważą, że coś się nie klei. – Drżała na całym ciele, jakby temperatura była ujemna.

Przez ułamek chwili myślałam, że mówi o jakimś łobuzie, ale nie. Kurczaczek jest waleczną i zawziętą dziewczyną, która nie dalej niż dwa tygodnie temu zgarnęła srebrny medal na zawodach karate, choć była najmłodsza i najlżejsza w swojej grupie wiekowej. Cokolwiek zrobiło jej krzywdę, było czymś groźniejszym niż przerośnięty licealista.

– Dobra, czyli to nasz departament? – zapytałem. – To stało się w szkole?

Ale zanim zdążyła mi odpowiedzieć, drzwi za moimi plecami otworzyły się i wkroczyła kobieta – jak się domyśliłem, pani Mikołajczak. Miała może pięćdziesiąt lat, krótką, praktyczną fryzurkę i jedną z tych sięgających za kolano, luźnych sukienek w kolorze naturalnego lnu, jakie noszą niektóre nauczycielki i urzędniczki, by w połączeniu z biżuterią z bursztynów i sznurka sprawiać wrażenie artystycznie niefrasobliwych muz.

Gdybym zobaczył ją na ulicy, zgadłbym bez pudła, że uczy w szkole. I obstawiałbym, że lubi swój zawód i traktuje go jak powołanie.

– Pan Wierziński? – zapytała podejrzliwie.

– Duszyński. Córka nosi nazwisko matki – wyjaśniłem i uświadomiłem sobie, że nie mam żadnego sposobu, poza daniem słowa honoru, że Kurczaczek jest moją córką.

Wychowawczyni otworzyła spory notes i przerzuciła kilka kartek, nim znalazła coś, co zainteresowało ją na dłużej.

– Piotr Duszyński? – upewniła się, jakby każdego dnia nawiedzało szkołę piętnastu Duszyńskich, którzy próbowali odebrać nie swoje dziecko. – Ma pan jakiś dowód tożsamości?

– Oczywiście. – Pokazałem jej dokument, bo przecież powinienem być naprawdę wdzięczny, że jest tak skrupulatna, skoro od tego zależało bezpieczeństwo jej podopiecznych.

– Pani Konstancja zostawiła dyspozycje z pana nazwiskiem, więc może pan zabrać Wiktoria do domu. – Rzuciła Kurczaczekowi troskliwe spojrzenie. – Rozumiem, że to nie pierwszy raz i lekarz rodzinny wini za te omdlenia szybki wzrost, mimo to napędziła nam dziś strachu. Mam nadzieję, że szybko dojdzie do siebie.

Podziękowałem jej za troskę i zapewniłem, że zaopiekuję się „naszą dziewczynką”.

I naprawdę doceniłem fakt, że Konstancja pomyślała o tym, by zadbać o informację dla szkoły. Wedle prawa wciąż nie łączyło mnie i Kurczaczka nic. Musiałem formalnie uporządkować kwestie ojcostwa, alimentów i wszystko inne.

Kurczaczek szła o własnych siłach, ale sporo ją to kosztowało. Opadła na siedzenie jeepa z jękiem ulgi i znów przymknęła oczy.

– Zabierz mnie do domu, proszę. Jestem taka zmęczona – szepnęła.

– Kto ci to zrobił? – zapytałem, zaciskając dłonie na kierownicy.

– Myślałam, że to tylko duch, ale on jest chyba czymś więcej. Wygląda na dzieciaka, ale... Chyba próbował mnie przejąć, nie wiem, czy to możliwe, ale czułam, że chce mnie wypchnąć z mojego ciała. Wcześniej mnie nie zauważał, a ja udawałam, że nie widzę jego. Ale ostatnio... chyba wyczuł gdzieś twoje zioła albo kadzidło z zajęć o podstawach białej magii, bo nagle zaczął mnie obwąchiwać i już mi nie dał spokoju.

Mówiła cicho, jakby nie miała siły na więcej niż szept. Docisnąłem gazu. Domyślałem się, co się właściwie wydarzyło i co jej dolega. I nie mieliśmy wiele czasu, zanim zaśnie na kilka dni. Konstancja na pewno by mi tego nie wybaczyła.



Musiałem jej pomóc wysiąść z samochodu. Słaniała się na nogach i prawie leciała przez ręce. Próbowła coś powiedzieć, ale tylko mamrotała niewyraźnie, kiedy prowadziłem ją po schodach. Przytrzymując ją jednym ramieniem, otworzyłem drzwi do mieszkania, bo akurat dziś Sęp uznał, że uszanuje moje prawo do prywatności. Jasne, jeszcze mogłoby się okazać, że go potrzebuję, nie? Jak zawsze miał wyczucie.

Pomogłem Kurczaczkowi położyć się na łóżku i zabrałem się do rzeczy. Użyłem znaku widzenia i zobaczyłem to, czego się obawiałem – jej aura była cieniutka, ledwie blad różowa, nie zaś intensywnie fioletowa jak zwykle. Zamiast wirującej wokół niej żywej energii widziałem tylko nieruchome strzępy. Kimkolwiek był napastnik, prawie ją wydrenował, co dla magicznego stanowiło poważne zagrożenie życia.

Przeklinając, zapaliłem świecę i pęk szaławii wieszce. Wyciągnąłem zapas skrótów – niewielkich kapsulek, które ułatwiały kontakt z Zaświatami i przyspieszały proces regeneracji za pomocą eteru. I tak się składa, że były narkotykiem. Konstancja mi tego nigdy nie zapomni, pomyślałem, po czym zażyłem jedną kapsułkę, a drugą podałem Kurczaczkowi. Była na tyle przytomna, by połknąć, lecz na tyle nieprzytomna, żeby nie zadawać pytań. Lepiej, by wszystko poszło po mojej myśli. Sam kilka razy znalazłem się w podobnym stanie, ale raz – byłem dorosły, a dwa – leżałem omdlały przez długie godziny. Okadziłem Kurczaczka szaławią. Co prawda kadzidło nie ma mocy leczniczych, ale zmniejsza opór energii.

Zdjąłem ze ściany nieduży płaski bębenek, wzorowany na tych, jakimi posługiwali się inuicy szamani – wciąż testowałem różne instrumenty, szukając czegoś bardziej wydajnego niż bransoletka z dzwoneczkami, która była poręczna, gdy nie chciałem się rzucać w oczy, lecz diabelnie niepraktyczna, jeśli rytuał był bardziej skomplikowany – można zwariować od potrząsania.

Usiadłem na podłodze przed łóżkiem i zacząłem wystukiwać rytm. Przymknąłem oczy, by skrót szybciej zaczął wpływać na zmysły.

I już, były tu.

Schody pięły się prosto do bramy Zaświatów – miejsca, którego unikałem, odkąd się dowiedziałem, że czekają tam na mnie niemiłe istoty, chcące mi zrobić krzywdę. Tyle że teraz nie chodziło o mnie. Oderwałem się od ciała, które na chwilę zamarło, zawieszona

między życiem a jego brakiem.

Wspinałem się po schodach, a potem napałem na wrota. Uchyliły się z głośnym zgrzytem, a błękitne pasma eteru zaczęły się przesączać przez szparę, jak mgła w niskobudżetowym horrorze. Schwyciłem ich w ramiona, ile mogłem, i ruszyłem na dół, uważając, by się nie potknąć, nie spaść, nie spieprzyć jedynej szansy uratowania Kurczaczka.



I nagle poczułem czyjaś obecność. Zesztywniałem ze strachu, ale to nie Przedwieczny wyszedł ze swoim przerażającym kotem łowczym, by zawlec mnie do Zaświatów, a Sęp. Niedawno nawrzeszczałem na niego, zarzuciłem, że nie mam z niego żadnego pożytku. A jednak był tu, zgarniał naręcza miękkich pasm przelewających się między palcami i niósł je za mną w dół schodów, które wydawały się nie mieć końca. Choć w sumie skoro łączyły dwie płaszczyzny, materialną i duchową, może faktycznie nie miały końca ani początku.

Kurczaczek widziana na poziomie astralnym była bladym cieniem siebie. Niemal przezroczysta, utkana ze wspomnień, bez teraz, bez jutra. Eter, który przynieśliśmy, leżał jak kłęby błękitnej waty cukrowej, ale nie wnikał w jej aurę, nie otaczał jej poświatą z Zaświatów. To nie działało! A ona była zbyt słaba, by świadomie po niego sięgać, uzupełnić braki, zaczerpnąć go jak powietrza.

– Graj dla niej, cokolwiek by się działo, nie przestawaj! – zakomenderował Sęp.

Wydawał się wiedzieć, co mówi. Więc grałem. Rytm, początkowo chwiejny, wypełniony niepewnością i strachem, z czasem nabierał stabilności. Uderzałem w wibrującą membranę, mruczałem, kołysałem się, szukając tej nuty, która będzie kompatybilna nie tylko ze mną, ale i z moją córką. Zwykle słyszałem w głowie muzykę ducha, którego chciałem odesłać, słyszałem swoją, gdy potrzebowałem się osłonić, ale jak brzmiała jej melodia?

Teraz była tak cicha, nienaturalnie cicha, jakby napastnik zabrał nie tylko energię, ale i pieśń, jaką Kurczaczek nosiła w sobie. Była szamanką, jej magia była muzyką!

I nagle usłyszałem – cichutkie plumknięcie, dwie czy trzy nuty, nic więcej, ale to wystarczyło, na początek musiało wystarczyć. Wplotłem je w moją melodię i pozwoliłem rozbudowywać się we frazę, przejąć ją, zmienić, przekształcić w coś lżejszego, dziewczęcego, wibrującego szybszym rytmem, jak serduszko kolibra.

Pot sływał mi po plecach, ale nie przerywałem. Palce uderzały w membranę tak szybko, że ruch rozmazywał mi się przed oczami, dopiero po chwili zrozumiałem, że płacząc, kołysząc się całym, łzy moczą mi twarz, ból rozrywa pierś na samą myśl, że może mi się nie udać...

– Nie myśl o tym, co może pójść źle! – krzyczał Sęp. Jego głos był stłumiony, jakby między nami była ściana wody. – Nie oplakuj jej! Przywołuj ją do życia, nie idź za nią w domenę śmierci, rozumiesz?

Przytaknąłem. Mogę to zrobić. Nie myśleć o niej, jaką jest teraz, ale przypomnieć sobie, jaką była jeszcze kilka godzin temu. W ciągu ostatnich miesięcy zdążyłem ją trochę poznać. Spędziliśmy razem sporo czasu. Nie widziałem jej, gdy była niemowlęciem i dzieckiem, ale miałem jakieś pojęcie o tym, jaką była nastolatką.

Słyszałem jej głośny śmiech, który pojawiał się nagle i rozrastał w zaraźliwą, skondensowaną radość. Niewielu ludzi śmieje się jak ona – całą sobą. Jakby wypełniała ją tylko ta jedna emocja, jakby nie było miejsca na melancholię, złość, żal. Ona była tym śmiechem, wibrującą radością.

Słyszałem dudniący odgłos jej kroków, gdy szła w tych swoich ciężkich martensach. Chodziła szybko, jakby zawsze gdzieś coś na nią czekało. Jakby zawsze była

lekko spóźniona albo nie mogła się doczekać tego, co będzie za rogiem.

Zwróciłem uwagę na sposób, w jaki mówiła – z namysłem podszytym ironią, jakby wiedziała, że jest bardziej dorosła niż jej staruszek, ale nie chciała mu tego powiedzieć, by go nie zasmucać. I, na bogów, czasami naprawdę była dorosła i mądra, choć chwilę później zakładała naszyjnik z pudrowych serduszek i zjadała je podczas oglądania filmu, jedno za drugim, bez użycia rąk.

Melodia wzmacniała się, nabierała głębi, była jak matematyczny wzór, którym próbowałem opisać Kurczaczka, jej emocje, relację ze mną i z Konstancją. To, co sprawiało, że była jedna na milion.

Na przykład jej podejście do muzyki. Wygłaszała żywiołowe tyrady o wyższości The Strokes nad Joy Division, jakby to była kwestia życia i śmierci. Bo o muzyce nigdy nie mówiła lekko, o nie! Gdy puszczałem jej jakąś płytę, słuchała w absolutnym skupieniu, chcąc zapamiętać każdą nutę, by po odsłuchaniu wydać werdykt – zawsze uczciwy. „Jeśli nasza relacja ma mieć sens, musimy mówić sobie prawdę w kwestii muzyki”, powiedziała poważnie, gdy puściła mi jakiś utwór, zbyt dziwny dla mnie, zbyt obcy, ale wymyśliłem coś miłego, by nie było jej przykro. Innym razem wpadła do mieszkania podekscytowana, jakby spotkało ją największe możliwe szczęście, włączyła YouTube’a i pokazywała mi swoje najnowsze odkrycie, dzieliła się muzyką, która sprawiła, że jej serduszek zdrząło. „Witkacy, musisz tego posłuchać, to jest FAN-TA-STYCZ-NE! Kolesię się nazywa Shakey Graves, rozumiesz? Jak drżący grób! Może jest szamanem! Słyszysz to?!” I słyszałem, o tak, słyszałem! Chudy chłopak z Teksasu, który grał dziwną muzykę na gitarę i sekcję perkusyjną, wystukiwaną piętami na bębnie basowym i tamburynie, zapalał w mojej małej dziewczynce światło, cała wibrowała szczęściem, jakim tylko niektórzy potrafią reagować na muzykę.

Jakby była sednem istnienia, magią w czystej postaci.

– To działa, nie przestawaj – powtarzał monotonna Sęp.

Więc budowałem jej obraz w melodii, gęstej, pokręconej, chaotycznej, żywiołowej, jak ona, a jednak z jakimś ładem w powracaniu tych trzech pierwszych nut, które dostyszałem w jej osłabionej obecności.

Działało. Jej aura zaczynała wibrować, pasma bladego różu się poruszały, wciąż powoli i niezbornie, ale ruch przyciągał eter i już po chwili róż był mniej blady, mniej różowy, przechodził w lawendę. Odkrywałem w sobie nieprzebrane pokłady umiejętności rozpoznawania kolorów na skali róż – fiolet. Gdzieś przebijał błękit, jakby nie zdołała od razu wszystkiego naznaczyć swoją barwą.

Dzięki znakowi widzenia potrafiłem dostrzec jej aurę i magię, ale nie umiałem ocenić, czy jej ciało wygląda na mniej... martwe. Teraz mogłem wydusić z siebie to słowo. Odłożyłem bębenek i przetarłem oczy, by usunąć resztki zaklęcia.

Wciąż była blada, ale wyglądała, jakby spała, a nie straciła przytomność. Powoli w szczupłym ciele wzmacniał się potencjał ruchu i życia. Dotknąłem jej ręki, była ciepła. Zacząłem się śmiać, tym szalonym śmiechem przez łzy. Przewróciłem się na plecy, na twardą podłogę, i śmiałem się, aż rozbolał mnie brzuch, a oczy zaszyły słoną mgiełką z ulgi, strachu, szczęścia – mieszanki, jaka już zawsze będzie mi się kojarzyć z Wiktoria Wierzbińską, dziewczynką, która mogła sprawić, że zatrzymałoby mi się serce tylko

dlatego, że zatrzymałoby się jej własne.

Rozejrzałem się. Świece wypaliły się doszczętnie, niewielkie plamy wosku spłynęły ze szklanych świeczników na podłogę.

Sępa nie było w pokoju. Nie wiem, czy wyszedł, czy fizycznie nigdy się tu nie pojawił, bo przywędrował tylko na poziomie astralnym. Ja bym tego nie potrafił, ale nie miałem pojęcia, co potrafił on.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła osiemnasta, co znaczyło, że grałem przez cztery godziny. Nic dziwnego, że tak bolał mnie każdy mięsień, a dłonie miałem spuchnięte i zdrętwiałe.

Podwinąłem koszulę i wytarłem spocone czoło. Czułem się, jakbym przebiegł maraton. A wcześniej nie miał dość rozsądku, by rzucić palenie.



Godzinę później mój niepokój wzrósł na tyle, że potrzebował więcej tlenu, niż było w pomieszczeniu. Otworzyłem okno, bo w czasie między końcem rytuału a chwilą obecną wypaliłem swój zapas papierosów.

Pocierałem mostek, nie spuszczając z oka twarzy Kurczaczka. Jej gałki oczne poruszały się gwałtownie i nerwowo, żyłki pod delikatną bladą skórą wydawały się takie ciemne... Szarpnęła głową, a kompres z ręcznika, który ułożyłem jej na czole, zsunął się na poduszkę. Poprawiłem go, sprawdzając przy okazji, czy wciąż jest rozpalona. Gorączka nie mijała. Pot wsiąkał w jej włosy i zbierał się nad górną wargą. Majaczyła, bełkotała, jęczała, jakby ból rozrywał jej trzewia. I co najgorsze – nie budziła się. Przez chwilę myślałem nad wezwaniem pogotowia, ale byłem więcej niż pewien, że jej niedyspozycja ma podłoże magiczne. I nie miałem pojęcia, co jeszcze mogę zrobić, żeby jej pomóc.

Przez pierwsze pół godziny wertowałem grimuar, szukając zaklęcia pod c jak „cud”. Nie znalazłem nic, co potrafiłoby wyjaśnić, czemu Kurczaczek zapadła w taki stan. Mogłem snuć podejrzenia, że to dziwna reakcja na skrót. Kolejny powód, by nie ryzykować szpitala. Nie miałem pojęcia, jak na profilu toksykologicznym wyświetlałby się skrót, ale spodziewałem się, że doniesienie o dziecku pod wpływem narkotyku podczas popołudnia spędzanego z ojcem nie zostałoby zlekceważone przez prokuraturę.

Kucnąłem i zacząłem się kiwać, rwąc włosy z głowy. Dzwoniłem do Sępa, ale nie odbierał. Odezwała się poczta głosowa, nie nagrałem się – wiedziałem, że nie ma w zwyczaju odsłuchiwać wiadomości. Wysłałem mu esemesa, ale też nie otrzymałem odpowiedzi. Dobijałem się do jego drzwi, bez skutku. A nie byłem na tyle przewidujący, by – jak on – dorobić sobie klucze.

Wysłałem esemesa do Ti, prosząc o szybki kontakt z Jemiolą, uzdrowicielką mieszkającą w alternatywnym mieście, ale nie został doręczony. Moja przyjaciółka była poza zasięgiem. Zdziwienie stulecia, skoro po drugiej stronie bramy do Thornu komórki nie działały jak należy, a moja była partnerka coraz rzadziej wychodziła do realnego miasta, twierdząc, że przecież ma wszystko, czego jej potrzeba do szczęścia. Mógłbym iść tam i szukać na własną rękę, ale nie chciałem zostawić Kurczaczka.

Zrobiłem więc jedyne, co mi zostało. Skulony w kucki, kiwałem się i odmawiałem modlitwę do duchów przodków, prosząc o wstawiennictwo. Odpowiadała mi taka sama cisza jak w przypadku telefonów.

Nagły hałas wytrącił mnie z rytmu. Zgrzyt klucza w zamku rozbrzmiał głośno jak wystrzał. Drzwi otworzyły się z impetem, a w progu stał Sęp, objuczony jak osiołek, z czterema wypchanymi siatami w dłoniach. Logo dużego marketu spożywczego na torbach dopełniało szokującego efektu. Bez słowa wpakował się do mieszkania, piętą zamknął drzwi, po czym, posapując, ruszył w stronę wnęki kuchennej i zaczął wypakowywać produkty, a następnie upychać je bez ładu i składu w lodówce. Przez chwilę patrzyłem na niego oniemiały, a surrealizm sytuacji wsiąkał mi w kości.

– Czy, z łaski swojej, możesz mi wyjaśnić, co robisz? – zapytałem.

Głos miałem zduszony od emocji. Powściągałem je, by nie zacząć na niego krzyczeć.

– Co ci znowu nie pasuje? – powiedział zrzędliwie. – Twierdziłeś, że zjadam ci zapasy, więc przynoszę nowe. To chyba oczywiste. Wybacz, jeśli pomyślałem, że po tym, jak sobie hasaliśmy po schodach do Zaświatów, będziesz głodny. Ja jestem – warknął.

Wyciągnął z folii bułkę i wgryzł się w nią, wyraźnie wściekły.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedziałem, zastanawiając się, kiedy nasza relacja upoważniła nas do małżeńskich kłótni.

Przez chwilę patrzył na mnie bez wyrazu, a potem zaczął macać się po kieszeniach.

– Zostawiłem komórkę u siebie.

– Kurczaczek jest chora. Mimo rytuału i uzupełnienia aury coś jest nie tak. Nie wiem, co robić – wykrztusiłem.

Byłem gotów tolerować wszystkie jego wady po kres moich dni, jeśli znalazłby sposób na to, by wyzdrowiała.

Odłożył bułkę, przeszedł przez mieszkanie i zatrzymał się przy łóżku. Przyglądał się małej, marszcząc brwi, i w końcu powiedział:

– Nie rozumiem. Powinno być z nią wszystko dobrze, przecież odprawiłeś rytuał prawidłowo.

– Coś nie zadziało? – zapytałem.

– Najwyraźniej, ale pojęcia nie mam co. Jej sygnatura jest jakaś taka dziwna... Może to dlatego, że jest dziewczynką?

– A co to ma do rzeczy?

– W sumie nie wiem, ale spotykałem się kiedyś z wiedźmą i ten cały... no, cykl... robi różne rzeczy z magią. Może o to chodzi? – zgadywał na głos. – Może ma, ten, no wiesz?

– Okres? – domyśliłem się. – Pojęcia nie mam.

– Sprawdź – podpowiedział.

– Nie ma mowy – oburzyłem się.

– Nie musisz tam zaglądać – zmieszał się – sprawdź jej plecak, one noszą różne takie rzeczy...

– Sępie, to się nazywa podpaski albo tampony, nawet ja to wiem – powiedziałem i niezbyt chętnie zajrzałem do plecaka Kurczaczka. Postanowiłem, że przeproszę ją

później za to naruszenie prywatności. Znalazłem kosmetyczkę, a tam różne rzeczy, ale żadnych podpasek czy tamponów.

– I co? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. Znam ją już kilka miesięcy, miała w tym czasie pewnie kilka okresów, nigdy nie było takich objawów.

– A tak, one chyba są dość, no nie wiem, regularne, nie? – powiedział i poczułem się tak, jakbyśmy byli parą matołów z jakiejś dziwnej komedii. Dwóch magicznych i dziewczynka, cuda mniemane i tajemnice cyklu miesięcznego.

– Tak, zwykle mają je dość regularnie. Możesz jej pomóc? – zapytałem.

– To nie tak, że nie chcę, Witkacy, serio. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Ja po prostu nie wiem, co jej jest. Nigdy się z tym nie spotkałem, a że żyję długo i widziałem wiele... Myślę, że to może być przez to, że jest dziewczynką. Miałem wielu uczniów i podopiecznych, ale nigdy dziewczynki.

– A znasz kogoś, kto wie o dziewczynkach cokolwiek, co może się okazać przydatne?

– Właściwie znam! – wykrzyknął podekscytowany i wybiegł z mieszkania.

Po chwili wrócił ze swoją komórką. Przejrzał listę kontaktów i do kogoś zadzwonił.

– Cześć, skarbie, tu Sęp – przywitał się i cały rozpląwał się w uśmiechach, które wydawały mi się więcej niż wymuszone. – To już tyle czasu? Naprawdę? Jak to, jak mam czelność dzwonić? Przecież nic się nie... Ej, przesadzasz troszkę, maleńka... No być może... Hej, to nie całkiem moja wina... no w sumie...

Doskoczyłem do niego i wyrwałem mu telefon z dłoni, zanim kobieta po drugiej stronie się rozłączyła. Widziałem to już parę razy. Sęp miał talent do kobiet, ale na krótką metę. Potem dostawały na niego alergii, której objawem było rzucanie słuchawką i przekleństwa. Zasłużenie, jeśli mam być szczerzy, ale tym razem potrzebowałem pomocy.

– Przepraszam, że przerywam, ale bardzo potrzebuję pomocy... właściwie moja córka potrzebuje, więc jeśli jesteś bardzo zła na Sępa, to niewiele nas łączy, po prostu skorzystam z jego telefonu – zapewniłem.

Usłyszałem niski śmiech po drugiej stronie.

– Jesteś jego nowym podopiecznym? Witkacy, prawda? – zapytała.

– Tak. I to zupełnie nie jest moja wina. Ani mojej córki. Jej zwłaszcza. Ma tylko piętnaście lat.

– Spokojnie, nie wrzucę was pod pociąg tylko dlatego, że masz pecha. Dobra, mów, co się dzieje.

Opowiedziałem. O ataku w szkole, o stanie Kurczaczka po wszystkim, o tym, jak traciła siły, rytuale i uzupełnianiu jej aury eterem. A także halucynacjach, gorączce i śnie, z którego nie mogę jej obudzić. Zamruczała zmartwiona.

– Czy w czasie ataku została ranna albo coś uszkodziło jej tatuaż? – zapytała po chwili.

– Tatuaż? Ona ma piętnaście lat – powtórzyłem.

Westchnęła.

– Może nie dbacie odpowiednio o kamienie – powiedziała.
– Kamienie? – Czułem się jak idiota.
– Jeśli chcecie poczekać z tatuażem, pilnujcie, by zawsze nosiła swoją biżuterię – rzuciła zirytowana. A słysząc, że nie odpowiadam, dodała: – Czy ty wiesz cokolwiek o szamankach?

– Nie bardzo. O tym, że jestem szamanem, wiem dwa lata, a o istnieniu mojej córki trochę ponad pół roku.

– I trafił ci się Sęp jako duch opiekuńczy? Pięknie. Gdzie mieszkasz? – zapytała.

– W Toruniu – odparłem i odruchowo wyrecytowałem adres.

– Jestem w Poznaniu i robota tu zajmie mi jeszcze dzień czy dwa, potem do was przyjadę. Jest trochę rzeczy, o których jako jej ojciec musisz wiedzieć. A do tego czasu zadbaj o kamienie. Na początek koniecznie czarny obsydian, surowy kamień lub biżuteria, co masz. W Thornie znajdziesz w sklepie magicznym, a w realnym mieście pewnie w indyjskim. Ten twój duch opiekuńczy też na pewno ma, możesz wziąć od niego, tylko koniecznie przepłucz w czystej, zimnej wodzie, bo nigdy nie dba o oczyszczanie swoich narzędzi.

– I to jej pomoże? Kamyk? – zapytałem niepewnie.

– Szamanki są wyjątkowe i dlatego jest nas niewiele, rzadko dożywamy dorosłości. Potrzebujemy tatuażu ochronnego lub kamieni, by regulować utratę energii i ładowanie eteru. Bez tego szybko można nas wydrenować, za łatwo przeciążyć nadmiarem energii. Myśl o tym jak o wentylu, rozumiesz?

– Próbuję. Co mam zrobić z tym czarnym obsydianem? – zapytałem.

– Musi mieć kontakt ze skórą. Połóż go na jej czole czy mostku. Bardzo szybko powinna poczuć się lepiej. Zanim się obejrzyysz, będzie przytomna i bardzo głodna. Przyjadę jutro, najpóźniej pojutrze. I zapisz sobie ten numer. Telefon mam zawsze włączony, dzwoń, gdyby cokolwiek się działo.

– Dziękuję ci, pani – powiedziałem.

– Harfiarka, możesz mi mówić Harfiarko, Witkacy. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

– Skąd wiesz? – potrzebowałem jakiegoś zapewnienia.

– Przeszłam to samo. Jeszcze młodsza. Daj jej obsydian i pozwól mu działać.

Zakończyła połączenie.

– Przynieś obsydian – wydałem polecenie Sępowi.

– A gdzie moje „poproszę”? Zasady obowiązują w jedną stronę? – zrzędził, ale poszedł do swojego mieszkania.

Usiadłem na brzegu materaca i wykręcałem sobie palce, czekając. Jeśli Kurczaczek potrzebuje kamieni, kupię jej cały worek, choćbym miał zastawić samochód. I podręcznik do magii kamieni. Nie miałem o tym zielonego pojęcia. O tak cholernie wielu rzeczach nie miałem zielonego pojęcia!

Sępa nie było dłuższą chwilę. Gdy wrócił, miał mokre włosy i poszarpane ubranie, na twarzy krwawiące otarcie, ale w dłoni ścisnął czarny ostrosłup, gruby na dwa kciuki i długi na dobre dwanaście centymetrów.

– Co, u diabła... – zacząłem, ale machnął ręką.

– Nie miałem go w mieszkaniu... nie całkiem – odpowiedział wymijająco i podał mi czarny kamień.

Opłukałem go pod kranem, wedle sugestii Harfiarki. Wydawał się nagrzewać w moich dłoniach, mimo zimnej wody. Odsunąłem suwak w bluzie Kurczaczka i położyłem obsydian na dekolcie.

I czekałem na cud.

Rozdział 6



Odebrałem, zanim telefon rozdzwonił się na dobre, a widząc na ekranie imię Konstancji, dyskretnie przeszedłem pod okno, w najbardziej odległe od wyspy kuchennej miejsce w moim niewielkim mieszkaniu, by zapewnić sobie odrobinę prywatności, ale wciąż mieć na oku Sępa i Kurczaczka. Zachowywali się jak para nastolatków, wypychając sobie policzki jedzeniem, co rusz wybuchając śmiechem, szturchając się i przedrzeźniając. Cokolwiek przeżyła młoda, było już za nią i wyszła z tego, jeśli nie wzmocniona, to stanowczo bardziej wyluzowana.

– Słuchaj, przepraszam, że cię niepokoję – zaczęła Konstancja – ale wróciłam właśnie do domu i nie ma śladu Kurczaczka...

Pacnąłem się w czoło. Powinienem do niej zadzwonić od razu. Cholera jasna.

– Konstancjo, przepraszam, ale...

Nie słuchała mnie. Była zbyt nakręcona.

– Jest już po dwudziestej drugiej, ona nigdy nie zostaje dłużej poza domem bez mówienia mi o tym, gdzie i z kim jest, rozumiesz? Zostawiłaby przynajmniej notatkę na stole, tak się umówiliśmy. To nie jest taka panika przewrażliwionej matki. Boję się, że coś jej się stało, wiem, głupota...

– Ona jest u mnie – wszedłem jej w słowo. – Odebrałem ją ze szkoły.

– Ty... co zrobiłeś? – Słowa ją opuściły.

– Zadzwoniła, że źle się czuje. Przywiozłem ją do siebie, bo faktycznie nie wyglądała dobrze.

Wahałem się, czy jej powiedzieć, że to mój departament, ale chyba sama się domyśliła, bo wykrztusiła przez zaciśnięte gardło:

– Co z nią?

– Już dobrze. Było kiepsko – przyznałem lojalnie, bo miała prawo wiedzieć – ale poradziłem sobie. Nie zdziw się, jeśli zaczniesz planować tatuaż. Wygląda na to, że naprawdę potrzebuje go do życia. – Słowa, które w przypadku większości nastolatków byłyby hiperbolą. Nie w przypadku naszej córki.

– Żartujesz sobie?

– Chciałbym. Na jakiś czas ogarniemy to biżuterią, ale w weekend przyjedzie kobieta, która wszystko nam wytłumaczy. Jest taka jak nasza córka.

– Myślałam, że ona jest taka jak ty.

– Bo jest. A jednak jest wyjątkowa.

– Czy mogę ją zabrać do domu? – słyszałem łzy w jej głosie. – Potrzebuję ją zobaczyć i obmacać, czy wszystko z nią w porządku.

– Skończą to szaleństwo, które się właśnie odbywa, i przywiozę ją do ciebie, dobrze? To nie potrwa długo, prawie nic już nie zostało...

– O czym ty mówisz?

– Ona i Sęp... to jest przerażające właściwie. Urządzili sobie konkurs spożywczy i wygląda na to, że żadne z nich nie ma dna. Nie wiem, gdzie oni to mieszczą. Serio, moglibyśmy zarobić majątek, zabierając ją na te festyny, gdzie są konkursy na ilość zjedzonych hot dogów czy pączków.

Zaśmiała się cicho.

– Co jedzą? – zapytała po chwili.

– Czego oni nie jedzą? Mikrofalówka nie nadaża w podgrzewaniu mrożonej pizzy, gotowych burgerów i pianek marshmallow na krakersach. Na zmianę. Wiedziałaś, że pianki pod wpływem mikrofalówki puchną?

Znów się śmiała. Ulga sprawiała, że jej śmiech był wyższy, bardziej bez troski. Brzmiał całkiem jak wtedy, kiedy miała dziewiętnaście lat. Wieki go nie słyszałem.

– O mój Boże, oni maczają chipsy w rozpuszczonych lodach. To są potwory, nie ludzie! – powiedziałem ze zgrozą.

– Ominęła cię moja ciąża, to sobie teraz popatrz i pocuj tę grozę. Gdy zaczną zagryzać korniszonami, na twoim miejscu porozmawiałabym z Sępem o antykoncepcji. Nie jestem pewna, czy on jest całkiem na czasie w tych kwestiach.

Cóż, biorąc pod uwagę, ile wiedział o cyklu miesięcznym, może to całkiem uzasadnione obawy, ale prędzej odgryzę sobie rękę, niż zacznę z nim temat choćby sąsiadujący z seksem i antykoncepcją.

Zapewniłem jeszcze Konstancję, że nie musi przyjeżdżać, bo odwiozę młodą, po czym się rozłączyłem.

Kurczaczek promieniała. Wyglądała zdrowiej niż kiedykolwiek. Przewiązany rzemykiem obsydian kołysał się jej pod bluzą i bez wątpienia działał doskonale.

– Zostawiłam ci krakena – zawołała, okręcając się na taborecie w moją stronę i wymachując kanapką z krakersów i pianek. Jej oczy lśniły intensywnie, a policzki były zarumienione. Uśmiechała się szeroko, jakby była lżejsza i szczęśliwsza niż rano. – Chodź, póki jest gorący, tylko nie poparz języka. – Zachichotała. A potem wepchnęła krakena do ust, jakby zapomniała, że właśnie mi go oferowała.

I nagle mnie olśniło. Tabletką skrót. Wypalony przeze mnie cały zapas z papierośnicy – trawka, szalwia wieszczą i eter. Moje dziecko miało jazdę. To opychanie się żarciem, chichotanie z najgłupszych rzeczy, wyluzowanie. Upaliłem ją. O bogowie. Jeśli Konstancja się obawiała, że sprowadzę córkę na złą drogę... Jedno było pewne – nie miała mojej odporności na nielegalne substancje.

Sęp zresztą nie był w dużo lepszym stanie, a spodziewałbym się po nim, że jest mniej wrażliwy niż ja, tymczasem upalił się jak nastolatka samymi oparami wiszącymi w pokoju. Akurat tak chichotał, że trzymając się za brzuch, z głuchym hukiem zleciał z taboretu. Kurczaczka rozbawiło to do łez. Czuję się jak ten jeden nerd, którego zabierało się na narkotyczne imprezy, by kontrolował sytuację, gdyby któryś z nas myślał,

że może latać, albo w dziwnej fazie próbował zdrapać paznokciami betonowy chodnik, by złożyć jaja.

Wysłałem Konstancji esemesa: „Będziemy bliżej północy, wszystko ok”.

Schodziło z nich powoli. W parkosyzmach chichotu i czkawki wciąż opychali się jak dwa odkurzacze. Korniszonów nie żarli tylko dlatego, że Sęp ich nie przyniósł, lecz z zapasów już praktycznie nic nie zostało.

– To jest niesamowite! Choćbyś nie wiem jak długo żył, zawsze coś się zmieni, coś się pojawi, coś cię zaskoczy. Nigdy nie wiesz wszystkiego! Nigdy nie znasz wszystkich odpowiedzi! Kiedy myślisz, że już nic cię nie zdziwi, pojawiają się implanty tyłka – perorował Sęp, wymachując kabanosem jak batutą.

– Nie będziemy rozmawiać o Kardashianach – zaproponowała Kurczaczek, szturchając go na tyle mocno, że znów niemal spadł z taboretu.

– To o czym będziemy rozmawiać? – zapytał mój duch opiekuńczy, jakby faktycznie tyłki Kardashianek były jedyną rzeczą wartą rozmowy.

– O magii, oczywiście! Czy wiesz już o niej wszystko? – zapytała z dziwną tęsknotą w głosie.

– A skąd! Żyję już... – zawahał się, zerkając na mnie spod opadających powiek – bardzo długo żyję, ale wciąż napotykam coś, o czym nie wiedziałem, że istnieje. Nie miałem pojęcia, co ci dolega, na przykład. A co dziwniejsze, wczoraj przechadzałem się ulicą i nagle tam był! Fioletowo-wiśniowy, cały pulsujący, nawiedzony, opętany, cholera wie, co jeszcze. – Wymachiwał rękoma, by oddać grozę i rozmiary tego, o czym mówił. – Śmierdział siarką i eterem, po prostu czad!

– Co to było? – zapytała, pochylając się w jego kierunku i szeroko otwierając oczy.

– Chałupa z piekła albo coś? – Wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Właśnie o to mi wcześniej chodziło. Ty, stary, to właściwie twój departament. Nie powinienesz zrobić czegoś z faktem, że w twoim mieście opętuje całe kamienice?

– Gdzie?

– Po drugiej stronie. Na moje to gruuuba sprawa – zapewniał.

Westchnąłem. Jeśli mówił prawdę i to nie były powidoki upalenia, miał rację. Opętane domy podpadają poniekąd pod moją działkę. Albo wszystko sobie wymyślił.

– Witkacy! Musimy tam iść, natychmiast! – zawołała Kurczaczek. Jej szeroko otwarte oczy lśniły entuzjazmem oraz pozostałością konopi i szaławii wieszce.

– Nigdzie nie idziemy. Cokolwiek to jest, może poczekać do jutra – burknąłem.

Nie przepadałem za wizytami w Thornie. Towarzyszące przechodzeniu przez bramę ryzyko, że jedno przejęzyczenie czy pomyłka w zakłębieniu może mnie wyrzucić w Timbaktu, stresowało mnie jak cholera. A przechodzenie tam z Kurczaczkiem, za którego zdrowie i życie odpowiadałem, wydawało mi się nie do pomyślenia.

– Witkacy! Nie jestem dzieckiem! – wykrzyknęła nagle wzburzona. – Nawet jeśli wszyscy w szkole mnie traktują, jakbym miała trzy latka. W tym tempie ja po prostu nie mam szans, by być dobrą w tym, co chcę robić, rozumiesz? Ja muszę się uczyć magii, a nie mitologii! Nie obchodzi mnie, który bóg któremu podciera nos, chcę wiedzieć wszystko o mojej magii, o tym, co we mnie buzuje i nie może znaleźć ujścia! Mam dość,

że ze wszystkim jestem do tyłu! – Nagle głos jej się załamał i zawołała: – Gdybyś był przy mnie od początku, byłoby zupełnie inaczej! Czemu mam płacić za błędy twoje i mamy?! Ja po prostu chcę umieć to, co muszę, by mnie drugi raz nie spotkało...

I zaczęła płakać. Brzydko, mokro, z zasmarkaniem i zapuchnięciem. Od burzliwej przemowy do łkania w ułamku sekundy. Zniknął cały blask i błyszczące oczęta. Wyglądała jak zawodowa płaczką z prawdziwym powołaniem do wykonywanej pracy.

Jeśli ja byłem oszołomiony, Sęp wyglądał na wstrząśniętego. Pobladł tak, jakby miał zaraz zemdleć, nigdy wcześniej nie widziałem go tak przerażonego. Nagle zerwał się na równe nogi i wybiegł z mieszkania.

Stałem przy Kurczaczku, z bezradnie zwisającymi rękami, nie wiedząc, jak zareagować. W głowie kotłowały mi się niezborne słowa pocieszenia, lecz nie było to nic, co powinienem w tym momencie powiedzieć.

Powrót Sępa przyjąłem z ulgą. Znow miał mokre włosy i poszarpane ubranie (coraz bardziej mnie zastanawiało, co, do cholery, dzieje się w jego mieszkaniu i dlaczego właściwie nie chce spędzać tam więcej czasu, niż to jest konieczne). W rękach ścisnął wolumin, stary i podniszczony, w wiśniowej skórzanej okładce z metalowymi okuciami. Położył książkę przed Kurczaczkiem i czekał, aż przestanie płakać. Jego napięcie i dyskomfort były wyraźnie wyczuwalne.

– Co to jest? – Chlipnięcia rozdzielały słowa jak małe przecinki.

– Moja księga cieni. Możesz się z niej uczyć. Jeśli czegoś nie zrozumiesz, wytłumaczę ci. Po kolei, nie tak szybko, jak byś chciała, ale szybciej niż w szkole. Tylko przestań beczeć. Jeszcze trochę tych łez i smarków, a zabieram książkę! – Miało to brzmieć twardo, lecz przypominało raczej błaganie, co nie umknęło uwadze tak mojej, jak i Kurczaczka.

– Mogę? – zapytała i zachłannie objęła książkę, przyciskając ją do piersi.

– Stary, jesteś pewien, że nie ma tam nic... no wiesz, groźnego? – zapytałem półgłosem.

– Spokojnie, nic, czego nie robiłbym w jej wieku – odparł z uśmiechem.

Westchnąłem zrezygnowany. Gdybym chciał jej odebrać tę książkę, pewnie walczyłyby zębami i pazurami. Nie wiedziałem, że aż tak jej doskwiera to, że w szkole Nissima jest w klasie dla początkujących, razem z dużo młodszymi dziećmi. Jej rówieśnicy byli z programem o wiele dalej. Faktycznie, niełatwa rzecz dla zbyt ambitnej prymuski.

– Dobrze, ale powolutku, obiecujesz? – powiedziałem.

– Powolutku, strona za stroną, Witkacy, nie jestem głupia – fuknęła.

Nie była. Miała IQ wyższe niż większość ludzi. Ale wciąż była małą dziewczynką. Mój niepokój nie minął. Zerknąłem na zegarek – dwudziesta trzecia z minutami. Konstancja pewnie odchodziła od zmysłów.



Gdy wsiedliśmy do samochodu, była całkowicie nieobecna myślami. Kartkowała księgę cieni, mrużąc coś pod nosem o samoprzylepnych zakładkach indeksujących,

których nigdy nie ma, gdy ich potrzebujesz. Odchrząknąłem, by zwrócić na siebie jej uwagę, bo była jedna rzecz, która mi wciąż wisiała nad głową, nierozwiązana.

– Martwisz się tym upiorem ze szkoły? – spytała, uniósłszy wzrok znad książki.

– Tak, zwłaszcza jeśli to upiór. Co mi możesz o nim powiedzieć? Wiesz, jak się nazywa?

Pokręciła głową.

– Wygląda na nastolatka, licealistę, raczej jest niepełnoletni. Myślę, że się powiesił w szkole. Ma na szyi czerwone pręgi i nosi sznur jak krawat.

– To niezła wskazówka – przyznałem.

– Gdybym miała zgadywać po stroju i fryzurze, zabił się gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych. Wiesz, Modern Talking, za dużo tapirowania, poliestrowa koszula, ciasne spodnie...

– Zawsze był agresywny? I czy jest mobilny?

– Nie bardzo, trzyma się raczej drugiego piętra, korytarza przy laboratorium chemicznym i w łazience. Zwykle tam się nie zapędzam, bo chemię mam tylko raz w tygodniu, ale akurat na pierwszym była kolejka, nie doczekałabym się do końca przerwy. Widział mnie wcześniej kilka razy, trochę zaczepiał, ale tym razem po prostu zgłupiał... Był nabuzowany, jakby się czegoś naćpał. I cholernie silny. Przeszedł przede mną, a potem... Witkacy, on mną rzucił o ścianę. Tak po prostu. Duchy nie powinny być słabe i transparentne, bez możliwości wpływania na otoczenie?

– Nie poltergeisty. I nie upiory. Dasz radę go unikać?

– Jeśli będzie się trzymał swojego rewiru, jasne, ale wiesz, że mi tam jeszcze zostały dwa lata do matury? Chyba nie chcesz, żebym zmieniła szkołę?

– Spokojnie, odeślemy go, tylko muszę się o nim czegoś więcej dowiedzieć, a najlepiej zdobyć trochę ziemi z jego grobu, jeśli Katia go dla nas znajdzie. Ale to chwilę potrwa i nie chcę, żebyś ryzykowała do tego czasu.

– Nie martw się, Witkacy. Nie zamierzam się z nim umawiać na randki. – Skrzywiła się. – To zimno... czułam się, jakby zamroził mi duszę, a potem uderzył czymś twardym i ostrym, aż się rozsypała w proch.

– Załatwimy go, Kurczaczku. Będziemy go kopać w dupę, aż pożałuje, że choćby spojrzął w twoją stronę.

Nie zareagowała na Kurczaczka. Po prostu kulila się w sobie, otulając połami kurtki, jakby na wspomnienie tego zimna jej szpik kostny znów wymagał roztapiania.

– O której po ciebie jutro wpaść? – zapytałem, bo zawsze to ja ją odwoziłem do szkoły Nissima. Konstancja nie czuła się komfortowo, gdy musiała się zmierzyć z magią w takim natężeniu. Niby Kurczaczek mogła jechać tam autobusem, jedenastka kursowała prawie na próg szkoły, ale ceniliśmy sobie te pół godziny, które mieliśmy tylko dla siebie: z rytualną kłótnią o wybór muzyki i przepytywaniem z podstaw magii (to ona maglowała mnie, sama знаła reguły na pamięć).

– Jutro chciałabym pojechać rowerem – powiedziała nieoczekiwanie. – Właściwie nie mam zajęć, jest jakaś rocznica czy święto, więc posiedzę w bibliotece. Nie wiem jeszcze o której, bo pewnie będę odsypiać dzisiejszy dzień.

Coś w jej głosie sprawiło, że przestałem patrzeć przed siebie i skupiłem się na niej.

Właśnie mnie okłamała, uświadomiłem sobie oszołomiony.

Nie odpowiedziałem, ledwie skinąłem głową, zastanawiając się, czy chodzi o randkę, czy też coś poważniejszego, co sprawia, że moja obecność w okolicy szkoły nie była wskazana. Zanotowałem sobie w pamięci, by w tygodniu podskoczyć do Nissima, porozmawiać z nim o postępach małej i upewnić się, że się zaaklimatyzowała. Może udałoby się przyspieszyć nieco jej kurs, by nie czuła się tak bardzo sfrustrowana?

– Witkacy, to nic takiego, naprawdę – powiedziała nagle i położyła mi dłoń na przedramieniu. Nie dosłyszałem jej ostatniego zdania.

– Uważaj na siebie, mała. Nie chciałbym przeżywać powtórki z dzisiejszego dnia.

– Nie rozstanę się z kamieniem, słowo – zapewniła, zaciskając pięść na czarnym obsydianie.

Pokiwałem głową, rozkojarzony. Kark mnie swędział zapowiedzią kłopotów, a palce, zbyt mocno zaciśnięte na kierownicy, aż pobielaly.

– Do zobaczenia, Witkacy! – zawołała i wyskoczyła z samochodu, ledwie zaparkowałem pod jej blokiem. Przemknęła przez chodnik i schody jak wiatr. To samo dziecko, które kilka godzin wcześniej potrzebowało pomocy, by stawiać nogę za nogą. Z westchnieniem ulgi i przerażenia oparłem czoło na kierownicy. Czy tak właśnie wygląda całe to rodzicielstwo? Umierasz ze strachu, bo wprowadzie niemal dała się zabić, ale cieszysz się jak głupi, dlatego że zrobiła ci obrazek z makaronu, czy co tam dzieci robią w szkole na Dzień Ojca dla swoich staruszków?

Podskoczyłem, słysząc stukanie w szybę tuż przy mojej twarzy. Konstancja stała na chodniku w długim czerwonym swetrze. W świetle latarni jej skóra była tak blada, że niemal fiołkowa. Uchyliłem szybę.

– Wejdiesz? – zapytała cicho.

– Nie dziś, jestem wykończony. Na myśl o twoim czwartym piętrze wrastam w ten fotel.

To była prawda. Każdy miesiąc przypominał mi, że nie mam już dwudziestu lat. A za chwilę nie będę miał trzydziestu. Cholera jasna.

Obiegła maskę i wsiadła na fotel pasażera, przesuając się tak, by wyczuwalna mimo koca sprężyna nie wbijała się jej w tyłek. Spojrzałem na jej stopy w kudłatych kapciach z króliczymi uszami. Oto kobieta, która trzyma moje serce w uścisku.

– Więc co się stało? – zapytała niecierpliwie.

I opowiedziałem. O ataku, telefonie, nagłym osłabieniu, rytuale, dalszych kłopotach, sugestiach Sępa, bym sprawdzał, czy Kurczaczek ma okres, a potem telefonie do Harfiarki, tatuażach i kamieniach.

– Czyli teraz już z nią wszystko dobrze? – upewniła się.

– Na to wygląda. Jutro kupię jej bardziej dyskretną biżuterię z obsydianem. Ale jeśli to jest permanentny problem, a na to wygląda, chyba faktycznie warto pomyśleć o tatuażu. Nie chciałbym, by coś jej się stało tylko dlatego, że wisiołek nie pasował do sukienki albo poszła na karate i kazali jej wszystko zdjąć.

– Jezuniu, nasza córka będzie miała tatuaż – jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach.

– Spokojnie, od tatuażu do ruszenia w trasę z kapelą deathmetalową i wstrzykiwania sobie heroiny daleka droga.

Jako wcielenie dyskrecji nic nie wspomniałem o tym, że dzięki mnie zaliczyła dziś niezły trip, a Sęp mógłby swoim podejściem do życia i kobiet zawstydzić niejednego deathmetalowca.

– Słuchaj... ty wiesz, co ją dziś skrzywdziło?

– Pracuję nad tym, słowo.

– Dobrze. I załatw go. Usmaż, wymaż, odeślij, skop dupę, cokolwiek tylko chcesz, ale nie pozwól mu nigdy więcej położyć ręki na naszym dziecku. A jeśli ogranicza cię jakieś prawo, powiedz mi, co mam zrobić, i wezmę to na siebie – oświadczyła.

– Zajmę się nim. Zaufaj mi. Nigdy więcej nie skrzywdzi ani naszej małej, ani żadnego innego dzieciaka.

Nie wyglądała na pocieszoną. Nagle po policzku potoczyły się jej łzy.

– Gdybym nie zwlekała... gdybym odnalazła cię szybciej, nie byłaby bezbronna – wyszeptała.

– Nie martw się o nią, świetnie sobie radzi. I nie jest z tym wszystkim sama.

Przytaknęła, posłała mi skrzące od łez spojrzenie i wyskoczyła z auta.

Przez chwilę jeszcze stałem, spoglądając w okna klatki schodowej, gdzie fotokomórka zapalała światło na kolejnych piętrach. Gdy zgasło na czwartym, a zapaliło w kuchni w mieszkaniu Konstancji, odjechałem.

Gdy wróciłem do siebie, nie dane było mi zaznać samotności. Ale po dzisiejszych zasługach, byłem gotów to Sępowi wybaczyć.

Rozdział 7



Nie do końca wierzyłem Sępowi, kiedy opowiadał o tym, co widział. Zwalałem to na karb jego stanu, który podejrzanie przypominał upalenie i ubzdryngolenie. Liczyłem, że mu się przywidziało, bo jeśli nie – szykowało mi się więcej roboty, niżbym chciał. I musiałem przejść przez bramę do Thornu, co było stresujące nawet w te lepsze dni.

Dom świecił. Dziwny odcień fioletowo-wiśniowej poświaty otaczał całą kremową bryłę stuletniej kamienicy przy jednej z lepszych ulic Thornu, ledwie przecnicę od siedziby Starszyny. Podmuchy magii niczym gorące powietrze z piekarnika uderzały w twarz z dziwną regularnością, która przypominała pulsowanie. Może bicie serca.

– Widzisz to? – upewnił się Sęp. Wyraźnie mu ulżyło, gdy przytaknąłem. Może on też myślał, że traci zmysły. Wolałbym, by tak właśnie było.

Energia, jaką emanowało to miejsce, przyprawiała mnie o gęsią skórę, głównie przez skojarzenia. Bo w przeciwieństwie do Sępa miałem mgliste podejrzenie, z czym mamy do czynienia. On, wyraźnie nieswój, nagle nie miał problemów z tym, by milczeć czy trzymać się na dystans. Cała jego butna gadatliwość wyparowała, gdy mocny podmuch gorącej energii przyniósł zapach siarki i czegoś równie złego. Jakby mieszanka starej śmierci i starych prześcieradeł z burdelu.

– Wchodzimy? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Trzymajmy się blisko, żadnego rozdzielania. Takie miejsca lubią się bawić percepcją – powiedziałem, bo wspomnienie przesiąkniętego czarną magią i przemocą domu Róży wciąż nawiedzało mnie w snach: niekończący się labirynt korytarzy, monstrualna piwnica zbudowana w jaskini i prowadzące na piętra schody, które nie miały prawa się zmieścić w niedużym domku.

– Czy to, co tam czeka, ma zęby? – zapytał Sęp, wzdrygając się wyraźnie. – Bardzo nie lubię być gryziony.

– Może mieć zęby, cholera go wie. Nie będziemy mu się narzucać, to po prostu rekonosans, rozumiesz? Wyglądaj nieszkodliwie i nie wywołuj awantury.

– Na pewno nie możemy tego po prostu spalić? Zwykle działa.

– Nie zamierzam tłumaczyć się Starszynie ze spalenia kamienicy z wszystkimi mieszkańcami.

– Mięczak – prychnął Sęp. Był mocny w gębie, ale brakowało mu pewności

w oczach. To, co jeszcze wczoraj wziął po prostu za zaskakujące zjawisko przyuważone na spacerze, teraz, z bliska, budziło jego niepokój.

Drzwi na klatkę były uchylone. Przekroczyłem próg i poczułem zimną obecność czegoś, co w chwili egzaltacji nazwałbym złem. Zauważyłem też mnóstwo duchów, całe dziesiątki – wszystkie o nieobecnych spojrzeniach, jakby lekko naćpane, półsenne, rozanielone. Rozpoznawałem w ogólnej atmosferze tego miejsca strzępki magii, które należały do duchów, ale stanowiły one może trzydzieści procent całości. Owszem, dom był nawiedzony, ale to akurat wydawało się najmniejszym problemem.

Sęp szedł za mną; nagle całkiem odechciało mu się rozmawiać. Pocierał ramiona, tak jakby energia tego miejsca oblażała go niczym robaki. Rozglądał się, nastroszony, nieswój, spodziewając się chyba, że coś za chwilę wyskoczy zza rogu i spróbuje urwać mu głowę. Nie wykluczałem takiej możliwości, choć skoro szedłem przodem, to moja głowa pewnie poszłaby na pierwszy ogień.

Przystawałem przy kolejnych drzwiach, przy kolejnych grupkach ogłupiałych duchów, próbując znaleźć ognisko problemu, ale aż do trzeciego piętra natężenie fioletu i wiśniowej poświaty było raczej stałe, a odchylenia zbyt nikłe, by wskazały mi winowajcę. O tym, że idziemy we właściwym kierunku, informował nas narastający smród.

Na czwartym piętrze poświata zrobiła się gęsta jak budyń i z każdym oddechem na języku pozostawał osad siarki. Zakasłałem i przysłoniłem usta, bo nagle poczułem się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że wdycham wrogą magię. Stałem przed mieszkaniem, które z całą pewnością było ogniskiem problemu. Duchy tłoczyły się przed drzwiami jak gołębie nad okruchami bułki.

Na białej płaszczyźnie drzwi połyskiwał skomplikowany sigil. Nakładające się na siebie linie układały się w dziewięcioramienne gwiazdę, cyfry i symbole otaczały ją konstelacją, litery nieznanego mi alfabetu wypełniały centrum rysunku. To był dowód na to, że nie postradałem zmysłów.

Sęp wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć sigila, i nagle duchy zapomniały o ospałości i upojeniu. Z ich gardeł dobył się unisono głuchy pomruk. Duchy z niższych pięter odpowiedziały echem.

– Nie dotykaj tego – powiedziałem cicho, czując, że cały sztywnieję. W ułamku sekundy kwas żołądkowy podbiegł mi do gardła, a dłonie spotniały jak na pierwszej randce.

– Nie wystarczy, że zetrzemy to gówno? Przyprawia mnie o ciarki! – warknął, starając się zamaskować niepewność.

Rozumiałem pokusę, naprawdę. Ale choć nie byłem ekspertem od magii, z jaką się zetknęliśmy, wiedziałem, że symbol jest wierzchołkiem góry lodowej. I że działając pochopnie, ściągniemy na siebie nieszczęście.

– Nie odeślę ich wszystkich naraz, a ty?

Rozejrzał się, jakby dopiero teraz zobaczył duchy.

– One są strażnikami? – zapytał wstrząśnięty.

– Albo ćpunami, którym chcesz odebrać działkę. Jak by nie było, nie jest dobrze. Uniósł ręce, tak by im pokazać, że nie zamierza już niczego dotykać.

– Czyli co, zmywamy się?

Przytaknąłem.

– Teraz pozwolisz mi to spalić do fundamentów?

– Teraz wciągniemy do załogi kogoś, kto o tym gównie wie więcej niż my.

– Znasz kogoś, kto się para demoniczną magią? Masz Belzebuba na szybkim wybieraniu? – Silił się na sarkazm.

– Nie lubi, gdy się tak do niego mówi. Woli Baal. I nie, jego nie mam w kontaktach, ale kogoś, kto ma z nim gorącą linię.

Teraz musimy ją tylko znaleźć, pomyślałem. Jeśli miałem szczęście, nie bawiła akurat w piekle, niebie czy gdzieś pomiędzy.



Wszystkiego się spodziewałem, ale nie wózka inwalidzkiego.

Wiedziony przeczuciem nie zacząłem poszukiwać od jej mieszkania, ale od idealnego dwa w jednym, jak zwykła to nazywać, jej ulubionej knajpy i nieoficjalnego biura firmy. Dora Wilk w wielu dziwnych miejscach czuła się jak w domu, ale Szatański Pierwiosnek, dość obskurna speluna, której klientela stanowiła dziwną mieszankę magicznych i piekielników, była jej naturalnym habitatem. Wielki czart za barem traktował ją z nadopiekuńczością przyszywanego ojca, a stali bywalcy czuli dość respektu, by nie zawracać jej głowy pierdołami. Zwykle widziałem ją przy stoliku dość odległym od wejścia, za to stojącym blisko szafy grającej, nad którą lubiła sprawować kontrolę, warcząc na każdego, kto ośmielał się skalać to miejsce dźwiękami Roxette. Tym razem ona i jej towarzysz, bez wątpienia piekielnik, siedzieli bliżej środka sali. I zajęło mi chwilę, by załapać, że nie byłaby w stanie operować wózkiem inwalidzkim w wąskich przestrzeniach między stolikami w głębi sali.

– Coś ty, do diabła, zrobiła? – zapytałem w ramach powitania.

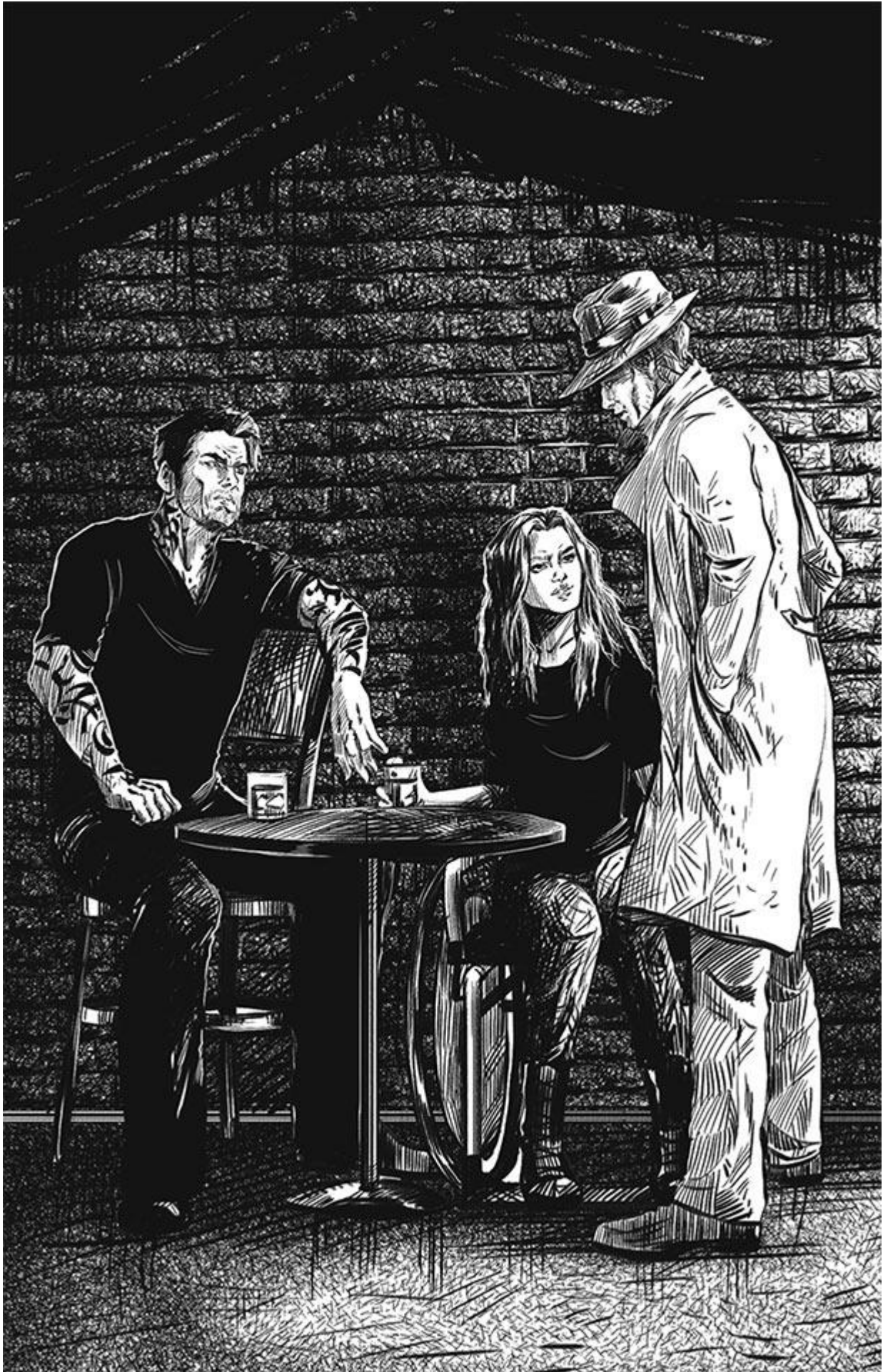
Moja dawna partnerka rzuciła mi gniewne spojrzenie.

– Diabły nie miały z tym nic wspólnego – powiedziała marudnie – i to nic takiego.

– To dlatego siedzisz na wózku inwalidzkim?

– Nie wkurzaj mnie, Witkacy. I siadaj, nie chce mi się zadzierać głowy. – Obrzuciła ostrym spojrzeniem Sępa i dodała: – Twój kolega też może się przysiąść, jeśli będzie pamiętał o manierach.

No tak. Mieli za sobą dwa spotkania, w obu przypadkach mój duch opiekuńczy uważał za właściwe i zabawne klepnąć ją w tyłek. Miała w sobie coś, co działało na niego jak ogłupiacz, i zachowywał się przy niej gorzej niż zwykle. Ale mówimy o facecie, który zadarł z wszystkimi Przedwiecznymi i ewakuował się z Zaświatów, więc widać aranżowanie sytuacji, w których jego życie jest zagrożone, było dla niego naturalne.



– Będzie, albo pójdzie na ryby – stwierdziłem, siadając na wolnym krześle.

Piekielnik przyglądał mi się z zainteresowaniem. Nie kojarzyłem jego twarzy, ale wyczuwałem pokłady magii. Musiał być demonem, bo diabły były znacznie bardziej dyskretne. Dzięki przyjaźni z Ti miałem lepszą orientację, jeśli chodzi o stworzenia należące do innych systemów niż większość szamanów.

– Znasz Asa? – zapytała, machając na kelnerkę.

– Nie bywamy na tych samych przyjęciach.

– Tak ci się tylko wydaje – powiedział i uśmiechnął się, a ja się wzdrygnąłem, jakbym się spotkał oko w oko z rekinem.

– Więc dlaczego jesteś na wózku? – zapytałem. – To na stałe?

– Nie, na bogów! To przez Jemiołę. – Westchnęła.

Poznałem uzdrowicielkę z Thornu, najłagodniejszą starszą panią na świecie, więc domyślałem się, że to raczej skrót myślowy. As tylko parsknął krótkim śmiechem, wyraźnie czerpiąc z dyskomfortu Ti mnóstwo przyjemności.

– Uziemiła mnie. Miałam małą kontuzję... – As znów parsknął. – A potem w sumie drugą. – Znowu, tym razem głośniej. – I Jemioła uznała, że jestem zbyt lekkomyślna. – Kolejne parsknięcie demona. – Rzuciła na mnie urok. Goję się jak zwykły człowiek. A mam złamane kości stopy. Boli jak cholera. A gdy zrobię cokolwiek, co zdaniem zaklęcia Jemioły może przeszkadzać w procesie leczenia, dostaję w kość. To strasznie wredna baba jest, Witkacy.

Przytaknąłem, choć było to ostatnie określenie, które pasowało do Jemioły. Była typem kobiety, która częstuje włamywacza kanapkami, bo na pewno jest głodny, a warczącemu psu wyciąga cierń z łapy, nie przejmując się tym, że może ją ugryźć. Ale widać i z niej Ti potrafiła wyciągać pokłady stanowczej miłości.

– Ma prawo sobie odbić za te humory, które okazujesz, gdy dochodzisz do siebie po jakichkolwiek obrażeniach – stwierdził As. Ti się tylko skrzywiła i przytaknęła.

– Więc wracając do twojego pytania, to przejściowe. Obiecała mi, że jeśli wytrzymam tydzień bez aktywowania zaklęcia, to mnie uzdrowi. Jeszcze trzy dni wózka, gipsu i trzymania się z daleka od awantur.

– I żadnego kopania w dupę demonicznych golemów – dodał As, a widząc moje zdziwienie, wyjaśnił: – Tak złamała kości po raz pierwszy. One mają naprawdę twarde siedzenia.

– Następnym razem pozwolę im cię załatwić – warknęła.

– Jakbym potrzebował pomocy wiedźmy z syndromem mesjasza – odwarknął.

Musieli się naprawdę lubić, bo moja partnerka zwykle najbardziej warczała na tych, których darzyła szczerą sympatią. Na mnie warczała na tyle regularnie, że niektórzy na komendzie uważali, że wkrótce dostaną zaproszenie na nasz ślub.

– Więc co cię sprowadza, Witkacy, na tę stronę bramy? Czy może wreszcie się oswoiłeś z zaklęciem przejścia? – zapytała.

– Wiesz, że dwie przecznice stąd jest budynek całkowicie opętany przez demoniczną magię i stada duchów? – zapytałem prosto z mostu.

Cóż, nie miała pojęcia. Wiedziałem, że ją to zainteresuje – była Namiestniczką,

pilnowanie porządku w tym mieście traktowała jak pracę i powołanie. Może gdyby nie była uziemiona, napatoczyłaby się na budynek wcześniej. Opowiedziałem jej, co widzieliśmy. Oskarżycielsko patrzyła na Asa, potwierdzając moje podejrzenia o jego pochodzeniu. Uniósł ręce i zapewnił:

– Nie mam z tym nic wspólnego. Ale przyjrzę się temu, skoro ładnie prosisz, słoneczko – jego głos ociekał sarkazmem, ale kiedy podałem adres, wstał i bez słowa wyszedł z baru. Sęp bez wyjaśnienia podążył za nim. Może miał nadzieję, że jego łatwiej będzie mu namówić do spalenia kamienicy do fundamentów. Niewykluczone, że miał rację.

– Nie zabieraj się do tego beze mnie – powiedziałem. – Nawet jeśli uporacie się z demoniczną stroną opętania, czego ja nie zrobię, zostanie wam kilkadziesiąt duchów przywiązanych do energii piekieł, więc może wam się to czkawką odbić. Ja z kolei wolałbym ich nie odsyłać w tak niestabilnym energetycznie miejscu, więc na moje najpierw czyszczenie z demonicznych sigili i magii, potem duchy. To grubsza robota.

Przytaknęła, obracając w dłoniach szklankę z zielonym drinkiem. Widać alkohol nie aktywował zaklęcia Jemioty. Niedopatrzenie.

– Rozmawiałam wczoraj z Katią – odezwała się po chwili milczenia. – Powiedziała mi o emeryturze.

– Anita twierdzi, że nic nie wskóram. Decyzje zapadły, idziemy w odstawkę. Mam do wyboru dać się wyrzucić i zostać z niczym albo iść na tę emeryturę.

– Uroczo, przed czterdziestką. A co z Anitą? Nie wyobrażam jej sobie z dala od policji.

– Jest wściekła, załamana i cholernie zagubiona. Naprawdę mocno ją to kopnęło. Wiesz, ja się martwię o ubezpieczenie i bezrobocie, ale przecież policja nie jest moim życiem.

– Ona poza pracą i synem świata nie widzi.

– Dokładnie. Jestem wkurzony, chyba bardziej jej stratą niż moją. I samą ideą, że trzeba się jej pozbyć w imię dekomunizacji, jakby miała z komuną cokolwiek wspólnego.

– Wiesz, jak jest. Nigdy nie bawiła się w politykę i nie przejmowała się, na czyj odcisk nadeptnie. Takie czasy, że samo wypełnianie obowiązków nie wystarczy, a wyniki są mniej istotne niż to, z kim żyjesz dobrze i na kogo głosujesz. Gdybym nie odeszła dwa lata temu, pewnie teraz dostałabym bilet na zieloną trawkę.

– Ale poradziłaś sobie bez policji.

– A policja radzi sobie beze mnie. Też sobie dacie radę. Ty pewnie łatwiej niż ona.

Przytaknąłem, choć nie miałem tej pewności. I wciąż myślałem o tym, jak zareagują w sądzie rodzinnym, gdy zacznę tłumaczyć, że choć nie wyglądam i moje papiery też niekoniecznie, to jestem odpowiedzialnym człowiekiem i sprawdzam się jako ojciec.

– Katia podzieliła się też swoim niepokojem w związku z waszą sytuacją zawodowo-socjalną, że się tak wyrażę. Ma rację, to nie może tak dłużej trwać. Gdyby któremuś z was się coś stało podczas wypełniania obowiązków, nie powinniście się martwić ubezpieczeniem, leczeniem czy przetrwaniem, zanim staniecie na nogi. Myślę, że to czas, by wasz departament wszedł w dwudziesty pierwszy wiek, z jego zdobyczami

w kwestii praw pracowniczych.

– Świetnie, możesz o tym napomknąć Gardiaszowi.

– Oczywiście się na to nie zgodzi.

Przytaknąłem, bo tego dokładnie się spodziewałem.

– Przynajmniej na początku. – Wyszczrzyła się w uśmiechu. – Widzisz, mam ostatnio dużo czasu na myślenie, skoro nie mogę robić nic innego. Tak więc to moje wyzwanie na najbliższe kilka dni: przekonać Gardiasza, by was legalnie zatrudnił z wszystkimi przywilejami.

– A nie wolałabyś skopać jeszcze kilku demonicznych golemów? Bardziej prawdopodobne, że osiągniesz sukces – powiedziałem, bo Gardiasz był twardogłowym tyranem, który mentalnie zatrzymał się przed rewolucją przemysłową i myślał o sobie jako o księciu, a o nas jako o lennikach winnych mu daninę ze swej pracy i krwi. Ale to on zarządzał śmiertelną domeną w okolicy, więc Katia i ja, jako ci zajmujący się magią związaną ze śmiercią, nie mieliśmy wyboru i to jemu musieliśmy podlegać.

– Spokojnie, wciągnę w to Romana, damy radę.

– A dlaczego księżę wampirów miałby być zainteresowany socjałem dla nekromantki i szamana?

– Och, ma go raczej w dupie, ale nienawidzi Gardiasza i gdy mu powiem, że będzie mógł nadepnąć mu na odcisk, założy buty do stepowania.

– Mam nadzieję, że szybko staniesz na nogi. Coś mi się widzi, że im dłużej się będziesz nudzić na wózku, tym więcej zamieszania z tego wyniknie.

– Bardzo możliwe. Ale to też pójdzie na konto Jemioły. – Zaśmiała się.

Była totalnie szalona. Choć z drugiej strony jej nierealne z pozoru plany całkiem często dochodziły do skutku.

– Co mam robić? – zapytałem.

– Nic. Mówię poważnie. Spróbuj trzymać się z dala od roboty, jak długo zdołasz. A jeśli spotkasz ducha, którego trzeba odesłać, poślij go do Gardiasza. Niech go podręczy.

– Jego przecież otaczają duchy i wydaje się na nie odporny.

– Szkoda, że nie możesz mu odstawić takiego numeru jak Violi – powiedziała. Miała na myśli wiedźmę, która siała postrach w okolicy, zamieniając przypadkowe osoby w ropuchy. Przyłożyłem rękę do jej zniszczenia, oddając część swojej energii duchom jej ofiar, dzięki czemu mogły rozszarpać ją w ramach zemsty.

– Właściwie mógłbym – wyznałem – ale wiesz, że gdyby się rozeszło, że to potrafię, nie miałbym spokoju. Dla zbyt wielu osób w tej okolicy byłbym realnym zagrożeniem.

– Racja. Nie, nie rozszarpuj Gardiasza. Nakłonimy go, by wszedł w dwudziesty pierwszy wiek.

– Prędeż uwierzę, że mnie zaprosi na randkę.

– Idę o zakład, że do końca miesiąca podpiszesz z nim umowę.

– A jeśli nie?

– Znajdziesz coś odpowiednio upokarzającego dla przegranej.

Uścisnąłem wyciągniętą rękę. Jeśli ktoś mógł tego dokonać, to pewnie tylko Ti. Zwłaszcza że uwiązana do wózka nudziła się niemiłosiernie.

Wstałem, zbierając się do powrotu na moją stronę bramy. Staralem się ograniczyć wizyty tutaj. Zawsze tak było, choć zmieniały się powody. Dziś się nie bałem, że coś mnie tu skrzywdzi albo pójdzie nie tak. Okrzepełem. Dziś się obawiałem, że mi się spodoba za bardzo, że wciągnie mnie pokusa, by nie być najdziwniejszym stworzeniem w okolicy. Oswoiłem się z magią, nauczyłem wyczuwać jej pływy. Musiałem zauważyć różnicę między Thornem i Toruniem. To jak oddychanie. Nie ma lepszego uczucia niż to, gdy możesz odetchnąć pełną piersią. I po tej stronie bramy oddychałem właśnie tak. Dostawałem lekkiego haju od ilości tlenu, jak pierwszego dnia nad morzem czy na wsi. Po drugiej stronie miałem wrażenie, że duszę się zimowym powietrzem przesyconym smogiem. Tyle że byłem mieszczuchem. Lubiłem smog, lubiłem znać swoje ograniczenia. Niepokoiło mnie buzowanie tlenu i zapach ozonu w powietrzu. Tu byłem po prostu szamanem. Tam – człowiekiem, który widzi duchy i czasami musi sobie z nimi radzić. I stanowczo wolałem to drugie.

W ostatniej chwili przypomniałem sobie, że mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia po tej stronie.

– Polecisz mi tu jakiś sklep z biżuterią? – zapytałem.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To wruszające, jeśli wydaje ci się, że mam jakiegokolwiek pojęcie o kupowaniu biżuterii.

– I tak będziesz oczko wyżej na skali niż ja. Zwłaszcza po tej stronie bramy.

– Coś w stylu błyskotki na palec serdeczny?

– Raczej w stylu magicznej błyskotki z kamieniami półszlachetnymi, która pomoże mi utrzymać córkę przy życiu.

Już się nie uśmiechała.

– Na Krawieckiej, sklep się nazywa Szkatułka. Nie kupuj nic z pierwszego pomieszczenia, bo to tylko ozdóbki. Za zasłonką znajduje się drugie, i tu jest prawdziwie magiczny towar. Idź od razu tam, zachowuj się, jakbyś dokładnie wiedział, czego szukasz. Właścicielem Szkatułka jest Makary – nieduży facecik, który przemyka za ladą, udając byle pomocnika. Eufemia, zjawiskowa wiedźma, która będzie usiłowała owinąć cię sobie wokół palca, jest jego żoną i ma sporo talentów, ale na kamieniach akurat się nie zna, więc pytaj Makarego.

Skrzywiłem się, bo czułem już, że mnie ograbią do cna.

– Nie masz ochoty się tam przejechać?

– Chciałabym, ale im więcej osób zobaczy mnie na wózku, tym więcej wysiłku będzie mnie potem kosztowało przekonanie różnych idiotów, że nie jestem słabą kruszynką, co daje się rozstawiać po kątach. Poza tym ryzyko, że nie wytrzymam tygodnia z zaklęciem Jemioły, rośnie z każdą sekundą, którą spędzam poza Szatańskim Pierwioskiem. Tu przynajmniej Leon ma na mnie oko.

– Jasne. Zdrowiej i stawaj na nogi. W takim stanie nie pomożesz mi z opętanym domem. Sigil jest na czwartym piętrze.

– Bez windy?

Przytaknąłem i wiedziałem, że trafiłem. Nie ma mowy, byśmy się tym zajęli, dopóki nie dojdzie do siebie.

- Dasz sobie radę. Możesz im powiedzieć, że pochwalisz mi się zakupami i dostałeś moje słowo, że będziesz zadowolony. I postaraj się nie wyglądać na ofiarę losu.
- Nie doceniasz moich ograniczeń.

Rozdział 8



Dora nie przesadzała – wiedźma Eufemia była zjawiskowa. Postawna – miała dobrze ponad metr siedemdziesiąt – z kruczoczarnymi puklami opadającymi na obfitą pierś, uniesioną zachęcająco gorsetem, była piękną kobietą i z całą pewnością o tym wiedziała. W jej sygnaturze wyczuwałem zapach kwiatów i piżma, a moje obawy o stan portfela po opuszczeniu lokalu drastycznie poszybowały w kosmos. Była wiedźmą płodności, a ja – tylko facetem.

Odszukałem wzrokiem Makarego. Miał może metr pięćdziesiąt wzrostu, a z pięć centymetrów zawdzięczał obcasom kowbojek. Był jej przeciwieństwem: niski, brzuchaty, z żółtawą cerą i głębokimi bruzdami wokół ust i na czole. Jego włosy miały odcień truskawkowego blond, krótkie z przodu, dłuższe z tyłu, a plerezę splótł w szurkowaty warkoczyk. Szanse na to, że zdołam się oprzeć jego urokowi, były większe.

– Czym możemy panu służyć? – zapytała Eufemia i pochyliła się nad szklaną ladą dość głęboko, bym zobaczył więcej piersi niż w ciągu ostatnich miesięcy.

– Potrzebuję czegoś z tamtej sali – powiedziałem, wskazując palcem na zasłonę za jej plecami, ciężką od złotych róż i motyli.

– Klient, który nie waha się sypnąć złotem. – Uśmiechnęła się i zachęcająco uchyliła kotarę.

Rozejrzałem się za Makarym, ale nie było go w pomieszczeniu. Eufemia rozpraszała mnie bardziej, niż myślałem.

– Zanim zaplanujesz, na co mnie naciągnąć, pozwól, że prześlę pozdrowienia od Dory Wilk. Zapewniła mnie, że zostanę tu dobrze obsłużony i dostanę dokładnie to, czego chcę – powiedziałem, przechodząc na drugą stronę zasłony. Eufemia prychnęła jak mokra kotka.

O ile tamta część sklepu wyglądała jak zwyczajny salon jubilerski – ze szklanymi ekspozytorami podświetlonymi ledowymi reflektorkami, szarością i złotem ścian oraz wykładzin, które miały zapewne stanowić dyskretne tło dla kolorowych błysków kamieni za szybką – o tyle ta była ekscentryczna nawet jak na Thorn. Grobowa czerń ścian zdawała się pochłaniać światło. Zamiast schludnych szklanych ekspozytorów były szafy z setką drewnianych szuflad, stoły, na których spoczywały drewniane skrzynki z przejrzystymi wieczkami albo ciężkie, żeliwne czy miedziane pojemniki, nierzadko oplecione dodatkowymi łańcuchami metalu. I być może przez całą zgromadzoną w tym pomieszczeniu magię przeczuwałem, że te zabezpieczenia nie były założone z obawy

przed złodziejami, ale pilnowały kamieni i tego, co mogłyby zrobić bez dodatkowych środków ostrożności.

– Czego potrzebujesz, mój drogi? Może mały różowy kwarc dla ustabilizowania twojego życia miłosnego? Czy hematyt dla oczyszczenia? – zapytała Eufemia, wysuwając dwie okazałe szuflady. Na kremowym aksamicie leżały najróżniejsze kamienie, dziesiątki kryształów i skał we wszystkich kolorach tęczy, choć najwięcej zauważyłem tych różowawych, czerwonych, rdzawo-brązowych. Może taki był klucz, wedle którego układali swoje zbiory. – Tu mam coś, co ładnie rezonuje z twoją aurą – powiedziała i wyciągnęła w moja stronę niemal idealnie kulisty fioletowy kamień, który rozpoznałem jako ametyst. – Przyda się na bezsenność – dodała, a ja się wzdrygnąłem.

Może był to ślepy strzał w dobie epidemii zaburzeń snu, ale poczułem się nieswojo.

– Szukam czegoś konkretnego. Czarnego obsydianu.

Pokręciła głową.

– To nie jest kamień dla ciebie, złotko, i bez niego jesteś już pozamykany na trzy spusty.

– Mam córkę. Szamankę.

Czułem się niezręcznie. Mogłem wpuścić magię w swoje życie czy też zaakceptować, że tu była cały czas, ale odczuwałem dyskomfort, rozmawiając o tym z obcymi.

– Ach. No tak. – Nagle spoważniała. – Makary! – zawołała męża. – Możesz tu podejść na chwilę?

Właściciel sklepu wyłonił się nagle zza jednej z wysokich szaf – a więc był tu cały czas. Eufemia skinęła mi na pożegnanie i wróciła na drugą stronę kotary.

– Obsydian, mówisz? Dobry odprowadzacz nadmiaru energii – powiedział, wysuwając energicznie niższą szufladę, wypełnioną kamieniami szarymi i czarnymi. – Daj mi rękę – powiedział, unosząc swoją dłoń w moją stronę.

– Nie jesteśmy aż tak blisko – odparłem odruchowo.

Spojrzał na mnie spode łba. Co stanowiło pewien wyczyn, skoro sięgał mi czubkiem głowy niżej podbródka.

– Muszę wyczuć jej wibrację, by dobrać kamień. Nosisz ją w sobie. Daj mi rękę i myśl o niej, nuć, rób cokolwiek, co sprawi, że zobaczysz pod powiekami jej obraz tak wyraźnie, jakby była tu z tobą.

W jego głosie była stanowczość i magia, jakby rzucał na mnie zaklęcie. Podałem mu rękę i posłusznie zacząłem myśleć o Kurczaczku. Koncentrowałem się na niej, aż poczułem cynamonowy zapach szamponu, usłyszałem jej ochryply śmiech, zawsze w pierwszej sekundzie rozbrzmiewający lekkim zaskoczeniem, jakby dziwiło ją to, że mogę być zabawny. Zobaczyłem jej kieszenie wypchane przekąskami, bo moja chuda jak szczapa córka konała z głodu pół godziny po zjedzeniu dużej pizzy. Znów usłyszałem te trzy powracające rytmicznie dźwięki: niski, dwa wysokie; durowa tonacja, energiczna, silniejsza, niż gdy przeprowadzałem rytuał – jej refren.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – mruknął Makary. Puścił moją rękę i przez kilka sekund przesuwając dłońmi nad kamieniami w szufladzie, jakby czytał je braille'em. Drgnął i zacisnął palce na jednym z nich: czarnym i lśniącym, o nieregularnym, jakby

walcowatym kształcie, oprawionym w oksydowane, niemal czarne srebro. – To jest jej kamień – powiedział i podał mi go ostrożnie.

Wzięłem go między palce. Wydawał się ciepły. Dziwnie znajomy.

– To obsydian? – upewniłem się.

– Turmalin. Mogę ci sprzedać też obsydian, jeśli chcesz, ale żaden nie wejdzie z nią w tak idealną wibrację. Ile ma lat?

– Piętnaście.

– Bardzo późno się do tego zabrałeś. – Skrzywił się z dezaprobatą. – Cud, że jeszcze jest stabilna.

Schylił się do jednej z niższych szuflad, po czym wyjął dużą czarną bryłę i kryształ o dziwnie mglistej, przydymionej barwie. Bryła miała oktagonalny przekrój, płaski spód i ostro zakończony czubek. Postawił ją przede mną na stole.

– To obsydian, duży i bardzo pojemny, dobrze ją zogniskuje. Przyda się w nagłych wypadkach, a będzie ich sporo z ojcem idiotą – powiedział twardo. – A to kwarc dymny – dodał, kładąc obok kryształ z obu stron zakończony szpicem. – Musi z nim pracować, uczyć się stawiać granice, gdyby kamienie zawiodły. I zrób jej tatuaż, do cholery!

– Wiesz więcej o szamankach niż ja – przyznałem.

Puścił moje słowa mimo uszu.

– Wciąż nie wiedziałem wystarczająco wiele, by moja przeżyła. Nie opieprzaj się, zadbaj o córkę – powiedział ze złością. – Szamanki są bardzo kruche, choć wydają się mieć dość siły, by nawrzeszczyć burzy w twarz.

Milczałem.

– Ucz ją. Ucz się jej. Znajdź taką jak ona. Mężczyźni nie rozumieją ich w pełni. Nie rozumieją tego, że bariera nie przychodzi sama, bez myślenia, bez koncentracji. Ich rezonans jest inny. Są otwarte, zbyt wrażliwe. Nie pozwól jej zdejmować tego turmalinu. Może jej uratować życie. I przyprowadź ją tu kiedyś. Będzie potrzebowała innych kamieni, ale sama musi je wybrać i zsynchronizować ze swoją aurą.

– Nie ma zestawu dla początkujących szamanek? – zapytałem, bo nagle poczułem, że ściska mnie w dołku. Jego strata wibrowała między nami i przyprawiała mnie o dreszcze.

Pokręcił głową i wysunął inną szufladę. Na wiśniowej satynie leżało kilkanaście szarych kamieni. Wydawały się podobne, dopóki nie padło na nie światło. Błękitny płomień, zielonkawa zorza polarna, srebrne błyski, brązowe prążkowania – każdy obudził się innymi barwami.

– Przesuń nad nimi ręką – polecił Makary, odsuwając się pół kroku, bym mógł podejść bliżej.

Zawahałem się. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale nagle poczułem respekt przed kamieniami, skałami i kryształami. Ostrożnie wyciągnąłem dłoń i przesunąłem nią kilka centymetrów nad rzędami klejnotów. Przez chwilę nie czułem nic specjalnego, a potem niemal spazmatycznie zaciskałem w dłoni jeden z nich, nawet nie zarejestrowałem momentu, w którym uznałem, że muszę go mieć. Był gorący i wibrował, jakby wypełniała go energia. Pod moimi powiekami rozbłysło światło. Zalały mnie emocje zbyt intensywne, by mogły zrodzić się w ułamku sekundy. Nie były obce,

rozpoznawałem w nich swoje własne uczucia, ale nagle stały się mocniejsze, żywsze, bardziej gwałtowne. I dominowały wśród nich lęk, niepokój, przecucie bliskiej katastrofy. Cios był tak silny, że się zachwiałem i gdyby Makary nie podtrzymał mnie z zaskakującą siłą, pewnie upadłbym jak kłoda. Jakbym był tu i zupełnie gdzie indziej. Zapach kurzu obecny w sklepie mieszał się z wonią drzew iglastych i niemal czułem wiatr na twarzy. Rozwarłem palce siłą i upuściłem kamień na dno szuflady, choć wiedziałem, że nie zdołam go tu zostawić.

– Co to jest? – zapytałem oszołomiony.

– Labradoryt – odparł Makary, jakby to wyjaśniało wszystko. – Wszystkie są labradorytami, a jednak tylko ten, którego dotknąłeś, mógł się z tobą związać w taki sposób. Wyczułem, że labradoryt to twój kamień, ale nie miałem pojęcia, który z nich do ciebie zaśpiewa.

– Bogowie – westchnąłem. – Co on mi zrobił? To jakieś zaklęcie?

– Nie. On tylko wzmaga to, co jest w tobie: intuicję, dar widzenia, sny. I, moim zdaniem, powinieneś go ze sobą zabrać. Kamienie wiedzą, kiedy ich potrzebujesz, lepiej niż ty sam.

Raz jeszcze wziąłem kamień do ręki. Kaboszon w kształcie łyzy był nieduży, miał może trzy i pół centymetra długości, półtora – w najszerszym miejscu. Oprawiony w proste polerowane srebro wydawał się szary i lekko perłowy, dopóki nim nie poruszyłem. Wówczas światło zatańczyło w nim granatowo-kobaltowym płomieniem.

– To iryzacja. Piękny efekt, prawda? – Makary przyglądał się kamieniom ze szczerą fascynacją.

– Niesamowity.

– Całkowicie wytłumaczalny na poziomie fizyki, rozumiesz, interferencje i wielokrotne odbicie światła... ale na poziomie duchowym współgra z tym, co, jak wiesz jako szaman, jest śladem ulotności innych światów. Mówią, że to zorza polarna zaklęta w kamień, że rozumie twoją duszę i daje ci spokój lub napełnia odwagą w zależności od tego, czego ci więcej trzeba w danej chwili. Rzadko reagują tak silnie jak ten na ciebie. Wie, że go potrzebujesz.

– Mówisz o nim jak o żywym stworzeniu. Jak o szczeniaku, który przygarnął mnie, gdy przechodziłem koło schroniska.

– Nie takiś głupi, skoro wiesz, że to pies wybiera sobie człowieka. Z kamieniami, przynajmniej niektórymi, też tak jest. Dlatego przyprowadź dziewczynkę i pozwól, by ją wybrał ten, którego potrzebuje.

Pokiwałem głową i kazałem wszystko zapakować – obsydian, kwarc, turmalin i labradoryt, dwa ostatnie z łańcuszkami.

– Co ci szeptał, kiedy pierwszy raz go wziąłeś do ręki? – zapytał Makary, wydając mi resztę.

– Niepokój, coś złego idzie – przyznałem, a powiedzenie tego głośno tylko wzmocniło przecucie, że to prawda, że tak właśnie jest.

– Słuchaj go. Może nie stracisz tego, co stracili inni spośród nas.

Wyglądał na starszego, bardziej kruchego, jakby wspomnienie wysysało z niego siły vitalne.

– To dlatego zająłeś się kamieniami? – spytałem, choć czułem, że przekraczam granicę, za którą nie jestem mile widziany.

Spojrzał na mnie zimno, a w oczach zamigotał mu cień gniewu, jakby i one były zrobione z półszlachetnego kamienia.

– O nie. Widzisz, jestem jubilerem od kilkuset lat. Ale lekceważyłem te półszlachetne – wolałem rubiny, diamenty, szmaragdy, te olśniewające błyskotki, które widziałeś w pierwszym pomieszczeniu. One mogły ucieszyć i przekonać do mnie piękną kobietę, ale nie były w stanie uratować jej dziecka, które stało się moim własnym. Sporo w tym ironii, nie sądzisz?

– Przykro mi. Nie chciałem wyciągać najczarniejszych wspomnień, Dora nie mówiła...

– Nie wiedziała. Nikt nie wie. Nie mają wiedzieć. Ale ty masz dziecko i jeśli mogę dla niej zrobić więcej niż dla Jasminy... – Pokręcił głową, gdy zwilgotniały mu oczy. – Dbaj o nią.



Na ulicy wyjąłem z kieszeni paczuszkę. Czułem dziwny przymus, by wyciągnąć labratoryt i zawiesić go sobie na szyi. Zimny kaboszon błyskawicznie rozpałił się na mojej skórze, a we mnie uderzyła błyskawica bólu. Tak jakby tu, na powietrzu, bez zakłóceń powodowanych przez tysiące kamieni, labratoryt miał większą moc.

Upadłem na kolana. Serce galopowało mi jak wściekłe walkirie, ręce drżały jak w delirce. I nie widziałem ulicy. Widziałem ciemność i wir ektoplazmy. Zimno przenikało mnie do kości, jedynie mostek, gdzie kamień stykał się ze skórą, palił gorącem. Panika zalewała gardło kwasem solnym i chciałem biec, uciec, wydostać się, wołać pomocy, ale nie mogłem wstać ani wykrztusić choćby słowa. Skulony w pozycji płodowej, płakałem, a łzy niemal zamarzały mi na policzkach.

Wcale nie. To nie byłem ja. Dotknąłem swojej twarzy. Była sucha i ciepła. Klęczałem na chodniku, ale się nie kuliłem. Lecz ten strach był realny, serce waliło mi jak młotem, a zimny pot spływał po karku i wzdłuż kręgosłupa. I nagle wiedziałem. Zaciskając palce na gorącym jak lawa kamieniu na mojej piersi, wiedziałem.

Kurczaczek.

Rozdział 9



Opuściłem Thorn tak szybko, że nawet nie zdążyłem się zdenerwować przejściem przez bramę i magią na ułamek chwili wyduszającą ze mnie całe życie. Gdy tylko magiczne linie przestały zakłócać działanie sieci komórkowej, zacząłem wydzwaniać do Kurczaczka, jednak włączała się poczta głosowa. Po chwili wahania zadzwoniłem do Konstancji. Odebrała po kilku minutach, zaspana i półprzytomna.

– Witkacy? Miej litość, jestem po dyżurze – jęknęła na powitanie.

– Czy Kurczaczek jest w domu? – zapytałem, starając się, by mój głos brzmiał możliwie spokojnie.

– Nie, przecież jest sobota, jest w waszej szkole...

– Jesteś pewna?

– Tak, minęłyśmy się w drzwiach, gdy wróciłam ze szpitala. Będzie koło czternastej, tak mówiła. – Konstancja ziewnęła. – Wpadnij na obiad, jeśli chcesz. Obiecałam jej pierogi z białym serem.

– Postaram się. Wybacz, że cię obudziłem, nie mogłem się do niej dodzwonić.

– Może ma jakieś zajęcia, na których wyłączają telefony? Wspominała coś o sprzężeniu, które może spalić aparat...

– Jasne, dzięki. I dobranoc. Śpij dobrze.

– Postaram się – mruknęła.

Rozłączyłem się, zastanawiając się, czy bardzo oberwę, jeśli się okaże, że Kurczaczek ma kłopoty, a ja nic nie powiedziałem Konstancji i pozwoliłem spać w nieświadomości. Z drugiej strony przecież nie wiedziałem, czy rzeczywiście coś się stało. To było tylko przeczucie podsunięte przez dziwny kamień, nie miałem nawet pojęcia, czy dotyczy teraźniejszości czy przyszłości. A jednak nie czułem się spokojny. Wiedziałem, że muszę natychmiast zobaczyć Kurczaczka i się upewnić, że wszystko z nią dobrze.



Zaparkowałem na wewnętrznym dziedzińcu szkoły i przez dwadzieścia sekund zastanawiałem się, jak wytłumaczyć Kurczaczkowi swój przyjazd tutaj bez powodu i bez uprzedzenia. Jakiś czas temu odbyliśmy rozmowę o ustalaniu granic i zaufaniu. Bo może miała tylko piętnaście lat, ale była kobietą. Co oznaczało, że nie jestem na przegranej pozycji. Mimo to nie zamierzałem się wycofać.

Nissim, jeśli wierzyć Dorze, szef siatki szpiegowskiej i półanioł, powitał mnie w drzwiach z miną wyrażającą dezaprobatę tak silną, że na chwilę zapomniałem, iż jestem dorosły.

– Powinienem czuć się zaszczycony? Rozmawialiśmy o tym, kiedy przyjmowałem Wiktorię do szkoły – zaangażowanie rodziców, o ile istnieją, jest niezbędnym elementem edukacji dzieci. Skoro uznałeś, że bierzesz to na siebie, by nie wciągać matki w ten świat głębiej, myślałem, że traktujesz rzecz poważnie.

Ta przemowa zbiła mnie z tropu. Co, u diaska?

– O czym ty mówisz? – wykrztusiłem.

– Dwa tygodnie to stanowczo za długi czas reakcji, Witkacy. A w tym wypadku to raczej trzy miesiące.

– Powtórzę: o czym ty, u diabła, mówisz? Coś się stało?

Popatrzył na mnie uważnie, z tą typową dla nauczycieli umiejętnością prześwietlania ludzi na wylot.

– Nie przeczytałeś listu?

– Jakiego listu?

Chrząknął zaskoczony.

– Przejdźmy do gabinetu. Najwyraźniej musimy porozmawiać.

Najwyraźniej musimy, pomyślałem, bo czułem się jak ryba wyrzucona z wody i poddana przesłuchaniu hiszpańskiej inkwizycji. Teraz wręcz szalałem z niepokoju. Chciałem zapytać o Kurczaczka, ale Nissim, nie oglądając się na mnie, zamasztyłem krokiem ruszył w stronę swojego gabinetu. Patrząc na jego rozwiane rude włosy, pomyślałem, że może, jeśli pracuje się z dziećmi, z automatu traci się rozum i odkleja od rzeczywistości.

Usiadł za zawalonym papierami biurkiem, z szuflady wyciągnął brązową teczkę i przez chwilę przerzucał arkusze. Teczka była dość opasła, ze swojego miejsca widziałem, że między plikami białych kartek znajdują się pojedyncze arkusze różowe i zielone. Nimi zwłaszcza wydawał się zainteresowany, bo wyciągał je i układał na kupce. Wszystkie były zapisane ręcznie albo na maszynie. Rozejrzałem się po gabinecie. Nigdzie nie zauważyłem komputera.

– Komputery nie wytrzymują magii niektórych naszych wychowanków – powiedział, jakby czytał mi w myślach. – Mamy jeden, ale w izolowanym pomieszczeniu. Tu nie przetrwałby tygodnia, ku uciesze tych małych czortów. – Kąciki ust uniosły mu się w tłumionym uśmiechu, choć w jego głosie pobrzmiwała nagana.

Rozłożył różowe arkusze i powiedział:

– Wygląda na to, że twoja córka nieźle się maskowała i jej nie doceniłem.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Pierwsze problemy z Wiktorią pojawiły się w styczniu, po kilku miesiącach nauki.

Wyprostowałem się na krześle. Bezbłędnie odczytał sygnały, bo uniół dłoń i zanim rzuciłem jakąś tyradę o tym, że moja córka jest idealna, powiedział:

– Nie zrozum mnie źle. Ja wiem, że to dobry dzieciak. Ale niełatwy. To typ małej perfekcjonistki i jest strasznie sfrustrowana.

– Zauważyłem. Miałem z tobą porozmawiać o tym, czyby nie przyspieszyć jej toku nauki...

– Witkacy, ona ma przyspieszony tok nauki. Złożyła podanie z prośbą o zrobienie trzech semestrów w ciągu jednego. Zgodziłem się na dwa. O to jej właśnie chodziło, bo wiedziała, że nie wyciśnie ze mnie więcej.

– I nie daje rady?

– Daje, daje, ale jej to nie wystarcza. Widzisz, mamy tu pewne reguły. Reguły, które nie mają na celu ograniczania dzieci, ale ich ochronę przed niebezpieczeństwem. Magia nie jest zabawą, obcowanie z nią wymaga przestrzegania zasad i podejmowania środków bezpieczeństwa.

– To zrozumiałe.

– Dla nas. Nie dla Wiktorii. W styczniu przyłapałem ją na tym, że eksperymentuje z zaklęciem dużo bardziej zaawansowanym, niż pozwalają na to jej dotychczasowe umiejętności.

Zacisnąłem usta. Już rozumiałem, na czym polega problem.

– Witkacy, ona, będąc na etapie zamykania kręgów i nasycania ich energią oraz podstaw zachowania magii, sięgnęła po zaklęcia przywołania drugiego stopnia. Rozumiesz, z czym to się wiąże?

Przytaknąłem.

– Dostała wtedy pierwsze ostrzeżenie. Miała też przygotować referat o tym, czym mógł się skończyć jej wyskok. Zrobiła ten referat wzorowo. Przygotowała nawet prezentację w Power Poincie z ilustracjami do omawianych przypadków.

– Prymuska.

– Tak, to część problemu. Ona jest przyzwyczajona do tego, że jest najlepsza. Nie zadowolają jej czwórki, jeśli ktokolwiek dostał szóstkę. Nie przyjmuje do wiadomości, że ten ktoś zajmuje się tą dziedziną dziesięć lat dłużej. Ona widzi tylko to, że jest od niej rok młodszy.

– Wspominała o tym. Frustruje ją, że jest na poziomie przedszkolaków.

– Bo rzeczywiście jest. Nie ze swojej winy i nie z twojej, ale jest. Zachowuje się jak dzieciak, który trafił na zajęcia plastyczne, ma talent, ale nic nie umie i powoli musi się nauczyć rysować, łapać perspektywę, doskonalić technikę i tak dalej. Tymczasem patrzy na swój szkic i porównuje go z olejnym portretem wykonanym przez kogoś, kto maluje od dekady. Nie chce zrozumieć, że to, ile ma jeszcze do zrobienia, nie ma nic wspólnego z jej wartością czy oceną, jaką otrzymuje. Musi poznać podstawy, zanim zacznie się bawić potężną magią. Sam wiesz, co ryzykuje, jeśli przywołuje duchy w niesprawnym kręgu.

– Opętanie, w tym lepszym złym razie.

– Albo opętanie dwunastolatki, która miała pecha przebywać w tym samym pomieszczeniu. To się zdarzyło w lutym – wyjaśnił. – Wtedy dostała drugie ostrzeżenie. Jej koleżanka przeszła egzorcyzm i spędziła dwa tygodnie w części szpitalnej. Wiktorii stwierdziła, że Antonina była w tym pokoju tylko dlatego, że zabroniłem jej sięgać po magię bez świadków.

Cholera. Zdarzało mi się, że padałem rażony logiką Kurczaczka, ale w najgorszym

wypadku dotyczyło to przekonywania mnie, że pizza i frytki są warzywami, a nie zagrożeniem dla życia, nawet jeśli uwzględnimy wpływ na poziom cholesterolu.

– Była szczerze poruszona, a ja dałem się nabrać, że wreszcie zrozumiała swój błąd.

– Nissim stukał piórem o blat biurka. – Jest naprawdę dobra, kiedyś może będziesz z niej dumny, o ile dożyje takiego wieku. Dostała nagane, nakaz chodzenia na dodatkowy kurs bezpiecznego obcowania z magią, coś jak BHP dla magicznych, obowiązkowe sesje z pedagogiem szkolnym. Wszystko zgodnie z procedurą.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

– Dzwoniłem – powiedział ze złością. – Już w styczniu. Ale nie raczyłeś odebrać żadnego z kilkudziesięciu telefonów.

– Niemożliwe – zapewnilem. – Mógłbym odrzucić połączenie w czasie przesłuchania czy ważnej rozmowy, mogłem być poza zasięgiem, będąc w Thornie, ale nie ma możliwości, bym do ciebie nie oddzwonił.



Przez chwilę znów patrzył w taki sposób, jakby poddawał mnie testom na wykrywaczu kłamstw. Wreszcie wyciągnął z kieszeni marynarki komórkę i wybrał numer. Wcisnął guzik głośnika i usłyszałem komunikat o niedostępności abonenta. Popatrzyłem na swój telefon, ale ekran był ciemny, bez śladu informacji, że ktoś właśnie próbuje się do mnie dodzwonić.

– Musisz mieć zły numer.

– Mam dobry numer, upewniłem się u Dory. Czy Wiktoria ma dostęp do twojego telefonu?

– Pewnie, że ma. Lepiej się dogaduje z techniką niż ja. Ustawiała mi dzwonki, kasowała esemesy, kiedy zabrakło miejsca w skrzynce...

– Więc najwyraźniej zablokowała mój numer. Cholernie sprytna szuja. Wysłałem ci listy. – Wyciągnął z pliku różowych kartek dwie i przesunął je po blacie w moją stronę.

– Cholera, widzę je pierwszy raz! – krzyknąłem, przebiegając wzrokiem po tekście, który informował mnie o wszystkim, co Nissim już mi przekazał.

– Niech zgadnę: ma też dostęp do skrzynki pocztowej?

Wzruszyłem ramionami, bo przecież nie przyszło mi do głowy, by ukrywać przed nią klucze, a zapasowy do skrzynki wisiał przy wieszaku na kurtki.

– Porozmawiam z nią. Najlepiej natychmiast. Wywołasz ją z lekcji? – zapytałem pośpiesznie.

– Tu dochodzimy do epizodu marcowego. – Westchnął, wyciągając kolejne kartki z przytłaczająco dużego pliku. – Wiktoria została zawieszona na dwa tygodnie. Zniszczenia sali lekcyjnej, w której przywołała poltergeista, były tak duże, że wymaga kapitalnego remontu. Dwoje dzieci miało lekkie obrażenia, ale to mogło się skończyć tragicznie.

Schowałem twarz w dłoniach. Czułem się jak idiota, niekompetentny idiota. Jeden z tych rodziców, którzy mają wszystko w dupie. Powinienem o tym wiedzieć, zaglądać do szkoły regularnie, trzymać rękę na pulsie. Ale moja córka z piekła rodem zadbała, by tak się nie stało. Gdy przypomniałem sobie poważną rozmowę o granicach, zaufaniu i samodzielności, która jest jej konieczna do tego, by się rozwijała, a nasza relacja nie była męką... Wyobraziłem sobie jej minę, kiedy zrozumie, że mleko się rozlało.

– Słuchaj, my naprawdę chcemy jej dobra. Dyscyplina w tej szkole nie jest przesadnie uciążliwa, przecież wiesz, jakie doświadczenia ma wiele z naszych dzieci. Ale obowiązują tu konkretne reguły, które są konieczne ze względów bezpieczeństwa. Jeśli Wiktoria wezwie poltergeista, Lola będzie bawiła się ogniem, a Miriam zacznie czytać wszystkim w myślach, w ramach zabawy, zapanuje chaos.

– Rozumiem. Przepraszam, Nissim. Spieprzyłem.

– Mocno ci w tym pomogła. Jest sprytna i zbyt ambitna. I rozumiem ją na tyle, by nie mówić teraz o wyrzuceniu ze szkoły, bo wiem, jak trudno byłoby ci ją wozić do Trójprzymierza. Ale musisz z nią porozmawiać, a reguły muszą obowiązywać wszystkim.

– Tak zrobię. Gdzie ona jest? – zapytałem.

Zmarszczył brwi, wyraźnie zaskoczony.

– Pojęcia nie mam. Mówiłem ci, jest zawieszona, od dwóch tygodni nie ma szkoły. Uznałem, że skoro tak zależy jej na nauce, wystraszy ją to bardziej niż referat, który zrobi z przyjemnością. Pisałem ci o tym w liście numer trzy. – Przesunął w moją stronę kolejną gęsto zapisaną kartkę, gdzie oprócz streszczenia problemów i opisu kary znalazłem też akapit z uwagami pod moim adresem. O tym, dlaczego zaangażowanie się w proces edukacyjny dziecka jest istotną częścią rodzicielstwa. Cholera jasna.

– Nic nie wiedzieliśmy. Ona co sobotę pakowała się i mówiła, że idzie do szkoły. Chciałem ją tu dziś przywieźć, ale stwierdziła, że chce jechać rowerem...

– Ma styl, trzeba jej przyznać. Może kiedyś zaproponuję jej pracę. Ale na razie musimy pilnować, by dożyła pełnoletności.

Chciałem zerwać się z krzesła i biec, szukać jej, choć nie miałem pojęcia, gdzie może być. Wodziła mnie za nos, a ja aż do tej chwili nie miałem o tym pojęcia. Nissim spoglądał na mnie ze współczuciem. Zaciskałem bezradnie pięści.

– Niewiele brakowało, by nie dożyła – przyznałem. – Ostatnio się wydrenowała prawie do zera.

Nissim zmarszczył czoło.

– Jesteś pewien?

Przytaknąłem.

– Zaatakował ją jakiś duch w szkole, tej ludzkiej.

– Hmmm. To musiało być coś znacznie większego, Witkacy. Zrobiliśmy kwerendę o jej magii, kiedy do nas trafiła. Z tego, co wyczytałem i czego dowiedziałem się od Jemioły, Wiktoria jest niestabilna, ale dopóki nie sięga po zaklęcia eteryczne, które wymagają filtrowania energii Zaświatów, nie powinno być z tym problemów. A w programie szkoły takie zaklęcia są przewidziane dla niej dopiero na trzeci semestr. Prowadzę rekrutację na stanowisko jej nauczyciela, co nie jest proste, bo nie ma was, szamanów, zbyt wielu, a spośród tych, których znalazłem, prawie żaden nie nadaje się do tego, by dopuścić go w pobliże dzieci. Bez urazy.

– Nie biorę do siebie. Może będę ci mógł w tym pomóc, jutro powinna przyjechać do miasta Harfiarka.

– Słyszałem o niej – jego oczy zabłysły – ale nie zdołałem się z nią skontaktować. Podobno nigdzie nie zagrzewa miejsca i jest ciągle w ruchu.

– Tak mówiła. Ale jutro tu będzie.

– Chętnie ją spotkam...

Jego słowa zniknęły w białym szumie. Wszystko się oddaliło.

Ciemność i pulsujący błękit eteru. Jazgot, aż bolał uszy, zaraz pęknie mi głowa. Żelazisty posmak krwi. Skorupa na twarzy. Zimno, tak zimno! Boże, niech mnie ktoś znajdzie! Tato... Tatusiu!!!

– Witkacy! Witkacy! – Poczulem ucisk na ramionach, ktoś mną potrząsał. Dotarło do mnie, że leżę na ziemi. Próbowałem wstać, ale Nissim mnie przytrzymał. – Powoli, rąbnąłeś głową o podłogę.

– Co się stało? – jęknąłem.

Gdy usiadłem, ból głowy nasilił się z poziomu „cholera jasna” do poziomu „kurwa, ja pierdołę”.

– Nie mam pojęcia. Rozmawialiśmy, a ty nagle zemdlałeś i dostałeś drgawek. Co brałeś?

– Nic – odparłem. A widząc jego minę, dodałem: – Serio, nic, jestem czysty jak łąza. Wczoraj brałem skrót, ale już dawno wypłukał się z organizmu.

I nagle wróciły obrazy, ciemność pulsująca eterem, wysokie dźwięki i krew. Wyciągnąłem spod swetra łańcuszek z kamieniem – był tak gorący, że parzył w dłonie. Przeklinając, zebrałem się z podłogi.

– To Kurczaczek, myślę, że ma poważne kłopoty – szepnąłem. – Rozumiem, nie ma lekcji, ale czy to oznacza, że ma zakaz wstępu na teren szkoły? Powiedziała mi wczoraj, że będzie siedziała w bibliotece. Tym razem też kłamała?

Przytaknął z nieszczęśliwą miną. Wyciągnąłem komórkę i raz jeszcze wybrałem numer Kurczaczka. Abonent wciąż był niedostępny. Z ciężkim sercem zadzwoniłem do Konstancji. Znów ją obudziłem, ale nie miałem wyjścia.

– Nienawidzę cię – wyszeptała na powitanie.

– Będiesz nienawidzić nawet bardziej. Nie mogę znaleźć Kurczaczka. Nie ma jej w szkole.

– Poszła na wagary? – głos Konstancji wyrażał bezmiar zaskoczenia. Rozumiałem ją. Nasz dzieciak kochał szkołę i nie chodził na wagary. A jednak.

– Jest zawieszona. Narozrabiała.

– Jezuniu – jęknęła. – Dzwoniłeś do niej?

– Od tego zacząłem. Ma wyłączoną komórkę.

– Zadzwonię do Ziemka, może coś wie.

– Mówiła ci o kimś ze szkoły magii? Przyjaźni się z kimś? – zapytałem, zły na siebie, że sam nie zagadnąłem jej o to wcześniej i nie wiem tak podstawowych rzeczy o swojej córce.

– Kilka razy wspominała Antoninę, wydaje się ją lubić, dopisała ją do listy gości na imprezę urodzinową... – Chwila milczenia. – Witkacy, to coś poważnego, prawda? Myślisz, że coś jej się stało? Że stała jej się krzywda?

Nie dodała „znów”, ale sam już kopałem się po dupie.

– Obiecałeś mi, że nie będziesz mnie okłamywał – dodała.

– Tak, boję się o nią, bardzo. Boję się, że jej życie może być w niebezpieczeństwie – przyznałem głośno.

– Dzwonię do Ziemka. Odezwę się za chwilę.

Rozłączyła się, a ja odwróciłem się do Nissima.

– Czy Antonina jest dziś w szkole?

– Przyprawdzą ją – zapewnił i wyszedł z gabinetu.

By nie czekać beczynn timer, zadzwoniłem do Sępa. Tym razem abonent był dostępny, ale miał mnie w dupie i nie odebrał. Wysłałem mu wiadomość: „Kurczaczek w tarapatach. Proszę. Jestem u Nissima”. Pocierając mostek, pod którym serce uprawiało dziką galopadę, modliłem się, by to przeczytał. Nadzieje nie były płonne, bo wydawał się rzeczywiście lubić moją córkę.



Antonina była niewysoką i szczupłą mysią blondynką o dużych brązowych oczach, teraz wypełnionych niepokojem. Skubała rękaw sweterka, zastanawiając się, ile może powiedzieć dorosłym, zanim to zostanie uznane za zdradę przez rówieśników.

– Tosiu, Wiktoria nie będzie miała z tego powodu kłopotów, ty też nie – zapewnił ją Nissim – ale tata Wiktorii podejrzewa, że jest w naprawdę dużym niebezpieczeństwie, i bardzo się martwi. A ja nie wspomnę nikomu, że nam coś powiedziałaś.

– Słowo?

Pocałował palce wskazujący i środkowy prawej dłoni i uniósł je jak do przysięgi. To wystarczyło.

– Ja właściwie nie wiem, gdzie ona dokładnie jest. Ale mówiła, że znalazła idealne miejsce do ćwiczenia magii i jak wróci z zawieszenia, pokaże wam wszystkim, że wcale nie jest dzieciakiem i potrafi im zaimponować.

– Im?

– Trochę tobie, ale bardziej chłopakom. Ona się podoba Michałowi, rozumiesz.

– A on dokucza jej, by zwróciła na niego uwagę? – podrzucił domyślnie.

Przytaknęła.

– Co wiesz o tym miejscu, w którym ćwiczy? – zapytałem z niepokojem.

– Jest niedaleko stąd, po tej stronie Wisły. I potrzebowała roweru, żeby się tam dostać, bo nie było autobusu... I myślę, że to las albo jest tam dużo drzew, bo miała bluzę umazaną żywicą. – Przez chwilę w skupieniu próbowała sobie przypomnieć coś więcej, ale pokręciła bezradnie głową.

W tym właśnie momencie zadzwoniła Konstancja. Ziemek nic nie wiedział, ich przyjaźń chyba dostała nieco w kość, skoro Kurczaczek nie mogła mu powiedzieć nic o magii i swoich umiejętnościach. Nie widzieli się od tygodnia, bo Ziemek z zapaleniem gardła leżał w domu i nie był w szkole, a Kurczaczek go nie odwiedziła ani nie dzwoniła, choć przez ostatnie lata spędzali ze sobą całe dni albo wisieli na telefonie. Wciąż byłem w punkcie wyjścia. I kopałem się w dupę, bo przegapiłem wszystkie sygnały, które powinny mi uświadomić, że coś jest nie tak, a młoda nie radzi sobie ze wszystkim tak śpiewająco, jak zakładaliśmy.

Analizowałem nasze ostatnie spotkania. Może zresztą wysyłała sygnały, ale nie umiałem ich odbierać. Jeśli ona musiała się nauczyć prosić o pomoc, ja cholernie musiałem się przyłożyć do tego, by czytać między wierszami i wyłapywać podkręcone piłki.

To, że zrobiła wszystko, bym się nie domyślił, niewiele zmieniało. Byłem policjantem, do ciężkiej cholery, powinienem wyczuć kłamstwo, przejrzeć podstęp. Ale nigdy nie pomyślałem o mojej córce jak o jednym z ziomów, którzy trafiają pod skrzydła posterunkowej gościny.

Rozdział 10



Sęp pojawił się mniej niż pół godziny po tym, jak zostawiłem mu wiadomość. Bez wątpienia pobił rekord czasu reakcji. Poprzedni wynosił dwa dni. Z okna gabinetu Nissima obserwowałem go, jak z rykiem silnika wjeżdża motocyklem, którego wcześniej u niego nie widziałem, przez bramę, robi spory łuk na dziedzińcu i parkuje przed samymi drzwiami wejściowymi. Byłem pewien, że za kilka minut chromowana bestia ściągnie uwagę wszystkich nastolatków w okolicy. Sęp nie przejmował się tym zupełnie. Powiesił kask na kierownicy i wszedł do szkoły, stukając ciężkimi, podbitymi metalem butami o posadzkę.

Wkroczył do gabinetu Nissima z gniewnym impetem.

– Co to za idiotyzmy, że Kurczaczek ma kłopoty? Ta dziewczyna ma więcej magii w małym palcu niż połowa uczniów tutaj! – ryknął na powitanie.

Nissim zlustrował go w milczeniu. Siedział w dyrektorskim fotelu ze splecionymi dłońmi i pozwalał Sępowi zrozumieć jego błąd. Gdyby do naprostowania Sępa wystarczyło wnikliwe spojrzenie, moje życie byłoby prostsze.

– Sęp – syknąłem – Kurczaczek nie ma kłopotów z zaliczeniem przedmiotu. Może być w niebezpieczeństwie, rozumiesz? – Postanowiłem nie dociekać, dlaczego przyjechał tak szybko i wtargnął tu jak ostatni mściciel, myśląc, że chodzi o oceny. – Nie możemy jej znaleźć – ciągnąłem – a podejrzewam, że coś się stało. Czy wspominała ci o jakimś miejscu, w którym może ćwiczyć magię bez świadków? – dopytywałem.

– Nie przypominam sobie. – Zmarszczył czoło. – To znaczy kilka tygodni temu faktycznie rozmawialiśmy o tym, gdzie pewne czynności magiczne kosztują szamana mniej energii, rozumiesz, poświęcona ziemia, cmentarz, miejsca nawiedzone z dużym ładunkiem eteru gotowym do użytku... Ale żadnych konkretów. Wiesz, ona często pyta o różne rzeczy związane z waszą magią.

– I jej, o dziwo, odpowiadasz? – sarknąłem, bo choć był moim duchem opiekuńczym i powinien być moim mentorem i nauczycielem, jego zapędy dydaktyczne ograniczały się do sugestii, że papierowe porno to przeszłość i powinienem sobie wykupić abonament na Red-Tubie.

– Zwykle tak. Pisze fajne e-maile i płaci mi za informacje linkami do śmiesznych filmików z kotami.

Oto Sęp, starożytna istota z Zaświatów, i jego nieoficjalna stawka godzinowa.

– To jest twój duch opiekuńczy? – zapytał Nissim z niesmakiem.

- Możesz ją znaleźć? Namierzyć? – jęknąłem błagalnie.
- Jasne, daj mapę i wahadełko, zaraz ją znajdziemy – powiedział z pewnością siebie, która dodała mi sił. Może jednak nie był tak całkiem bezużyteczny.



Na długim blacie stołu konferencyjnego, przy którym zwykle gromadziła się rada pedagogiczna, leżały rozłożone płachty map Torunia i okolic. Starsze, całkiem współczesne, regularne i przynajmniej jedna magiczna, która zamiast ulic uwzględniała linie magiczne. Nissim przyniósł wszystkie, jakie znalazł w zbiorach szkoły.

Żadna z nich nie potrafiła wskazać, gdzie mogła się znajdować moja córka. Sęp próbował wahadełka, które co prawda potwierdziło, że jest po tej stronie Wisły, ale nie było w stanie precyzyjnie określić jej położenia. Zakłęcie krwi, użyte przez Sępa w następnej kolejności, które wymagało, bym rozciął sobie kciuk i utoczył kilka kropli krwi na mapę, było równie spektakularną porażką. Posoka pełzła dzielnie, wskazując kierunek na północ od szkoły, ale nagle rozprysnęła się jak kropla o szybę. Skończyło się zabrudzeniem mapy, niczym więcej.

- Nie rozumiem – mrucał Sęp sfrustrowany – to powinno zadziałać.
- To czemu nie działa? – zapytałem ze złością.
- Magia. Duża ilość energii. Coś blokuje dziewczynę i uniemożliwia namierzenie.
- Jak duża? – zapytał Nissim.
- Gdzieś między solidnym pożarem a bombą. Nie do przegapienia, gdy jesteś w okolicy.
- Ciekawe, ciekawe – mrucał szef wywiadu.

Przez kolejne minuty Nissim wisiał na słuchawce, wypytując wszystkich swoich informatorów o to, czy nie wpadła im w oczy nastoletnia szamanka albo czy nie wyłapali spektakularnej aktywności magicznej na lewym brzegu Wisły. Nikt niczego nie zauważył, ale mieli się rozglądać.

Sęp w tym, że ona nie chciała być znaleziona, uświadomiłem sobie. To znaczy teraz pewnie chciała, skoro w wizji czułem, że mnie woła. Ale nie wtedy, kiedy wybierała to miejsce. Była sprytną i inteligentną dziewczynką, nie życzyła sobie, by jej ktokolwiek przeszkadzał. Wiedziała, że Nissim ma oczy dookoła głowy, a jej ojciec jest policjantem. Zdawała sobie też sprawę, że jeśli ją ktoś przyłapie, będzie miała problemy, może nawet groziłoby jej wyrzucenie ze szkoły. Nie bez powodu wybrała właśnie sobotę – Nissim był zajęty w szkole, a mną i Konstancją nie musiała się martwić, ponieważ nie wiedzieliśmy, że została zawieszona.

Wpatrywałem się w mapę i próbowałem myśleć jak moja córka – przebiegła, bystra i skryta. Łatwy dostęp do magii, poświęcona ziemia lub nawiedzenie... Brak autobusu, skoro potrzebowała roweru... Las? Tak, Antonina wspominała o lesie, widziałem drzewa iglaste w jednej z wizji. Tyle że ta część Torunia była mocno zalesiona – parki, lasy, poligon... Nie, nie poszłaby na poligon, istniało zbyt duże ryzyko, że ktoś ją tam zobaczy. Wszędzie kręcili się żołnierze, za tydzień miały się odbyć manewry NATO, w każdej gazecie o tym pisali, nie wybrałaby poligonu. Było kilka cmentarzy po tej stronie Wisły,

ale większość, jak ten na Rudackiej czy przy kościele na Rudaku, leżała blisko domów. Ja czy Katia nie musielibyśmy się tym przejmować, ale Kurczaczek raczej nie opanowała jeszcze zakłęb maskujących. Przynajmniej tak zakładałem, skoro wpadała w kłopoty w szkole z powodu świadków.

Czułem się tak cholernie bezradny. Przyszło mi do głowy tylko jedno, co mogłem jeszcze zrobić. Nie mówiąc nic Sępowi, który nie poddawał się i wciąż badał wahadełkiem każdy centymetr kwadratowy mapy, odszedłem kilka kroków.

Usiadłem na wykładzinie, opierając się o ścianę, by kolejny raz nie przygrzmocić potylicą o podłogę. Zamknąłem oczy i zacisnąłem palce na labratorycie, który wydawał się jakoś łączyć mnie z Kurczaczkiem. Wciąż był ciepły, a w kontakcie ze skórą rozgrzewał się jeszcze bardziej, jakby palił się do pomocy. Gdzieś między zakupem go a omdleniem po wizji zacząłem widzieć w nim coś więcej niż kamyk – wydawał się mieć jakąś intencję, świadomość. Jakby wiedział o czymś i bardzo chciał się tym podzielić.

Sięgnąłem po magię, a moja dusza zrzuciła ciało jak niepotrzebny balast. Przywołałem schody. Wspinałem się po stopniach, a błękitny eter wił się wokół moich nóg jak przymilny szczeniak. Zauważyłem, że coś się zmieniło. Brama była uchylona. Do tej pory musiałem się zapierać i solidnie pchać, nim drgnęła. Eteru było więcej niż zwykle – przesączał się jak dym, brodziłem w nim po kolana, nie widząc zupełnie schodów pod stopami.

Zimny podmuch, który towarzyszył obecności duchów, przenikał mnie do kości, ale nie widziałem żadnych wokół siebie. Dziwne. Gdyby były po drugiej stronie bramy, nie czułbym zimna. A zatem gdzieś tutaj. I musiało być ich naprawdę wiele.

Zawróciłem, nie dotarłszy na próg Zaświatów. To, czego szukałem, znajdowało się po tej stronie.

Schodząc po schodach, nie myślałem o powrocie do mojego ciała, ale o tym, by pójść dalej, w kierunku tego zimna, w stronę – wierzyłem w to naprawdę mocno – Kurczaczka. Powietrze parzyło mrozem, płuca bolały tak, jakbym topił się w arktycznej wodzie. Odkaszlnąłem. Na wargach czułem szron.

I nagle, w błękitnych kłębach eteru, mignęła mi sylwetka.

Leżała na ziemi, skulona, nieruchoma. Eter kłębił się nad nią jak burzowe chmury, a duchy wirowały wokół niej niczym obłąkani derwisze. Zrobiłem krok w jej stronę i jeszcze jeden, walcząc z oporem wichru i gęstością powietrza. A także czymś, co z tyłu głowy szeptało zapamiętałe, że powinienem zawrócić. Zdołałem zrobić jeszcze dwa kroki. Byłem blisko, mimo odległości rozpoznałem kratkę na tkaninie płaszcza i czerwone glany. Zrobiłem jeszcze jeden krok, czując, że ból eksploduje we mnie czerwoną mgłą.



Poczułem szarpnięcie w tył, ale zaparłem się całą wolą, bo wciąż nie udało mi się zidentyfikować miejsca.

– Kurczaczku! Gdzie jesteś?! – krzyknąłem ze wszystkich sił, bo wycie duchów było głośnie jak odgłosy sztormu.

Nie odpowiedziała, wciąż nieruchoma, ale nagle zobaczyłem sygnał, który próbowała mi wysłać, ledwie błysk czerwieni pośród kłębow eteru.

Nie zobaczyłem już nic więcej. Szarpnięcie zabrało mnie z tamtego miejsca, wypełnionego oszalałymi duchami i zimnem, jakie mogły wygenerować jedynie dziesięciolecia potępienia i wygnania. Znow stałem na schodach, brama na ich szczycie wciąż była uchylona, a błękit eteru przesiąkał jak poświata telewizorów w oknach.

I nagle, po kolejnym szarpnięciu, zacząłem spadać – prosto do swojego ciała, którym potrząsał Sęp, wydzierając się i przeklinając mój ród do trzech pokoleń wstecz.

– Przestań – jęknąłem, sięgając do głowy, która pulsowała migreną stulecia.

– Ja mam, kurwa, przestać?! – ryknął Sęp. – Czy ciebie do reszty pojebało? Ruszyłeś w dryft? Bez wsparcia? Bez przygotowania? Bez kotwicy? Życie ci obrzydło, skończony idioto?!

– Hej, bo pomyślę, że się martwisz – szepnąłem, próbując usiąść. Czemu znow leżałem?

Sęp kontynuował tyradę o mojej głupocie, lekkomyślności i życzeniu śmierci.

– Wiem, co robię – powiedziałem słabo, bo świat wciąż nie chciał się zatrzymać i czułem się, jakbym dostał w głowę tępym narzędziem.

– Jasne, wiesz, jak cholera, wiesz, kretynie! – warknął.

A potem dotknął mojej twarzy i pokazał mi swoje palce – pokryte krwią. Zamrugalem i raz jeszcze spróbowałem usiąść. Karuzela w mojej głowie zatrzymała się już po kilkunastu sekundach. Przycisnąłem dłoń do ust, by nie zwymiotować. Rozmazałem ciepłą krew po policzku.

Skąd jej tyle? – pomyślałem, czując wilgoć na twarzy i szyi. Próbowałem wytrzeć ją rękawem, ale Nissim bez słowa podał mi nieskazitelnie białą i wyprasowaną chusteczkę. Przesiąkła w ułamku sekundy, ledwie przyłożyłem ją do nosa.

– Rozwaliłeś mi nos? – zapytałem.

– Obawiam się, że żaden z nas nie miał tej przyjemności – rzekł Nissim. – Znowu dostałeś jakiegoś ataku. Miałeś drgawki, silniejsze niż poprzednio, zrobiłeś się lodowaty i sztywny jak trup. Nie oddychałeś. A potem zacząłeś, tylko po to, by kaszleć krwią, krwawić z nosa, uszu. Dość widowiskowo. Całkiem jakbyś w ułamku sekundy rozwinął pełnoobjawową ebolę.

Hmmm. Być może skłamałem, mówiąc, że wiem, co robię. Nigdy wcześniej nie krwawiłem w czasie podróży astralnej. Chusteczkę można już było wyżywać. Nissim zniknął na chwilę i wrócił z wilgotnym ręcznikiem frotowym i rolką papierowych.

– Zdejmij koszulę – polecił. – Nie chcę, by dzieci widziały cię takiego zakrwawionego po rozmowie ze mną. Niektóre i bez tego się stresują, gdy wzywam je na dywanik.

Zerknąłem w dół i faktycznie, cały przód koszuli był brudny. Niezbornie

próbowałem się wytrzeć, rozpiąć guziki, ogarnąć, ale czułem się i wyglądałem jak za czasów studenckich, gdy po przedawkowaniu alkoholu i popisach młodzieńczej brawury kończyłem z kacem gigantem i obrażeniami ciała po bójce z dwa razy większym koleśkiem.

Takiego zastała mnie Konstancja – wciąż na podłodze, zakrwawionego, na wpół rozebranego, spoconego z wysiłku. I nie była zachwycona. Nissim też, gdy zobaczył, że nie jest sama.

– Konstancjo, czy obłąd jest warunkiem niezbędnym, by należeć do waszej rodziny? – zapytał.

Wydawał się spokojny, ale iskry w jego oczach nie wróżyły dobrze. Cholera, nie dziwiłem się. Konstancja, z dłońmi opartymi na biodrach i uporem wymalowanym na twarzy, zasłaniała swojego towarzysza. Jakby ze swoim metrem sześćdziesięcioma wzrostu mogła przysłonić chudego nastolatka, który w ostatnim roku śmignął tak, że mierzył powyżej stu osiemdziesięciu centymetrów. Miał piętnaście lat, włosy tak jasne, że niemal świeciły bielą, i stanowczo był zwykłym człowiekiem wprowadzonym do szkoły dla magicznie uzdolnionych dzieci, gdzie w każdej chwili mógł zobaczyć coś, czego nie powinien. Konstancja odpowiadałaby wówczas za zdradę tajemnic magicznych. Rozpętałoby się piekło.

Zdołałem uklęknąć, a potem, podpierając się o ścianę, wstać. Przez kilka sekund z zamkniętymi oczami czekałem, aż przestanie wirować.

– Drogi panie, proszę mnie nie wkurzać. W tym momencie moim priorytetem jest znalezienie córki – oświadczyła tonem tak zimnym i kategorycznym, że z trudem powstrzymałem pokusę bicia jej braw.

– Konstancjo, pozwól nam działać, znajdziemy ją – zapewnił Nissim, ale nie zdołał jej przekonać.

– O ile wcześniej Witkacy się nie wykończy, cokolwiek właśnie próbował zrobić. – Machnęła ręką w moją stronę.

Wyminęła Nissima, podeszła do mnie i sprawnym ruchem wsunęła swój bark pod moją pachę. Pociągnęła mnie tak, że część ciężaru mojego ciała spoczęła na niej. Być może taki łamaga jak ja powinien dostawać przydziałową pielęgniarkę w zestawie z magicznymi genami. Lub mieć dość rozsądku, by się z takową związać.

Nie pytała o nic, po prostu podprowadziła mnie do krzesła. A gdy już siedziałem, uniosła mi głowę i zajrzała w oczy. Chciałbym się łudzić, że to było romantyczne spojrzenie pełne pasji, ale nie, znałem ją dość, by wiedzieć, że sprawdza, czy mam źrenice równej wielkości. Wyciągnęła z torebki pęk kluczy i latareczką-brelokiem poświeciła mi w oczy.

– Reagują. Dobrze – mruczała, badając mi tył czaszki. Jej palce błędzące między włosami były takie ciepłe i przyjemne, że westchnąłem. – Boli? – zapytała.

– Wszystko w porządku, kochanie, nie pobili mnie, to tylko tak wygląda – powiedziałem cicho. Jej palce zeszywniały.

– Skąd ta krew? – zapytała również szeptem.

Mogłem skłamać. Powiedzieć, że uderzyłem się w nos, przewróciłem, cokolwiek. Ale nie chciałem. Nie tak się umawialiśmy.

– Próbowałem ją znaleźć. Magią. I najwyraźniej przesadziłem.

– Jego ciało broniło się przed trwałym rozdzieleniem – powiedział Sęp, opadając na sąsiednie krzesło.

Spojrzała na niego poważnie i zapytała:

– Masz na myśli śmierć?

– Nie inaczej.

– Więc jak ty go, do cholery, pilnujesz? Totalnie zawałasz tę opiekuńczą funkcję, o której mówiła mi Wiktoria.

– Wszyscy mamy swoje ograniczenia.

– Jeśli przez ciebie moja córka zostanie półsierotą, ledwie poznała swojego ojca...

Sęp uniósł rękę.

– Spokojnie, robię, co mogę. Obiecałem Kurczaczkowi, że utrzymam go przy życiu przynajmniej do jej osiemnastych urodzin. Gdyby mi tego nie utrudniał, miałbym większe szanse na dotrzymanie tej obietnicy.

Przymknąłem powieki. Ta rozmowa zmierzała w stronę, w którą nie powinna. Stanowczo nadszedł czas na zmianę tematu.

– Czy obecność Ziemka tutaj jest dobrym pomysłem? – zapytałem.

– Pomoże bardziej, niż myślisz.

– Musiałaś go tutaj przywozić?

– Nic się nie stanie, jeśli zobaczy z bliska szkołę muzyczną Kurczaczka – powiedziała, mrugając.

Jasne, i z pewnością nie było tu nic, co mogłoby zwrócić uwagę nastolatka. Gdyby był dorosły, szukałby racjonalnego wyjaśnienia dla wszystkiego, co zobaczy. Ale dzieci mają inną wrażliwość i zbyt otwarty umysł.

Podskoczyłem, bo nagle zabręczał dzwonek na przerwę. Nissim rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wiedziałem, że zrobi wszystko, by Ziemek nie zobaczył niczego, czego zobaczyć nie powinien.

Ziemowit był bystry i nie zadawał pytań, na które trudno byłoby odpowiedzieć. Moja córka nie przyjaźniłaby się przez tyle lat z idiotą. A ja po chwili zastanowienia nie zamierzałem kwestionować jego obecności tutaj ani decyzji Konstancji, by go tu przywieźć, jeśli istniał choć cień szansy na to, że pomoże mi znaleźć Kurczaczka.

Ziemek sprawiał wrażenie, jakby wszystko, co zobaczył i usłyszał, nie zrobiło na nim wrażenia. Usiadł po drugiej stronie stołu, odsunął mapy i wyciągnął z plecaka laptopa. Włączył go, a gdy system ruszył, zapytał:

– Jakie jest hasło do wi-fi?

– „Sky is the limit” pisane łącznie, z cyfrą 5 zamiast obu s – powiedział Sęp. Nie zastanawiałem się, skąd je zna.

Ziemek tylko pokiwał głową. Jego palce śmigły po klawiaturze.

– Co dokładnie robisz? – zapytałem.

– Sprawdzam, czy nie została śladów cyfrowych. Wie pan, logowanie się na feja z jakiejś lokalizacji, aktualizacja Tumblra, Pinteresta czy Instagrama. Jakikolwiek ślady aktywności z dzisiejszego dnia mogą nam pomóc.

Wpatrzony w ekran stukał w klawisze przez dłuższą chwilę. W końcu prychnął

sfrustrowany.

– Nic nie ma, od siódmej rano była offline.

Szlag. Młoda była offline tylko wtedy, gdy używała magii, bo bała się o swojego smartfona. Spędziłem z nią dość czasu, by wiedzieć, że jeśli nie czaruje, klika i pika z zaskakującą częstotliwością. Uważała za szczyt zacofania z mojej strony to, że nie mam profilu na Facebooku.

– Wiesz może o jakimś szczególnym dla niej miejscu, gdzie mogła dojechać tylko rowerem? Możliwe, że gdzieś w lesie? – zapytałem.

Przez chwilę myślał.

– Ma pan na myśli któryś z jej plenerów fotograficznych? – zapytał.

Równie dobre miejsce, by zacząć, jak każde inne.

– Możesz mi pokazać? – zapytałem.

– Jasne. Zna pan jej profil na Digarcie?

Nie przyznałem się, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Młody postukał chwilę w klawiaturę i odwrócił ekran w moją stronę, bym mógł zobaczyć galerię zdjęć. Większość była czarno-biała. Nie znam się na fotografii, ale wyglądały na naprawdę dobre.

– To jej prace? – zapytałem zaskoczony.

– Jasne. Jest coraz lepsza. I ten aparat w komórce od pana też pomaga. – Wyszczrzył się.

Przeglądałem kolejne zdjęcia, rozpoznając niektóre z miejsc. Czułem mrowienie z tyłu głowy, które w pracy zwykle podpowiadało mi, iż jestem na dobrym tropie, ale teraz mogło oznaczać, że naprawdę ją sobie obiliśmy, upadając.

I nagle było. Kliknąłem, by je powiększyć i rozwinąć opis fotografii. Data z początku lutego. Czerwona gwiazda odbijała się mocno od białego kamienia i resztek śniegu. Kurczaczek musiała jakoś podrasować zdjęcie, bo całe było czarno-białe, a gwiazda połyskiwała karminową czerwienią. Dokładnie taką jak w mojej wizji – to był ten sam symbol, który mi wysłała, gdy pytałem, gdzie jest.

Spojrzałem w opis, modląc się, by dodała lokalizację. Nie była tak łaskawa. Sfrustrowany odsunąłem od siebie laptopa, czując, że zaraz puszcza mi nerwy. Ziemowit obserwował mnie spod przydługiej grzywki. Wreszcie spakował komputer do plecaka i powiedział cicho:

– Być może będę mógł panu pomóc. Ale musimy porozmawiać o warunkach. Na osobności, jak mężczyzna z mężczyzną. Rozumie pan?

Jeśli czegoś się nauczyłem przez ostatnie godziny przygód Kurczaczka, to tego, by nie traktować nastolatków jak niewinnych dzieci. Kryły się w nich niezmierzone pokłady sprytu i przebiegłości – na pewno w przypadku mojej córki, a ponieważ przez większość życia przyjaźniła się z Ziemkiem, mogłem założyć, że to ich cecha wspólna.

Rozdział 11



Zacznijmy od początku. Będzie łatwiej, gdy zrozumie pan, że nie musi omijać drażliwych tematów – powiedział, opierając się o ścianę na zewnątrz budynku. – Ja wiem.

– Co wiesz? – zapytałem, nie nadążając za jego tokiem rozumowania.

– Wszystko. To, czego zdaniem niektórych nie powinienem wiedzieć. Wiem, rozumie pan? – zaakcentował wyraźnie i czekał, kiedy załapię.

Zaniepokojony rozejrzałem się, bo właśnie powiedział dość, by cała moja rodzina miała poważne kłopoty ze Starszyzną.

– Nie powinna ci nic mówić. Ostrzegałem ją, że to nie jest bezpieczne.

– Pan nie rozumie. Ja o tym wiem od dziesięciu lat. Od przedszkola. Od czasu, kiedy zaczęła widywać duchy. Powiedziała mi. Nie mogła zwierzyć się mamie, nie chciała jej martwić, a musiała o tym komuś powiedzieć, żeby nie zwariować. I potrzebowała wsparcia. Myśli pan, że łatwo było jej dotrzeć do czasu, kiedy pojawił się pan na obrazku? Nie zgadzam się na wykluczanie mnie teraz, ponieważ dowiedział się pan o tym, że jest ojcem, a jakaś banda sztywniaków myśli, że może jej rozkazywać.

Patrzył na mnie spod byka. Z tą rozczochną czupryną i gniewnym grymasem wyglądał jak chłopiec z plakatu nowej wersji *Buntownika bez powodu*.

– Nie po tym jak przez ostatnie dziesięć lat pilnowałem jej pleców – dodał.

– Jak? – zapytałem, bo to było coś, o czym dużo myślałem.

Jak wyglądało życie Kurczaczka, zanim się pojawiłem? Jak sobie radziła? Nie dawało mi to spokoju, zwłaszcza teraz, gdy dowiedziałem się, jak niestabilna jest jej aura.

Przez chwilę milczał, ale widząc, że nie drwię, że naprawdę chcę wiedzieć, powiedział:

– Czasami wystarczyło uziemianie. Tak to nazywaliśmy. Jeśli jakiś duch był zbyt natrętny albo agresywny, trzymałem ją za rękę, żeby została po tej stronie, żeby nie zdołał jej wypchnąć. Tłumaczyła mi, że jest jednocześnie zimna i ciepła, żywa, ale przyciąga martwych. Gdy trzymałem ją za rękę, żywego i ciepłego w niej było więcej. – Potarł twarz w uniwersalnym geście frustracji. Nie wszystko rozumiał, nie widział tego, co ona, ale ufał dość, by nie kwestionować jej słów. Właśnie dlatego nie była z tym wszystkim sama. I wiem, że, w oczach Gardiasza, popełniła poważny błąd, zdradzając nasze tajemnice obcym, niemagicznym. Ale ja miałem dość wyobraźni, by zobaczyć dwoje przedszkolaków trzymających się kurczowo za ręce w piaskownicy. Otaczający ich

dorośli i inne dzieci mogły myśleć, że to taki słodki wyraz dziecięcej afektacji, zakochana para, Jacek i Barbara. Tymczasem ten chłopiec pilnował, by dziewczynka miała dość ciepła, by duch nie przejął jej ciała, nie zdołał wyssać do cna. Ratował ją. Cholera jasna, oczy zaczęły mnie piec.

Ziemek, na tyle taktowny, by lekko odwrócić głowę, ciągnął dalej:

– Zbudowałem też kilka urządzeń, gdy odkryliśmy, że ich bliskość wpływa na fale radiowe i wywołuje zakłócenia. Nosilem je przy sobie, bo czasami duchy ukrywały się przed nią i wyczuwała je dopiero w ostatniej chwili. Niektóre były całkiem spoko, mówiła, że gadają bez przerwy, ale nie są groźne. Ale innych unikaliśmy i odchodziliśmy, gdy tylko radio zaczynało trzeszczeć.

W żadnej księdze nie widziałem informacji o takich urządzeniach. Myślałem, że można je zobaczyć tylko w filmach. Ale przecież większość ksiąg była pisana przed odkryciem elektryczności i radia. O tym, że w kontakcie z magią wybuchają komórki, też nie pisali w grimuarach. Dopiero kiedy Kurczaczek straciła pierwszego smartfona, dodaliśmy swój punkt na białej stronie na notatki przy końcu księgi. Sam tego nie wyłapałem, bo moja komórka była stara, pancerna i wedle Kurczaczka – zbyt prymitywna, by cokolwiek mogło się w niej usmażyć.

Chciałem powiedzieć chłopakowi, by się pospieszył, przeszedł do sedna, powiedział mi, gdzie jest Kurczaczek. Ale ugryzłem się w język i przywołałem strzępy cierpliwości.

Ziemek wyraźnie się wahał, czy powiedzieć mi więcej. Coś go gryzło. Nie naciskałem. Naciskanie na nastolatków jest jak naciskanie na przesłuchiwanym kryminalistów. Czasami działa, ale zwykle zmienia ich w zatrzaśnięte małże. Cisza nie zaszkodzi, cisza nie naciska, a młodzi chcą ją wypełnić słowami, bo czują się z nią gorzej niż ty. Bo faktycznie jest coś, co chcieliby powiedzieć.

– Przez ostatni tydzień nie było mnie w szkole. Miałem gripę. Dlatego ją dopadł. Gdybym tam był, wiedziałyby, że się na nią czai. Od miesięcy nie dawał jej spokoju i potrafił się chować w podłodze czy suficie, więc wyczuwała go dopiero, gdy na nią spadał. – Zacisnęła pięści. – To moja wina, że wczoraj prawie umarła.

– O tym też ci powiedziała?

– Rozmawiamy codziennie.

– Nabraliście nas. Konstancja naprawdę się martwiła, że do wszystkich tych stresujących zmian w życiu Wiktorii doszło jeszcze ochłodzenie między wami.

– Myśleliśmy, że tak będzie lepiej. Mówiła, że Gardiasz jest skończonym dupkiem i im mniej o nas wie, tym lepiej.

Przytaknąłem. Sam robiłem wszystko, by trzymać Gardiasza z dala od siebie, a tym bardziej od Kurczaczka i Konstancji. Mała rozumiała doskonale, co to za typ, więc nie zdziwiło mnie, że starała się ochronić przyjaciela. Byłem za to zniesmaczony sobą – nie zauważyłem ściemy. Nie zamierzałem ich strofować za tę mistyfikację. Przecież gdyby Ziemek się nie orientował, nie miałbym teraz informatora, który może wiedzieć o zaginionym dziecku więcej niż ja. Wobec niego naprawdę była szczerą. Pewnie wiedział o zawieszeniach, problemach w szkole magicznej i całej reszcie. Jednemu z nas ufała bezgranicznie.

– Byłeś z nią w tym miejscu, w którym trenuje magię? – zapytałem lekko, jakby to, że Kurczaczek ma odizolowane miejsce, gdzie samowolnie ćwiczy niebezpieczne zaklęcia, nie było niczym nagannym.

– Nie. Powiedziała, że gdyby wpadła ze mną, byłoby gorzej, bo skumaliby, że wiem. – Skrzywił się. – Ale dawała mi znać, kiedy tam jedzie i wraca do domu. Chciałem mieć pewność, że jest bezpieczna. Dziś wysłała mi esemesa o ósmej rano, że zaczyna i do dwunastej planuje wrócić. Ale po południu wciąż nie miałem potwierdzenia, czy jest w domu. Nie odbierała telefonu, więc poszedłem do cioci Konstancji. Plan B, jak mówiła.

– Wiesz, gdzie ona jest? Nie byłeś tam, ale wiesz, gdzie to jest?

– Nie byłem z nią tam, kiedy trenowała magię.

Precyzja warta podkreślenia, czyli jak odpowiedzieć na pytanie dorosłego, który może poznać, jeśli skłamiesz.

– Ziemek, ja muszę wiedzieć. To nie żarty, Kurczaczek jest w niebezpieczeństwie.

Westchnął ciężko, jak może wzdychać tylko zmęczony życiem piętnastolatek, nim powiedział:

– Powiem panu pod jednym warunkiem.

– Nie jesteś na pozycji człowieka stawiającego warunki. – Chciałem, żeby to zabrzmiało twardo. No wiecie, facet, który kontroluje sytuację. Ależ żałowałem, że nie ma tu ze mną Ti! Wystarczyłoby, żeby popatrzyła w niebieskie oczy tego chłopaczka, i po kilku sekundach usłyszelibyśmy pęknięcie lodu, a dzieciak chciałby jej wyśpiewać wszystko. Moje spojrzenie sprawiło tyle tylko, że Ziemek wyprostował się, by jasne było, że jest ode mnie kilka centymetrów wyższy. Zaplótł ramiona na piersi. Cholerny smarkacz.

– A pan nie bardzo jest na pozycji człowieka, który może negocjować – powiedział chłodno. Już nie brzmiał jak chłopiec. – Mogę sam ruszyć na pomoc. Pewnie mi się nie uda. Ale znajdę ją. Czy pan może powiedzieć to samo?

Gdyby to była sprawa służbowa, mógłbym się kłócić. Ale tu chodziło o Kurczaczka.

– Jaki to warunek?

– Jadę z panem.

– Wykluczone.

– Jak pan chce – powiedział, odepchnął się od ściany i energicznym krokiem ruszył w stronę bramy, zarzucając sobie plecak na ramię.

– Ziemek! – zawołałem.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił. W milczeniu czekał na magiczne słowo.

– Zgoda.

Popatrzył na mnie z uśmiechem sprzedawcy kabrioletów na biegunie północnym, który właśnie znalazł kupca.

– Nie pożałuje pan.

– Za późno. Gdzie ona jest?

– Co pan wie o toruńskich obozach koncentracyjnych? – zapytał bez związku.

– Że „toruńskie” w tym zestawieniu jest równie wkurzające, jak „polskie”?

– Oczywiście. Były niemieckie, nazistowskie, by być precyzyjnym. Wedle

historyków trzymano w nich nawet sześćdziesiąt tysięcy ludzi, zmarła jedna trzecia. Głównie Rosjanie, bo warunki, w jakich ich przetrzymywano, były gorsze.

– Trafili do masowych grobów – przypomniałem sobie.

Czytałem o tym w „Nowościach” jakiś czas temu. W miejscu, w którym były masowe groby kilku tysięcy jeńców, deweloper właśnie stawiał osiedle domów wielorodzinnych. W życiu bym tam nie zamieszkał, nawet gdyby mi dawali za darmo apartament. I wcale nie chodziło o to, że jestem szamanem – nawet przy właściwie przeprowadzonych ekshumacjach i zabezpieczeniu pustych już grobów ryzyko nawiedzenia jest duże. Tu wykopano ciała byle jak, nie zabrano przedmiotów należących do ofiar, a szanse, że ziemię poświęcono czy oczyszczono solą, były nikłe. Pomyślałem wtedy, że gdyby ktokolwiek, gdziekolwiek za granicą potraktował w ten sposób szczątki polskich więźniów, byłaby polityczna afera i sztandary prawicy powiewałyby dumnie, bo bezczeszczenie ofiar faszyzmu jest równie złe, jak sam faszyzm. Najwyraźniej ta zasada nie obowiązuje, gdy ofiary faszyzmu urodziły się za naszą wschodnią granicą. Wkurzyłem się wtedy. W obliczu śmierci wszyscy są dla mnie równi. Wszystkim należy się taki sam szacunek.

Zwłaszcza że brak szacunku, co wiedziałem lepiej niż inni, mógł się skończyć naprawdę źle. A jeśli miałbym sobie wyobrazić najgorszy scenariusz dla egzorcyzmu, duch ofiary obozu koncentracyjnego byłby w pierwszej trójce.

– Niemożliwe, by ćwiczyła magię w miejscu pochówku. Nawet w czasie zatrzymania prac w wykopach kręca się historycy i archeolodzy – powiedziałem.

– To prawda. Ale nie wszyscy jeńcy byli tam pochowani, a większość ciał i tak przeniesiono. Część pochowano na innych cmentarzach. Większość na specjalnym cmentarzu wojskowym. Czternaście i pół tysiąca ludzi.

Złapałem się za głowę.

– Jezus Maria, czy ona ćwiczy magię śmierci na cmentarzu wypełnionym ofiarami przemocy?

Przytaknął. A mnie zmroziło.

– Jak źle jest? – zapytał Ziemek.

Pokręciłem głową. Przypomniałem sobie uchylone drzwi do Zaświatów, kłęby eteru i zimno przeszywające do szpiku kości. Modliłem się, by moja wizja była z przyszłości, a nie na żywo.

Sęp wyłonił się zza drzwi. Sądząc po jego minie, podsłuchiwał rozmowę dość długo. Był dziwnie blady, wyraźnie wytrącony z równowagi. Nigdy jeszcze go takim nie widziałem.



Planowaliśmy jechać moim złodem. Wystarczyłby, gdyby miał pomieścić mnie, Sępa, Ziemka i w drodze powrotnej Kurczaczka, ale dochodziła Konstancja, która wybiegła przed szkołę jak walkiria, gdy tylko uruchomiłem silnik, i coś krzyczała, wymachując rękami. A potem pojawił się Nissim, dzwoniąc kluczykami i kierując się w stronę szkolnej furgonetki.

Otworzyłem okno, by usłyszeć, jak pyta:

– Przecież nie planujecie Wiktorii przywiązać do maski jak myśliwskie trofeum, prawda?

Konstancja bez słowa wpakowała się na tylne siedzenie, obok Ziemka, jakby pomysł, by jechać z Nissimem, zupełnie nie przypadł jej do gustu. Może myślała, że będę go chciał zgubić. Jakby to było możliwe. Byłem pewien, że podsłuchał co najmniej tyle rozmowy, co Sęp, tylko że za pomocą elektroniki, więc nieco dyskretniej. Stare nawyki umierają powoli.

Szkołę od cmentarza wojskowego w Małej Nieszawce dzieliło ledwie siedem kilometrów, więc droga zajęła nam kilka minut. Mimo to, nim dotarliśmy na miejsce, minęliśmy tablicę z napisem „Toruń żegna”. Kurczaczek była zdecydowanie zbyt sprytna, by mogło nam to wyjść na dobre. Cmentarz mieścił się poza granicami administracyjnymi miasta, więc nie podpadał też pod zainteresowanie Starszyny.

Wciąż „żywe” cmentarze, jak określa się te, gdzie najdalej dziesięć lat temu był pogrzeb i świeży trup, były regularnie odwiedzane przez nekromantów, którzy mieli przypisane rejony działania i odpowiedzialności, ale na tym najświeższe zwłoki miały jakieś siedemdziesiąt lat. Takie cmentarze były traktowane raczej jak zabytek, pomnik, nie miejsce wymagające monitorowania na wypadek, gdyby coś wstało z martwych i wymagało kołysanki.

Zaparkowałem na niewielkiej wysepce, tuż przed rozwidleniem trasy na Poznań, pod znakiem nekropolii – miecze i znicz – który nie zostawiał wątpliwości, że to cmentarz wojskowy. Nissim zdołał wtłoczyć furgonetkę za mną. Przez chwilę trzymałem ręce zaciśnięte kurczowo na kierownicy, bojąc się tego, co mogę zastać tam, na cmentarzu. Odepchnąłem się od niej, gdy Sęp wyskoczył z samochodu i obszedł go, by stanąć przed wysokim, bielonym pomnikiem.

– Konstancjo, poczekaj tutaj, z Nissimem – poprosiłem.

– Nie ma mowy – stwierdziła.

– Posłuchaj: z czymkolwiek mamy do czynienia, to jest coś z mojego świata. Jeśli będę musiał się ciągle na ciebie oglądać, mogę przegapić atak. A jeśli coś dopadnie was obie, szanse na odbicie dwóch zakładniczek będą mniejsze niż w przypadku jednej.

– Nie podoba mi się to.

– Mnie również, ale proszę cię, nie bądźmy idiotami. Jeśli nie wrócimy za godzinę, zadzwoń do Dory albo Katii – podałem jej swoją komórkę – są na szybkim wybieraniu pod dwójką i trójką.

– Kto jest pod jedynką? – zapytała nieoczekiwanie.

– Kurczaczek. Nigdy w to nie wątp.

Uśmiechnęła się blado.

– Znajdź ją, Witkacy, przyprowadź do domu całą i zdrową – poprosiła cicho i zabrzmiało to jak modlitwa.

Poczułem się przytłoczony jej oczekiwaniami i strachem. Woląłem, kiedy kobiety nie spodziewały się po mnie niczego spektakularnego, a już na pewno bohaterskiego.

Wysiadłem, trzaskając drzwiami, by się zamknęły. Czuję, że wszystko zwolniło. Że nie tylko mnie paraliżuje strach.

Sęp stał z zadartą głową, przyglądając się dziwnej rzeźbie na pomniku. Dopiero po chwili zrozumiałem, co przedstawia. Dwa ciała na dnie dołu, głowy przy stopach. Ergonomia przestrzeni w przypadku pochówku nigdy nie jest dobrym znakiem. „W hołdzie bohaterom Armii Radzieckiej” głosiła skromna tablica.

Na postumencie i tablicy wciąż widoczne były ślady po czerwonej farbie – przebijała spod białej, którą ktoś z gminy próbował zamalować obrzydliwe hasła. Chuligańskie wybryki w takich miejscach stanowiły przytłaczającą codzienność. Dostawaliśmy zgłoszenia, ale zwykle niewiele można było zrobić – ot, niska szkodliwość czynu, a do tego w pewnych środowiskach rozmowa z psami i donoszenie na kumpli nazioli było źle widziane. Z nieznanym mi powodów małe chujki miały poczucie, że spełniały patriotyczny obowiązek, gdy malowały obraźliwe symbole i hasła na cmentarzach i pomnikach upamiętniających wojenne ofiary z tej niewłaściwej strony granicy.

Dla równowagi do wyczynów wandalii między ramię leżącego w poprzek ciała a tablicę pamiątkową ktoś wcisnął bukiet sztucznych kwiatów ze wstęgą biało-czerwoną, mocno już wyblakłą – pewnie leżał tu od Wszystkich Świętych.

– Nic nie wychodzi wam tak dobrze, jak wojny, prawda? – szepnął Sęp.

Nie powiedziałem nic. Ominąłem pomnik i brukowaną alejką, którą spowijał gęsty, ciemnozielony cień, rzucony przez sosny, ruszyłem w stronę cmentarza.

Brama, znajdująca się jakieś pięćdziesiąt metrów od pomnika i parkingu, wyglądała surrealistycznie. Bez wątplenia była ładna – dwa ciężkie, rdzewiejące skrzydła osadzone w betonowych słupach i dwa panele ozdobione żelaznymi gwiazdkami prezentowały się nieźle – tyle że za cholerę nie spełniała podstawowej funkcji. Wszystkie cmentarze są ogrodzone – płotem, siatką, murem, rzadziej linią drzew czy żywopłotem, jeszcze rzadziej wodą oddzielającą żywych i umarłych. Takie są zasady. Ogrodzenia stanowią ochronę, zaklęty krąg, często dodatkowo poświęcony podczas oddawania cmentarza do użytku. Właśnie dlatego po ulicach nie grasują zombie i ożywieńcy, a magia śmierci nie rozlewa się po okolicy, nie skaża ziemi i powietrza.

Tutaj brama była symbolem, kolejnym pomnikiem i metaforą „przejścia” między światem żywych i umarłych – nie ochroną. Nie była zaklęta, jednak przez dziesięciolecia nasiąknęła atmosferą tego miejsca i wyraźnie czułem mroczne fluidy. Żywi nie byli tu witani z entuzjazmem.

Wiedziony impulsem obszedłem bramę oraz jedno z gwiazdnych przesł. Gwiazdki z każdą chwilą bardziej przypominały mi pentagramy, choć intencja artysty była pewnie inna. Miałem nadzieję poczuć szarpnięcie, łaskotanie, opór – cokolwiek, co mogłoby sugerować, że teren jest zabezpieczony. Nic z tych rzeczy.

Podjeżdżałem, że nikt nie myślał o tym miejscu jako o cmentarzu. Stanowiło hołd dla ofiar faszyzmu, ekshumowanych i przeniesionych tu masowo. Zamiast pogrzebu poległych dostali mszę upamiętniającą, nie dopełniono rytuałów, a pomniki ustawiono symbolicznie nad masowym grobem. Zresztą tablica przy wejściu informowała, że teren restaurowano i porządkowano w latach sześćdziesiątych – a więc w okresie, gdy w Polsce nie przywiązywano nadmiernej wagi do spraw duchowych. Mogło zabraknąć księdza czy kogoś, kto rozumiałby „stare zabobony”.

Magia śmierci biła od tego miejsca niczym zimno z uchylonej zamrażarki. Zerknąłem na Ziemka. Był bledszy, poruszał się wolniej, rozglądał zaniepokojony. Właśnie tak działa na ludzi magia śmierci. Nie zawsze rejestrują ten strach przed zimnem, przeciwieństwem ciepłego życia, ale ciało jest czasami mądrzejsze niż mózg. O sile charakteru tego chłopaka świadczyło, że nie odwrócił się, nie pobiegł do samochodu, mimo niechęci przeszedł przez bramę. Obejmował się ramionami, jakby próbował zatrzymać ciepło, które coś próbowało z niego przegonić. Czuł magię przez skórę. Nie wiedział, że nie powinien odczuwać tego aż tak mocno. Że coś w tym miejscu jest nie tak. Rozglądałem się ostrożnie, by nie wpakować nas w sam środek pułapki.

– Jak ona tu trafiła? – szepnąłem z frustracją.

– To przeze mnie – powiedział Ziemek, również zniżając głos do szeptu. – Należę do kółka historycznego. Zwiedzamy lokalne cmentarze, uczymy się o historii miasta... Byliśmy tu późną jesienią. Wiktoria się tym przesadnie nie interesuje, ale chodzi ze mną na spotkania, robi zdjęcia na naszą stronę. Ja trenuję z nią na karate, bo chciała mieć w parze kogoś, kogo bez wyrzutów sumienia może obić.

– Bardzo w jej stylu.

Przytaknął.

– Kiedy tu przyjechaliśmy, była dziwnie podekscytowana. Krążyła między pomnikami i mrucała, że to idealne miejsce. Zrobiła dziesiątki zdjęć. Jestem pewien, że były tu duchy.

Wyciągnął z kieszeni plecaka małe radio tranzystorowe, zapewne dwukrotnie starsze niż on. Włączył je i rozległ się wysoki pisk. Gdy przesunął suwadełko, dźwięk wyraźnie się nasilił.

– Dziś jest gorzej niż wtedy – powiedział zmartwiony.

Przytaknąłem. Wedle tablicy były tu tylko ofiary z okresu II wojny światowej. Siedemdziesiąt kilka lat. Większość powinna dawno odejść. Miejsce było odizolowane, więc ci, co pozostali, z rzadka żywiący się emocjami chuliganów, już osłabli – nawet biorąc pod uwagę potężny ładunek energii i złości, który mieli na początku. Kilka miesięcy temu musiało tu być całkiem spokojnie. Gdybym wtedy pojawił się przy bramie, poczułbym najwyżej dreszcz – nic spektakularnego.

Dziś jest spektakularnie, pomyślałem, idąc w stronę okrągłego pola pośrodku cmentarza. Wciąż nie widziałem Kurczaczka, ale wir z błękitnego eteru i duchów był niezłą wskazówką.

Pomniki, białe bloczki z wyrzeźbioną w górnym rogu gwiazdką, otaczały środek koncentrycznymi kręgami. Cały cmentarz był zbudowany na planie koła o promieniu około stu metrów między głównym placykiem a najdalszym rzędem pomników. W sumie było kilkanaście kręgów, a każdy składał się z dwóch lub – bliżej środka – trzech szeregów pomników. Kręgi oddzielone były od siebie zaoranymi pasami piaszczystej ziemi. Blisko centrum pomniki stały gęsto, im dalej, tym odległości między nimi robiły się większe, a ciągłość sfery zaburzały drzewa. Teoretycznie taka konstrukcja cmentarza powinna być bezpieczna – dziesięć wzmocnionych magicznie kręgów utrzymałoby w ryzach nawet najsilniejsze duchy. Ale tu koła nie były precyzyjne, nie były też niezniszczalne. I może nawet ktoś w latach sześćdziesiątych połączył pomniki w krąg

mocy za pomocą rytuału, soli, wody święconej, symboli wypisanych kredą, lusterkami czy krwią, lecz każda z tych metod działała tylko przez krótki czas. Moc kręgu pisanego w powietrzu utrzymywała się zaledwie kilka dni, w najlepszym razie tygodni, jeśli nie spadł deszcz. Dlatego właśnie cmentarze potrzebują trwałych ogrodzeń – z kamienia, stali lub żelaza.

Miałem przed sobą co najmniej dziesięć pozornych okręgów, wyznaczanych białą pomników i liniami drzew, ale żaden nie był aktywny. Między nagrobkami rosły sosny i świerki, których korzenie przecinały kręgi. Do tego na trawie przy alejce widziałem ślady dzików i saren.

Odwróciłem się, szukając wzrokiem Sępa. Czerń jego kurtki zamajaczyła mi między sosnami. Nie szedł za mną, ale wyglądało na to, że postanowił obejść najszerszy, zewnętrzny krąg cmentarza.

– Ziemek, poczekaj tu, nie idź za mną, dobra? Nie wiem, z czym mam do czynienia, jeśli coś mnie powali, wołaj Sępa – poprosiłem.

Oby nie były to moje ostatnie słowa.

Kilkanaście metrów od środkowego pola opór powietrza był już uciążliwy. Oddech zamarzał i osiadał szronem na ustach, a lodowaty wiatr rozdzierał mi poły płaszcz i kasał skórę. Nagle, gdy byłem w odległości czterech kręgów od centralnego punktu cmentarza, rozległ się wysoki dźwięk – tak jakbym minął jakąś barierę wyciszającą, choć nie poczułem żadnej aktywności. Hałas był nie z tej ziemi, dosłownie. Upiorne wycie wnikało w czaszkę i intuicja wrzeszczała, bym zawracał, uciekał, schował się gdzieś, gdzie jest ciepło i życie.

Nagle je zobaczyłem. Wyłoniły się z błękitnego wiru z całą makabrą, na jaką było je stać. A upasione eterem miały nieograniczone możliwości.

Nigdy nie widziałem aż tyle. Były ich setki, może tysiące, gęsta platanina upiornych ciał, zdeformowanych bólem i wściekłością. W samym centrum wznosiła się wieża Babel zbudowana z duchów. Niektóre wspinały się po mglistych ciałach innych, jakby na szczycie czekała je nagroda. Zły znak – były bowiem na tyle upasione eterem, by ich gęstość pozwalała im to zrobić. Wrzeszczeli, wszyscy wrzeszczeli. Od upiornej kolumny niosło się przeciągłe wycie, pełne zwierzęcych emocji i najczystszy gniewu. Niektóre z duchów kłębiły się oszołomione, w ich wzroku widziałem już tylko szaleństwo i pustkę. Kilka było zapętlonych. Widziałem ostatnie chwile rozstrzelanych, słyszałem zduszony krzyk zakopanego żywcem.

Bogowie, miejcie mnie w opiece! Tego było za dużo, za silne emocje, zbyt wiele zimna. Błękitne pasma eteru lizały mnie po skórze, zwykle chłodne w porównaniu z zimnem śmierci zdawały się niemal gorące. Cały się trząsałem, mimo to parłem do przodu. Przeciskałem się między przerażająco namacalnymi duchami w mundurach i szarych obozowych szmatach, półnagimi, bosymi, wychudzonymi, z zapadniętymi twarzami i oczodołami wypełnionymi lśniącem szaleństwem.

Gdzieś tam, jeśli wierzyć wizji, była ona. Mała dziewczynka w kraciastym płaszczyku. Zanosilem się kaszlem. Płuca mi krwawiły od kryształów lodu.

Potknąłem się i upadłem na kolana. Nagle duchy znalazły się na mnie, przygniatały mnie, wyciskały ze mnie resztki powietrza. Odpychałem je, niemrawo wstając, kopałem,

by odzyskać odrobinę przestrzeni. Lodowate palce zacisnęły mi się na szyi... cholera jasna!

I nagle znów mogłem oddychać. Coś gorącego było tak blisko, że zimno częściowo ustąpiło. Poczułem, że ktoś mnie łapie za ramię i ciągnie w górę. Znów mogłem stać. W wirze duchów i eteru przez chwilę nic nie widziałem, ale po paru uderzeniach serca miałem już pewność – to był Sęp.

Wydawał się większy, nieludzki, z czarnymi oczami bez białek, z brązową aurą rozlewającą się jak poświata. Emanował magią i wściekłością.

– Trzymasz się? – warknął.

Skinąłem głową i zaniosłem się kaszlem.

– Zabierz ją ze środka. Zajmę się nimi. Będą próbowały ją zatrzymać.

– Dlaczego? Po co im ona?

– Dała im wszystko to, co widzisz. Otworzyła bramę, przefiltrowała eter. Dała im siłę i materialność, by wyrazić wściekłość przemocą. Nie mamy wiele czasu. Jeśli się rozpełzną po mieście, będziesz miał apokalipsę.

Bogowie.

– Myślałem, że one próbują się dostać w Zaświaty – powiedziałem, pokazując te, które wspinały się po plecach innych.

– Idą się naładować. Potem wrócą. Silniejsze.

– Skąd wiesz? – Chciałem, by się mylił.

– Nie słyszysz? Śpiewają o krwi, która obmyje ulice.

Pokręciłem głową. Nie rozumiałem ich. Strzępy słów, jakie do mnie docierały, były wypowiedane po rosyjsku. Nigdy nie nauczyłem się tego języka.

– Nie czekaj na mnie – powiedział. – Zabierz małą. I popędź Harfiarkę. Bez niej jesteśmy w dupie.

– Może odniosę Kurczaczka do samochodu, wrócę i zaczniemy je odsyłać? Mam w plecaku zioła, bransoletkę...

– Witkacy, ich jest ponad pięć tysięcy, ciągle przybywa. Dalibyśmy radę, gdyby były przyjaznymi duchami, które chcą przejść i są wdzięczne za pomoc, ale one z każdą sekundą są bardziej upiorami niż duchami. Potrzebujemy Harfiarki! Zabierz małą i ściągnij Harfiarkę. Ja je przytrzymam.

Nie miałem pojęcia, jak zamierza to zrobić. Było ich przecież pięć tysięcy! Ale jeśli sytuacja się pogarszała, nie mogłem już zwlekać. Musiałem wydostać córkę z samego serca tego piekła.

Sęp pomagał mi się przepchnąć. Torował drogę łokciami i pięściami.

Wreszcie w błękicie eteru błysnęła czerwień glanów. Kurczaczek, skulona w pozycji płodowej, była zupełnie nieruchoma. Dopchałem się do niej i dotknąłem jej twarzy – zimnej, z sinymi ustami i zamkniętymi oczyma. Nagle do mnie dotarło – jej tu nie było. Było ciało. Puste.

– Sęp, ona nie żyje! – krzyknąłem zrozpaczony.

– Zabierz ją stąd. Żyje, tylko jest równie głupia jak ty – warknął.

Dźwignąłem Kurczaczka, prostując się z trudem. Ważyła może pięćdziesiąt kilo, ale ja nie byłem największym mięśniakiem w okolicy. Poprawiłem uchwyt na

bezwładnym ciele. Sęp owinał jej rękę wokół mojego karku, ale zaraz opadła na moje plecy. Przykucnąłem i przetoczyłem sobie małą na ramię – dzięki temu miałem większe szanse na wyniesienie jej stąd w jednym kawałku.

Szedłem, krok za krokiem, podążając za Sępem, który jak taran przepychał się przez tłum.

Duchy już zauważyły, że zabieram im klucz do Zaświatów. W ich głuchych powarkiwaniach kipiała agresja.

– Nie dotykaj mnie teraz! – krzyknął Sęp i przemienił się w ułamku chwili.

Był większy niż sęp, którego pamiętałem. Ruchem potężnych, mierzących dobre sześć metrów rozpiętości skrzydeł rozbijał powietrze i przewracał duchy. Łopocząc skrzydłami z hukiem, który brzmiał prawie jak dźwięk wydawany przez helikopter, gładko uniósł się w górę. Jego czerwona szyja wyglądała jak zakrwawiona i pokryta pęcherzami. Dziób lśnił czystym srebrem, pióra były czarno-białe. Gdy pokazał mi się pierwszy raz, wyglądał jak sęp płowy. Teraz zrozumiałem, że to było przebranie – jedno z wielu.

Otworzył dziób, wydając z siebie upiorny skrzek. I nagle wszystko zalało światło. Przymknąłem powieki, porażony jasnością, a duchy w jednej chwili umilkły, zamarły, jakby zdołał zamrozić je w czasie. Pałace zimno zmałało pod naporem dziwnego promieniowania. Nie umiałem powiedzieć, czy światło wydostawało się z Sępa, czy przywołał je z drugiej strony bramy, ale było niczym potężny słup łączący niebo i ziemię.

Kim on, u diaska, był?

Szedłem dalej, przytrzymując uda Kurczaczka, by nie zsunęła mi się z barku. Jedno jej ramię owinałem sobie wokół talii, drugie wisiało luźno, objając mi się o nogę. Każdy krok przywodził na myśl brodzenie w płynnym betonie.

I nagle znalazłem się poza czwartym kręgiem, poza gęstwiną duchów. Powietrze wciąż było chłodne, ale już nie pokrywało mi warg szronem. Dostrzegłem Ziemka, który nie wytrzymał i dotarł dalej, niż powinien, prawie na krawędź aktywności duchów.

– Żyje? – zapytał cicho. Widziałem, że twarz ma mokrą od łez, których pewnie będzie się wstydził. Jak ja swoich, zamarzających mi na skórze.

– Nie wiem – powiedziałem.

Przy bramie czekali Nissim i Konstancja. Półanioł przejął ode mnie Kurczaczka i ruszył w kierunku samochodu. Odwróciłem się w stronę cmentarza. Jasność wciąż łączyła niebo i ziemię. Sęp kołował wokół wieży z duchów, trzymając je w ryzach. Nie wiedziałem, ile wytrzyma, ale miałem nadzieję, że wystarczająco długo.

Przeszukałem kieszenie, zanim przypomniałem sobie, że oddałem komórkę Konstancji, która już poszła za Nissimem do samochodu.

Rozdział 12



Nie chciałem jej widzieć w takim stanie. Nie mogłem. Coś paliło mnie pod mostkiem, stukało, ścisnęło, jakbym zaraz miał zejść na zawał. Racjonalna część mózgu próbowała nazywać rzeczy po imieniu. To nie była moja córka. To było tylko jej ciało. A jeśli po kimś zostaje tylko ciało... Zapaliłem papierosa i mocno się zaciągnąłem, tak jakby dym mógł powstrzymać cisnące się na usta słowo.

Nie zabraliśmy jej do szpitala. Nie było sensu – tam nie mieliby wątpliwości, jak nazwać stan, w którym ciało nie reaguje, właściwie nie oddycha. Konstancja trzymała lusterko przy ustach małej kilkadziesiąt sekund, nim pojawiła się minimalna mgiełka, lecz być może to skraplały się nasze marzenia, nie jej oddech. Tętna szukała jeszcze dłużej. W końcu rzuciła coś o nitkowatym i słabym, ale obecnym. Nie wiem, nie mogłem się przemóc, by jej dotknąć. Nie po tym, gdy niosąc ją z cmentarza, czułem, jaka jest lodowata. Bardziej przypominała marmurową figurynkę niż żywe dziecko.

Więc paliłem. Gdy kończył się jeden papieros, odpalałem od niego kolejnego. Kilka miesięcy temu nieco ograniczyłem liczbę wypalanych dziennie papierosów – tych normalnych i tych z autorską mieszanką tytoniu, ziół i trawki. Zrobiłem to na wyraźną prośbę Kurczaczka, która właśnie tego sobie zażyczyła, gdy zapytałem, co chciałaby ode mnie na święta. Więc spróbowałem i nawet nieźle mi szło. Jednak teraz, mając do wyboru papierosy albo wrzask i przeklinanie bóstw, postanowiłem po prostu otumanić się nikotyną. Nieznacznie mnie uspokajała.

Nissim udostępnił nam pokój w części internatowej szkoły – jasny, przestronny, świeżo wykończony. Małej pewnie by się spodobał. Spodoba się, jeśli się obudzi... kiedy się obudzi. Cholera. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Moje pole manewru ograniczało się do ułożenia jej wygodnie, obłożenia kupionymi w Thornie kamieniami i zmówienia krótkiej modlitwy do przodków. Za mało. Kamień pożyczony wczoraj od Sępa i duży obsydian ułożyłem na poduszce, koło głowy Kurczaczka, nie mając pojęcia, czy właśnie to powinienem zrobić. Wczoraj sprawdziłem swoją biblioteczkę, ale nie znalazłem tam nic o kamieniach, z kolei w Internecie natknąłem się na taką tonę gówna, że sam już nie wiedziałem, jak odróżnić prawdę od fikcji i fantazji dziewcząt spod znaku Ery Wodnika. Musiałem się cholernie wiele nauczyć. I miałem nadzieję, że starczy mi na to czasu.

Pozostanie w pokoju było ponad moje siły. Kiedy wychodziłem, Konstancja trzymała Kurczaczka za rękę i nieustannie do niej mówiła. Nie wiem, czy miała nadzieję, że mała ją słyszy, czy potrzebowała słyszeć własny głos, by mieć nadzieję, że dialog wciąż

jest możliwy. Że nie nastał czas brzęczącej ciszy. Do mnie nie odezwała się nawet słowem. W pewien sposób mi to pasowało.

Nie potrafiłem czekać. Czuję się winny, tak cholernie winny. I bezradny. Zwłaszcza że chodziło nie tylko o życie Kurczaczka, ale i los całego miasta. Nie potrafiłem pomóc w żadnym z przypadków. Potrzebowałem pomocy, a Harfiarka nie odbierała telefonu. Dzwoniłem do niej piętnaście razy i zostawiłem piętnaście wiadomości na poczcie głosowej. Jej spokojny i melodyjny głos na nagraniu doprowadzał mnie do szału. Tym bardziej że nie wiedziałem, kiedy odsłucha moje wiadomości ani czy jest w realnym mieście, czy w alternatywnym. Umawialiśmy się na jutro. Wiedziałem, że ma coś jeszcze do skończenia, lecz nie znałem żadnych szczegółów.

Czy powinienem jechać na cmentarz, do Sępa? Tylko jak niby miałbym mu pomóc? To, z czym się tam zetknąłem, było dla mnie obce, nowe i przerażające. Rzucenie się w wir upiorów i eteru jest widowiskową formą samobójstwa, ale nie widziałem, jak miałyby to pomóc Sępowi i ochronić miasto. Nie wspominając już o tym, jak miałyby to pomóc Kurczaczekowi.

Ręce mi się trzęsły na samo wspomnienie energii bijącej od duchów. Być może wkrótce wszyscy dołączymy do Kurczaczka – bo jeśli wzmocnią się na tyle, by ruszyć w miasto, niewiele będę mógł zrobić. Dam radę dopadać je pojedynczo, rysować krąg, odsyłać uniwersalną melodią, ale jakie osiągnę tempo? Dwóch na godzinę? Trzech, jeśli przedawkuję skrót. Na ilu mi starczy energii? Mój rekord dzienny to trzydzieści sześć duchów odesłanych w trzech osobnych rytuałach. Gdy się z nimi uporałem, padłem nieprzytomny na półtorej doby. Sęp wspominał o pięciu tysiącach duchów i potencjalnych posiłkach.

Kurwa.

Jakiś czas temu Nissim zapytał, jak wygląda sytuacja. Powiedziałem szczerze – źle. Nie potrafiłem mu nawet zarysować tego, co może się stać, jeśli tysiące agresywnych duchów wyrwą się na wolność. Ile osób zdołają opętać czy zabić, do jak wielu wypadków doprowadzić w pierwsze dwadzieścia cztery godziny? Jeśli istniał jakiś wzór, by to wyliczyć, nie znałem go. Mogłem tylko podać przybliżoną liczbę: w cholerę.

Sięgnąłem po kolejnego papierosa. Palłem też między innymi po to, by mieć usprawiedliwienie do przebywania na zewnątrz. Oprócz widoku mojej małej dziewczynki, bladej i zimnej, nie mogłem też znieść spojrzenia Konstancji i wyrzutu w jej sarnich oczach. Łez. Zduszonego szlochu. Tego, że nagle wydawała się tak drobna i krucha. Wciąż czekała, aż dokonam cudu, bo przecież władam magią, prawda? Czy cuda nie są częścią mojego pola ekspertyzy?

Więc palłem, czekając, aż się ten cud wydarzy. Wyobraźnia uczynnie podsuwała mi kolejne scenariusze. Na przykład taki: Sęp pojawi się i oświadczy, że po problemie, bo zapomniał mi nadmienić o swoim boskim pochodzeniu i już sobie poradził z tysiącami duchów formujących naćpany eterem rój. Nie zdziwiłbym się, nie rzuciłbym mu w twarz, że pierdoli jak potłuczony. I nigdy więcej nie protestowałbym, kiedy wbijałby się na moją kanapę, by oglądać moją kablówkę. Żarcia też bym mu nie żałował. Mógłbym go nawet troszkę czcić.

A jednak, mimo tego dziwnego numeru ze światłem, nie podejrzewałem go

o boskość czy umiejętność radzenia sobie z taką sytuacją. Pamiętałem panikę w jego oczach i błaganie, bym szybko sprowadził posiłki.

Raz jeszcze wyciągnąłem komórkę, zastanawiając się, czy dostanę jakiś sygnał, że wiadomości dotarły, a nie odbiły się o bramę alternatywnego miasta. Przydałby się taki komunikat: „Abonent, do którego dzwonicz, aktualnie przebywa w alternatywnym świecie lub Zaświatach. Zadzwoń później lub skorzystaj z magicznych form komunikacji, takich jak lustro, tafle gładkiej wody czy telepatia. Nie polecamy gołębi pocztowych ze względu na zmiennokształtnych, którzy na nie polują. Życzymy miłego dnia i przykro nam, że masz przejebane”.

I nagle aparat, który trzymałem w dłoni, rozdzwonił się natarczywie. Na widok nadawcy ogarnęła mnie bezbrzeżna ulga.

– Powiedz, że jesteś już w drodze!

Miałem ściśnięte gardło. Bo przecież mogła odpowiedzieć, że jest na drugim końcu Polski i będzie, jak się umawialiśmy, jutro, raczej wieczorem, bo musi znaleźć opiekunkę dla myszokoczków. Nie wiem, dlaczego w mojej spanikowanej wyobraźni hodowała właśnie gryzonie.

Szcześliwie byłem dupą, nie prorokiem, bo Harfiarka powiedziała:

– Ruszyłam, gdy tylko przeczytałam twoją wiadomość. Będę za godzinę, może wcześniej, jeśli nie będzie korków. Powiedz mi dokładnie, z czym mamy do czynienia? Wiadomości, które zostawiłeś były... – odchrząknęła – nieco chaotyczne.

Brawo dla mistrzyni dyplomacji.

Odetchnąłem głęboko, sięgnąłem po resztki poczytalności, które przyczaiły się, by przeczekać falę paniki, po czym opowiedziałem, co zastaliśmy z Sępem na cmentarzu czerwonoarmistów i w jakim stanie jest Kurczaczek.

– Jak zareagował Sęp? – zapytała.

– Zmienił się w wielkiego czarno-białego sępa, świecił jak latarnia morska i błagał, bym przyprowadził posiłki. W skali od jeden do dziesięciu, na ile go znam, oceniam to na dwanaście.

– Pięknie – skomentowała, a ja nie znałem jej dość, by zinterpretować to słowo jako pochwałę.

– Czy to jest ten moment, kiedy w filmie zaczynają ewakuować miasto? – zapytałem.

– Sęp zwykle wie, co robi. Jest dupkiem, ale potrafi walczyć z potworami. Dobra, musisz przygotować kilka rzeczy, to przyspieszy proces. Spotkamy się od razu na cmentarzu.

– Kurczaczek jest nieprzytomna. Myślę... że ciało jest puste – powiedziałem, wciąż unikając pasującego słowa.

Po chwili milczenia powiedziała:

– Witkacy, rozumiem twój ból, naprawdę. Ale w tym momencie muszę wybierać między dobrem dwustutysięcznego miasta a jednej dziewczynki, nawet jeśli dla kogoś jest ona całym światem. Jedyne, co możesz dla niej teraz zrobić, to obłożyć ją kamieniami mocy. Zajmiemy się nią, kiedy tylko załatwimy sprawę z duchami.

– Nie podoba mi się ta kolejność – odparłem głucho.

– Nie podobałoby ci się też, gdybyśmy zajęli się nią, a okolicę zalałaby fala upiórów. Zaufaj mi, robimy to, co słuszne.

– Co mam przygotować? – zapytałem niechętnie.

Wymieniła składniki podstawowych zaklęć ochronnych, które mogłem kupić w pobliskim markecie; część zresztą miałem nawet w plecaku. Nagle poczułem się lepiej – bo oto pojawił się ktoś, kto zarządzał całą tą sytuacją i wiedział, co robić.

Być może za długo pracowałem z Dorą Wilk i przywykłem do tego, że mam obok siebie kogoś lepiej ode mnie ogarniającego temat i umiejącego nas wydostać z dowolnego gówna.



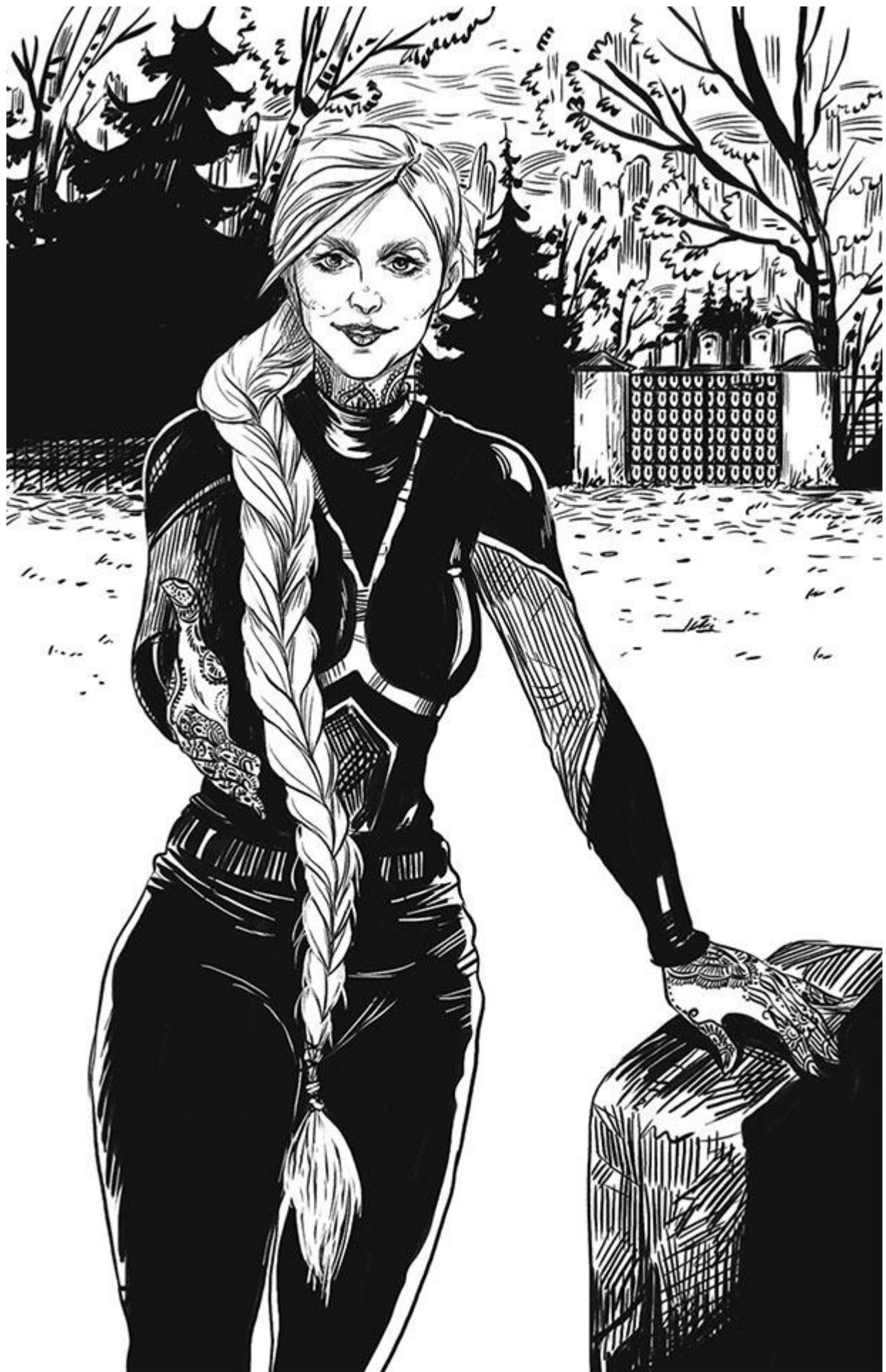
Nie wiem, czego się spodziewałem, czekając na nią przy pomniku przed cmentarzem. Pewnie miałem jakieś wyobrażenie, dość standardowe, szamanki i harfiarki, a przecież tylko tyle o niej wiedziałem. Głos był młody, więc zakładałem, że jest koło trzydziestki, ale słuch bywa omylny, zwłaszcza gdy rozmawia się z kimś przez telefon.

Jakie by moje wyobrażenie nie było, zderzyło się z Harfiarką jak mucha z pędzącym motocyklistą.

Co w sumie nieźle pasuje.

Gdy podjechała na parking na sportowym ścigaczu, w szaro-czerwonym kombinezonie, nawet nie pomyślałem, że to może być ona. Wypatrywałem... sam nie wiem. Tico? Rydwanu zaprzęzonego w koty? Volkswagena garbusa w różowe groszki? Zajęło mi kilkanaście sekund zrozumienie, co jest w wielkim futerał na jej plecach. W tym czasie minęła mnie gładko, balansując ciałem i futerałem w płynnym skręcie. Zaparkowała tuż za pomnikiem, by maszyna nie była widoczna z ulicy.

Gdy do niej podszedłem, zdążyła już zsiąść z motocykla. Poluzowała paski pokrowca na plecach i ostrożnie zaczęła go zsuwać na ziemię. Odruchowo skoczyłem do przodu, żeby jej pomóc – zapomniawszy, że dźwigam reklamówki z zakupami, które mi zleciła – ale wstrzymała mnie ruchem ręki. Nie odezwała się. Ja, z jakiegoś powodu, również nie, tak jakbym musiał czekać na pozwolenie, zanim wydam z siebie dźwięk. Nie rozumiałem dlaczego, ale czułem wobec Harfiarki jakiś trudny do opisania respekt. Być może reagowałbym tak na każdego, o kim Sęp mówił w taki sposób – jakby był nowym wcieleniem Mesjasza. A może to jej magia kazała mi zachować dystans?



Harfiarka postawiła pakunek u swych stóp i ściągnęła kask; w lustrzanej szybce mignęło odbicie mojej oszołomionej twarzy. Pod kaskiem miała czerwony bawełniany czepeczek. Gdy go zdjęła, warkocz okręcony wokół głowy opadł wzdłuż jej smukłego ciała. Sięgał aż do kolan. Przez chwilę myślałem, że jest platynową blondynką, ale nie – była siwa. Rozpięła kurtkę i wyplątała się z goreteksu. Pod spodem miała dopasowany trykot z tych funkcjonalnych czy termicznych, nie umiałem rozróżnić. Srebrno-czarny, wyglądający jak supernowoczesna odmiana zbroi.

Kobieta przystąpiła do rozciągania. Zaczęła od rąk i klatki piersiowej, następnie wykonała głęboki skłon. Objęła łydki przedramionami, czołem dotykając kolan. Wytrzymała w pozycji minutę, a gdy się wyprostowała, wypuściła powietrze ze świstem.

– No, tak lepiej. Po jeździe, a przed grą zawsze lepiej się rozciągnąć. Nie wiadomo, ile potrwa zabawa. Głupio byłoby przerwać w jakimś ważnym momencie z powodu skurczu – powiedziała i uśmiechnęła się lekko. Wyciągnęła dłoń o niezwykle długich i wypilowanych ostro paznokciach. – Harfiarka. Miło mi cię wreszcie poznać, Witkacy. Masz wszystko?

Uścisnąłem dłoń, próbując ogarnąć w głowie wszystkie kontrasty. Między moimi oczekiwaniami i rzeczywistością, to raz, ale przede wszystkim ona sama w sobie zdawała się uosobieniem sprzeczności. Dłonie udekorowała henną. Misterne wzory oplatały każdy palec, paznokcie były ciemniejsze, jednolicie rdzawe. Duże, rzucające się w oczy pierścionki z kamiennymi oczkami kontrastowały z nowoczesną koszulką, kombinezonem na szelkach i ścigaczem. Było w niej coś retro. Bez trudu mogłem sobie ją wyobrazić w gorsecie i krynolinie, jeżdżącą konno w damskim siodle. Jednocześnie ten ścigacz i nowoczesny kombinezon sprawiały, że wyglądała wręcz komiksowo. I pasowały do niej doskonale.

Zawsze gdy poznawałem nowego magicznego, próbowałem go przyporządkować do jakiejś kategorii. Oswoić obcość moją własną etykietką. Czasami wystarczało mi określenie, czy stanowi dla mnie zagrożenie, czy nie. Lecz Harfiarki nie byłem w stanie wrzucić do żadnej szufladki. Nie mieściła się. Jak magia, która buzowała w jej aurze mocniej niż u jakiejkolwiek napotkanej przeze mnie osoby. Jakby Harfiarka nie tyle nosiła w sobie magię, ale... sama nią była.

Na dodatek jakaś część mnie intuicyjnie jej ufała i to mnie przerażało. Bo czy rzeczywiście była godna zaufania, czy też ja chciałem, by się taka okazała? A może wierzyłem jej pod wpływem magii? Gdybym wiedział, z kim dokładnie mam do czynienia, zapewne byłoby mi łatwiej. Sądziłem, że jest szamanką, jak Kurczaczek. Bardziej jednak przypominała Sępa.

Swędział mnie kark – jak zawsze, gdy byłem w pobliżu kogoś, kto mógłby zabić mnie kichnięciem.

– Nie jesteś zbyt gadatliwy, prawda? – Znów się uśmiechnęła łagodnie.

– Nie bardzo. W stresie mam do powiedzenia nawet mniej.

– Więc chodźmy rozwiązać stresujący cię problem, bo potem będzie tylko gorzej. Nie naciskała. Punkt dla niej.

Dźwignęła futerał, a gdy zapytałem, czy nie potrzebuje pomocy, odparła:

– Za krótko się znamy, bym powierzyła ci los mojej żony. – Roześmiała się, widząc moją minę. – Harfiarza i jego harfę łączy więź. Na czym ty grasz?

Zagrzechotałem bransoletką, czując się jak dzieciak, który potrząsa wypełnioną grochem puszką po coli przy muzyku pracującym w filharmonii.

– No tak, wciąż unikasz inicjacji – rzuciła bez związku, gdy szliśmy do cmentarnej bramy.

– Twoje włosy... przed inicjacją też takie były? – zapytałem.

Pokręciła głową. Siwy warkocz zakołysał się i objął lekko o udo przy każdym kroku. Schwyciła go i owinęła wokół szyi jak sznur koralu.

Jaką traumą musiała być inicjacja, skoro osiwiła w ciągu nocy? Właściwie nie miałem nic przeciwko mojej bransoletce. Jeśli będzie trzeba, zrobię sobie też grzechotkę z puszek i grochu.

Gdy tylko minęliśmy bramę, zatrzasnęła się za nami. Co prawda nie zamykało to żadnego kręgu, ale może liczyła się intencja.

Duchy były głośniejsze niż jeszcze godzinę temu – ich przeciągłe wycie, na wpół opętane wrzaski i gniewne pomruki przypominały odgłosy burzy. Było ich też znacznie więcej. Z lasu wyłaniały się kolejne. Wszystkie ciągnęły do środka – do małego okrągłego placzyku będącego centralnym punktem cmentarza. Miejsca, w którym jeszcze niedawno leżała moja córka.

Wir duchów sięgał do czwartego rzędu pomników. I nie mieliśmy już do czynienia z przejrzystymi, ulotnymi zjawami. Upasione eterem były dość wyraźne, bym widział rysy ich twarzy, szczegóły noszonych kiedyś ubrań – głównie mundurów.

Nigdy dotąd nie widziałem nic bardziej przerażającego. Próbowałem skupić się na jednym, kilku, by nie widzieć potopu lśniących eterem istnień. Jak, u diabła, zdołamy pozbyć się ich wszystkich?

Nigdzie nie widziałem Sępa, więc podejrzewałem najgorsze. Harfiarka długo wpatrywała się w niebo, wreszcie uniosła rękę, pomachała. Użyłem znaku widzenia. I dopiero wtedy go zobaczyłem – unosił się wysoko, na poziomie chmur. Utrzymywał się w powietrzu oszczędnymi ruchami skrzydeł i zagradzał duchom dostęp do bramy.

– No i pięknie. Musisz ustawić krąg – oświadczyła – na wypadek gdyby mnie się jednak nie udało. Sęp długo już nie wytrzyma. Potrzebujemy kręgu, gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót.

– I co ja mam niby z tym zrobić, jeśli ty i on padniecie? – zapytałem z irytacją.

– Zadzwońisz do Jeźdźca Burzy i zaczniesz się modlić, by przyszli po ciebie Przedwieczni i załatwili sprawę.

– Brzmi jak plan – burknąłem i zabrałem się do pracy.

Okrągłe, podwójne lustreczka, zamykające się w puzderko – śliczny gadżet do damskiej torebki – świetnie nadawały się do ustawiania kręgów odbicia. Już kiedyś takich używałem, ale nigdy stu dwudziestu siedmiu naraz. Tyle było w sklepie i magazynie, miałem nadzieję, że wystarczy. Mogłem ustawiać je w odległości do dwóch metrów, skoro miałem sól, świetnie nadającą się do wzmocnienia połączenia między nimi, i kolorową kredę do oznaczenia nagrobków sigilami.

Uznałem, że szósty rząd nagrobków jest wystarczająco blisko środka, by zamknąć

zdecydowaną większość duchów w kręgu. Gdybym ustawił go na samej krawędzi cmentarza, wyłapałbym maruderów, ale raz, że zabrakłoby mi lusterek, a dwa – na obwodzie odległość między pomnikami była zbyt duża.

Z chwilą, gdy przestałem się zbliżać do środka cmentarza, duchy straciły mną zainteresowanie. Rozkładałem lusterka na pomnikach, ustawiając je tak, by odbijały obraz tych z sąsiednich nagrobków. Między nimi rysowałem prosty sigil zamknięcia i usypywałem wąską ścieżkę soli. Każdy z pomników naznaczyłem różową kropką, by włączyć je do kręgu. Mały krąg wystarczy wyrysować kredą czy patykiem w piachu, ale tej wielkości potrzebuje wzmocnienia, by nie załamał się przy pierwszym ataku tego, co chcemy zamknąć w środku.

Harfiarka wyciągnęła swój instrument i zaczęła go stroić. Kątem oka widziałem, jak manipuluje przy strunach kluczem, i pomyślałem, że nigdy nie będę szamanem, którego inni wzywają na ratunek: „Witkacy, tylko ty możesz nam pomóc dzięki swojej tandetnej bransoletce ze sklepu indyjskiego!”.

Gdy Harfiarka zaczęła grać, prawie zapomniałem o lusterkach, wyznaczaniu kręgu i duchach. Dźwięk był wysoki, metaliczny, jakby nieśmiały. Czasami pozwalala mu wybrzmieć, innym razem wyciszała go dłonią. A potem jej palce zaczęły trącać kolejne struny szybciej i szybciej, aż z pojedynczych dźwięków, przeplatanych brzęczącą ciszą, wyłoniła się melodia. Nie rozpoznawałem jej, ale przeczułem, że to kołysanka – było w niej coś uspokajającego. Harfiarka śpiewała w nieznanym mi języku. Przypuszczałem, że to gaelicki, w każdym razie brzmiał tak, jakby elfy recytowały poezję gnomów.

O czymkolwiek była ta pieśń – działała. Duchy wpatrywały się w kobietę jak w najśłodszy z deserów. Z lasu wychodziły kolejne, zwabione kojącymi dźwiękami. Wkrótce większość z nich znalazła się po drugiej stronie wyznaczonego przeze mnie kręgu.

Sęp spadł z nieba nagle, dwa kroki ode mnie, i tuż nad ziemią przybrał ludzką formę. Wyglądał na wyczerpanego. Twarz miał szczuplejszą, policzki zapadnięte, oczy podkrążone. Zabawa światłem musiała go kosztować sporo energii.

– Co to właściwie było? – zapytałem, ustawiając kolejne lusterko. Pochyliłem się, by sprawdzić, czy odbicia układają się właściwie.

Sęp zabrał reklamówkę z solą i zaczął sypać wąski paseczek między pomnikami. Był równie rozmowny jak zwykle, kiedy pytałem go o cokolwiek magicznego. Może powinienem nosić w kieszeniach zdjęcia kotków.

– Jestem już tym zmęczony, Sępie. Naprawdę mam dość – powiedziałem, starannie rysując sigile i różowe kropki na dwóch kolejnych pomnikach, które Sęp łączył liniami z soli. – Myślę, że gdy się z tym uporamy, każdy z nas powinien pójść własną drogą.

Milczał, więc kontynuowałem, mówiąc to, co już dawno powinienem mu powiedzieć:

– Nie widzę sensu w przedłużaniu tej farsy. Tu nie chodzi tylko o to, że ja mogę zgiąć przez własną głupotę. Nie jestem już odpowiedzialny jedynie za swoją, niewiele wartą, dupę. Potrzebuję się uczyć, potrzebuję wiedzieć i rozumieć, jeśli dzięki temu zdołam chronić córkę. O ile będę jeszcze miał kogo chronić...

– To były okrucy słońca – powiedział nieoczekiwanie. – Zachomikowałem je jakiś

czas temu. Przydają się w walce ze stworzeniami ciemności, a magia śmierci związana jest z ciemnością.

Zatkało mnie. Myślałem, że skończył, ale unikając mojego spojrzenia, dodał:

– Nie zdołasz ich zgromadzić. Zbyt wiele w tobie człowieka.

– A ty? Kim ty jesteś? – zapytałem, korzystając z okazji.

– Jestem z tych, którzy byli tu, gdy pojawili się pierwsi ludzie.

– Jesteś bóstwem?

– Dla bardzo nielicznych. Możemy wrócić do roboty? Śpiewa już drugą kołysankę, a wciąż czuję ich wściekłość. Nie wiem, być może to nie zadziała tak dobrze, jak byśmy chcieli.

Nie zapytałem, czy ma plan B. Jego wylewność musiała być oznaką chwilowej niepoczytalności.

Jednak pół godziny później, gdy zamknęliśmy krąg, rysując linię z soli i kredy, przecinającą ścieżkę, i łącząc lusterka po obu jej stronach, Harfiarka miała je już pod kontrolą. Niektóre kiwały się monotonicznie, jak w transie, innym potrzebna było jeszcze trochę czasu, ale poziom agresji spadł drastycznie.

Harfiarka umilkła, lecz tylko na chwilę. Podciągnęła kluczem jedną ze strun. Kolejna kołysanka, choć nie rozumiałem słów, przywołała mi na myśl spokojne morze i selkie wygrzewające się na swoich foczych skórach. Duchom podobała się na tyle, że kołysały się już wszystkie, niektóre z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem.

– Jest jeszcze lepsza, niż zapamiętałem – mruknął Sęp.

Coś w jego głosie wzbudziło moje podejrzenie.

– Ona jest taka jak ty? – zapytałem.

– Nie ma takich jak ja.

– Też jest ptakiem? – strześliłem.

– Ona? Przecież na kilometr czuć ją kotem. – Uśmiechnął się złośliwie. – No dobra, dosyć pogaduszek, teraz nasza kolej – powiedział, gdy Harfiarka umilkła. – Otworzę bramę, ty przywołaj schody. Są już naprانی eterem, jeśli zaczniesz grać im odesłanie, wibracje powinny załatwić sprawę.

– Tak po prostu?

– Tak myślę. Nie mam co prawda wielkiego doświadczenia z duchami ofiar faszyzmu, ale na ofiary Azteków działało.

Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że nie wiem o nim kompletnie nic.

Usiadłem po turecku na ścieżce. Zapaliłem stożkowe kadzidło i ustawiłem je przed sobą. Papierosy skończyły mi się, gdy czekałem na Harfiarkę, ale kadzidło powinno wystarczyć, skoro brama pozostawała uchylona i cała okolica zalana była eterem.

Oczyściłem umysł i przywołałem w myślach Zaświaty. Widziałem zmierzającą w stronę bramy potężną, czarno-białą sylwetkę Sępa. Przywołałem schody. Podobno każdy szaman widzi je inaczej. Moje były przejrzyste jak ze szkła, z eteryczną mgłą wygładzającą ostre krawędzie.

Jak wspominałem, nigdy nie odsyłałem więcej niż kilka, kilkanaście duchów naraz. Jak więc miałem wpłynąć na kilka tysięcy, tak by poczuły wezwanie Zaświatów? Zamknąłem oczy i skupiłem się na cichej melodii, którą wciąż grała Harfiarka.

I usłyszałem. Jak tętno. Pomruk burzy, choć cichy, rozbrzmiewał nieustannie. Zdjąłem bransoletkę i zacząłem uderzać nią o dłoń jak grzechotką – mocno, rytmicznie, aż rozboleła mnie ręka, a pojedyncze dźwięki zlały się w dziwny transowy rytm. Dobiegł mnie wysoki, wibrujący dźwięk. Brama właśnie otworzyła się szeroko.

Rozległo się szuranie. Szelesty. Stąpanie. Nieznacznie uniosłem powieki, by zobaczyć jedną z najdziwniejszych rzeczy, z jakimi kiedykolwiek się zetknąłem.

Szli szeregiem, prawie jak w wierszu Gałczyńskiego o żołnierzach z Westerplatte. Po ośmiu, dziesięciu w jednym rzędzie, bo tylu mieściło się na jednym stopniu. Spokojni. Pogodzeni. Jakby im ulżyło. W szeroko otwartej bramie pojawiła się czyjaś sylwetka. Nie widziałem szczegółów, ale myślę, że była to kobieta. Witła ich, a oni cieszyli się na jej widok. Idąc ku niej, potykali się na schodach, niektórzy unosili się i próbowali czym prędzej dolecieć do bramy.

To trwało i trwało – tylu ich było. Straciłem poczucie czasu, ręka zupełnie mi zdrętwiała. Mimo to uderzałem bransoletką o poczerwieniałą dłoń, bojąc się przerwać, dopóki ostatni z duchów nie przejdzie przez bramę. Mocniej niż do tej pory uświadomiłem sobie, ilu ludzi poniosło śmierć w tym miejscu – brutalną i bezsensowną. Nic dziwnego, że byli tacy wściekli. Odmówiono im nawet pochówku, który zapewniłby im spokój. Przez ponad siedemdziesiąt lat musieli czuwać, czekać, trwać zawieszaniu.

Jeśli cokolwiek dobrego miało wyniknąć z głupiego zachowania mojej córki, to właśnie to – teraz kończyło się ich czuwanie. Odchodzili. Z własnej woli i z radością, gdy tylko Harfiarka uwolniła ich od gniewu i agresji.

Ręce omdlewały mi z bólu. Lewa, w którą uderzałem dzwonkami bransoletki, była spuchnięta i czerwona. Umierałem z pragnienia, jakbym nie pił od kilku dni. Głowę miałem ciężką, skronie pulsowały bólem. Z trudem otworzyłem oczy. Światło powoli gasnącego dnia chlasnęło po nich niczym ostrze.

Dotarło do mnie, że mam mokrą twarz. Dotknąłem policzka, spodziewając się łez, ale palce znów były umazane czerwienią. Kurwa rosochata.

Założyłem bransoletkę na obolały nadgarstek i wyciągnąłem chusteczkę. Gdy tylko spróbowałem wstać, przygrzmociłem czołem o kostkę brukową.

– Wiedziałeś, że tak się to skończy, i go nie podtrzymałeś? – dobiegł mnie poirytowany głos Harfiarki.

– Wygląda wtedy tak zabawnie, jak szczeniak, który potyka się o własne uszy – odpowiedział Sęp. – Zawsze wstaje. Prawie zawsze.

Rozdział 13



W drodze powrotnej to Sęp prowadził. Normalnie bym się nie zgodził, ale byłem tak wykończony, że nie robiło mi to różnicy. Zresztą i tak raczej nie zdołałby bardziej zepsuć mojego rzęcha. Poza tym najwyraźniej był przyzwyczajony do pojazdów dużo bardziej zaawansowanych technicznie, więc jeep nieustannie gasł albo skrzypiał, kiedy próba wrzucenia biegu spalała na panewce. Sęp mamrotał pod nosem klątwy, ale o dziwo nie kazał mi usiąść za kółkiem.

Harfiarka śmignęła obok nas. Z pokrowcem na plecach wyglądała jak żółw na ścigaczu.

– Cwana kicia – mruczał Sęp pod nosem. – Jakbym miał dwa kółka, i to tuningowane przez jakiegoś goblina, krasnoluda czy inne dziwadło, które zaklina metal, też bym sobie przyspieszał, ale w tej trumnie na kółkach mogę tylko wdychać spaliny. Taki wstyd. Moja reputacja dozna trwałego uszczerbku.

Otępiały, zapadłem się w siedzenie. Nie czułem nawet sprężyn wrzynających mi się w kręgosłup i tyłek.

Sęp do mnie zagadywał, rzucał jakimiś frazesami o tym, że dobrze się spisałem i powinienem być dumny, bo niewielu jest szamanów, którzy zdołaliby odstawić taki numer i odesłać kilka tysięcy duchów w jednej turze. Puszcząłem to mimo uszu, bo nie czułem się dumny. Nie czułem też, że spisałem się dobrze albo chociaż przyzwoicie.

Było już po dziewiętnastej. Sprawdziłem komórkę – żadnego esemesa od Konstancji, choć obiecała, że da mi znać, jeśli stan małej się polepszy. Kurwa mać.

Nie chciałem wracać do szkoły Nissima. Wolałbym pojechać do domu, zaciągnąć rolety, wypić litr wody, połknąć cały zapas substancji niedozwolonych i wypalić milion fajek, tak żeby przestać czuć cokolwiek. Pragnąłem cofnąć się do momentu, w którym Konstancja była tylko mglistym wspomnieniem studenckiej miłości, a ja nie wiedziałem o istnieniu Kurczaczka. Wtedy moje życie było puste, to prawda. Ale Kurczaczek, nie wiedząc o moim istnieniu, była bezpieczna. Nie chodziła do szkoły dla magicznych. Nie miała dostępu do ksiąg, do których nie powinna mieć dostępu. Nie wiedziała, że istnieją zakazane zaklęcia. Nie czuła, że musi coś udowodnić. Miała tętno, puls, oddychała.

Znów poczułem gorącą wilgoć na twarzy, lecz tym razem były to łzy. Odwróciłem twarz w stronę bocznego okna, by nie dawać Sępowi okazji do drwiny.

– Witkacy, mówię do ciebie! – krzyknął zirytowany.

Nie słyszałem. Nie chciałem go słuchać. Nie chciałem, by zagadał tę ciszę

i rozpacz. Naprawdę nie interesowało mnie, co ma mi do powiedzenia. Czułem się odrętwiały. Zimny. Nieobecny. Jakbym znów opuścił ciało...

– Witkacy, nawet o tym, kurwa, nie myśl – ścisnął mnie za kolano tak, że kości zazgrzytały boleśnie – żadnego, kurwa, dryftu więcej. Zostań tu, zrozumiałeś? Bo osobiście ściągnę cię z powrotem do dupska i jeszcze w nie nakopię! – krzyczał.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Nigdy nie widziałem go tak... zaangażowanego? Zmuszał mnie do używania słów, z którymi nie czułem się komfortowo nawet w myślach.

– Jestem tu – powiedziałem.

Wyraźnie mu ulżyło.

– Ja pierdolę. Idiota – skwitował.

– O co ci chodzi? – zapytałem.

– Jesteś na granicy wydrenowania. Pójdiesz w dryft, nie wrócisz. I kto po nią pójdzie?

– Po kogo? – zapytałem.

– Kurczaczka, debilu. Ona gdzieś tam jest. Trzeba ją sprowadzić. Sama nie trafi, kumasz?

Przyswajałem. Niezbyt szybko.

– Myślisz, że ona zdryfowała?

Do dziś nie wiedziałem, jak się to robi. W stanie oderwania duszy od ciała pokonywałem trasę do bramy i z powrotem. Dziś próbowałem iść za nią. Czułem, że połączenie między moją duszą i ciałem niemal pękło, i ból był niewyobrażalny. Czy młoda mogła zrobić to samo?

– Nie wiem – odparł Sęp – ale ma po tobie połowę genów i możliwe, że ta głupota jest dziedziczna. Była tam sama. Bez kotwicy, bez pomocy. Nie mam pojęcia, czy coś jej zrobili, czy wystraszyła się i opuściła ciało w panice. Jeśli dryfowała, mogła zablądzić.

– Jak się szuka zbłąkanej duszy?

– Harfiarka jest w tym dobra. Potrafi wytropić ścieżki duszy, wskazać kierunek. A wtedy po nią pójdziemy.

Przytaknąłem, choć wciąż nie do końca mu wierzyłem. Nie był kolesiem, który mówiłby miłe rzeczy, by poprawić mi humor. Ale mógłby to zrobić, jeśliby to było dla niego wygodne albo mniej kłopotliwe niż powiedzenie prawdy.

– Znajdziemy ją, Witkacy. Obiecuję – powiedział, jakby czytając mi w myślach. – Tylko mi tu nie zdychaj, bo będę musiał jej powiedzieć, kiedy się ocknie, że złamałem obietnicę i nie utrzymałem cię przy życiu.

– I już nie będzie linków do słodkich kotów.

Przez chwilę milczał, jego aura pociemniała gniewem.

– Nie jestem człowiekiem, Witkacy. Nie radzę sobie dobrze z tymi waszymi fumami i emocjami. Uczę się was, ale to wciąż jest język obcy. Potrafię czasem naśladować akcent i znam sporo słówek, ale nie zawsze łapię idiomy. Lecz nie wątp w to, że mi zależy na tym dziecku. Ta mała ma w sobie iskrę. Znalazła do mnie ścieżkę, a mało kto to potrafi. Więc zrobię, co muszę, by była bezpieczna.

– Dziękuję – wymamrotałem.

– Nie ma was już wielu. Potomków pierwszej zabójczynie.

Popatrzyłem na niego zaskoczony. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Nie słyszałeś tej legendy? – Prychnął. – To moja ulubiona opowieść wyjaśniająca, skąd się wzięli szamani.

Coś w jego głosie się zmieniło. Tembr wydawał się niższy i pojawiło się jakieś echo akcentu, jakby zwykle opowiadał tę historię w innym języku.

– Dawno temu, niedługo po tym, jak ludzie wydostali się z jaskini, w której życie nie było możliwe, wędrowali w poszukiwaniu światła i pożywienia. Nie znali śmierci, nie znali magii, choć wiedzieli o istnieniu bóstw i zwierząt rządzących ziemią, na którą przybyli. Były wśród nich dwie dziewczynki. Śliczna i dobra córka wodza, a zarazem kapłana, oraz brzydka dziewczynka, która była córką nie wiadomo kogo i miała w sercu mnóstwo zazdrości. Zaskarbiła sobie łaskę Demona Śmierci i z jego pomocą zabiła ślicznotkę. I to była pierwsza śmierć wśród ludzi i pierwsze morderstwo. Oczywiście po nim musiało nastąpić pierwsze śledztwo. Kapłan, ojciec zabitej, domagał się wyjawienia prawdy. Ale ludzie milczeli. Nikt poza morderczynią nie znał odpowiedzi na jego pytania. Kapłan wziął więc miskę poświęconej strawy i rzucił ją w górę, przekonany, że spadnie na głowę tego, kto jest winny. I tak się stało – miska uderzyła w brzydką dziewczynkę. Niewiele brakowało, a doszłoby do natychmiastowego samosądu, ale zabójczyni wyblagała zwłokę. Chciała wszystkim coś pokazać. Kapłan się zgodził. Zabójczyni zaprowadziła ich do ujścia jaskini, z której niedawno przybyli, i kazała zajrzeć do środka. Nie chcieli. Wciąż pamiętali, jak mroczny i straszny był świat, który zostawili za sobą, szukając światła. Ale morderczyni nalegała, więc nachylili się nad wejściem i zobaczyli zabita dziewczynkę. Była szczęśliwa, otoczona kwiatami i zwierzętami, nie brakowało jej niczego. Tańczyła i śpiewała z uśmiechem na ustach, zupełnie nie tęskniła za światem, który opuściła. I tak powstały Zaświaty – bo skoro pojawił się pierwszy zmarły, musiało powstać miejsce, gdzie jego dusza znalazłaby schronienie. Kapłan, widząc, jak szczęśliwa jest jego córka, wybaczył zabójczyni. I Indianie nie bali się już śmierci, nie bali się trafić do Zaświatów. Nie zabili też brzydkiej dziewczynki. Pozwolili jej zostać z nimi i dorosnąć. A gdy tak się stało, urodziła dzieci, które były czarownicami i szamanami. Zawsze sprowadzali na ludzi kłopoty, ale też potrafili je rozwiązywać i chronić plemiona przed chorobami i magią. Tak więc każdy szaman, który dziś stąpa po ziemi, ma w sobie kroplę krwi pierwszej morderczyni.

– Śliczna historia – powiedziałem z sarkazmem. – Nie ma wersji, w której wywodzi się od kogoś miłszego, kto nie ma na koncie pierwszego morderstwa i knowania z Demonem Śmierci?

– Trochę więcej niż knowania. Myślisz, że z kim miała dzieci? – Uśmiechnął się szeroko. – Po kim niby macie magię śmierci? Ale wierz mi, to nie jest najgorsza wersja. Znałem tę dziewczynkę. Gdy dorosła, zrozumiała, że jako dziecko niepotrzebnie skupiła się na urodzie, bo jej wartość nie leżała wcale w ładnej buźce. Bystra, wyprzedzała swoje czasy. To nie najgorszy przodek. W tym też musisz mi zaufać. Wolę tę legendę od tej z zapłodnieniem przypadkowej kobiety przez Orła. Gdybyś go poznał, wiedziałbyś, dlaczego nie chcę wyobrażać go sobie w akcie prokreacyjnym z ludzką kobietą. Żadna na to nie zasłużyła.

Nagle do mnie dotarło, że mówi, porusza się i zachowuje inaczej. Jakby zdjął

maskę. Zacząłem się zastanawiać: czy właśnie to było najłatwiejsze, co mógł podłapać tu, we współczesnym świecie? Emocjonalność faceta z programu typu *Jackass* była łatwiejsza do odegrania? Czy cały czas koncentrował się na udawaniu człowieka, faceta w najbardziej ekstremalnej formie, jaką poznał?

Katia kiedyś powiedziała o nim coś w stylu: „Byłby całkiem niezłym ciachem, gdyby nie był karykaturą ciacha o IQ wiewiórki”.

– A podziękujesz mi, kiedy wszystko wróci do normy – podjął. – Wtedy chętnie wystawię rachunek. Już teraz przychodzi mi do głowy kilka rzeczy, które możesz mi załatwić. Na początek numer telefonu do tej rudej. Ta mała czarna też niezła, zawzięta, możesz szepnąć o mnie słówko.

Oho, maska znów jest na miejscu, pomyślałem. Dojeżdżaliśmy do szkoły. I nagle zrozumiałem: przedstawienie musi trwać. To, że ja zajrzałem na chwilę pod maskę, nie znaczyło, że zamierza się jej pozbyć. Jeśli tego potrzebował...

– Wiesz, z kim zaręczona jest ta ruda? – zapytałem niewinnie, bo faktycznie trzymałem go od Dory i jej towarzystwa z daleka, odkąd sprowadziła go do parteru dźwignią na kciuku, po tym jak próbował klepnąć ją w tyłek. – Miałeś już na głowie całe piekło? Bo on jest w prostej linii spadkobiercą Lucyfera, który ponoć myśli już o emeryturze.

– Aj, twardy karmelek. Niekoniecznie. Wolę te miękkie toffi, wiesz, ciepłutkie, łatwiutkie i chętne...

– Więc nie mam dla ciebie żadnego numeru telefonu – uciąłem temat, bo wszystko można powiedzieć o kobietach w moim życiu, ale nie to, że są jak toffi. I za samą sugestię załatwiłyby go tak, że miesiąc jadłby przez słomkę. A ja bym im kibicował.

Zauważyłem cień ulgi na jego twarzy, gdy tylko wróciliśmy do rozmów lżejszego kalibru.



Nic się nie zmieniło. Kurczaczek leżała pod kołdrą, z włosami rozsypanymi na jaśku, nieruchoma i zimna. Jej usta były bardziej fioletowe niż kilka godzin temu. Zerknąłem na paznokcie – również fioletowe.

– Jest niedotleniona – wykrztusiła Konstancja. Siedziała na krześle i oplatała się ciasno ramionami. – Nissim załatwił butlę z tlenem i maskę, ma dotrzeć lada moment. Jej serce bije za wolno, ciśnienie jest słabe. Nie mamy wiele czasu, wkrótce dojdzie do nieodwracalnych zniszczeń, więc jeśli masz pomysł, jak ją z tego wyciągnąć, teraz jest dobry czas.

Była skupiona i przygnębiona, ale wciąż nie rezygnowała. W jej głosie pobrzmiwała zarówno typowa dla jej zawodu stanowczość, jak i apatia, charakterystyczna dla człowieka porażonego własną bezradnością.

– Spróbuję, przysięgam, że zrobię co w mojej mocy – zapewniłem.

– Wiem, Piotrze, naprawdę wiem. Tylko to może nie wystarczyć.

Przytaknąłem, bo to był mój największy lęk.

– Widziałaś się już z Harfiarką? Była tu? – zapytałem.

Dojechaliśmy kilka minut po niej. Ścigacz, zaparkowany przed szkołą, koło ciężkiego motocykla Sępa, wyglądał przy nim jak zabawka. Właścicielki nigdzie jednak nie widziałem.

– Nie wchodziła tu. Powiedziała, że ma w sobie za dużo złej energii i potrzebuje się odświeżyć, inaczej może stanowić zagrożenie dla Kurczaczka.

Znów przytaknąłem. Konstancja nie kwestionowała już istnienia magii. Nie zadawała pytań, na które nie znałem odpowiedzi. Przyjęła ten świat w sekundzie, w której zrozumiała, że przynależy do niego jej dziecko. Może dlatego zaakceptowała też to, że również ja jestem jego częścią. I pokładała wiarę we mnie i w ludziach takich jak Harfiarka – obcych, ale wciąż dających jej nadzieję w chwili, gdy wszystko inne zawodziło.

Kiedy Harfiarka pojawiła się kilka minut później, ledwie ją poznałem. Tylko sięgający kolan siwy warkocz zgadzał się z wersją, którą widziałem na cmentarzu. Była boso, w czarnych legginsach i asymetrycznej sukience z nieregularnych, niedbale pozszywanych pasów czerwonej i szarej tkaniny. Teraz pasowała jej ta henna na dłoniach i biżuteria brzęcząca przy każdym ruchu – poza pierścieniami i bransoletkami miała też grzechoczące kolczyki i łańcuszek z dużym, czarnym kamieniem, myślę, że turmalinem.

Podeszła do łóżka. Przyglądała się Kurczaczkowi spod wpróżymkniętych powiek. Przesunęła dłonią nad jej naszyjnikami i kamieniami.

Harfiarka spojrzała na mnie przenikliwie.

– Zdołałeś dobrać dla niej zsynchronizowany kamień, bardzo dobrze. Gdyby miała go na sobie, kiedy ją zaatakowały, nie byłaby tak bezbronna – powiedziała tonem pochwały, a mnie ścisnęło w piersi z ulgi, że w całym tym bałaganie choć jedną rzecz zrobiłem dobrze. – To nam naprawdę pomoże. Słyszę jego wibracje i melodię, nawet teraz, kiedy jej dusza jest tak daleko. – Przeniosła wzrok na Konstancję. – Twoja córeczka jest słaba, ale to coś, z czym sobie poradzimy. Pomogę jej ciału przetrwać tak długo, jak to będzie konieczne.

– Jest niedotleniona, boję się... boję się o jej mózg – szepnęła Konstancja.

– Wszystko z nim w porządku. Jest magiczna, nasze ciała oprócz biologii napędzane są magią. Teraz biologia zeszła na drugi plan, ale magia nie zawiedzie jej ciała i mózgu. Zaufaj mi, widziałam ten proces tysiące razy, pomagałam dzieciom takim jak ona u zarania dziejów. To nigdy nie jest łatwe, ale trudniejsze jest dla ciebie, matki, która widzi jej ciało w tym stanie, niż dla niej. Ona właśnie przeżywa przygodę swojego życia – zapewniła.

– Wiesz, gdzie ona jest? – zapytał Sęp, który nagle pojawił się w progu.

– Tam, gdzie wcześniej czy później trafia każde szamańskie dziecko. – Uśmiechnęła się z czułością.

– Czyli to nie dryft? – upewnił się, a jego ulga od razu mi się udzieliła.

– Nie, ktoś musiał po nią przyjść i zabrać w bezpieczne miejsce. Stawiam na Babcie Pająk. Wiesz, że ma słabość do takich jak ona.

Sęp przytaknął i uśmiechnął się tak, jak uśmiechasz się, kiedy myślisz o nieco szurniętej, ale lubianej krewnej. Nie miałem pojęcia, o czym mówią, ale zrozumiałem, że cokolwiek dzieje się z Kurczaczkiem, jest o niebo lepsze od tego, czego baliśmy się

najbardziej – niekontrolowanego dryftu.

Konstancja patrzyła na Harfiarkę jak na wybawcę. Uwierzyła jej, zaufała bez reszty. Ja również.

– Heri, chodź, pomożesz mi wszystko przynieść, trzeba ich przygotować do drogi, oboje – powiedziała, a Sęp zareagował na imię, którego nigdy wcześniej nie słyszałem.

Wyszli z pokoju, rozmawiając szeptem w nieznanym mi języku.

Konstancja przysunęła się bliżej i uścisnęła mi dłoń.

– Powiedz, że wszystko będzie dobrze – poprosiła.

– Będzie. Musi być.

Wtuliła się we mnie z cichym szlochem.

Sęp wrócił, dźwigając dużą torbę, która nie mogła zmieścić się w bagażniku ścigacza, i plecak, niewiele mniejszy. Nie postawiłbym nawet małego paluszka u lewej dłoni, że poszedł po te rzeczy na parking, a nie do jakiegoś dziwnego wymiaru. Zwłaszcza że, jak wcześniej, gdy przyniósł Kurczaczkowi obsydian, miał mokre włosy, a na zewnątrz nie padało. Kolejne do listy pytań, na które kiedyś uzyskam odpowiedzi.

Harfiarka wróciła minutę później, niosąc swój instrument.

– Dobrze, mamy wszystko, możemy zaczynać – powiedziała i zwróciła się do Konstancji: – Możesz przeczekać rytuał w pokoju obok. To stara magia i nie będzie ci z nią zbyt przyjemnie.

– A mogę popatrzeć, jeśli tylko nie będę przeszkadzać? – zapytała.

– Możesz, jeśli pozostaniesz poza kręgiem i nie będziesz próbowała dotykać żadnego z nich, zanim nie skończymy.

– Wolę zostać. Nie chcę jej zostawiać.

– Rozumiem. Usiądź wygodnie, to trochę potrwa.

Harfiarka zaczęła się krzątać, przygotowując pokój do rytuału. Odsunęła łóżko od ściany na tyle, by dało się swobodnie przejść w powstałej przestrzeni, i poprosiła Konstancję o odsunięcie jej fotela od okna. Zorientowałem się, że chodząc dookoła, zakreśla umowny krąg i my wszyscy mamy być wewnątrz, także Kurczaczek i Konstancja. Na podłodze przy łóżku rozłożyła kołdrę, a na niej kolorowy, ręcznie tkany kilim. Poklepała tak przygotowane posłanie i powiedziała:

– Heri uznał te zabiegi za niepotrzebne, bo w trakcie wędrówek masz dziwne zamiłowanie do leżenia na zimnej podłodze albo w kałuży. Mówił, że to dla ciebie prawdziwe doświadczenie czy coś równie absurdalnego... Ale jest podłym kłamcą, więc równie dobrze mógł mnie wkręcić...

Sęp zrobił urażoną minę i uniósł ręce w geście niewinności.

– Takie wyciągnąłem wnioski z jego postępowania – oświadczył. – Może to naturalna skłonność do ascezy?

Usiadłem na posłaniu, nie komentując. Dwa mniejsze, okrągłe kilimki rozłożyła dla siebie i dla Sępa, który usiadł na swoim po turecku.

Harfiarka rozpakowała zawartość plecaka, układając przed sobą przedmioty w półkolu. Potrząsnęła buteleczką z atomizerem i spryskała każdego w kręgu, mówiąc:

– Czyści przystępujemy do obrządku, z dobrą intencją, bez złości i żalu, zgromadzeni w dobrej wierze.

Konstancja powąchała swoją koszulkę w miejscu, gdzie spadło kilka kropelek.

– Słodka trawa, pachnie bardzo przyjemnie. Przekładam nią też bieliznę pościelową w szafach – powiedziała Harfiarka z uśmiechem.

Uchyliła wieko drewnianej, misternie zdobionej skrzynki, w której ułożone były schludnie rożki. Nie wiem czemu, ale skojarzyły mi się z tubkami służącymi do dekorowania ciasta lukrem. Uklękła koło łóżka, ułożyła obie dłonie Kurczaczka na jej brzuchu, grzbietami do góry, i zaczęła je ozdabiać.

– Tradycyjnie moi ludzie nie używali henny, ale odkąd zobaczyłam, jaka jest skuteczna, włączyłam ją do rytuałów. Jest też śliczna i kobieca, znacznie bardziej niż ochra, którą maluje się całe ręce. I tak ładnie komponuje się z jaguą... to ta niebieska... – mówiła tonem, który uspokajał jak mantra. Przecież to, co robiliśmy, nie mogło być niebezpieczne, skoro tak spokojnie snuła opowieść, prawda? – Hennę robi się z suszonych i utartych liści lawsonii bezbronnej. Piękna nazwa, nie uważacie? Brzmi jak imię heroiny ze średniowiecznego romansu. Mieszam proszek z cukrem, olejkiem lawendowym i wodą, aż powstanie pasta, która wypuści barwnik. Dopiero wtedy mogę nakładać... Z rożkami jest fajnie i precyzyjnie. Z patyczkami było dużo więcej zachodu...

Mówiła cicho, wolno, monotonnie, a jednocześnie szybkimi, precyzyjnymi ruchami malowała brązowe łuki, kreseczki, kropki, kółka, które układały się w skomplikowany i bardzo dekoracyjny wzór. Gdy pierwszy rożek był już pusty, wzięła drugi, tym razem z granatowym barwnikiem. To, co narysowała henną, było symetryczne i równiutkie, niebieskie desenie okazały się chaotyczne. Zapytałem, co oznaczają.

– To ochrona. Przed złem, złym okiem, agresorami na poziomie ducha i ciała. Stara magia, bardzo uniwersalna. Idealna w momentach przełomowych, w chwilach przejścia. Możesz stracić amulety czy narzędzia, ale wzory zostaną na skórze i mają odbicie na poziomie ducha.

Odwróciła ostrożnie ręce Kurczaczka, trzymając je w górze tak, by wciąż wilgotna pasta nie dotknęła ubrania, po czym na wewnętrznych stronach dłoni narysowała duże kropki.

– Jagua jest z soku genipy americana, gotuje się ją i suszy na słońcu – zwróciła się do Konstancji. – Żadna nie zostaje dłużej niż tydzień, może dziesięć dni.

– Gdyby to miało ją trzymać bezpieczną, może być na stałe. Spodobałoby jej się – powiedziała cicho.

– Zdąży się nacieszyć. I zawsze możemy to powtórzyć. To poza wszystkim niezła zabawa. – Uniosła jedną ze swoich dłoni, by Konstancja mogła przyjrzeć się wzorom. – A ty, Witkacy, jeśli nie chcesz się tłumaczyć w pracy, ściągnij koszulkę. Albo skarpetki, jeżeli nie masz łaskotek.

Konstancja zaśmiała się krótko i szybko zasłoniła usta dłonią. Pamiętała. Zrezygnowany ściągnąłem T-shirt, który pożyczył mi Nissim, bym nie straszył dzieci zakrwawioną koszulą. Zaschnięta krew na piersi zmieniła się w skorupę, przyklejając się do włosków. Odrywając ją, syknąłem z bólu. Podejrzenie przypominało to depilację.

Skończywszy malować dłonie Kurczaczka, Harfiarka ostrożnie odłożyła je na jej brzuch, tak by nie rozmazać kropek po wewnętrznej stronie. Ze skrzynki wyciągnęła małą puszkę. W środku były miniaturowe farbki.



– Ta się zmyje od razu – ponownie wyjaśniła Konstancji. – Kiedyś używaliśmy barwników naturalnych. Zostawały dłużej, ale ich przygotowanie było cholernie pracochłonne. Teraz używam farbek dla dzieci, do malowania twarzy. Są doskonałe i równie skuteczne. Liczy się intencja, nie środki – dodała, kolejny raz odczarowując obcość rytuału.

Namalowała po jednej białej kropce na powiekach Kurczaczka, po trzy żółte na jej kościach policzkowych i czerwoną, pionową kreskę na czole. Przytrzymała dłoń nad głową małej i wymruczała kilka słów w obcym języku. Wzory na twarzy i dłoniach na sekundę rozbłysły magią.

– Teraz wy – powiedziała. – Nie będzie bolało.

– Zawsze tak mówi – mruknął Sęp – ale reklamacji nie przyjmuje.

– Nie bądź taką marudą, a może naprawdę będę delikatna – odparowała.

– Wciąż nie wiem, czy to dobry pomysł, bym z nim szedł – stęknął Sęp.

– Jeśli obawiasz się Kojota, to jego tam nie ma.

– Skąd wiesz?

– Bo zawsze wiem, kiedy któryś z waszych zawoszonych tyłków trafia na ziemię. Szuka cię już od kilku dni. Nawet dzwonił i pytał, czy cię nie widziałam w ostatnim czasie.

– Nie powiedziałaś mu?

– Dzwonił tydzień temu, wtedy naprawdę nie widziałam cię od miesiący. Znajdzie cię. Tu czy tam, bez znaczenia. Wiesz, że liczą ci teraz wszystko. I na razie nie wypadasz w tym teście śpiewająco. Choć jeśli zrobisz to tak, jak powinieneś, osobiście za ciebie poręczę.

– Naprawdę? Nigdy nie stajesz po żadnej ze stron.

– Nie staję i nie zamierzam. Ale jeśli ci się uda, powiem uczciwie, że nie jesteś takim chujem, jak się wszystkim wydaje.

– Jesteś najlepsza.

– Oczywiście, że jestem. Więc jaka decyzja?

– Niech będzie. Ale zacznasz od niego. Jeśli będzie krzyczał z bólu, wychodzę.

– Idiota – prychnęła. – On cię tylko straszy – powiedziała uspokajająco, pochylając się nade mną z różkiem henny.

Łaskotało, a ciepło rozchodziło się po skórze przy każdej kropce i kresce, które zostawiała na mojej piersi i brzuchu. Jeśli to był komunikat morsem, wiadomość była długa i skomplikowana. Harfiarka malowała w skupieniu, a ja czułem drobiny jej magii przyklejające się do mojego ciała.

Trwało to dłużej, niż się spodziewałem. Chciałem zerknąć na zegarek, ale gdy się poruszyłem, Harfiarka syknęła na mnie jak kot; nie miałem wątpliwości, że Sęp mówił prawdę.

Gdy skończyła wzór na klatce piersiowej, zrobiła żółte kropki na moich policzkach i białą pionową kreskę biegnącą od brwi przez grzbiet nosa i usta aż do brody. Westchnęła, jakby nie była pewna, czy to się uda.

– Dawaj ręce – powiedziała do Sępa.

– Chcesz ograbić siebie, a co ważniejsze, Konstancję, z widoku mojego sześciopaka? – zapytał z oburzeniem.

– Heri, liczę do trzech, a potem uznam, że potrzebuję najbardziej ekstremalnej wersji wzoru, i każę ci wydepilować całe ciało. Pamiętasz, jak wszystko swędziało, kiedy odrastały włoski?

– Jędza.

– Maruda.

– Jesteście rodzeństwem? – zapytałem pod wpływem przeczucia.

– Nie wiem. Nigdy nam nie powiedzieli. Ale znamy się od zawsze – przyznała. – Niestety.

Na prawej ręce narysowała mu oko wpisane w słońce, na lewej – granatowego pająka, a we wnętrzu dłoni kropki. Następnie pomalowała twarz – czoło było czerwone, podobnie szeroki pas biegnący w poprzek twarzy, przez kości policzkowe i nos. Przestrzeń między czerwienią wypełniła czarną farbą. Nie wyglądał już jak Sęp, którego znałem.

Harfiarka położyła dłonie na naszych czołach. Przymknęła powieki i wypowiedziała kilka słów zaklęcia albo błogosławieństwa, a ja poczułem muśnięcie magii i mrowienie wzorów na piersi. Po kilku sekundach wrażenie ciepła minęło.

– Doskonale – skwitowała.

Z plecaka wyciągnęła pięć świec dość grubych, by dało się postawić je na podłodze bez użycia świeczników, pęczek białej szalwii obwiązany czerwoną nitką i skórzane sakiewki – małą, białą, z plecioną krajką, i większą – ozdobioną czerwonymi, żółtymi i czarnymi frędzlami. Ustawiła świece na podłodze i w chwili, kiedy je zapaliła, poczułem, jak zamyka wokół nas krąg. Bez rysowania, nasycania energią, ogniskowania. Zaimponowała mi.

– Lubi się popisywać – skwitował Sęp. – Nie wszyscy w domu rozumieją pojęcie prawdziwej skromności.

– Przyganiał kocioł garnkowi, panie „poradzę sobie z całym tym słońcem, tylko potrzyмай mi piwo” – odparowała. Z białej sakiewki wyjęła kilka kamieni: gładki ciemnoczerwony, przezroczysty, bezbarwny kryształ, lśniący niczym rtęć, i jeszcze jeden, tym razem różowo-zielony, oraz czarny minerał w białe cętki. Położyła przed sobą ten różowo-zielony, mówiąc: – Turmalin dla przewodnika. – Następnie podała mi cętkowany, a Sępowi lśniący rtęcią. – Obsydian śnieżny dla wędrowca, hematyt dla strażnika. – Bezbarwny kwarc położyła koło Kurczaczka. – Kryształ dla zagubionej. – Ostatni, ciemnoczerwony kamień położyła przed zaskoczoną Konstancją i powiedziała: – Jaspis dla kotwicy.

Znów poczułem mrowienie magii.

Z dużej sakiewki wyciągnęła fajkę o niewielkiej główce i długim cybuchu ozdobionym kolorowymi, zaplecionymi sznureczkami i trzema orlimi piórami. Nabiła ją, zaciągnęła się gryzącym, kwaśnym dymem i wydmuchała go kolejno w górę, w dół i w każdą z czterech stron świata.

– Oddechem Tunkashila, Nieodgadnionego Ojca, błogosławię temu rytowi. Niech dusze biorące w nim udział nie utracą siły i bezpiecznie dotrą co celu – powiedziała

i podała mi fajkę.

Palilem już przeróżne rzeczy, ale tym razem rozkaszałem się jak dzieciak z podstawówki przy pierwszym papierosie.

– Kora wierzby, bywa dość drażniąca – uśmiechnęła się Harfiarka. – Weź jeszcze jeden i jeśli musisz kasłać, to w niebo, dla Praojca i w dół, dla Pramatki.

Tym razem udało mi się nie rozkasłać, mimo drapania w gardle, i wydmuchałem dym w górę i w dół. Sęp zrobił to samo. Konstancja, na szczęście dla niej, nie musiała.

Z tłącym się pęczkiem białej szalwii w dłoni Harfiarka czterokrotnie okrążyła pokój zgodnie z ruchem słońca, wszystko dokładnie odymiając, dzięki czemu krąg był kompletny. Usiadła na swoim okrągłym kilimku i sięgnęła po harfę. Położyłem się. Ze strachu ścisnęło mnie w żołądku, bo zupełnie nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Harfiarka przystąpiła do strojenia instrumentu. Podciągała kluczem struny, brzdąkała i cmokała niezadowolona.

– Gdybyśmy nie byli w kręgu, użyłabym programu w laptopie – wyjaśniła.

Trwało to znacznie dłużej niż na cmentarzu, zwłaszcza dwie struny zdawały się sprawiać problemy. Zaczynałem się niecierpliwić, myślałem, że za chwileczkę się zacznie i będziemy bliżej celu.

– Czy to naprawdę takie ważne? – mruknąłem cicho. – Chyba jedna fałszująca struna nie zawali nam nieba na głowy.

Sęp nachylił się i szepnął:

– Nawet nie zaczynaj. I niech cię bogowie bronią, by jej to powiedzieć.

– Wkurzy się?

– Nie, ją to rozbawi. I przez piętnaście minut będzie ci opowiadała anegdoty o harfiarzach. Zdziwiłbyś się, ile jest żartów o strojeniu harfy. Niektóre są całkiem zabawne, ale nie w tym momencie. Harfiarze nie są do końca normalni. Te wibracje robią im coś z falami mózgowymi.

– A na czym ty grasz? – zapytałem. – Żebym unikał na wszelki wypadek, bo uszkodzenia wydają się znaczne.

– Dobrze, Witkacy, naprawdę dobrze – powiedziała Harfiarka, która najwyraźniej nas słyszała mimo brzęczenia strun. – On woli instrumenty dęte. Wiesz, wygląda naprawdę słodko z fujarką czy fletnią Pana. Aż się prosi, by zmienić go w fauna z bardzo, bardzo kudłatymi nogami i kopytkami, na które nie wyrwie nawet jednej dziewczyny. – Mrugnęła do Sępa i posłała mu uroczy uśmiech.

Przyjął przestrozę i nie komentował więcej jej postępów w strojeniu. Kiedy zaczęła śpiewać, był wyraźnie zdenerwowany, albo poruszony. Melodia była słodka, wypełniona tęsknotą i miłością. Nie rozumiałem słów, ale emocje Harfiarki opływały mnie tak wyraźnie, jakbym sam czuł to wszystko, a ona tylko dała temu wyraz.

Powieki mi opadły. I nagle rozbłysło pod nimi słońce, tak intensywne, że przed oczami zatańczyły mi czarne kręgi. Było tak gorąco... Paliło mnie pod mostkiem, serce dziko łomotało. Gwałtownie łapałem powietrze, gdy ucisk w piersi stał się nieznośny i zmienił w ból.

– Witkacy, słyszysz mnie? – rozpoznałem głos Sępa.

Nie mogłem mu odpowiedzieć, nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa.

Kiwnąłem głową, albo tak mi się tylko wydawało.

– Nie walcz z tym. Wszystko w porządku. To nie musi być inne niż wszystkie twoje podróże.

O czym on mówił? Moje serce płonęło!

– Przypomnij sobie, jak wyglądają twoje schody i brama, szybko!

Z trudem przywołałem obraz szklanych schodów, masywnej bramy i smug błękitnego eteru. Wyobraziłem sobie chłodny powiew wiatru.

Niespodziewanie uczucie wściekłego gorąca minęło. Odetchnąłem, widząc, że stoimy u stóp schodów.

– Co to było? – spytałem, spoglądając na Sępa.

Wyglądał inaczej. Zniknęła gdzieś jasna, potargana czupryna chłopca z Kalifornii, z długimi, prostymi czarnymi włosami przypominał Indianina. Pasy czerwonej i czarnej farby na twarzy pasowały mu teraz dużo bardziej.

– Nasza brama jest troszkę inna – powiedział, wzruszając ramionami.

– Chodźcie do Zaświatów przez piekło?

– Ścieżką słońca. Zapomniałem, że jesteście człowiekiem. Nie tolerujecie ciepła zbyt dobrze.

Wymamrotałem coś niezbyt miłego, bo nazwanie ciepłem tego żaru rozsadzającego i gotującego mi serce było eufemizmem roku. Zacząłem się wspinać po stopniach.

Brama uchyliła się, gdy byłem w połowie schodów. Najpierw tylko nieznacznie, potem na oścież. W kłębach błękitnego eteru i na tle jasnego światła dostrzegłem zarys sylwetki.

– Przyszli po nas – powiedział Sęp płaskim, neutralnym tonem.

– Kto? – zapytałem, myśląc o Przedwiecznych, z którymi miałem nieco na pieńku. Nie odpowiedział. Sam miałem się przekonać, już za kilka minut.

Rozdział 14



Spodziewałem się Przedwiecznych w ich przerażająco karykaturalnych maskach albo prehistorycznego kota, który poprzysiągł mi zemstę przy poprzednim spotkaniu, kiedy zrobił ze mnie gryzak. Zamiast tego tuż za progiem czekała na nas młoda kobieta w dekoracyjnej szacie grubo haftowanej turkusowymi nićmi, obszytej koralikami i frędzlami. Miała wyrazistą twarz, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i nosem, który sprawiał, że wyglądaliśmy na dalekich krewnych. Jej skóra była śniada i lśniąca. Wąski pasek turkusowej farbki biegł w poprzek twarzy, tuż poniżej oczu, podkreślając ich ciemną oprawę. Długie, czarne włosy spływały poniżej pasa idealnie gładką falą.

Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem, choć jednocześnie nie przypominała żadnej znanej mi pięknej kobiety.

Miała smutek w oczach, a kąciki jej ust nieznacznie opadały. Stała z dłońmi splecionymi za plecami, jakby czekała, żebym coś zrobił. Nie wiedząc, czego oczekuje, zerknąłem pytająco na Sępa.

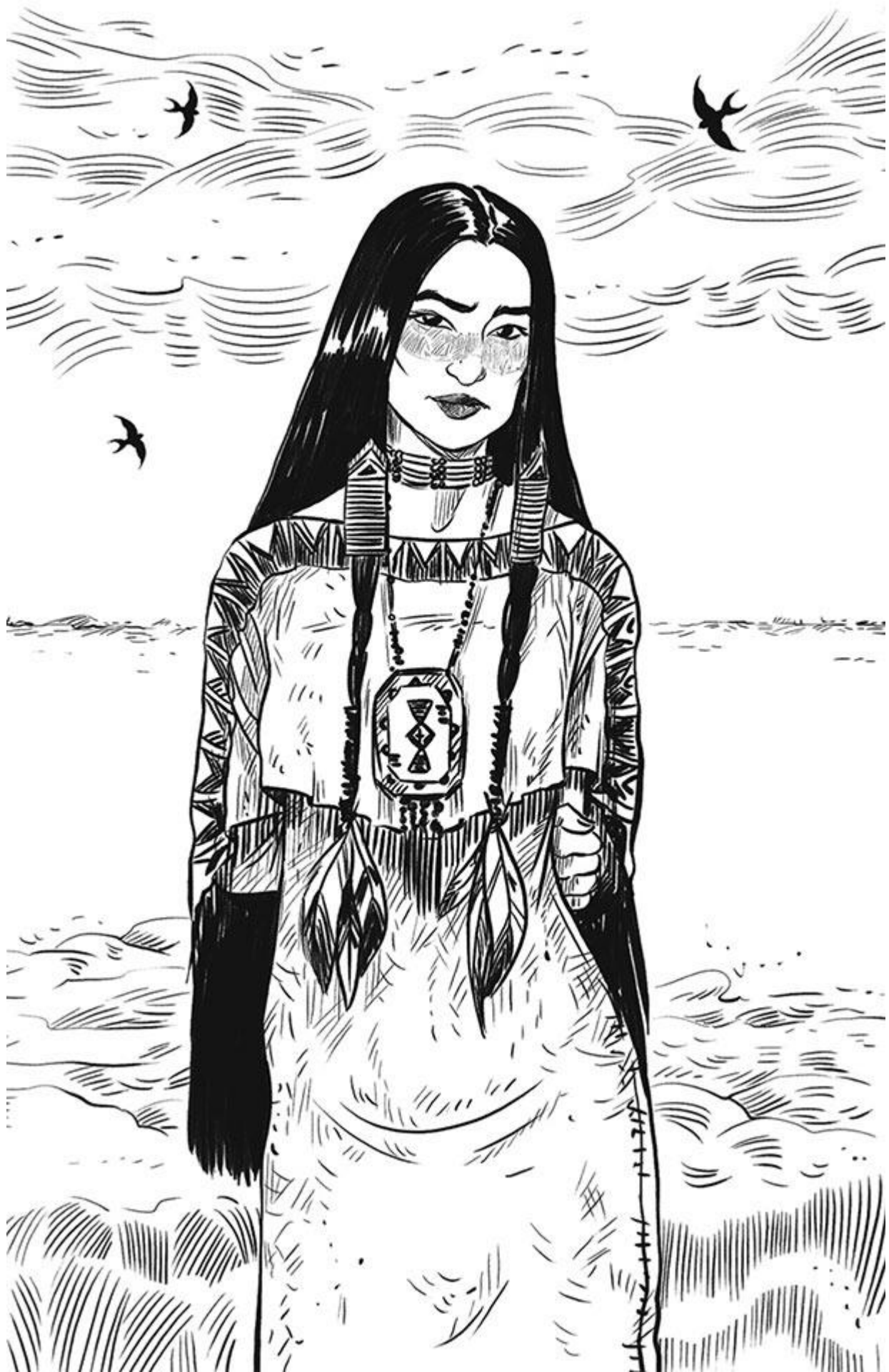
Zaskoczyło mnie, jak kamienną ma twarz. Zwykle potrafiłem wyczytać jakieś emocje z jego mimiki, ale w wersji indiańskiej był nieprzenikniony. Milczał z dłońmi zaplecionymi na piersi.

Odchrząknąłem. Nie zamierzałem tracić czasu.

– My się nie znamy – odezwałem się. – Nazywam się Witkacy.

Wyciągnąłem rękę, niepewny, czy nie popełniam faux pas. Czy Indianie witali się uściskiem dłoni? I czy nieznany mężczyzna ma prawo podać rękę kobiecie bez obrażania jej?

– Na imię mam Jaskółka. To żadne faux pas, Witkacy, nie żyjemy w osiemnastym wieku. Gdybym nie miała ochoty, nie odwzajemniłabym gestu. I nie musisz z góry wiedzieć wszystkiego o naszych obyczajach – powiedziała, podając mi rękę. – Wkrótce sam je poznasz.



Brzmiało oficjalnie, ale nagle uśmiechnęła się do mnie ciepło i w całkowicie nadprzyrodzony i niewyjaśniony sposób rozplątał się mój niepokój spowodowany tym, że czytała mi w myślach. Coś zaszło, lecz emocje, które czułem, zniknęły. Rozluźniłem się, jakby cała ta sytuacja nie była stresująca. Próbowałem się spać, zmobilizować, ale nie mogłem. Cokolwiek mi zrobiła – a byłem przekonany, że dziwnie błogi stan to jej sprawka – mój poziom adrenaliny kształtował się na poziomie podobnym jak u przedszkolaka ululanego czekoladowymi baryłkami z likierem. Już samo to powinno mnie zdenerwować. A jednak byłem jak buddyjski mnich w czasie sjesty. Spojrzałem w oczy Jaskółki, świadom, że tę gonitwę myśli też śledzi. Mrugnęła zawadiacko.

– Mały Ptaszek dobrze cię opisała – powiedziała.

– Masz na myśli Kurczaczka? Widziałaś się z nią?

– Oczywiście. Z góry uprzedzam, że jej propozycja imienia dla ciebie raczej nie przejdzie.

– Jaka to propozycja?

Poczucie humoru mojej córki było jak żądełko, zawsze trafiające w mocno unerwione miejsce. Widok powstrzymywanej wesołości Jaskółki wcale mi się nie spodobał.

– Wielki Ptak.

Bogowie. To było imię, pod którym chciała, bym przeszedł do historii? Nienaturalna błogość ulotniła się niemal w całości, gdy pomyślałem o wszystkich tych żarcikach i nieprzyjemnościach, jakie by mnie spotkały, gdyby to imię przeszło. Jakbym znów był w podstawówce.

– Doceniam dowcip – zapewniła – ale Orzeł by się dąsał miesiącami. Wydaje mi się, że jest jedynym wielkim ptakiem w okolicy. Znajdziemy ci coś innego, może nawet równie majestatycznego. Zobaczmy, jaki rzucisz cień, gdy słońce kilka razy przesunie się po niebie.

Uśmiechała się, jednak nie ruszyła o krok. Wyraźnie na coś czekała i domyśliłem się, że to Sęp powinien wykonać jakiś ruch. Szturchnąłem go łokciem.

– Co? – warknął na mnie.

– Cokolwiek jesteś jej winny, załatw to. Nie odwlekaj wszystkiego, co i tak się musi wydarzyć – powiedziałem ze złością.

– Bo?

– Bo Kurczaczek od wielu godzin leży niemal martwa!

– Tutaj czas płynie inaczej. Możesz spędzić tu tydzień, a tam minie godzina.

– Może też być odwrotnie, prawda? – odezwała się Jaskółka. – Spędzisz tu tydzień, a tam minie miesiąc i tych brakujących dni nigdy nie odzyskasz. Nie możesz zakładać niczego poza tym, że my nie zapominamy, złość nie mija nam, ponieważ na ziemi minął jakiś czas. Czas nie dotyczy nas w najmniejszym stopniu.

Mówiąc, patrzyła na mnie, ale adresatem tych słów bez wątpienia był Sęp. Jakbym był dzieciakiem, którego rodzice się pokłócili i siedząc przy stole, zwracają się do mnie, bym podał im sól, masło, powiedział ojcu, że jest zdradzieckim sukinsynem, powiedział matce, że jest niewdzięczną wydrą...

– Nie chciałbym spędzić kilku dni tu, na progu, czekając, aż przestaniesz być dupkiem – powiedziałem stanowczo. Byłem absolutnie pewien, że cokolwiek między nimi zaszło, Sęp ma coś na sumieniu. Bierny opór i poza mówiąca „zupełnie nie wiem, o co ci chodzi” zajmowały wysoką pozycję w jego repertuarze reakcji.

– Czekalbyś w nieskończoność – powiedziała Jaskółka.

– Miewa swoje momenty – przyznałem – ale nie jest aż takim dupkiem, jak lubi udawać.

No proszę, oto zostałem adwokatem diabła.

– Nie uwierzę na słowo – jej głos ociekał sarkazmem. Wciąż nie zaszczyciła go spojrzeniem.

– Przepraszam – powiedział, zaskakując nas oboje.

– Za co?

– Wiesz za co.

– Wiem, za co powinieneś przeprosić, ale nie wiem, czy ty wiesz.

– Wiem. Przepraszam. Nie wiedziałem, że się wyżyje na tobie.

– Wiedziałeś.

– Kurwa, dobrze, wiedziałem. Ale w tamtym momencie nie miałem z tym problemu. Dziś troszkę mam.

Spojrzała mu w oczy, dumnie unosząc podbródek.

– Zrób tak jeszcze raz, a popamiętasz. Jeśli myślisz, że Kojot jest wrzodem na dupie, przekonasz się, jak to jest mieć mnie za wroga... – Pochyliła się w jego stronę i gwizdnęła przez zęby.

Wciągnął gwałtownie powietrze, jakby ból był nie do zniesienia. Zszokowany zobaczyłem w jego oczach łzy. Nie skulił się, nie wydał dźwięku, ale drżenie mięśni zdradzało napięcie.

– Zrozumiałem. I naprawdę przepraszam – szepnął.

Skinęła głową i odwróciła się, a jej włosy załopotwały jak peleryna. Kobieta, która samym gwizdnięciem wycisnęła łzy z Sępa, natychmiast stała się moją superbohaterką. Zasługiwała na komiks, bez dwóch zdań.

– Chodźmy, zaprowadzi nas do wioski. Nie znam drogi lądowej, zwykle tam lecę, poza tym dostaję się tu przez inną bramę.

– Co ci zrobiła? – szepnąłem. Choć wydawała się przyjazna, miałem przypadłość, rysę charakteru, jak nazywała to Ti, polegającą na tym, że wcześniej czy później ktoś ma ochotę skopać mi tyłek. Wolałem więc wiedzieć, co ma w zanadrzu, zanim zakwilę jak dziecko.

Sęp milczał i już myślałem, że nie odpowie, ale widać znów miał moment niespotykanej łatwości dzielenia się wiedzą.

– Jaskółka leczy ludzi ze smutku, który połyka ich dusze. Gromadzi go i może ci posłać dawkę, po której przegryziesz sobie żyły, przekonany, że już nigdy nic na ciebie nie czeka. To był tylko pstryczek. Nigdy nie wkurzaj Jaskółki.

– Czy sam nie powinieneś się do tego stosować? – zapytałem.

– Powiniennem. Ale czasami nie mogę się powstrzymać. – To głupota – zawyrokowałem. Bez oceniania, bo przecież kto bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień.

– Takim mnie Praojciec stworzył, nawet jeśli lubi udawać, że coś poszło nie tak – powiedział głośniej.

Idąca kilka kroków przed nami Jaskółka prychnęła.

– Wszyscy mamy swoje miejsce – dodał Sęp.

– A niektórzy po prostu lubią siał zamęt – rzuciła Jaskółka przysłuchująca się naszej wymianie zdań.

– Bez zamętu powietrze stoi, woda tęchnie, a ziemia spieka się od słońca i przestaje rodzić – powiedział głośniej.

– Wymówki – rzuciła przez ramię, ale uśmiechnęła się delikatnie. Zwolniła i po kilku krokach szła już prawie równo z nami. – Dobrze, że przyszedłeś – zwróciła się do mnie. – Małemu Ptazkowi nie jest u nas źle, ale jej oczy robią się zbyt jasne. Powinna wrócić.

Spojrzałem pytająco na Sępa, nie rozumiejąc uwagi o oczach.

– Pamiętasz Bulwę? – zapytał. Przytaknąłem, bo nieco obłąkanego włóczęgę, który okazał się złamanym szamanem, trudno było zapomnieć. – Więc wiesz, do czego prowadzi zbyt długie przebywanie w Zaświatach dla kogoś, kto nie przeszedł szkolenia i inicjacji. Płaszczyzny się mieszają, klepki też. A duchowe oczy jaśnieją, aż w końcu zaczynają przypominać oczy ślepcy, stają się całkiem białe. Dlatego mówiłem, że nie powinna zbyt długo przebywać w tym stanie.

– Dlaczego jej po prostu nie odprowadziliście do bramy? – zapytałem sfrustrowany.

– Babcia Pająk ją znalazła, półżywą i przerażoną. A potem była już związana.

– Od kiedy tu jest, licząc według naszego czasu? – zapytał Sęp.

– Od kilku dni – odparła Jaskółka, wyraźnie uciekając spojrzeniem.

Sęp zaklął.

– Co to znaczy? – zapytałem. Byłem wściekły, że muszę dopytywać o każdą najdrobniejszą rzecz.

– To znaczy, że jadła tutejsze jedzenie.

– Działa tu taka zasada jak u wrózek? – zapytałem przerażony.

Człowiek, który zjadł jedzenie wrózek, stawał się ich niewolnikiem i nie mógł już wrócić.

– Nie aż tak źle – powiedział.

– Ale i nie dobrze – szepnęła.

– Zapłacę za nią – powiedział Sęp.

– Wiesz, że nie twojej krwi zechcą.

Jedno zdanie może zatrzymać serce na najdłuższą sekundę świata, pomyślałem.

W oddali zamajaczyła wioska.



Tipi mieszały się z chatami z czerwonej gliny i szałasami wyglądającymi jak miniaturowe hangary kryte skórą bizonów – o beczkowatych sklepieniach, zbudowane na planie prostokąta.

– Poznasz wszystkich później – oznajmiła Jaskółka, machając w stronę grupki ludzi

stojących przed największym tipi, którzy z oddali przyglądali się nam z ostrożnym zainteresowaniem. – Babcia Pająk kazała przyprowadzić cię do siebie w pierwszej kolejności.

Babcia Pająk mieszkała w okrągłym glinianym domku krytym strzechą, z małym gankiem i nieregularnymi okienkami bez szyb. Drzwi wejściowe były tak niskie, że musiałem schylić się niemal w pas. Jaskółka i Sęp zostali na zewnątrz. Ona, ponieważ Babcia stwierdziła, że ma mnie przyprowadzić, a nie niańczyć dłużej, niż musi. Sęp, bo przyznał, że bez jego obecności u mego boku mam odrobinę większe szanse na zrobienie dobrego wrażenia. Zaczynałem rozumieć, że to właściwie norma – zarówno w tym miejscu, jak i w każdym innym.

Przed wejściem zdjąłem buty, na wyraźne polecenie Jaskółki. Mój strój składał się już tylko ze spodni. Zaczynałem mieć obawy, jak długo utrzymam na sobie ubrania – wszystko zdawało się sprzyjać ich utracie. I, co absurdalne, brakiem koszuli byłem jedynie lekko skrępowany, ale gołe stopy sprawiły, że czułem się obnażony i bezbronny.

Domek okazał się jednoizbowy i ciemnawy, bo w większości otworów okiennych wisiały zasłony. Źródło światła stanowiły palenisko i lampka oliwna. Na podłodze rozścielone były dywaniki, kilimy, maty plecione ze sznurka; czułem podszwami stóp ich nierówną strukturę.

Nagle płomienie na palenisku podniosły się, rozjaśniając wnętrze tak, że wszystkie szczegóły stały się widoczne. Dopiero wtedy zobaczyłem starą, chudą i drobną kobietę, siedzącą po turecku na podłodze po drugiej stronie izby. Rozejrzałem się za Kurczaczkiem, niestety jej tutaj nie było.

– Cierpliwości, chłopcze – powiedziała skrzekliwie Babcia Pająk. – Siadaj.

Więc usiadłem. Ogień tańczył światłem i cieniem w jej pomarszczonej twarzy. Gdyby była człowiekiem, pomyślałabym, że ma sto lat, ale czułem jej gęstą magię i znałem kilka legend, które o niej opowiadały – Babcia Pająk, indiańska wersja Prometeusza, zdołała przynieść ludziom ogień, czego nie dokonało wielu od niej potężniejszych.

Milczała przez dłuższą chwilę, przyglądając mi się spod półprzymkniętych powiek. Wreszcie się odezwała:

– Troszkę chuchro z ciebie, chłopcze, czyż nie?

Odruchowo splotłem ręce na piersi. Nie byłem szczególnie umięśniony, ale chłopcem przestałem być już jakiś czas temu. To, że Babcia Pająk była stara, nie miało tu nic do rzeczy.

Cmoknęła rozbawiona.

– Wytykać starej kobiecie wiek, no ładnie. Tak was tam teraz chowają?

– Gdybym wiedział, że akurat bez pozwolenia grzebiesz mi w głowie, pomyślałbym o czymś miłym – odparłem.

– Stary nawyk. – Wzruszyła ramionami. – Zatem powiedz mi, dlaczego twoje dziecko nie jest chronione. Dlaczego nie zrobiłeś jej tatuażu, gdy tylko przejawiała magię śmierci?

– Powinniście pomyśleć o książeczce *Twoje dziecko jest szamanem, krok po kroku w inicjację*. I lepiej nas szukać. Mnie nikt nie znalazł przez trzydzieści sześć lat. Jej przez

piętnaście. Nie wiedziałem o jej istnieniu. A nawet gdybym wiedział, nie miałem pojęcia o czymkolwiek.

– Kto cię szkoli teraz? Bo nie jesteś tak całkiem do niczego. Obserwowałam, co zrobiliście z Harfiarką i Sępem z tymi wszystkimi żołnierzami. Wyglądało dość imponująco.

– Jeździec Burzy, poniekąd. Zaliczyłem u niego pierwszy etap szkoleń. Odmówił prowadzenia mnie dalej.

– Bo nie chciałeś inicjacji?

Skinąłem głową.

– Z jakiegoś konkretnego powodu czy po prostu lubisz być głupi?

Westchnąłem.

– W kółko mi powtarzał, jak potężny się stanę. Tylko widzisz, mnie to kompletnie nie interesuje.

– Ciekawe. Czego więc chcesz? Czego szukasz?

– Świętego spokoju głównie. Nie prosiłem się o to wszystko i nie lubię działać pochopnie. Nie lubię gwałtownych zmian. Może gdybym miał piętnaście lat, skoczyłbym w gorący olej i z rozkoszą obierał swoje ugotowane mięso do gołego szkieletu. Ale dobijam czterdziestki i unikam bólu, jak długo mogę. Nie wiem, czy przetrwałbym coś takiego przy zdrowych zmysłach.

Czułem, że jej spojrzenie zanurza się w mojej duszy. Przesunęła językiem po wargach, jakby smakowała moje słowa, upewniając się, że mówię prawdę.

– Tak ci to przedstawił Jeździec Burzy? – zapytała.

Skinąłem głową.

– Odbyliśmy na ten temat mnóstwo rozmów. Wydawał się czerpać sadystyczną przyjemność z opowiadania mi o swojej inicjacji. Tak jakby był jednocześnie sadystą i masochistą, bo doznawał dziwnej rozkoszy na samo wspomnienie bólu, który wtedy przeżywał. A ja po wszystkim czułem się dotykany w bardzo zły sposób.

– Głupiec.

– Być może. Ale wciąż przy zdrowych zmysłach.

– Nie ty. On. Czy jesteś Jakutem czystej krwi?

– Oczywiście, że nie.

– Mało kto już jest.

– Jakutem?

– Czystej krwi, chłopcze. Ludzie wędrują, mieszają się, magie się splatają, dziedziczysz po ojcu, matce, dziadkach, wujach. Może masz w sobie kroplę Jakutów, ale równie prawdopodobne, że Czejenów albo Aborygenów. Oczywiście magia podlega określonym zasadom. Ale jej przetrwanie zależy od tego, czy jest elastyczna, czy jest jak płyn wypełniający wciąż zmieniające się naczynie świata. Trzymanie się ściśle archaicznych zasad w imię tej minionej czystości jest głupotą. Widzisz... – Wsypała garść ziół do ognia. Dym pachniał teraz tytoniem i czymś jeszcze... tatarakiem? – Jest was coraz mniej. Szamanów. Jesteście cenni. Świat bez was to miejsce niezbyt bezpieczne dla ludzi. Macie konkretne zadania, które są ważne i użyteczne. Ryzykowanie utraty nawet jednego z was tylko dlatego, że komuś duma plemienna zakłada klapki na oczy, jest

głupie... Zwłaszcza że na końcu i tak nikt nie prowadzi statystyk, w jakim obrządku ilu przeszło inicjację.

Nie mogłem skupić się na jej słowach. Z pewnością to wszystko było ważne, ale nie przyszedłem tu na debaty o kształcie szamanizmu w dwudziestym pierwszym wieku.

– Babciu Pająk, przepraszam, ale czy możemy się zająć sprawami ważniejszymi niż moja inicjacja?

– Mówisz o Małym Ptaszku? Przecież to się wszystko łączy. Muszę wiedzieć, czy poradzisz sobie z tym, co jest ci pisane, jeśli chcesz, by wróciła na ziemię.

– Zrobię wszystko.

– Nawet wskoczysz do rozgrzanego oleju i obierzesz swoje ugotowane mięso od kości?

– Jeśli to jest konieczne, trudno.

– Ledwie ją znasz, prawda? Mówiła, że jeszcze pół roku temu nie wiedziałaś o jej istnieniu.

Skinąłem głową. Miała rację i jej nie miała. Nigdy nie myślałem, że będę czuł coś tak intensywnego. Wydawało mi się, że wiem, czym jest miłość, że ją rozumiem. Myliłem się – nic nie przygotowało mnie na to, że wystarczy kilka miesięcy, by ktoś wszedł w posiadanie całego twojego serca. Wystarczy chwila, a szczęście tej osoby jest dla ciebie najważniejsze. Nie rozumiałem, co to znaczy być ojcem, dopóki nie dostałem ojcostwem w twarz. Myślałem, że da się to zrewidować, rozplanować ostrożnie, krok po kroku, ale nie. Podbiła mnie i powaliła. I nagle byłem ojcem. Więc jeśli jej szczęście wymagało wskoczenia do gorącego oleju, rozpalcie ogień i dajcie mi chwilę na wyjęcie z kieszeni kluczy i portfela.

– Jest moim sercem – powiedziałem po prostu.

– Czyli wcześniej żyłeś bez serca?

– Prześlizgiwałem się po wierzchu.

Skinęła głową.

– Gdzie jest Kurczaczek? – szepnąłem z desperacją.

– Zabrał ją rano. Próbowałam ją zatrzymać, ale był uparty jak zwykle.

– Kto?

– Jeden z Przedwiecznych. Szykują ją na inicjację, ale dla niej jest za wcześnie, o wiele za wcześnie.

– Zabiję ich.

– Wierz mi, wiele razy próbowaliśmy tego z pozostałymi Pierwszymi. Odradzają się jeszcze bardziej irytujący. Tyle że, widzisz, to nie oni podjęli decyzję o zabranii jej. A ten, kto za tym stoi, jest nietykalny dla wszystkich, może poza Nieodgadnionym Ojcem. On jednak nie będzie się w to mieszać – nie teraz.

– Jest tu coś gorszego niż Przedwieczni? – zapytałem.

Zaczęła rechotać chrypliwie, kołysząc w przód i w tył, tak jakbym powiedział coś wyjątkowo zabawnego.

– Chłopcze, co Jeździec Burzy powiedział ci o hierarchii Zaświatów?

– Nie dotarliśmy do tego. Sporo mówił o strukturze poziomów i drzewie życia, opowiedział kilka legend, nastraszył rzeką lawy, a potem uznał, że nie zasłużyłem na

więcej informacji.

– Głupiec. Będę musiała porozmawiać o nim z jego pośrednikiem.

– Nie było nikogo innego. Dopiero kilka dni temu poznałem Harfiarkę. Jest trzecim szamanem, jakiego spotkałem w życiu.

– A Sęp?

Mogłem go wrzucić pod pociąg. Ale nielojalność nie leżała w mojej naturze.

– Docieramy się.

Prychnęła jak rozzłoszczony kot.

– No dobrze. Więc pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego nie możesz wziąć Małego Ptaszka za rękę i wyprowadzić z Zaświatów. Na początku byli tylko Nieodgadniony Ojciec i Pramatka. Stworzyli Pierwszych, którzy byli zwierzętami i magią wcieloną. Pierwotnie raczej ideami niż bytami. Dopiero z czasem przybrali formę cielesną.

– Jesteś jedną z Pierwszych, prawda?

– Jestem. Z Krukiem, Kojotem, Pasikonikiem, Orłem, Pumą i Sępem.

– Nie tym Sępem – upewniłem się.

– Tym i nie tym. Umierał i odradzał się tyle razy... Zawsze jest trochę inny.

– Harfiarka...

– To Puma. Od kilkuset lat więcej czasu spędza na ziemi, dzięki czemu zna was lepiej i więcej w jej sercu współczucia. Buduje nam dobrą opinię, ale nie daj się nabrać. Nie wszyscy jesteśmy tak mili i kulturalni. Za wiele mamy z naszych stwórcy. Są też Drudzy, lub, jak sami wolą się nazywać, Nowi Pierwsi. To ci, których stworzyliśmy my. Też są zmiennokształtni, ale ich magia jest dużo węższa i lepiej ukierunkowana. Stworzyliśmy ich, by odpowiadali na poszczególne potrzeby, które pojawiały się z czasem. Głównie wasze, ludzkie.

– Jaskółka?

– Bardzo dobrze, chłopcze. Bez niej ludzie już dawno utonęliby w smutku. Są też Drudzy, którzy nie mają tak konkretnego celu. To zwykle oznacza, że powstał jako jeden z chorych żartów Sępa i Kojota, a oni zakładali się częściej, niż powinni. Jeśli zastanawiasz się, kto, na pioruny, wymyślił skorpiona – pajęczaka, który gryzie dupę – możesz przy pierwszej okazji zapytać Sępa, co miał na myśli. Sama chętnie poznam odpowiedź.

– Co wtedy stworzył Kojot? – zapytałem.

– Grzechotnika. Zapewne warunkiem koniecznym zakładu było głupie zastosowanie tyłka.

Nie wiedziałem, jak to skomentować, więc siedziałem cicho.

– Stworzyliśmy nie tylko Drugich. Każdy z nas powołał swoich ludzi. Pramatka tchnęła w nich życie, a Nieodgadniony pomógł im zasiedlić ziemię. Nie będę cię zanudzała pełną kosmogonią, kto, co i kiedy, zwłaszcza że Jeździec Burzy klóciłby się z każdym moim słowem, bo, jak już się pewnie zorientowałaś, każda pliszka swój ogonek chwali i ma swoją wersję, jak się to wszystko zaczęło. Nie przeszkadza mi, że nie mają racji i żyją w błędzie. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Każde z plemion ma jednego reprezentanta tu, w Zaświatach. Nazwaliśmy ich Duchami Przodków i mają pilnować interesów swoich ludzi. Jedni wywiązują się z tego zadania lepiej, inni gorzej.

– Więc hierarchia do tego momentu wygląda tak: Nieodgadniony Ojciec i Pramatka, Pierwsi, Drudzy i Duchy Przodków? Ale oni nie są Przedwiecznymi?

– Ci są ciut niżej. Pierwszy szaman lub czarownik z każdego plemienia, gdy jego życie dobiegało kresu, trafiał do nas. I stawał się Przedwiecznym. Więc wbrew temu, co lubią o sobie myśleć i co próbują ci dać do zrozumienia, nie są najważniejsi i nie zajmują miejsca na szczycie hierarchii. Jednak oni odpowiadają za twoją ostateczną inicjację, bo to ich obowiązek.

– Więc jeśli nie oni mają Kurczaczka, to kto?

– Tu się robi nieco dziwnie. Duch Zaświatów jest jak genius loci, to wcielona magia samej krainy. Bardzo potężny i niezależny, bo nie stworzyło go żadne z nas.

– Jeśli więc stworzył go Nieodgadniony Ojciec lub Pramatka...

– Możliwe. Nie wiem. Nigdy się do tego nie przyznał. Ale Biała Bizonica ma teorię, że Duch Zaświatów powstał samoistnie. Samorodek. W naszej magii duchem może stać się wszystko. Zresztą przecież znasz ducha ogniska domowego czy czasu. Rzeczy, zwierzęta, miejsca – wszystko, co staje się ważne na jakimś poziomie, budzi emocje, porusza, może stać się duchem. Nawet ten cholerny pajęczak żądający tyłkiem i wąż wyposażony w grzechotkę. Zresztą ludzie boją się ich tak bardzo, że te duchy są naprawdę potężne. A trudno odmówić Zaświatom ważności i emocji, więc Biała Bizonica może mieć rację.

– I to on ma Kurczaczka?

– Tak. Uznał, że skoro jest tu dłuższą chwilę, jej energia miesza się z magią Zaświatów. Wplata w siebie jej esencję. I żeby uprzedzić pytanie – nie odbierzesz jej siłą, nie zabijesz go, nie ugryziesz tak, że go zaboli. Możesz próbować, ale zginiesz, a ona zostanie tu na zawsze.

– Więc co mogę zrobić?

– Dogadaj się z nim. Daj mu to, czego pragnie bardziej od niewinnej, nastoletniej dziewczyny: emocje, poświęcenie, duże litery i szaleństwo. Taki właśnie jest – niezrównoważony. Ale to dobrze, bo łatwo się rozprasza i porzuca zabawkę, gdy znajdzie inną.

– Czyli weźmie mnie zamiast niej – powiedziałem ze spokojem.

– I co, chcesz tu zostać na jej miejsce? – zapytała, mrużąc oczy.

– Ma przed sobą całe życie.

– Ty też jeszcze nie stoisz nad grobem.

– Nie zostawię jej tu. Jej matka by tego nie zniosła.

– A zniesie brak ciebie?

Parsknąłem śmiechem.

– No tak. Więc możesz zabawić się w męczennika. Możesz też mnie posłuchać i wykpić się doba, zamiast oddać resztę życia.

– Mów dalej.

– Nie twierdzę, że będzie łatwo, bo z nim nic nie jest łatwe. Po kilku dniach w jego towarzystwie tęsknię za Sępem i Kojotem, bo tylko oni potrafią go zamotać tak, że zgadza się na wszystko. Nie mów Sępowi, że ci to powiedziałam.

– Oczywiście. Powiedz mi, co mam robić.

– Spłać go krwią, potem i łzami. Tę opłatę musi przyjąć, to stary i uświęcony rytuał. Później ją wypuści. Kupimy jej trochę czasu, kilka lat, aż będzie gotowa.

Babcia Pająk wstała, otrzepała prostą bawełnianą sukienkę w kwiatowy wzór i zaczęła pakować do obszytej frędzlami torby przedmioty z ołtarzyka – niedużego stołu zbudowanego z płaskiego piaskowca i dwóch szerokich pni.

Nie pytałem, jak dokładnie ma wyglądać rytuał. Wiedziałem, że i tak zrobię wszystko, co będzie konieczne.

Rozdział 15



Mógłbym skłamać. Powiedzieć, że znosiłem cierpienie w ciszy i z godnością, ale prawda była taka, że przekleństwa skończyły mi się po dwóch godzinach. Siły, by wyrzucić je z siebie, również. A miałem przed sobą jeszcze niekończące się godziny męki. W pionie utrzymywała mnie tylko myśl, że to dla Kurczaczka. Gdyby nie ona, leżałbym już w pyłe, płacząc jak dziecko. O ile zostały mi jeszcze jakieś łzy. W rytuale były cenniejsze nawet od krwi, więc możliwe, że zabrał je w pierwszej kolejności. Głowa opadła mi nisko, na pierś. Krople potu podrażniały świeże rany, dlatego krew nie krzepła. Sól i nieznosne słońce powodowały, że skóra piekła mnie i swędziała jednocześnie.

Jeszcze rankiem nie wiedziałem, że nienawidzę pustyni. Nie miałem również pojęcia, co mnie czeka, kiedy szedłem tutaj za Babcią Pająk. Stawiała nieduże krocзки, ale przebierała nogami całkiem szybko jak na nieco chuderlawą staruszkę, która nie miała nawet metra pięćdziesięciu. W świetle dnia jej włosy były całkiem białe, lekkie jak puch, rozczochrane. Gdyby nie jej twarde i złośliwe spojrzenie, może nawet mogłyby się komuś skojarzyć z awangardową aureolą. Dla mnie wyglądały jak skłębione włókna pajęczej przędzy.

Prowadziła mnie poza teren zabudowań, za wioskę, wąską i nierówną ścieżką, która skończyła się przy studni. Poszliśmy dalej. Byliśmy sami, bo obecność Sępa znów mogła być strzałem w kolano. I pomyśleć, że zamiast ducha opiekuńczego mogłem przygarnąć psa ze schroniska. Nie pyskowałby, nie sprowadzał suczek do mojego mieszkania, nie umiałby otwierać lodówki i w całości oddałby mi swoje psie serduszko.

Po kilkunastu minutach marszu roślinność wyraźnie się przerzedziła. Żar sprawiał, że na rachitycznych krzaczkach nie było śladu liści, rzadkie kępki trawy miały płowy odcień, gleba pod naszymi stopami była wyschnięta i spękana, jakby w tym stuleciu nigdy nie spotkała się z wodą. Nie zauważyłem żadnych zwierząt – możliwe, że w takim miejscu mogą żyć tylko wynalazki Sępa i Kojota. Cisza dzwoniła w uszach. Wzrok zawodził – od ostrego słońca pod powiekami wirowały mi czarne koła.

Babcia Pająk nie zwalniała, więc i mnie nie wypadało. Słońce potwornie paliło w kark. Szliśmy dobrą godzinę, nim zobaczyłem coś więcej niż bezkresne połączenie spękanej ziemi.

Spiętrzające się jasnożółte głązy piaskowca sprawiały wrażenie, jakby ktoś je tu przyniósł i usypał z nich górkę. Były ogromne, miały po cztery czy pięć metrów

wysokości. W ich ułożeniu był chaos i porządek zarazem, przez co skojarzyły mi się z grą w bierki. Bo choć patyczki leżą rozrzucone po całym stole, w ich układzie wciąż jest wspomnienie, że chwilę temu trzymałeś je ciasno w dłoni. A może lepszym porównaniem byłaby gra w kości – ktoś musiał potrząsnąć kubeczkami, zanim je rozsypał, a uwzględniając ich rozmiar, to był cholernie duży kubeczek i niewyobrażalnie wielka dłoń.

Babcia Pająk odnalazła ścieżkę i zaczęła się wspinać po wytrawionych słońcem, porowatych skałach. Odkąd opuściliśmy wioskę, praktycznie się nie odzywała, poza krótkimi komunikatami „szybciej” czy „nie grzeb się tam”, rzucanymi przez ramię. Jeśli sapałem za głośno, prychała i przyspieszała, jakbym zniesmaczał ją własnym zmęczeniem. Ale nie byłem jak ona, Pierwszym, nie byłem magią wcieloną, do tego przywykłą do czterdziestostopniowych upałów. Nawet wiatr, gdy łaskawie zadał, bardziej przypominał wyziewy rozgrzanego pieca do pizzy, niż odświeżał. Słońce stało w zenicie i o ile mogłem się zorientować, nie poruszało się po niebie. Być może tu zawsze jest środek dnia.

– Już prawie – powiedziała.

W moich uszach to brzmiało jak muzyka.

Szczyt wzniesienia był płaski, gładki i na tyle duży, by dało się grać tu w koszykówkę. Choć gdyby piłka wypadła za pole, schodziłoby się po nią dobry kawałek.

Rozejrzałem się, szukając czegokolwiek, co uzasadniałoby nasze przyjście tutaj. Bez rezultatów.

– Jest Duchem Zaświatów, to oczywiste, że na siedzibę wybierze coś skrajnie ekstrawaganckiego. Użyj znaku widzenia – rozkazała.

Posłuchałem, choć zwykle w Zaświatach lepiej było go nie używać. To, co wydawało się przerażające normalnie, widziane wzrokiem magicznym przeradzało się w istny horror.

Tym razem z nicości nie wyłoniły się potwory, ale architektoniczny koszmar z wieżyczkami jak w Alamo, mnóstwem małych okienek i samosiejkami kaktusów oraz niskopiennych iglaków, rosnących na płaskim dachu. Budynek w całości zbudowano z magii, każda z cegieł i dachówek była mglistym bytem, od którego bił charakterystyczny poblask eteru.

– Miniaturowa wersja Domu Mgieł, w którym żyją Nieodgadniony Ojciec i Pramatka.

– Miniaturowa wersja? – zapytałem, bo w budynku mogłaby się mieścić szkoła z internatem.

– Pramatka wciąż dokłada nowe piętra, nowe skrzydła, atria, werandy, zewnętrzne klatki schodowe, tarasy. Duch Zaświatów odwzorował Dom Mgieł sprzed kilku wieków. Pozwól mi mówić. Jeśli sam z nim będziesz rozmawiał, wykiwa cię, zanim się zorientujesz.

– To chyba dość uniwersalna rada w tych stronach? – zapytałem, bo jeśli wierzyć legendom, sama Babcia Pająk nie słynęła z przesadnej prostolinijności. Ciekawe, czy gdyby Jaskółka mnie magicznie nie uspokoiła, przyjmowałbym wszystko za dobrą monetę i szedł z tą obłąkaną kobietą na pustynię.

– Pilnij języka, bo ci ukradną. – Zaśmiała się z własnego dowcipu i zastukała w drzwi. Nie usłyszałem dźwięku. Co prawda drzwi w dotyku sprawiały wrażenie prawdziwych, ale oszukanie wszystkich zmysłów iluzją było trudniejsze niż oszukanie tylko jednego czy dwóch – i wymagało stałego podtrzymywania zaklęcia. Choć oszczędzanie akurat na dźwięku w przypadku drzwi wydało mi się dość ryzykowne. Chyba że goście nie byli mile widziani.

– Duchu Zaświatów! Przychodzę pohandlować! – zawołała.

Okno nad naszymi głowami otworzyło się i wychyliła się z niego postać w masce, która wyglądała jak stylizowana czaszka. Nie potrafiłem z tej odległości stwierdzić, czy to prawdziwa czaszka, czy bielona glina, w każdym razie efekt był upiorny.

– Co dla mnie masz? – zawołał dziwnie wysokim głosem.

– A co ty masz dla mnie? Za byle co nie oddam! – odkrzyknęła.

– Mam... wiosenny deszcz i rozkwitające raz w roku kaktusy.

– To ładne, ale przydałoby mi się coś innego.

– Mam jajo gromoptaka! – zawołał, mocniej wychylając się z okna, dzięki czemu zobaczyłem, że do piersi i ramion także przymocowane ma kości.

– A co ja zrobię z gromoptakiem? Tyle pilnowania. Nie jestem już młodą dziewczyną, żeby matkować gromoptakom.

– Mam zaklęcie, które sprowadza deszcz!

– A bo ja coś siałam, żeby się deszczem martwić? – odkrzyknęła.

To musi potrwać, pomyślałem. Duch Zaświatów wymyślał coraz to nowe propozycje handlowe, a Babcia Pająk uprzejmie, acz stanowczo wszystkie odrzucała.

– A co byś chciała? – zawołał w końcu, gdy skończyły mu się pomysły.

– Masz tę młódkę? Dziewczynkę z ziemi? Zamiast marnować ją na Przedwiecznych, oddaj mi ją na służbę.

– Oj, nie wiem. Mam ją dopiero od niedawna. Nie nacieszyłem się nią jeszcze. A ona tylko śpi albo płacze. Nie wiem czemu. I nie chce jeść larw.

– Takie już są małe dziewczynki. Płaczą i nie chcą jeść larw – odparła ze współczuciem. – Ale naniósłaby mi drew do paleniska czy nałuskała fasoli. Stara kobieta powinna mieć pomoc, nie sądzisz?

– Powinna. A nie masz Jaskółki od tego?

– Jest zbyt smutna. A Sęp i Kojot znowu zaczęli i przecież wiesz, że ona zawsze musi interweniować.

– Aj, urwisy. No dobrze. Dam ci dziewczynkę, jeśli masz dla mnie coś naprawdę dobrego. Coś, czego nie mam i nie mógłbym sobie sam zdobyć.

– Co powiesz na potrójną ofiarę? Krew, pot i łzy. Dobrowolne i ofiarowane z miłości?

– Oj, dobra magia! – Zacmokał, przynajmniej tak mi się wydaje, bo dźwięk dobiegający spod maski był nieco zniekształcony. – Oddam za dwie doby!

– Dwanaście godzin! – odkrzyknęła.

– Trzydzieści sześć – licytował.

– Dwanaście godzin! – Była twarda.

– Doba! – schodził z ceny.

– Jest człowiekiem, szamanem bez inicjacji, nie wytrwa, nie ma duchów, które mu pomogą. Dwanaście godzin. Chcę ci dać potrójną ofiarę, nie śmierć.

– Zgoda. Ale u mnie!

– Niech będzie.

Okiennica nad nami trzasnęła i usłyszałem szuranie przy drzwiach, które zamiast się otworzyć, po prostu zniknęły. Iluzja była pewnie trudniejsza od reszty.

Stał w progu, wyższy ode mnie, stary i żylasty, wciąż w masce i tym dziwnym egzoszkielecie; zauważyłem, że kości były ceramiczne, chropowate i szklwione bielą. Długie, ciemne włosy z pasmami siwizny miał pozlepiane w strąki. Uniósł maskę, do której przyczepiony był dziwny futrzany welon ze skóry wilka czy psa, i jak krótkowidz przysunął się bliżej, mrużąc całkowicie białe oczy.

– Nowutki jest, wcale niezniszczony! – Zacmokał z radością.

Niezła opinia, biorąc po uwagę, że dobiegałem czterdziestki.

– Może nawet da radę! – dodał i zrobiło mi się nieco gorzej.

– Wytrwa. A ty uwolnisz jego córkę z plecionki mocy, tak by zdołała opuścić Zaświaty. Wróci dopiero, gdy będzie gotowa.

– Podstępna jesteś, Babciu Pajęczycu.

– Czy byłabym tu, gdzie jestem, gdybym nie była podstępna?

– Dobrze więc. Zaczynajmy.

Zaklaskał i nagle zjawilo się przy nim dwóch mężczyzn. Pierwszy miał bogaty, rytualny strój, mnóstwo naszyjników z kłów i pazurów, a na głowie rozbudowaną ozdobę z rogów bizona, osadzonych na skroniach, i piór orlich i kruczych. Wojownik i szaman.

Drugi przeciwnie, wyglądał na ninja – cały w czerni, w znoszonych spodniach, koszuli, haftowanej na piersi czarną nicią, i chustce zawiązanej na czole. Długie włosy miał splecione w obwiązane rzemykiem warkocze. Jedyne pióro, jakie zauważyłem, wisiało u jego pasa. Nie kupowałem tego. Czułem jego energię, była silna jak u zwierzęcia uwięzionego w ciasnej klatce. Może był zmiennokształtnym, ale mnie zdawał się burzą zamkniętą w małym słoiku.

Ten pierwszy wyglądał, jakby koniecznie chciał budzić przerażenie. Ten drugi – po prostu je budził i strój nie miał na to żadnego wpływu.

– Dwa Księżyce, przygotuj miejsce próby. Serce Grzmotu, przygotuj ofiarę.

– Najpierw chcę zobaczyć Kurczaczka – powiedziałem cicho do Babci Pajęk.

Ledwo zauważalnie skinęła głową i położyła palce na ustach. Pociągnęła mnie za rękę, tak bym się do niej nachylił, i szepnęła mi do ucha:

– Nie daj mu więcej władzy, niż będzie miał przez następne dwanaście godzin. Jeszcze nie zawarliście kontraktu.



Przygotowanie oznaczało zmuszenie mnie, bym pożegnał się z portkami, zamiast których dostałem przepaskę biodrową; za nic nie umiałem zawiązać jej tak, by nie spadała. Serce Grzmotu – milkliwy facet o solidnej posturze – bez słowa pokazał pleciony z rzemyków i sznurka pas z podwójnym kółeczkiem zamiast klamry. Rozgryzłem, jak za

jego pomocą przymocować przepaskę, żebym, cokolwiek zaplanował dla mnie Duch Zaświatów, nie dorzucił mu striptizu gratis.

Serce Grzmotu zaprowadził mnie na środek świętego czubka wzniesienia. Na ziemi leżała wydrążona w drewnie miseczka z wodą, na powierzchni której unosiły się żdźbła trawy. Odwiązał od pasa orle pióro, zanurzył je w wodzie i spryskał mnie obficie, nucąc coś pod nosem. Resztę wylał na ziemię, a pióro przywiązał z powrotem.

Jego kumpel pojawił się nagle, taszcząc pień. To nie metafora – w jednej sekundzie go nie było, w drugiej był, uginając się pod ciężarem trzymetrowej kłody o ponadmetrowej średnicy. Gdyby zamiast opaski miał kilt, wyglądałby jak Szkot w trakcie konkursu rzucania pniem. Postawił bal na sztorc, po czym skropił jego podstawę wodą ze skórzanego bukłaka i zaczął śpiewać.

Magia uderzyła jak piorun, gwałtowna, niepowstrzymana, silniejsza niż wszystko, co znałem. Spłynęła z góry, wybiła ze skał u naszych stóp, oplotła nas podmuchem powietrza. I nagle pień przestał być martwy. Na moich oczach wypuszczał potężne korzenie, które wrastały w skałę niczym wiertła, korona z grubych gałęzi się rozrosła, ciągnąc pień w górę. W okamgnieniu w miejsce kłody pojawiło się drzewo, bardziej majestatyczne niż kilkusetletnie dęby.

Dwa Księżycy zwinnie wspiały się na gruby konar i odplątały ukryty między gałęziami sznur, tak że jeden jego koniec opadł na ziemię.

Zemdliło mnie na myśl, że będą mnie wieszać. Ale Dwa Księżycy zwinnie przedostał się na konar po drugiej stronie pnia i spuścił na ziemię drugi sznur. Upewniwszy się mocnym szarpnięciem, że jest solidnie przywiązany, zsunął się po nim na ziemię.

Rozciągnął oba sznury, a gdy były napięte jak cięciwy, na skale narysował kawałkiem węgla drzewnego niewielkie kółko.

Serce Grzmotu popchnął mnie lekko w tamtą stronę. Nie podobało mi się to wszystko, cholernie mi się nie podobało. Znałem jednak stawkę.

Duch Zaświatów pojawił się, trzymając dwa duże, stalowe haki. Podał je Dwóm Księżycycom, który przywiązał je do sznurów.

– Dwanaście godzin, pot, krew i łyzy. Nie weźmiesz więcej, rozumiemy się? – odezwała się towarzysząca mu Babcia Pająk.

– Zgoda.

– A ja zabieram z twojego domu dziewczynkę. Nie będziesz rościł sobie do niej praw, dopóki nie będzie gotowa do przejścia inicjacji – negocjowała dalej.

– Zgoda.

– Niech więc będzie. Jego magia spada na ciebie i twój dom – powiedziała Babcia Pająk, cofając się o krok.

Wiedziałem, że nie czeka mnie nic przyjemnego. Ale przyjemny rytuał nie nosiłby nazwy „pot, krew i łyzy”, a na przykład „ciasteczka, czekoladki i kocięta”. Jakoś nigdy nie trafiają mi się przeciwnicy, którzy marzyliby o tym, by obłożyć mnie mruczącymi kociętami i częstować czekoladą.



Haki wbili mi tuż pod łopatkami, przebijając się przez skórę na wylot. Byłem jak ryba złapana na dwie wędkę jednocześnie. Szybko odkryłem też, po co narysowali kółko. Miałem w nim stać, bo w tej właśnie odległości liny były odpowiednio naprężone i każde odchylenie od pionu przeszywało mnie bólem. Przez pierwszą godzinę powtarzałem sobie po cichu, że wytrzymam, owszem, jest ciężko, ale wytrzymam. Tyle że haki przebijające skórę to była ledwie część problemu. Słońce, wściekłe pustynne słońce robiło mi złe rzeczy z głową i ciałem. Musiałem być odwodniony, bo zaczęły mi drżeć mięśnie, a czaszkę rozsadzała migrena stulecia. Zamknąłem oczy, wrażliwsze teraz na światło, ale było jeszcze gorzej, bo gdy nie widziałem przestrzeni przed sobą, pojawiały się zawroty głowy i uczucie spadania, a pod powieki napływały czarne wiry.

Stałem sam na otwartej przestrzeni. Magiczne drzewo szumiało zbyt daleko, bym zaznał ulgi cienia.

I wtedy zaczęli przychodzić. Dręczyć mnie w chwili słabości.

– Unikałeś nas zbyt długo, szamanie – szeptali mi do ucha, wiedząc, że tym razem nie zdołam uciec. – Teraz jesteś na naszej łasce i nie dowiesz się, co to ból, póki z tobą nie skończymy.

– To nie wasza próba, nie wasz test – powtarzałem, ciesząc się, że Babcia Pająk zabrała Kurczaczka daleko stąd.

Dotrzymała słowa. Zadbala o to, by mała była bezpieczna. Słyszałem je obie, gdy wyszły z domu z magii i mgły. Babcia Pająk zapewniała moją córkę, że wszystko będzie dobrze, i oznajmiła, że zabiera ją do wioski. Kurczaczek, płacząc, wołała moje imię, lecz nie mogłem się odwrócić, bo wówczas złamałbym zasady. Chciałem krzyknąć, że ją kocham, ale nie przeszło mi to przez gardło. Nie w takich okolicznościach chciałem jej o tym powiedzieć.

„Nadejdzie taki czas, że to poczujesz, zrozumiesz, będziesz wiedział”, powiedziała kilka tygodni temu. Oglądaliśmy u mnie jakiś film superbohaterski, kiedy nagle oznajmiła, że jej nie zawiodłem i cieszy się, że jestem jej ojcem, i doszła do wniosku, że mnie kocha. Zamurowało mnie. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio ktokolwiek mi to powiedział. Chciałem jakoś zareagować, ale kazała mi się zamknąć. Bo nie chodzi o to filmowe „ja ciebie też”. „Masz być pewien i to ma być twój moment, nie reakcja na moje słowa, rozumiesz?” Rozumiałem. A teraz... nie, nie chciałem, by wspomnienie tego wyznania kojarzyło jej się ze mną torturowanym, zakrwawionym i płaczącym jak dziecko.

Przedwieczni, którzy przyszli obserwować moje cierpienie, stwierdzili, że to jeden z najmiłszych sposobów spędzenia popołudnia od wieków. Nie wiem, skąd wiedzieli, że jest popołudnie, skoro słońce się nie poruszało. Noc, jak wyjaśniła Babcia Pająk, mogła zapaść, ale nie musiała. Wiele zależało od Ducha Zaświatów, a on zapominał o nocy dość często. To jeden z powodów, dla których tak trudno było śledzić tu czas. Nie miałem zegarka. Może dobrze, bo zerkałbym co dziesięć minut, by się przekonać, że przede mną wciąż ponad jedenaście godzin.

Duch Zaświatów zabronił im podchodzić zbyt blisko czy mnie dotykać, bo wtedy mogliby przejąć część magii, którą oddawałem, ale nie zabronił im gadać. Na bogów

kosmatych, pieprzenie głupot to też jest tortura! Bez przerwy mówili o tym, co mnie czeka. O cierpieniu, które zamierzają mi zadać. O tym, co zrobią Kurczaczkowi, kiedy ze mną skończą. Próbowałem się wyłączyć, ale ich słowa wwiercały mi się w czaszkę, aż mózg zaczynał krwawić.

Słabłem. Mój duch dałby sobie być może radę, gdybym wcześniej zadbał o ciało i miał jakiegokolwiek mięśnie. Nogi się pode mną uginały, słońce poparzyło mnie tak, że widziałem już pierwsze pęcherze na przedramionach, a twarz bolała, jakbym przysmażył ją na patelni. Widziałem cień przelatującego nade mną sępa. Mój duch opiekuńczy miał zakaz zbliżania się, więc musiało to być zwykłe ptaszysko. Padlinożerca, rozglądający się za kolejnym posiłkiem.

Nie myśl o bólu. Jeśli upadniesz i rozerwiesz hakami skórę, przyczepią je od nowa i wyzerują czas. Takie są zasady. Zamiast dwunastu godzin będziesz tu stał dłużej – choćby i w nieskończoność.

Czułem, jak krew i pot spływają po mnie strużkami. Wsiąkały w skałę, która przyjmowała ofiarę. Łzy zasychały mi na twarzy w słoną maskę.

Gdy pojawiły się halucynacje, całkowicie straciłem poczucie czasu. Czasami docierało do mnie, że to niemożliwe, by naprawdę stała przede mną Anita, dopytując, w co się znów wpackowałem. Majak, ale i tak się cieszyłem, że ją widzę.

Odwiedzali mnie także inni. Może sam ich przyzywałem – chciałem się pożegnać, zaczerpnąć ich siły, by stanął ktoś między mną a Przedwiecznymi.

Moja matka. Zawsze dobra i pełna czułości. Nie żyła od kilku lat i nie zdążyła się dowiedzieć, dlaczego nie jestem całkiem normalny. Wiem, że winiła siebie za moją inność, skoro to na niej spoczywała większość odpowiedzialności za moje wychowanie. Ojciec, inżynier, budował mosty na całym świecie i de facto był gościem w domu. Więc powiedziałem jej prawdę. Powiedziałem jej wszystko o magii, duchach. O Konstancji, która nagle wróciła, i Kurczaczku. Przeprosiłem ją, bo gdybym nie spieprzył tak dokumentnie piętnaście lat temu, znałaby swoją wnuczkę.

– Już dobrze, Piotrusiu, już dobrze – szepnęła i wspiąwszy się na palce, pocałowała mnie w skroń. – Zawsze wierzyłam, że odnajdziesz to, czego tak desperacko szukałeś, żałowałam tylko, że nie potrafiłam ci w tym pomóc. Daj, wezmę trochę tej ciemności. Nie musisz dźwigać jej sam – szeptała, obejmując mnie czule chłodnymi ramionami.

Ogarnęła mnie ulga tak ogromna, że znów zacząłem płakać. Chciałem, by mama została ze mną już na zawsze. Odkąd się dowiedziałem o mojej magii, żałowałem, że nie było mnie przy niej, gdy umarła – nagle i bez ostrzeżenia.

– Piotrze, wytrzymaj. Dla nas, dla naszego dziecka – zadzwęczał mi w uszach głos Konstancji.

Potałem dłońmi spuchnięte, piekące powieki. Chwiałem się na boki, coraz trudniej było mi utrzymać równowagę. Rozstawiłem szerzej stopy, modląc się o siłę, która mnie opuszczała. Usta mi spękały, wyschnięty język przywarł do podniebienia.

Ile to już? Czy byłoby łatwiej, gdybym wiedział, czy wręcz przeciwnie? Halucynacje wracały, lecz nie przybierały już formy ważnych dla mnie ludzi – teraz dyszało mi w kark coś przerażającego. Próbowałem uciec, aż prawie wyrwałem się z haków. To nie dzieje się naprawdę, szeptałem, nie ma niczego poza mną, słońcem i tymi

pieprzonymi hakami...

Jeśli Duch Zaświatów obserwował rytuał, robił to dyskretnie. Po jakimś czasie nawet Przedwieczni sobie poszli – pewnie zgłodnieli. Boże, ja też byłem głodny, burczało mi w brzuchu tak głośno; w pierwszej chwili myślałem, że wrócił któryś z potworów ze snów.

I nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś stanął pomiędzy mną a słońcem. Żar osłabł. Usłyszałem szelest piór. To niemożliwe, pomyślałem, przecież nawet gdyby mógł mi pomóc... dlaczego miałby to robić?

Przyszła ulewa – za szybko, by nie było to ingerencją magii. Z trudem otworzyłem spuchnięte oczy, unosząc twarz i wysuwając wyschnięty język ku cudownie chłodnym kroplom. Śmiałem się z ulgi, rozpościerając ramiona, tak by kojący deszcz obmył każdy centymetr mojego ciała.

Wysoko, na tle chmur, dostrzegłem sylwetkę ptaka. Był nieduży i zwinny, nie wyglądał na Sępa. Zrozumiałem, kim jest, dopiero gdy zrobiło mi się lżej na duszy.

Deszcz minął równie gwałtownie, jak się pojawił. Ale spełnił swoje zadanie – uratował mnie przed załamaniem i upadkiem.

I wiem, że gdyby nie ona, nie wytrwałbym kolejnych godzin.

Zdołałem uciszyć głosy. Przejaśniło mi się w głowie na tyle, bym znalazł sobie w niej ciche miejsce i uciekł w medytację. Starłem się odsunąć myśli i emocje od tego, co działo się z moim ciałem. To minie, powtarzałem sobie. To jest przejściowe. Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie ostatnio czułem się naprawdę bezpiecznie i komfortowo. Ku mojemu zaskoczeniu był to dom Katii. Czasami łapałem się na tym, że zastanawiam się, czy gdybym się wtedy zaangażował naprawdę, nie trzymał wciąż jednej stopy za progiem, to mogłoby nam się udać. Paradoks polegał na tym, że bałem się zdecydować, by nie skopała mnie tak, jak wcześniej Konstancja. Poza tym byłem pewien, że moje serce to nic więcej jak pusta parcela zalana betonem. Idiotyczne podejście, co udowodniła Kurczaczek, wysadzając beton dynamitem. Bo niby dlaczego miałaby się cackać z głupotą.



Zacząłem się śmiać na samą myśl, że właśnie w tych okolicznościach i stanie zastanawiam się, czy gdybym zadzwonił do Katii, to umówiłaby się ze mną raz jeszcze.

– Cieszysz się, że zbliża się koniec, czy ci odwaliło? – usłyszałem znajomy głos.

– Nie może cię tu być. Jesteś halucynacją – powiedziałem.

– Nie mogłem tu być przez pierwsze jedenaście godzin. Teraz już mi wolno – odparł Sęp.

Wyciągnął z kieszeni papierośnicę, odpalił papierosa starą zapalniczką Zippo, zaciągnął się mocno i wydmuchał chmurę dymu w moją stronę. Ten słodkawy zapach rozpoznałbym wszędzie – moja autorska mieszanka. Palił bez słowa, dzieląc się dymem, aż dotarł do filtra. Przydeptał niedopałek.

– Lepiej? – zapytał.

Skinąłem głową, choć różnica była minimalna. Wciąż znajdowałem się na skraju wyczerpania. Kolana mi drżały, zmordowane jedenastogodzinnym stanem w bezruchu, zaraz po wędrówce przez pustynię. Tak aktywny fizycznie nie byłem od podstawówki, a i wtedy, tylko jeśli naprawdę musiałem.

Sęp usiadł po turecku tuż przy okręgu i oparł dłonie o skałę. Widziałem oznaki koncentracji na jego twarzy i po chwili poczułem, co robi. Energia wnikała we mnie przez gołe podeszwy stóp. Po kilku minutach czułem się jak po dobrym obiedzie i mocnej kawie.

– Nie uzna tego za oszustwo? – zapytałem, bo nie uśmiechało mi się kolejne dwanaście godzin za złamanie jakiegoś punktu regulaminu, którego mi nawet nie pokazali na oczy.

– Wściekłyby się, gdybym zabrał część tej energii, którą straciłeś na jego rzecz, ale przez najbliższą godzinę sporo tego, co otrzymałeś, zasili jego zbiory, więc raczej uzna to za gratis ode mnie. Cenny gratis.

Kiwnąłem głową.

– Naprawdę myślałem, że do tego nie dojdzie – powiedział.

– Lepiej ja niż ona.

Tym razem on skinął głową.

– Dlaczego wszyscy są na ciebie wkurzeni? – zapytałem po dłuższej chwili ciszy.

– A, to...

– Tak, to, co sprawia, że wszyscy sapią ze złości na twój widok.

– Stare dzieje. Właściwie rodzaj tradycji.

– Zawsze tak na ciebie reagują?

– Przeważnie. Zawsze się znajdzie coś nowego, o co mogą się wściekać.

– A jakaś logika?

– Nie mam pojęcia. Nie ja to w ten sposób ustawiłem.

– Ale przyznajesz, że zasłużyłeś sobie na ich reakcję? Jak z Jaskółką?

– Oczywiście. Mają swoje powody. Zwykle uzasadnione – powiedział bez cienia skruchy.

– Czego chce od ciebie Kojot?

– Tego, co zwykle, tylko trochę mocniej.

– Jesteś najbardziej wkurwiającym stworzeniem, jakie znam.

– Jestem drugi w kolejce. Pierwszego wciąż nie poznałeś.

Przekląłem.

Czarny cień spadł z nieba, szeleszcząc piórami, i na ułamek chwili przed zderzeniem z ziemią zmienił się w młodą kobietę, która przygładziła włosy i poprawiła frędzle szaty, po czym przysiadła na piętach.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziała i mrugnęła zawadiacko. – Nie miałam pojęcia, że przechodzisz tu jakieś próby. Musiałam udowodnić coś Sępowi i deszcz wydawał się najlepszym sposobem.

– Co tym razem zrobił? – zapytałem zrezygnowany.

– Rzucił mi wyzwanie. Stwierdził, że z całą pewnością w taki upalny i bezchmurny dzień nie zdołam sprowadzić deszczu bez skomplikowanych tańców i rytuałów.

– Nie doceniłem jej – powiedział i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Nigdy mnie nie doceniasz – odpowiedziała, również się uśmiechając.

Zrozumiałem, że mimo nieporozumień lubią się i spędzają ze sobą sporo czasu. A teraz cieszyli się jak dzieciaki, bo udało im się przechytrzyć system i nie zostali na tym złapani, ponieważ są sprytni i mają alibi.

Poczułem szarpnięcie. Ból wzmógł się i po plecach popłynęła mi świeża krew. Jęknąłem, gdy coś pociągnęło za sznury, tak że musiałem stanąć na palcach, by nie rozerwało mi skóry.

– Nie oszukuj – krzyknęła Jaskółka – bo do ciebie pójde i dokładnie wytłumaczę, na czym polegają zasady fair play!

Nie mogłem się obrócić i zobaczyć, do kogo mówi, ale nacisk haków lekko odpuścił, więc musiało zadziałać.

– Wytrzymaj, jeszcze tylko pół godziny – powiedziała z troską.

Skinąłem głową. Wytrzymam. Już prawie nie czułem bólu. Wszystko mi zdrętwiało, otepiało – mięśnie, stawy, mózg. Odpływałem. Gdyby nie poczęstunek Sępa, a wcześniej deszcz Jaskółki, na pewno zemdlałbym albo zasnął. Zacząłem się śmiać, gdy przypomniałem sobie, że Babcia Pajak wytargowała dla mnie te dwanaście godzin, a pierwotna oferta Ducha Zaświatów opiewała na dwie doby. Zgiąłem się wpół, gdyby nie szarpnięcie haków. Ale to było po prostu komiczne, absurdalne, surrealistyczne.

– Jednak zwariował? – zapytała Jaskółka, patrząc na Sępa, jakby to była jego wina.

To rozbawiło mnie jeszcze bardziej. Twarz bolała mnie od śmiechu. Pęcherze wypalone słońcem teraz naciągały się i pękały. Powinienem przestać, złapać oddech, ale nie mogłem. Śmiałem się, jakby nie było jutra. Właściwie nie było, przynajmniej nie tu, na tych hakach – czyż to nie doskonała wiadomość?

– Nie wydaje mi się – ocenił Sęp. – Nie bardziej niż zwykle. Czasami tak reaguje na stres.

– Śmieje się do rozpuku? – zapytała z powątpiewaniem.

Przytaknął.

– Pramatka ma poczucie humoru, skoro połączyła was w parę. Uratujecie świat albo zamkną was w psychiatryku, jedno z dwojga.

– Ona nie miała z tym nic wspólnego – oponował.

– Jeśli naprawdę chcesz w to wierzyć, to proszę bardzo. – Wzruszyła ramionami.

Jakiś szelest przykuł ich uwagę, wymienili spojrzenia i w ułamku sekundy przeobrazili się w ptaki i wzbili w niebo. Ze zdziwieniem zauważyłem, że Sęp w swojej czarno-białej, potężniejszej wersji nie potrzebuje brać rozbiegu. Powiodłem spojrzeniem za dwiema sylwetkami – większą, należącą do mojego ducha opiekuńczego, i tą Jaskółki, smukłą jak apostrof.

Zbliżał się Duch Zaświatów, co rozpoznałem po klekotaniu kości. Serce Grzmotu poruszał się bezszelestnie i o jego obecności dowiedziałem się, dopiero kiedy popchnął mnie do tyłu, tak że niemal wypadłem poza okrąg. Zaparłem się piętami i z trudem złapałem równowagę.

– Pieprz się, ninja – warknąłem ze złością.

– Już koniec – powiedział obojętnie. Były to jego pierwsze słowa, jakie usłyszałem.

– Chcę to usłyszeć od Ducha Zaświatów. Czy nasze sprawy są uregulowane? Nie zamierzasz sugerować, że ja lub moja córka mamy wobec ciebie jakikolwiek dług?

– Niech tak będzie – powiedział.

Serce Grzmotu znowu mnie popchnął.

– Cofnij się, żeby zluzować sznury, a wyciągnę haki. Możesz też się wyszarpać, ale będzie się dłużej goiło – rzekł spokojnie.

Odruchowo znów zaparłem się piętami i odepchnąłem go od siebie. W końcu jednak odchyliłem się do tyłu, a Serce Grzmotu odwiązał sznury od haków. Opadły na ziemię z głuchym pacnięciem. Haki wciąż tkwiły pod moimi łopatkami. Opadłem na kolana, jakbym był marionetką, której odcięto linki. Opierałem się dłońmi o skałę, nie mając pewności, czy zdołam kiedykolwiek wstać. Indiański ninja wyciągał haki z moich pleców, rozszarpując skórę jeszcze mocniej. Przeklinałem i płakałem, z bólu i ulgi, że to już koniec. Na klęczkach wypełzłem z narysowanego na ziemi kręgu. Skuliłem się, nie mając siły na nic innego.

Z chwilą, gdy przerwałem krąg, magia odpuściła. Rytuał został ukończony. Sęp spadł z nieba, zmieniając formę w ułamku sekundy. Duch Zaświatów cofnął się z urazą, grzechocząc kośćmi.

– No i po wszystkim. Miło było – powiedział Sęp bezczelnie.

Pochylił się nade mną i dźwignął, stawiając na nogi, które nie były mnie w stanie utrzymać. Wspierałem się na nim całym ciężarem ciała, ale i tak ledwie szedłem. Z westchnieniem przerzucił mnie przez ramię i mocno przytrzymując, ruszył w dół wzniesienia. Krew spływała mi do głowy, a ucisk na pusty żołądek przypominał, jak koszmarne jestem głodny. Chciałem mieć dość siły, by zachować resztkę godności i nie zakończyć tej próby jak worek kartofli, ale nie miałem.

– Na dole mamy transport, za kilka minut będziemy na miejscu – powiedział i nie słyszałem w jego głosie cienia zadyszki. Tacy jak on ustalają te nierealne normy i oczekiwania, jak choćby pomysł, by taki rytuał, jaki miałem za sobą, trwał czterdzieści osiem godzin.

Na dole wzniesienia czekała Jaskółka z parą koni – białych w duże rdzawe łaty. Były osiodłane, ale niewiele to zmieniało, skoro nigdy nie spędziłem w siodle ani minuty.

Sęp postawił mnie na ziemi i polecił:

– Wsiadaj.

Nie drgnąłem.

– Nie zamierzam cię nieść aż do wioski. No dalej, zaprzyjaźnicie się, wymienicie historiami i pozaplatacie sobie grzywy. Równie dobrze możesz iść pieszo, ale chyba w porównaniu z rytuałem, który masz za sobą, przejechanie kilku kilometrów na końskim grzbiecie to pestka, a szybciej będziesz na miejscu.

Zrobiłem krok w stronę konia.

– Dobry wybór – mruknął Sęp. – Wsadź nogę w strzemię – poinstruował.

Zdołałem to zrobić, a wtedy pchnął mnie tak mocno, że prawie przeleciałem nad koniem. Ale siedziałem w siodle i nawet nie było to tak przerażające, jak zakładałem.

– Przywiąż się w pasie, może nie spadniesz – poradziła Jaskółka.

Zrobiłem, jak powiedziała. Sęp dosiadł drugiego konia i wyglądał na nim równie naturalnie jak na swoim harleyu.

Kobieta pomachała nam i przemieniwszy się w czarnego ptaka, wzbiła w niebo. Kołowała nad nami przez całą drogę do wioski.

Teren był nierówny, więc wciąż podskakiwałem w siodle i obijałem sobie cztery litery. Próbowałem podpatrzeć ruchy Sępa – nic z tego, telepałem się jak kastaniety.

– Gdybyś właśnie nie dostał w kość dwunastogodzinnym rytuałem krwi, potu i łez, byłbyś po tej jeździe cholernie obolały – zażartował Sęp. – Masz taką technikę, że następnym razem lepiej będzie owinąć cię w dywan i przerzucić w poprzek grzbietu osła, niż marnować na ciebie porządnego konia.

– Następnym razem? – zapytałem słabo.

Rozdział 16



Zanim obudził się mózg, przytomność odzyskały wszystkie pieprzone zakończenia nerwowe w moim ciele. Miałem na twarzy coś, co zasłaniało mi oczy, a kiedy podniosłem rękę, by to zdjąć, pieczenie ran na plecach wskrzesiło mnie ostatecznie.

Ja pierdołę. Na wszystkie haniebne uciechy ziemskie, czy gdzieś po drodze znalazłem się w piekle? Coś mnie przeżuło, wypluło i na odchodnym oblało wrzątkiem? Moja skóra sprawiała wrażenie za ciasnej, ciągnęła przy każdym ruchu i paliła, mięśnie nóg i pleców były jednym węzłem bólu. Nigdy w życiu nie przebiegłem maratonu, ale wyobrażam sobie, że czułbym się wówczas podobnie.

Nie byłem pewien, gdzie jestem i co się właściwie stało. Film mi się urwał, gdy jechałem konno. Przez ułamek chwili łudziłem się, że wróciłem do domu, do realnego świata, ale to byłoby zbyt piękne, a w ostatnim czasie w moim życiu stanowczo brakowało piękna.

Jęcząc, zdołałem podeprzeć się na łokciu i obrócić na brzuch. Szczęśliwie dla mnie leżałem na podłodze, na cienkim sienniku, więc stoczywszy się z posłania, nie grzmotnąłem o ziemię. Przeklinając, zdołałem usiąść i zdjąć wciąż mokry kompres, którym miałem owiniętą głowę.

Rozpoznałem izbę i rozejrzałem się za Babcią Pająk. Byłem sam. Na palenisku tlił się czerwony żar, a przez odsłonięte okienko wpadało trochę światła, więc mogłem ocenić szkody.

Rany na plecach mi opatrzone – czułem sztywny opatrunek, który utrzymywał się na miejscu dzięki pasom płóciennego bandaża zawiązanego na piersi. Miałem sporo siniaków, niektóre czarne, większe niż pięść, głównie po lewej stronie. A prawie całe ciało miałem w pęcherzach, skóra złażyła ze mnie jak wężowa wylinka, spod której wyłaniała się niewinnie jasna niemowlęca skórka. W najgorszych miejscach umazana była białą, pachnącą ziołami mazią. Na nosie warstwa była tak gruba, że miałem wrażenie, jakby był dwa razy większy, a pośrodku twarzy wyrósł mi dziób.

Język przysychał mi do podniebienia, więc poszukałem wody. Gdy zauważyłem duży gliniany dzbanek obok paleniska, nie potrzebowałem kubka – piłem łapczywie, nie zważając na to, że woda cieknie mi po brodzie i klatce piersiowej. Szybko rozboleł mnie żołądek, mimo to odstawienie dzbana było ponad moje siły. Przytulałem go do piersi, jakby za chwilę miał wpaść szwadron zwolenników odwodnienia.

– Kubek masz na stole, a nie prosto z dzbanka – odezwała się marudnie Babcia Pająk. Dlaczego jej wcześniej nie zauważyłem? – I jeśli masz tyle żłopać, to wyjdź przed chatę, bo zaraz będziesz rzygał jak kot.

Miała rację. Cofnąłem się chwiejnie i wciąż obejmując dzbanek, opadłem na posłanie. Ostrożnie oparłem się o chropowatą, glinianą ścianę. Była przyjemnie zimna.

– Co mi się właściwie stało? Nic nie pamiętam...

– Wyczerpałeś energię do zera – i własną, i tę, którą podzielił się z tobą Sęp.

– Gdzie Kurczaczek? – zapytałem, przypominając sobie szczegóły.

– Sęp ją odprowadził do ciała. Chciał poczekać, aż się ockniesz, ale nie wiedzieliśmy, ile to potrwa, więc zabrał ją na ziemię.

Odetchnąłem z ulgą.

– A ile to właściwie trwało? Moja nieprzytomność?

– Jest południe.

– Którego dnia?

Wciąż z trudem przychodziło mi szacowanie upływu czasu, skoro przez cały okres próby słońce nie zmieniło położenia. Gdy schodziliśmy ze wzniesienia, było równie jasno, jak wtedy, kiedy na nie wchodziłem.

– Zjawiliście się z Sępem dwa dni temu – odparła. – Jesteś głodny?

Umierałem z głodu prawie tak bardzo, jak z pragnienia.

Babcia Pająk postawiła przede mną wiklinowy koszyk pełen kolb kukurydzy, wiaderko wielkich strączków i dwa puste kociołki, jak się domyśliłem – na obraną fasolę i kukurydzę. Przysunęła sobie niski drewniany stołeczek, usiadła naprzeciwko mnie i szybkimi, sprawnymi ruchami zaczęła obierać kukurydzę z liści. Naśladowałem ją najdokładniej, jak mogłem. Ziarno było inne niż to, które znałem. Nie żółte, ale we wszystkich odcieniach brązów i czerwieni, jak mozaika. Obrane kukurydze Babcia Pająk nabijała na szpikulce i wkładała do kociołka, aż kolby wypełniły go całkowicie. Nalała wody, dołożyła drew do żaru i przysunęła metalową kratkę, tak że częściowo wisiała nad paleniskiem, opierając się o ceglana podmurówkę. Dym ulatniał się przez otwór w suficie.

– Jeśli to zjem, będę związany z Zaświatami, prawda? – zapytałem.

– To nie ma znaczenia, chłopcze. Tym razem nie uda ci się uciec. Musisz dopełnić inicjacji i mieć to za sobą. Nie wypuszczą cię. Nawet teraz Przedwieczni pilnują tej chaty, choć mówiłam im, że jesteś nieprzytomny.

Przysunęła drugie wiaderko i zaczęła sprawnie rozłupywać strączek za strączkiem. Łaciate fasolki uderzały o dno garnka z głuchym stukotem.

– Jednego nie rozumiem... – zacząłem.

– Tylko jednego? Oj, chłopcze!

– W tym momencie, nie w ogóle – wyjaśniłem. – Dlaczego im tak cholernie zależy? Przecież to nie ma sensu. Dawno nikogo nie zamęczyli i nie torturowali? Aż tak się nudzą? Cała ta ich atencja jest idiotyczna.

Westchnęła i przez chwilę w milczeniu łuskała ziarna.

– Mówiłam ci, szamanów rodzi się dziś niewielu. Magia we krwi objawia się rzadziej, bo jest bardziej rozcieńczona im dalej od przodka, który wniósł ją do rodziny.

– Sęp opowiadał mi historię o pierwszej morderczynie – przyznałem niechętnie.

– I powiedział ci, że od niej wywodzą się czarownicy i czarownice, szamani i szamanki?

Przytaknąłem.

– A powiedział ci, że nie ma między nimi żadnej różnicy? I że ich magia jest identyczna i masz w sobie potencjał, by stać się jednym lub drugim? I że to kwestia wyboru ścieżki?

– Nie wspomniał. Ale to nie ma znaczenia. Ja już wybrałem. Jeszcze zanim się dowiedziałem, że jestem szamanem, dokonałem swoich wyborów. Przez ostatnie piętnaście lat pracowałem w policji, by mój świat był bezpieczniejszym miejscem, by łapać i karać tych, którzy krzywdzą innych. Wiem, brzmi górnolotnie, ale dla mnie bycie gliną nie jest tylko pracą, ale powołaniem, choć zwykle się do tego nie przyznaję. Stałem już na rozstaju dróg – wtedy, kiedy musiałem zdecydować, po której stronie sprawiedliwości chcę się znaleźć. Wybrałem. O co więc teraz cały szum?

Pokręciła głową, krzywo się uśmiechając.

– Ty to wiesz, ja też, bo poznaję po oczach, ale oni się boją. Gdybyś poszedł ścieżką ciemności, równowaga zostałaby poważnie zachwiana.

– Nie wiem wszystkiego, ale nie jestem idiotą. Czytałem o Czerwonym Byku, Kornelii czy Grüneweldzie. Nawet po inicjacji można się zbuntować, dać się skusić demonom, ciemności czy obietnicom potęgi. Ale to nie są moje pokusy.

– Ale masz inne. Co, jeśli zachoruje twoje dziecko i ktoś obieca ci jego uzdrowienie?

– Za jaką cenę?

– Życia.

– Czyjego?

– To ma znaczenie?

– Ma. Bo dysponuję tylko własnym.

– Ciekawa odpowiedź.

– Jedyna, jaką mam. Niedawno czytałem z Kurczaczkiem opowieść o czarnym i białym wilku, o tym, że wygrywa ten, którego lepiej karmisz.

– Piękna opowieść. A ty, Witkacy, którego karmisz częściej?

– Zwykle zapominam nakarmić nawet siebie. Był czas w moim życiu...

Odchrząknąłem, gdy ku mojemu zaskoczeniu głos mi się zaczął łamać. Wystarczy mnie prawie zabić, bym nagle nabrał wrażliwości.

– Gdy odeszła ode mnie matka Kurczaczka, sięgnąłem dna. Nie było w moim życiu miejsca na nic poza autodestrukcją i ciemnością. Czarny wilk biegał upasiony jak baryłeczka, biały pewnie skomlał z głodu. Nie wiem, nie słuchałem ich wtedy. Od jakiegoś czasu staram się, by ich dieta była bardziej zbilansowana.

Znów tylko pokiwała głową. Wziąłem kilka strączków i zacząłem wyłuskiwać kolorowe ziarna. Było w tej czynności coś kojącego.

– To, czy wytrwam na tej ścieżce, nie zależy od nikogo poza mną. Wilki są tylko metaforą. A Przedwieczni nie mają tu wiele do gadania. I wkurwia mnie, że kwestionują moje decyzje i traktują jak dziecko. Być może tu rzeczy zmieniają się wolniej, ale rządy autorytarne się przejadły.

- Oni zawsze mają mnóstwo do powiedzenia. Gęby im się nie zamykają.
- Co tylko ułatwia puszczenie ich słów mimo uszu, prawda?

Zarechotała.

– Widzisz, czasy się zmieniają, wy się zmieniacie. Oni nie nadążają, są zamknięci tutaj jak w skansenie. Pierwsi czy Drudzy regularnie odwiedzają ziemię, wędrują między ludźmi, uczą się ich wciąż na nowo. Jak twój Sęp teraz, Harfiarka, Jaskółka, nawet ten idiota Kojot. Ale Przedwieczni nie mogą. Są martwi, więc nie potrafią opuścić domeny śmierci. Utracili łączność ze światem, a wraz z nią pewną wrażliwość.

Wzruszyłem ramionami. Jakoś nie potrafiłem odnaleźć w sobie współczucia dla tych psychopatów. Wciąż mieliśmy niewyrównane rachunki.

– Ale wiesz, że ty im tam właściwie nie podlegasz? – dodała z niewinnym uśmiechem, wrzucając garść fasolek do garnka.

Uniosłem głowę zaciekawiony.

– Nie wywodzisz się z żadnego z ich plemion w linii prostej, inaczej nie zdołałbyś z nimi dyskutować. Twoim Przedwiecznym jest Wędrowiec, opiekun szamanów niezwiązanych. Jest dużo bardziej współczesny. Jaskółka przyprowadziła go tu na początku lat siedemdziesiątych.

– Więc czemu się nie pojawił, nie próbował bronić, gdy mnie dopadli?

– Przeważnie spędza czas na pustyni. Sam wciąż wspina się po drabinie inicjacji. Jest młody jak na Przedwiecznego, ma mniej niż pół wieku, to prawie dziecko. Ale Sęp go zna, popytaj, gdy wróci.

– Jeszcze nie wrócił? – zaniepokoiłem się.

Pokręciła głową.

Cholera. Czy podczas wybudzania Kurczaczka pojawiły się jakieś problemy? Czy zmiany zaszły za daleko?

W milczeniu wrzucałem fasolę do garnka.

– Zbliża się coś niedobrego, Witkacy – powiedziała nagle, a ja spojrzałem w stronę drzwi.

Przez chwilę jej głos brzmiał inaczej, pojawiła się w nim jakaś niezłomność, trudna do uchwycenia siła. Spojrzała na mnie zamglonym wzrokiem. Oczy pojaśniały jej, jakby używała znaku widzenia.

– Nie, nie tu, nie teraz, ale coś się zbliża. Myślę, że i ty, i Sęp musicie być u szczytu swoich możliwości, kiedy nadejdzie.

– Szczyt moich możliwości to wciąż niewiele. Może lepiej pogadaj z Sępem...?

Babcia Pajak zamrugła i jej oczy znów wyglądały normalnie.

– Podczas ostatniej pełni Biała Bizonica zobaczyła was dwóch w swojej wizji. Nie przeżyliście.

Poczułem zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

– Zrobimy, co w naszej mocy, by przechylić szalę na waszą stronę – zapewniła.

Podziękowałem. Zaśmiała się smutno i poklepała mnie po ręce.

– Ty jesteś tylko szamanem. Byłoby cię szkoda, ale przeżylibyśmy, bez urazy. On... Strata Sępa kosztowałaby nas wszystkich dużo więcej.

– Nie wydajecie się radować z jego obecności. Gdy szliśmy koło wioski, trzy osoby

splunęły na jego widok.

– Nikt poza nim nie potrafi trzymać Kojota w ryzach, a wierz mi, potrzebujemy go mieć w ryzach.

– No dobrze, a nie lepiej, żebyśmy wyjechali na wakacje czy coś? Osobno, skoro w wizji byliśmy razem? Do lasu, w dzicz, odnaleźć siebie, cokolwiek?

– W lesie nie będziesz bezpieczny. Zresztą jeszcze się o tym przekonasz.

– Nie podoba mi się cała ta historia z wizjami. Nie zamierzam być jakimś wybrańcem czy mesjaszem. Moja bliska przyjaciółka ma kompleks mesjasza i nieustannie wpada w gówna po uszy.

– Nie martw się. W tej wizji nie ratowałeś nikogo poza sobą. I ci nie wyszło.

– Powinnaś popracować nad całym tym pocieszaniem. Nie działa – mruknąłem.

Zasłona w drzwiach wejściowych poruszyła się i do środka wkroczył Sęp.

Zatrzymał się zaraz za progiem, popatrzył na mnie i kiwnął głową w geście powitania. Przeszedł przez izbę, przysunął sobie stołeczek blisko ściany, by się o nią oprzeć, i usiadł, wyraźnie zmęczony. Oparł potylicę o chropowatą powierzchnię. Wciąż miał pomalowaną twarz. Wyciągnął z kieszeni papierośnicę, wyjął jednego skręta i poczęstował nas bez słowa. Skorzystałem. Babcia Pająk wzięła jednego papierosa i zatknęła go sobie za ucho na później.

– No i? – zapytałem niecierpliwie, gdy wciąż milczał.

– Co? – Był rozkojarzony.

– Co z Kurczaczkiem?! – krzyknąłem.

– Wszystko w porządku. Obudziła się i zjadła dużą pizzę szybciej, niż wyrecytowałbyś alfabet. Harfiarka zostanie kilka dni, by nauczyć ją kontrolować poziomy i przepływy energii za pomocą kamieni. Z Kurczaczkiem wszystko w porządku, naprawdę – powtórzył. Lecz coś w jego głosie budziło niepokój.

– A Konstancja?

– Śliczna i wkurwiona jak zwykle, przynajmniej w moim towarzystwie.

– Więc równie dobrze możesz to wykrztusić z siebie, Sępie, przecież nie jestem idiotą!

– Któż to wie na pewno – odpowiedział sentencjonalnym tonem. I zamilkł.

– Hej, nie tak się umawialiśmy.

Odpalił papierosa i zaciągnął się mocno. Wypuścił kilka kóleczek i dopiero wtedy odpowiedział:

– Z wszystkimi wszystko w porządku. Poza tobą.

Czekałem na dalsze wyjaśnienia, niepewny, czy to nie kolejny z jego idiotycznych żartów.

– Spójrz na siebie. Co widzisz? – zapytał.

Nie musiałem patrzeć, wiedziałem, że wyglądam lichy.

– Więc tam wyglądasz tak samo.

Babcia Pająk uniosła głowę zaskoczona. Ja zaniemówiłem.

– Nigdy tak nie było – powiedziałem, jakby miała zadziałać magia tego „nigdy”. – Gdy przeżuł mnie kot Przedwiecznych, tu byłem poobijany, ale tam w jednym kawałku.

– Nie znam odpowiedzi. Harfiarka też nie. Podejrzewa, że to Duch Zaświatów

namieszał, bo bywa nieprzewidywalny. Albo to coś zupełnie innego. W każdym razie twoja panienska ześwirowała, gdy zaczęły ci się pojawiać stygmaty. Nie opuszcza twojego pokoju i na wszystkich krzyczy.

Jakkolwiek absurdalna, moja pierwsza myśl była taka, że Nissim każe mi za to zapłacić. Nie wiedziałem jak, ale byłem pewien, że rachunek się pojawi.



Po obiedzie Sęp siedział dalej w kącie i strugał w niedużym kawałku drewna o wyraźnej strukturze słoików. Coś mi mówiło, że on się tu właściwie ukrywa.

Babcia Pająk traktowała go nieźle. Bywała złośliwa, ale też nie dało się nie zauważyć, że darzy go sympatią – jak niesfornego wnuczka. Dokładała mu nawet jedzenia do miski i nie przyjmowała do wiadomości stwierdzenia, że już się najadł.

Nie wiedziałem, czy powiedziała mu o wizji Białej Bizony. A ja powinienem to zrobić? Nie sądziłem, by się przejął, bo po co mu ta wiedza?

– Babciu Pająk, odpowiesz mi na jedno pytanie? – zagałęm cicho, kiedy kazała mi odwinąć bandaż, by mogła nałożyć świeżą porcję pasty leczącej.

– Niewykluczone – powiedziała.

– O co chodzi z Sępem? Z tym, że wszyscy tu traktują go jak trędowatego?

– To bardzo długa historia.

– I tak twierdzisz, że jeśli chcę przeżyć, nie mogę stąd wyjść, dopóki nie wydobrzeję.

– Niby tak – westchnęła. – I tak się pewnie dowiesz. – Uniosła głowę i zerknęła na Sępa.

Zaciskał szczęki tak mocno, że aż mu zęby trzeszczały. Nagle zerwał się ze stołka i niemal wybiegł z chaty.

– Może sam powinien ci powiedzieć – mruknęła.

– Czekanie, aż sam mi cokolwiek powie, może trwać latami. Ale jeśli mam przejść inicjację, nasze linie staną się nieodwracalnie związane. Więc powinienem wiedzieć, prawda?

– Powinieneś. Ale tym razem to nie moja historia. Nie martw się, do inicjacji będziesz wiedział.

Najwyraźniej musiało mi to wystarczyć.

Rozdział 17



Wstawaj, już świta – powiedział, natarczywie potrząsając moim ramieniem.

Po kiego mam wstawać, skoro dopiero świta? – pomyślałem, naciągając koc na głowę. Położyliśmy się spać dość późno. Babcia Pająk snuła opowieści albo wypytywała o różne „nowinki” ze świata, bo jak przyznała, dawno już nie była na ziemi, a od Małego Ptaszka wiedziała, że sporo się zmieniło. Musiała u nas gościć naprawdę dawno, bo szczerze się ucieszyła, że kobiety w Europie wywalczyły sobie prawa wyborcze. Widziała w tym krok w stronę matriarchatu – ustroju, który osobiście mocno popierała i który, jak twierdziła, u jej ludzi sprawdzał się znakomicie.

Sęp siedział pod ścianą i praktycznie się nie odzywał, wciąż tylko strugał ten swój kawałek drewna. Babcia Pająk zerknęła co jakiś czas w jego stronę z dziwnym uśmiechem, a gdy zaczęło się ściemniać, przyniosła mu lampę oliwną. Odchodząc, pogłaskała go po włosach. Uniósł głowę zaskoczony, wymienili tajemnicze spojrzenia, po czym Babcia wróciła na stołeczek przy palenisku.

Kiedy położyłem się spać, mój zegarek wskazywał drugą, a Sęp nie wyglądał, jakby zamierzał się kłaść. W mdłym blasku lampy wciąż znęcał się nad drewnem. Nie spodziewałem się, że trzy godziny później będzie mnie wrywał ze snu, bym powitał słońce osobiście.

– Sęp, spierdalaj, śpię – mruknąłem, odpychając jego rękę.

– Koniec spania. Musimy iść – zarządził.

Otworzyłem oczy.

– Gdzie? – zapytałem z powątpiewaniem.

Założyłem, że planuje ucieczkę, on jednak oświadczył:

– Idziemy na polowanie.

Prychnąłem. Byłem ostatnią osobą, którą mógłby do tego skłonić. Gdyby warunkiem jedzenia mięsa było upolowanie go, nauczyłbym się przyrządzać korzonki na milion sposobów. Przez piętnaście lat w policji nigdy nie zabiłem i miałem nadzieję, że to się nie zmieni. Dora owszem, już jako moja partnerka musiała pociągnąć za spust dwukrotnie. Potem pewnie robiła to jeszcze nie raz, skoro pilnuje porządku po drugiej stronie, gdzie złoczyńcy nie myślą o kradzieży dwustu złotych z kasy Żabki, a o śmierci, zniszczeniu, apokalipsie i czarnej magii napędzanej niewinnymi ofiarami. Specyfika pracy. Moja polegała na obcowaniu z tymi, którzy już są martwi, a jeśli rozrabiali –

odsyłaniu ich tutaj, czysto i bezkrwawo. No, przeważnie. Róża musiała zginąć, ale to nie ja pociągnąłem za spust.

Nie miałem pewności, czy gdybym wzmocnił moją magię śmiercią zadaną komuś, to wciąż ja kontrolowałbym ją, czy ona mnie. Jestem tchórzem i wolę tego nie sprawdzać. W kronikach znalazłem wiele historii o szamanach, którzy zbłądzili na ciemną stronę. Zresztą stanowczo zbyt często, by to był przypadek, a ich upadek poprzedzała ofiara. Czy zawsze mordowali z tą intencją? Nie wiedziałem. Może w tamtym momencie wydawało im się, że robią to, co muszą. Może czuli, że choć są przyparci do muru, racja jest po ich stronie. Historia zweryfikowała takie podejsście na ich niekorzyść.

I jasne, w walce ze złem często trzeba sięgać po twarde środki. Ołowiana kula sprawdza się tam, gdzie nie pomagają napomnienia. Tyle że nie czułem się na siłach, by występować jako egzekutor po stronie dobra. W takich chwilach wybierałem telefon do przyjaciela i wzywałem moje wsparcie – Dorę Wilk, koło ratunkowe z glockiem, mieczem i paskudnymi zaklęciami. Była do tego stworzona. Miała wystarczająco silny kręgosłup moralny, by nie dręczyły jej wątpliwości, gdzie przebiega granica. Ja zbyt długo tańczyłem na niej walczyka, by mieć pewność, po której stronie stawiam palce, a po której pięty.

– Nie idę – powiedziałem.

– Idziesz. To część rytuału – usłyszałem głos Babci Pająk.

Sęp przytaknął.

Przeklinając, wstałem z posłania. Tyle dobrze, że rany i poparzenia słoneczne zdążyły się już podgoić dzięki specyfikom mojej gospodyni. Założyłem ubranie, które dla mnie przygotowała – moje własne dżinsy, a także za dużą koszulę z cienkiego płótna i zamszową kamizelkę ozdobioną frędzlami i koralikami. Przed drzwiami czekały wciąż moje buty i skarpetki.

Sęp bez słowa czekał, aż się wyszykuję. Było w nim coś dziwnego – jakieś napięcie, tak jakby coś się miało wydarzyć, a on wypatrywał znaków.

– Weź broń – powiedział i wskazał na zawiniątko z pasem, nożem w kaburze i jakąś długolufową strzelbą.

Nie znam się na takiej broni, ale gdyby mi powiedział, że pochodzi z epoki czarnoprochowej, tylko pokiwałbym głową. Wziąłem ją, odpuszczając sobie dyskusję o tym, że naprawdę nie mam zamiaru polować. W pewnych sytuacjach wolę płynąć z prądem i zrobić to, na co nie mam ochoty. Więc bez problemu, wstanę o piątej rano, pójdę do lasu, ale nic mnie nie zmusi, bym strzelał do żywego stworzenia tylko dlatego, że zgłodnieję. Może głupio, bo przecież nie byłem wegetarianinem, ale uważałem to za nietakt. Poza tym nikt dotąd nie dał mi strzelby do ręki i nie mówił: „Idziemy na polowanie”.

Nieopodal chaty Babci Pająk znajdowała się okrągła murowana cembrowina, wewnątrz której buzował ogień. W jego blasku zauważyłem nocnego strażnika – wielkiego mężczyznę okrytego skórą niedźwiedzia. Siedział po turecku, z dłońmi luźno leżącymi na udach. Twarz miał pomalowaną na czerwono i poznaczoną pionowymi czarnymi liniami.

Nie zatrzymał nas, kiedy go mijaliśmy, nie odezwał się, tylko odprowadzał

spojrzeniem, którego intensywność piekła mnie między łopatkami.

– A może po prostu pójdziemy do domu? – zapytałem z nadzieją.

– Witkacy, już czas – powiedział.

– Czy to nie ja powinienem czuć, że już czas?

– Ty nie chcesz, by to był czas. Ale zaufaj mi.

– Wiesz o przepowiedni Białej Bizony? – zapytałem.

Odwrócił się gwałtownie i warknął:

– Jakiej przepowiedni?

– Ojej, chyba musisz sam jej zapytać.

To prawda, byłem złośliwy, ale wystarczająco często wkurzał mnie swoją tajemniczością, bym mógł się teraz zrewanżować.

Nie odzywał się. Szedł szybko jakiś metr przede mną, stawiając zamaszyste kroki. Kierowaliśmy się w inną stronę niż podczas wycieczki do Ducha Zaświatów, więc pocieszałem się, że przynajmniej nie wracamy na pustynię. Pod tym względem Zaświaty są zdumiewające – na ziemi, jeśli jesteś na pustyni, nie ma przeproś, nie wyrosnie ci za chwilę las deszczowy. Tu natomiast jest to całkiem prawdopodobne. Choć w zasadzie częściej pojawiają się nagie skały, rzeka lawy, wzgórza obstawione szubienicami czy coś równie działającego na wyobraźnię.

Sęp prowadził nas prosto na piętrzące się na wschód od wioski rumowisko skalne. Bałem się, że każe mi się wspinać, ale odnalazł przejście między wielkimi głazami piaskowca i przeprowadził nas na drugą stronę. Przez mniej niż godzinę szliśmy skalistym dnem wąwozu. Gdzieś z tyłu głowy zatrzepotała mi wątpliwość, czy to aby nie dno wyschniętego strumienia, który w każdej chwili może ożyć. Ściany wąwozu po obu stronach wspinały się dość stromo i kilka razy kątem oka wyłapałem na górze ruch, jakby ktoś nas obserwował. Strażnik w niedźwiedziej skórze czy ktoś zupełnie inny?

– Nie zostawaj w tyle – powiedział Sęp, spoglądając na krawędź wąwozu.

Nie zamierzałem. To miejsce przyprawiało mnie o ciarki. Echo każdego kroku odbijało się od skalnych ścian jak piłeczka do squasha i nagle odgłos naszych kroków wydawał się dobiegać gdzieś z tyłu. Obejrzałem się gwałtownie, przekonany, że ktoś za nami idzie.

W pewnej chwili wąwóz zniknął, a skały płynnie przeszły w las sekwojowy. Do tej pory widziałem takie tylko na National Geographic. Gdy stanąłem pod drzewem tak szerokim u podstawy pnia, że nie objęłoby go czterech mężczyzn, i tak wysokim, że na górnych piętrach korony widoki musiały być jak w penthousie, poczułem się jak pyłek, mały i nieważny.

– Nie zatrzymuj się – upomniał mnie Sęp.

Chciałem zapytać, dokąd się tak spieszymy, ale wysforował się kilka metrów przede mną. Ruszyłem więc za nim, bo nie chciałem tu zostać sam. Nie byłem też pewien, czy zdołałbym stąd wrócić do wioski – przejście w rumowisku było naprawdę nieźle zamaskowane.

Wkrótce drzewa zamknęły się za nami, odcinając wspomnienie wąwozu i wioski za nim. Nie było tu ścieżki czy szlaku, szliśmy między pniami będącymi niczym kolumny boskiej świątyni. Słońce ledwie przedzierało się przez gęste korony. Sęp wydawał się

wiedzieć, gdzie idzie, bo parł pewnie przed siebie. Ja czułem się przytłoczony i zagubiony.

Nagle usłyszałem krzyk. Raczej nie ludzki, ale wypełniony bólem i złością. Wmurowało mnie – dosłownie nie mogłem zrobić kroku do przodu. Coś niewytłumaczalnego ciągnęło mnie w stronę dźwięku, jakby moje życie zależało od tego, czy posłucham. Nie potrafiłem się sprzeciwić, nawet gdybym jak koala przywarł do najbliższej sekwoi.

Dałem nura między drzewa i szedłem jak zaczarowany, a kwilenie narastało, coraz wyraźniejsze, coraz bardziej rozpaczliwe. Coś we mnie ścisnęło się na ten dźwięk, tak jakbym odpowiadał na emocje zawarte w zawodzeniu.

Wreszcie go zobaczyłem – siedział skulony, częściowo ukryty za kępą paproci. Szare futro odcinało się wyraźnie od ciemnej zieleni roślin i rdzawych igieł podłoża. Dopiero po chwili zobaczyłem krew, która broczyła z łapy we wnykach – cienka stalowa linka owijała się pętlami wokół przedniej łapy, skalpując ją ze skóry i futra. Wilk pochylił nisko łeb i warknął ostrzegawczo, a mnie przeszły ciarki. Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem nikogo, kto mógłby mnie wyręczyć w zadaniu.

Pamiętając, czego nauczyła mnie o wilkach Ti, która sama była czymś w rodzaju alfy i musiała się notorycznie użerać z futrzakami, opadłem na kolana. Górując nad zwierzęciem, rzucałem mu wyzwania, a to było ostatnie, na czym mi zależało. Na kolanach, powolutku, modląc się w duchu o szczęście, które ponoć sprzyja głupcom, a więc i mnie, przysunąłem się na tyle blisko, by dosięgnąć linki wnyków. Wilk warczał ostrzegawczo, ale nie pokazywał kłów. Wyciągnąłem z pochwy przy pasie nóż, mówiąc:

– Ciii, spokojnie, zajmę się drutem i już mnie tu nie ma.

Nie wiem, czy uspokajałem bardziej siebie, czy jego. Przecięcie drutu okazało się trudniejsze, niż myślałem. Był zaskakująco gruby i ostry, poharatałem sobie wnętrze dłoni i dwa palce. Gdy w końcu udało mi się go przeciąć, zrozumiałem, że to dopiero początek, bo muszę jeszcze wyplatać z niego łapę – inaczej stalowa linka porani zwierzaka jeszcze bardziej albo o coś zahaczy, sprawiając, że wilk znów ugrzęźnie. W najlepszym wypadku zostanie na nodze i w nią wrośnie, powodując trwałe okaleczenie.

Modliłem się, by do szczęścia dołączyła odwaga. Pot spływał mi po plecach. Szeptalem jakieś uspokajające bzdury i złapałem się na tym, że mówię do wilka Lassie. Już za to mógł mnie zagryźć! Mamrotałem przeprosiny, gdy musiałem szarpnąć splątany drut. Wilk, o dziwo, przestał warczeć. Przyglądał mi się swymi przerażającymi żółtymi ślepiami, obnażając kły, ale nie atakował. Musiałem użyć noża jeszcze dwukrotnie, zanim łapa była wolna. Gdy wilk nareszcie się wyswobodził, skoczył na mnie, tak szybko, że nie zdążyłem się uchylić, ale tylko potracił mnie bokiem i uciekł między drzewa.

Jeszcze przez kilka minut klęczałem na poszyciu z powalonymi rękoma – moja własna krew mieszała się z juchą wilka. W jednej dłoni trzymałem wnyki, w drugiej nóż. Odłożyłem go i ostrożnie zwinąłem drut w ciasny kłębek, kalecząc sobie jeszcze jeden palec, a potem nożem wyryłem w poszyciu dołek, wepchnąłem wnyki i przykryłem kępami mchu, gałęzi i igieł. Nie miałem pomysłu, co innego mogę zrobić z tym głównem. Wstałem, schowałem nóż do pochwy i dokładnie wytarłem ręce o nogawki.

I dopiero teraz do mnie dotarło, że zgubiłem Sępa.

Próbowałem wrócić po swoich śladach, tyle że nie potrafiłem ich odnaleźć. Nie było ścieżki czy rozwidlenia między drzewami, w którąkolwiek stronę nie spojrzałem, wszystko wyglądało tak samo – grube pnie, kępy paproci i niskopienne krzewy tworzące ścianę zieleni. Skręciłem, jak mi się wydawało, na północ, wmawiając sobie, że to stamtąd przyszedłem. Miałem nadzieję, że Sęp się zorientuje w sytuacji i będzie starał się mnie znaleźć. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli trafię stąd do wioski czy do bramy, to wyłącznie przypadkiem.

Szedłem kilkanaście minut. Kusiło mnie, by zawołać Sępa, ale cisza w tym lesie była nienaturalna, instynktownie czułem, że przerwanie jej to proszenie się o kłopoty. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję, ale miałem pewność, że nie jestem tu sam. Coś mnie obserwowało. Kark mrowił zapowiedzią kłopotów. Parłem przed siebie, przedzierając się chwilami przez naprawdę gęste kępy paproci, i modliłem się, aby w końcu wyjść na jakąś ścieżkę.

Poruszał się zbyt cicho, bym zdołał go usłyszeć – po prostu nagle stanęliśmy oko w oko. Był wielki i czarny, węzeł mięśni w lśniącym aksamicie. Zielone jak klejnoty oczy połyskiwały w kociej czaszce. Patrzył na mnie, jakby czekał na moją decyzję.

– Chodź ze mną, byś prowadził ludzi i miał władzę nad ich sercami – usłyszałem w głowie jego głos.

Odwrócił się i zrobił kilka kroków, po czym przystanął, jakby czekając, aż pójde za nim.

Rząd dusz? Nie, dziękuję. Jedyne, czego zwykle chcę od ludzi, to by zostawili mnie w spokoju i dali sobie na luz z oczekiwaniami wobec mojej osoby. Ledwie panowałem nad własnym sercem, władanie innymi wydawało się zbyt dużą odpowiedzialnością. Ruszyłem w przeciwnym kierunku, czując na sobie zielone spojrzenie pumy. Po chwili rozległ się szelest, gdy wielki kot zanurkował w gęstwinie paproci, i znów zostałem sam.

– Trzeba go było zapytać o drogę do wioski – mruknąłem.

Nie wiem, jak długo szedłem. Zegarek, co uświadomiłem sobie niedługo po spotkaniu z kotem, choć jeszcze w wiosce działał bez zarzutu, teraz zatrzymał się na szóstej czterdzieści siedem – możliwe, że zaraz po tym, jak weszliśmy do sekwojowego lasu. Zaczynałem odczuwać zmęczenie, chciało mi się pić. Zamiast bezużytecznej strzelby powinienem był wziąć manierkę.

Wilk wyłonił się zza wielkiego pnia, bezszelestny i groźny. W pierwszej sekundzie pomyślałem, że to ten sam, którego wyzwoliłem wcześniej z wnyków, ale szybko zrozumiałem błąd – ten nie miał śladów krwi na łapie, był sporo większy i ciemniej umaszczony, a jego oczy lśniły dziwnie lodowatym, prawie białym kolorem.

– Chodź za mną i bądź obrońcą, wojownikiem, który stanie między zagrożeniem i twoim ludem – powiedział telepatycznie.

– Nie myśleliście, by nieco bardziej dostosować ofertę do potrzeb klienta? – zapytałem. – Spójrz na mnie. Moja partnerka zawsze powtarzała, że jeśli się robi gorąco, najrozsądniejsza reakcja to odsunąć się z linii strzału. Na pewno możecie mi zaproponować coś bardziej... sam nie wiem, skrojonego na miarę.

Słowo daję, że wilk się uśmiechnął. Wysunął język, sapnął, odwrócił się i przeszedł kilka kroków, po czym znów się zatrzymał i na mnie spojrzał, jakby dawał mi jeszcze

jedną szansę na zmianę decyzji. Wzruszyłem ramionami. Pochlebiali mi, ale miałem dość realistyczny obraz siebie. W wyborze mentora i przewodnika – bo, jak się domyśliłem, to właśnie miało miejsce – nie powinienem kierować się emocjami, skoro mieliśmy być na siebie skazani do końca moich, być może policzonych już, dni.

Szedłem więc dalej, oddalając się od wilka. Może gdzieś za następną sekwoją będzie sowa i powie: „Chodź, przeczytasz ze mną wszystkie książki”, albo leniwiec, który mi przypomni, że dobra drzemka nie jest zła. Nigdy o nich nie czytałem w kronikach szamańskich, ale to nie znaczy, że nie istnieją. Być może żaden szaman nigdy ich nie wybrał, bo dawali się nabrać na gadki pumy czy wilka.

Prześwity między pniami zrobiły się większe, a zatem zbliżałem się do ścieżki – może nawet tej, którą szliśmy z Sępem. Przyspieszyłem, lecz po chwili niemal wpadłem na coś ogromnego. Nie wiem, jakim cudem, ale nagle wyrósł przede mną dwumetrowy kłęb brązowego futra.

Wyhamowałem gwałtownie i upadłem na tyłek, co wciąż było lepszym pomysłem niż wpakowanie się na grizzly.

– Jestem ostatni – powiedział głośno.

– Żadnych sów czy leniwców? – upewniłem się.

Pokręcił głową z rozbawieniem.

– Gdzie mam z tobą iść? – spytałem.

– Nigdzie. Nie przepadam za chodzeniem. Wolę łowić ryby. Lubisz ryby?

Przytaknąłem. Być może się dogadamy.

– Aaa – powiedział nagle, klepiąc się wielką łapą po brzuchu – pytasz o ścieżkę metafizyczną?

– Wszyscy przed tobą chcieli mnie gdzieś zaprowadzić. Wiesz, rząd dusz, wojownik i inne takie.

– Przecież to do ciebie zupełnie nie pasuje – powiedział misiek, przechylając łeb i taksując mnie od stóp do głów. – Chuchro trochę, nie?

– Taka uroda. Ja ci nie wypominam wałeczków w pasie.

Zarechotał, aż całe to sadło pod gęstym futrem zaczęło dygotać.

– Jesteś zabawny – przyznał.

– Już cię lubię. Więc jaki jest twój dar? Wyjadanie miodu z uli?

– To też, ale tego cię nie nauczę, nie jesteś dość twardy. Ludzie nie lubią żuć pszczoł... Mogę za to pomóc ci leczyć ducha i ciało. Co ty na to?

Pomyślałem o mojej córce, która w ciągu niespełna tygodnia dwukrotnie otarła się o śmierć. Pomyślałem o tym, ile razy wracałem poobijany po starciach z duchami. Pomyślałem wreszcie o mojej drogiej przyjaciółce, która miała w tyłku system naprowadzania ciężkich obrażeń. Tak, to byłoby całkiem użyteczne w moim życiu – na pewno bardziej niż rząd dusz – i mniej wymagające fizycznie niż fucha wojownika. A poza tym bardzo praktyczne, biorąc pod uwagę stan polskiej służby zdrowia i fakt, że być może już wkrótce stracę ubezpieczenie zdrowotne.

– Wchodzę w to – powiedziałem. – Jestem Witkacy.

– Możesz mi mówić Brat Niedźwiedź.

Nie wiedziałem, co robić dalej. Czy jest jakiś protokół opisujący sposób związania

ducha mentora? Brat Niedźwiedź wydawał się lepiej zorientowany. Opadł na cztery łapy, a garb na jego plecach zakołysał się rytmicznie.

I nagle ruszył.

Ludzie zakładają, że misie są powolne. Ale prawdziwy niedźwiedź nie ma w sobie nic z uroczego Kubusia Puchatka. Niewiele jest na świecie straszniejszych widoków niż szarżujące na ciebie monstrum z obnażonymi zębami i rykiem donośnym niczym grzmot. Nagle przypominasz sobie statystyki: niedźwiedzie zabijają rocznie więcej ludzi niż rekiny. Nigdy nie lekceważcie drapieznika tylko dlatego, że jest zaokrąglony i ciężki.

Padłem na ziemię skulony, osłaniając głowę ramionami. Uderzył we mnie jak ściana z cegieł, a potem nagle przeszedł przeze mnie, jakby jeden z nas był duchem.

Odwróciłem się i zobaczyłem go za sobą, przestępującego z łapy na łapę i otrzepującego futro, jakby wyszedł z wody.

– Przyjdę, gdy mnie przywołasz – powiedział po chwili.

– Jak? – zapytałem.

– Sam musisz znaleźć odpowiedź – odparł. – Nosisz mój znak, to wszystko, co dziś możesz ode mnie dostać.

Znak? Dopiero teraz zobaczyłem, że prawy rękaw koszuli mam w strzępach. Rozchyliłem go – na skórze były trzy draśnięcia, każde długie na jakieś pięć centymetrów. Nie krwawiły, wyglądały jak zagojone już jakiś czas temu blizny – ślad po pazurach.

– To może choć powiesz mi, jak znajdę drogę do Sępa lub do wioski? – zapytałem zrezygnowany.

– Wywączaj ognisko – powiedział i ruszył niespiesznie między drzewa. Po kilku krokach zwolnił, otarł się kilka razy o korę. Nawet z tej odległości słyszałem jego zadowolone mruczenie.

Pociągnąłem nosem i nie bez zdziwienia wywąchałem dym. Okazało się, że byłem już całkiem niedaleko. Kilkanaście minut później przedarłem się przez gęste zarośla i stanąłem na niewielkiej przestrzeni między potężnymi sekwojami.

Sęp siedział pod drzewem, opierając się o pień, skupiony na dłubaniu nożem w kawałku drewna. Przed nim płonęło niewielkie, dobrze zabezpieczone kamieniami ognisko. Na długich kijkach podpartych o głazy piekło się mięso – kawałki małego królika albo dużego gryzonia, wolałem nie pytać.



Uniósł głowę, słysząc trzaskanie gałązek pod moimi stopami. Spojrzał na mnie z wyrzutem.

Usiadłem przy ognisku i przyznałem:

– Zgubiłem się.

– Domyśliłem się. Czy nie mówiłem, byś nie zostawał w tyle?

– Mówiłeś.

– Po co ja w ogóle tracę czas? – mruknął.

– Często zastanawiam się nad tym samym, kiedy to ty jesteś w moim świecie – powiedziałem. – Odkąd tu jestem, nie obraziłem ani nie uwiodłem żadnej kobiety, nie złamałem prawa, nie nadużyłem gościnności, nie zrobiłem nic ekstremalnie głupiego... Myślę, że w porównaniu z tobą wypadam całkiem nieźle.

Uśmiechnął się i przyznał:

– Faktycznie, wygląda na to, że bawisz się tu znacznie gorzej niż ja u ciebie.

Wrócił do rzeźbienia. Z bliska efekt jego pracy wyglądał imponująco. Zwracały uwagę roślinne ornamenty i geometryczny wzór przypominający łuski.

– Czyli to robisz w świecie, w którym nie masz telewizji?

– Tylko w wyjątkowych okolicznościach. Raz na wiele, wiele lat. W mojej torbie masz manierkę – dodał.

Odetchnąłem z ulgą. Ktoś był jednak przygotowany na wyprawę do lasu.

– Jak długo tu będziemy? – zapytałem, upijając spory łyk i zastanawiając się, czy musimy racjonować wodę. Nigdzie nie widziałem żadnego strumienia.

– Jak długo będzie trzeba. Może kilka godzin, może kilka dni – odparł, nie odrywając oczu od misternego wzoru.

Pokiwałem głową, wciąż ani odrobinę mądrzejszy.

– Na co właściwie czekamy? – zapytałem, a Sęp westchnął teatralnie.

– Za jakiś czas przyjdą do ciebie. Wybierzesz swoją ścieżkę, swojego mentora. To pierwszy etap inicjacji.

– Ach, rozumiem. Niech zgadnę – puma, wilk i niedźwiedź?

Skinął głową. Wstałem i otrzepałem spodnie z igliwia.

– Co znowu? – warknął Sęp.

– Już wybrałem – powiedziałem.

– Nie da się tego przyspieszyć, Witkacy! Musisz poczekać, aż się pojawią. A gdy już wybierzesz i mentor cię zaakceptuje, musi spleść was na poziomie ducha i zostawić na tobie swój ślad.

Podwinąłem poszarpany rękaw.

– Jak to?

Zmrużył oczy.

– Brat Niedźwiedź?

Przytaknąłem.

– Ciekawe, ciekawe – wymruczał i zaczął zasypywać ogień piaskiem. Mięso owinał w duże liście paproci i schował je do torby. Wyprostował się i powiedział: – To było szybkie, czasami ten etap trwa kilka dni.

– I na kilka dni zabrałeś małą manierkę wody i ani pół koca do spania?

– Improvizowalibyśmy – odparł z uśmiechem.

Co dziwne, byłem przekonany, że by sobie poradził. W realnym świecie był zupełnie innym facetem niż tutaj. Tam improwizacja oznaczałaby, że zadzwoni po pizzę albo włamie się do mojego mieszkania i wyje wszystko z lodówki.

Wracaliśmy tą samą drogą. Odwróciłem się, słysząc wycie wilka. Nie wiedziałem, czy to „mój” wilk, ze śladem po wnykach na łapie, czy jakiś inny, ale przeszedł mnie dreszcz, jakby ktoś przespacerował się po moim grobie.

Gdy wyszliśmy z lasu i znaleźliśmy przejście przez rumowisko, poczułem ulgę. Atmosfera tamtego miejsca była dziwna – nie przerażająca, ale wystarczająco niepokojąca, bym nie miał ochoty spędzać tam nocy. Cały czas powracało do mnie uczucie bycia obserwowanym, a cisza sprawiała wrażenie nienaturalnej. Wyczuwałem tam dziwne, nakładające się na siebie warstwy magii, której nie rozumiałem.

Zanim przeszliśmy przez rumowisko, Sęp zatrzymał się i wyciągnął z torby manierkę i orle pióro. Wylał na nie odrobinę wody i użył go jak kropidła, oczyszczając mnie i siebie z energii sekwojowej magii.

– Te warstwy... – zapytałem – czy to magia lasu?

– To wspomnienia, coś jak echo. Każde pokolenie przychodzi tu ze swoją magią i rytuałami, a sekwoje je wchłaniają. Gdy ten cykl się rozpoczął, były młodymi drzewami.

– Pamiętasz to? Nigdy mi nie powiedziałeś, że jesteś Pierwszym.

– Bo nie jestem – burknął.

– Babcia Pająk uważa inaczej.

– Uważają tak, jak jest im akurat wygodnie. Raz traktują mnie jak dziecko, któremu mogą dać reprimendę, raz chcą, bym odpowiadał za coś, co miało miejsce dwieście lat temu, choć mam zaledwie osiemdziesiąt.

Wyjawił na swój temat więcej niż dotąd. Nie naciskałem – wolałem poczekać, aż uzna, że może mi powiedzieć prawdę. Wiedziałem, że musi istnieć jakiś powód, dla którego nieoczekiwanie uratował mnie z łap Przedwiecznych i zszedł ze mną na ziemię jako duch opiekuńczy. To było zobowiązanie, a nie sprawiał wrażenia, jakby przyjął je z ochotą. Sposób, w jaki go traktowali w wiosce, mógł stanowić wskazówkę, ale nie wyjaśnienie, bo wciąż nie wiedziałem, skąd wzięła się ta powszechna niechęć.

– Większość Pierwszych jest jak Babcia Pająk – podjął. – Trwa nieśmiertelna od tysięcy lat, starzejąc się niewiarygodnie powoli. Ja jestem nieco inny. Co jakiś czas ktoś czy coś mnie zabija. Nieskutecznie, bo się odradzam. Jestem jedenastym Sępem, więc jestem jednocześnie i wciąż tym Pierwszym, którego stworzyli Nieodgadniony Ojciec i Pramatka, i jakąś kolejną jego wersją.

– Coś jak *Doktor Who*? – zapytałem. Miałem ten serial na świeżo dzięki Kurczaczkowi, która żywiła nad wyraz wiele sympatii do Time Lorda w muszce i fezie. Osobiście wolałem tego w trampkach.

– Nie całkiem. Doktor Who po odrodzeniu jest tym samym doktorem, tyle że w nowym ciele, ma wszystkie wspomnienia i wiedzę o tym, kim jest i co potrafi. Ja jestem potencjałem Sępa. Jak dziecko, które musi sobie przypomnieć, kim ma być. Nie mam kompletu wspomnień, jestem pusty, wszystko muszę odkrywać od nowa. Za każdym

razem idzie mi szybciej, ale nawet z moimi własnymi notatkami przygotowanymi na tę okoliczność kosztuje mnie sporo wysiłku i mija dużo czasu, zanim wszystko sobie przypomnę i odzyskam kontrolę nad magią.

– Oni w tym uczestniczą? – Nie zrozumiał, więc wyjaśniłem: – Pozostali Pierwsi, uczestniczą w tym odzyskiwaniu jaźni?

– Oczywiście, przecież są świadkami historii, której ja nie pamiętam.

– Więc są równie odpowiedzialni za efekt końcowy, co ty.

– Co masz na myśli?

– To jest jak z wychowaniem dzieci. Masz, co włożysz do środka. Przynajmniej tak mówi Konstancja, a zna się na tym znacznie lepiej niż ja.

Milczał przez kilka minut, może musiał to sobie poukładać. Nagle dotarło do mnie, że nie tylko ja mam tu mały kryzys egzystencjalny i potencjalny moment przełomowy. I wcale nie było powiedziane, że Sęp przystąpi ze mną do inicjacji. Związał się ze mną jako mój duch opiekuńczy, ale do czasu inicjacji wszystko było palcem na wodzie pisane. I choć mnie zerwanie tej relacji przysłoby z ogromnym trudem, on miał więcej niż jedną opcję. I wbrew temu, co chciałem myśleć, nasze pozycje w tym układzie nie były symetryczne i równorzędne. Niewykluczone, że skończę z kimś zupełnie innym.

O dziwo, miałem na to nieszczęśliwą ochotę. Jeszcze tydzień temu, gdyby ktoś złożył mi ofertę wyjścia awaryjnego, brałbym w ciemno, ale przez te kilka dni sporo się wydarzyło. Choć może po prostu rozwijał się u mnie syndrom sztokholmski.

Rozdział 18



Nie ma mowy, nie wejdiesz, jesteś skażony – upierała się, zasłaniając wejście do chaty.

– Oczywiście nas po wyjściu z sekwojowego lasu – zapewnił Sęp.

– Ale on ma w sobie ciemność. Powąchaj go, jeśli mi nie wierzysz – powiedziała Babcia Pająk i popchnęła mnie w stronę Sępa.

– Na miłość boską, czy możecie się uspokoić i przestać mnie wąchać? O czym wy w ogóle mówicie? – warknąłem i uszczypnąłem Sępa w nos, który znalazł się stanowczo za blisko mojej szyi.

– Ma rację. – Zmarszczył się. – Coś krąży w twoich żyłach.

– Może to ślad Brata Niedźwiedzia?

Pokazałem Babci Pająk ślady na przedramieniu, ale nie była przekonana. Złapała moją rękę i obróciła wnętrzem dłoni do góry. Po spotkaniu z niedźwiedziem skaleczenia od wnyków prawie się zagoiły – nie wyglądały tak dobrze jak blizny, które zostawił mi Brat Niedźwiedź, były tylko trochę czerwone i napięte, ale bez śladu strupów czy krwawienia.

– Skąd to masz? – Cmoknęła niezadowolona.

– Spotkałem wilka uwięzionego we wnykach, pokaleczyłem się, gdy go uwalniałem – przyznałem. – Ale sama widzisz, że nie ma zagrożenia.

– Jaki to był wilk? – zapytała.

– Normalny. Szary, ciemne łapy...

– A wnyki? Co z nimi zrobiłeś?

– Zakopałem, żeby inne zwierzę nie wpadło w pułapkę.

– Głupi, głupi chłopcze – powiedziała, a potem dźgnęła Sępa w pierś. – Wiedziałeś o tym? I mu pozwoliłeś?

– Pojęcia nie miałem. Rozdzieliliśmy się.

– Dajcie spokój, po co ten dramatyzm? Rozumiem, że musicie polować i jeść, ale przecież i tak nie zjedlibyście wilka!

– To był demon. Oczywiście, że byśmy go nie zjedli. Złapaliśmy go w pułapkę, by nie przychodził do wioski.

Wzruszyłem ramionami.

– Przykro mi, ale naprawdę wyglądał, jakby potrzebował pomocy.

– Nie kusił cię? Nie obiecywał niczego?

– Sapał, warczał trochę, ale nic, co byłoby specjalnie kuszące. Może to był zwykły wilk?

Pociągnęła nosem nad moją dłońią i pokręciła głową.

– Ugryzł cię? – dopytywała.

– Nie, poharatałem się o drut. – Przymknąłem oczy, próbując sobie przypomnieć szczegóły. – On miał pokaleczoną łapę. Właściwie nie był agresywny, nic mi nie zrobił. Wydostałem go z wnyków i uciekłem.

– Krew się wymieszała? – zapytała surowo.

– Możliwe, było jej trochę.

Westchnęła, a ja poczułem się jak strofowany przedszkolak, który notorycznie rozrabia i nawet nie wie, czym dziś zasłużył na to westchnienie.

– Zabierz go do szałasu potów. Musi się tego pozbyć. I wykorzystaj dobrze ten czas, porozmawiaj z nim. Musi wiedzieć. To już niedługo.

Sęp nic nie powiedział, twarz miał zupełnie bez wyrazu. Był całkowicie zimny. A ja przez ostatnie dni poznałem go trochę lepiej i zaczynałem rozumieć, co oznacza takie zachowanie.



Szałas był naprawdę duży, spokojnie pomieściłby kilkanaście osób – pod warunkiem, że żadna z nich nie chciałaby wstać, bo w najwyższym miejscu sięgał mi do piersi. Szkielet, zbudowany z gałęzi przygiętych jak żebra dinozaura, okrywały koce, derki, brezent i zwierzęce skóry. Sęp uchylił klapę i wpełzł do środka. Było tam zupełnie ciemno, przez łączenia tkanin nie przedostawała się ani odrobina światła. Sęp podawał mi kamienie, większe od mojej głowy, a ja układałem je jeden obok drugiego tuż przy przygotowanym stosie drewna. Gdy wytoczył ostatnie, policzyłem je – było ich dwadzieścia osiem.

– Zrobimy tradycyjne cztery rundy – wyjaśnił. – To twój pierwszy raz?

Przytaknąłem. Trochę się bałem. Czytałem o tym rytuale i wiedziałem, że bywa nieprzewidywalny. Poza powtarzalną częścią obrzędową była jeszcze część duchowa, a tej nie dało się zaplanować czy przewidzieć.

Wgłębienie w ziemi wyłożone było blachą. Sęp warstwami ułożył na niej suche, pachnące żywicą drewno i kamienie, po czym zabezpieczył stos dodatkową porcją porąbanych polan i większymi gałęziami. Wiedziałem, że ma przy sobie dużą zapalniczkę benzynową, ale najwidoczniej rytuał wymagał bardziej pierwotnego podejścia. Sęp skrzesał iskry za pomocą krzesiwa i kawałka kory, rozdmuchał płomień i podłożył podpałkę pod stos, po czym wymamrotał modlitwę do ducha ognia, by przyjął ofiarę.

Kucając przed płonącymi bierwionami i wpatrując się w płomień, powiedział:

– Pamiętaj, że to czas na prawdę i szczerłość. Wobec siebie nawzajem, ale przede wszystkim wobec siebie samego. Nie możesz zamknąć się na to doświadczenie, nie ma w nim miejsca na ocenianie, na pretensje czy maski. Tylko wtedy toksyny opuszczą twoje ciało, tylko wtedy twój duch stanie się silniejszy.

– Rozumiem – odparłem.

Spojrzał w górę. W oczach tańczyło mu odbicie płomieni.

– Nie rozumiesz. Nie sposób zrozumieć, zanim nie doświadczysz. To jest potężne, lecz tylko w takim stopniu, w jakim pozwolisz. Pewne rzeczy się zmieniają po tym, jak wejdziemy razem do szałasów i zaliczymy swoje cztery rundy. Nie wiem, czy wszystko ci się spodoba.

– Znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że rzadko tryskam entuzjazmem.

Uśmiech przemknął mu przez twarz.

– Nie umiem cię przygotować. Chcę, żeby to było dla ciebie tak dobre, jak może być. Ale gdybyś potrzebował przerwy, powiedz. Możemy zrobić krótsze rundy, możemy zrobić ich więcej.

– Spróbujmy tradycyjnie. Może krew indiańskich przodków pozwoli mi nie być totalną lebiegą w całym tym doświadczeniu.

Pokręcił głową.

– Jesteś silny sumą siły przodków i własnego doświadczenia, domieszka naszej krwi nie ma tu nic do rzeczy. Naszą ścieżką kroczyć może każdy, kto otwiera się na duchy.

Odkrywałem całkiem inne oblicze Sępa. W ciągu ostatnich dwóch dni dotarło do mnie, że pod tą warstwą sprośnych żartów i cynizmu kryje się głęboka duchowość. I rany, które przysłaniały jego oczy mgłą częściej, niż mógłbym podejrzewać. To wszystko miało jakiś związek z ludźmi tu, w wiosce. Nie wiedziałem dość, by powiedzieć, że stoję po stronie Sępa, ale musiałem przyznać, że narastał we mnie gniew, kiedy zauważałem ich niechętnie i pełne wzgardy spojrzenia. I coś mi twardniało w sercu, gdy widziałem, jak obleka się w pozór obojętności. Nawet teraz dostrzegałem kątem oka, że obserwują nas z bezpiecznej odległości. Stykali się głowami i szeptali – głównie mężczyźni, wielu w bogatych rytualnych strojach, z pomalowanymi twarzami i orlimi piórami. Wyglądali na poważanych wojowników, ale plotkowali jak straganiarki. Sęp kucnął przede mną w dżinsach i ramonesce narzuconej na sprany T-shirt z Led Zeppelin i starał się przygotować na duchowe doświadczenie, które miało mnie odmienić.

Być może podział powinien być oczywisty. Ale nie był.

– Musisz się rozebrać, możesz zostać w bieliźnie. Zabierz ręczniki, dwa. Jeden się przyda do osłaniania głowy, gdyby zrobiło ci się za ciepło – mówił, starając się nie patrzeć na zbitych w grupki mieszkańców wsi.

Zacząłem ściągać z siebie ubranie. Pożałowałem tego, gdy od strony chaty Babci Pająk nadeszła Jaskółka, niosąc ręczniki i gliniany dzbanek, w którym, jak się okazało, znajdowały się fajka, woreczek tytoniu i pęk szaławii wieszce. Z ramienia zwisało jej skrzydło kruka na ozdobnej krajce. Wiem, to idiotyczne, ale nie pasowało mi, że patrzy na moją zapadniętą klatkę piersiową i chude, blade, owłosione nogi, których widok częściej budził czułe i współczujące uśmiechy niż błyski ognia w źrenicach. Na szczęście chyba nawet nie zwróciła uwagi na to, że jestem niemal goły.

Za nią chłopak, dwunasto-, może trzynastoletni. Stał ostrożnie, by nie wylać wody z niesionego przez siebie wiadra.

Jaskółka przekazała dzbanek i skrzydło Sępowi, mnie ręczniki. Dużym owinąłem się w pasie, mniejszy zarzuciłem na kark. Sęp odstawił dary przy wejściu do szałasów i sprawnie ściągał z siebie ubranie. Gdy zdjął spodnie, Jaskółka prychnęła rozbawiona.

– Gatki? Naprawdę długo przebywałeś na ziemi – powiedziała.

– Strasznie zrzędził, że mam je sobie kupić – burknął, kiwając głową w moją stronę.

– Żebyś przestał kraść moje – przypomniałem.

Zwykle miałem wrażenie, że podchodzę dość luźno do stanu posiadania i własności jako takiej. A potem zjawiał się Sęp, wciągał moje bokserki na swoją dupę i cały mój hippisowski luz trafiał szlag.

– Ładniutki. To jaskółki? – zapytała.

Aż się odwróciłem, by rzucić okiem na bieliznę mojego ducha opiekuńczego. I tak, to były białe jaskółki na granatowym tle. Chyba nie chciałem się zastanawiać, ile w tym było przypadku.

Mrugnął tylko i uśmiechnął się z chłopięcym wdziękiem.

– Biały Ryś będzie donosił wam wody na każdą rundę – powiedziała, kiwając na chłopca, który wpatrywał się w nią z oddaniem zakochanego szczenięcia. Gdyby poprosiła, by donosił nam świeżo upolowane łosie, stanąłby na głowie, by podołać.

Podeszła najpierw do mnie, potem do Sępa. Kolejno położyła nam kciuki na powiekach, dłońmi obejmując skronie, i wyszeptała:

– Niech wam duchy błogosławią w tej wędrówce. Niech wasze serca rosną w siłę, a słabości opuszczą was wraz z potem. Obyście równie dobrze mówili, jak słuchali, a wasze serca były na siebie otwarte.

Sęp pochylił się lekko i otarł czołem o jej czoło. Zabierając dłonie z jego skroni, pogładziła go po policzku z czułością, która budziła zazdrość.

– Nie bój się, to dobry człowiek – szepnęła.

Zaraz, dlaczego powiedziała to jemu, nie mnie?

Sęp uchylił klapę z brezentu, przez którą mieliśmy wejść do szałas, i wstawił do środka dzban i przedmioty przyniesione przez Jaskółkę oraz wiadro przytaszczone przez chłopca. Wyciągnął z wnętrza szałas masywne, żeliwne wiadro i powiedział:

– Już czas na pierwszą rundę.

Metalowymi szczypcami wyjął pierwsze siedem kamieni, włożył do wiadra, z którym przyszedł chłopiec, i wniósł je do szałas. Wszedłem tam za nim i usiadłem na ziemi. Gdy Jaskółka zamknęła za nami klapę, zapanowała absolutna ciemność.

Sęp albo widział w takich warunkach lepiej niż ja, albo znał rozkład szałas wystarczająco, by poruszać się tu po omacku. Przełożył kamienie do dołu na środku szałas i usiadłszy, polał je niedużą ilością wody. Buchnęła para.

– Błogosławione niech będą duchy tych skał i wody, które pozwalają nam zerknąć w głąb siebie – powiedział i podał mi naczynie z wodą.

Chlusnąłem nią na kamienie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. A nawet gorzej: myśl o tym, że miałbym się odezwać, sprawiała, że klucha w gardle zaczynała mnie dławić. Odłożyłem naczynie, bo ręce drżały mi tak, że jeszcze chwila, a oblałbym samego siebie. Oddech przyspieszył, krew pulsowała w uszach, gorąco uderzało do głowy. Zacząłem się pocić i nie było w tym doświadczeniu nic odświeżającego czy leczniczego. Gotowałem się od środka. Narastała we mnie panika, ciemność i gorąco przytłaczały. Pokusa, by uciec, szamotała mi się w piersi jak królik we wnykach.

Sęp zdawał się wiedzieć, w jakim jestem stanie. Zaczął do mnie mówić, a jego głos był spokojny i monotony:

– Strach jest tym, co trzyma nas z daleka. Czasami to dobrze, bo nie pozwala zbliżyć się do źródła zagrożenia albo pomaga pozostać w formie podczas konfrontacji. Ale czasami jest naszym najgorszym wrogiem, pęta nas i odbiera siły. Jestem więźniem przeszłości, więźniem strachu przed tym, że będziesz jak reszta i wszystko się spierdoli, zanim się zaczęło. Ale nie ma alternatywy, Witkacy. Albo się otworzymy, albo nie mamy szans. Albo się zgramy, albo nas złamią przy pierwszej okazji.

Urwał i zamilkł. Zrozumiałem, że czeka. Reguły były proste. W szalacie potów nie możesz milczeć. Gdy przychodzi twoja kolej, mówisz. O tym, co ci leży na wątrobie, czego pragniesz albo się boisz. Nie możesz ominąć kolejki tylko dlatego, że masz kluchę w gardle. Oddychałem tym gorącym, wilgotnym powietrzem i spróbowałem odpuścić, zwolnić hamulce. Bo jeśli nie teraz, to kiedy?

– Ile się znamy? Pół roku? – Policzyłem na palcach. – Siedem miesięcy. Właściwie przez cały ten czas byłem na ciebie wkurzony. Mówiłem ci, że chodzi o bałagan, nieszanowanie moich granic, o pieprzone jedzenie w lodówce, o twój stosunek do kobiet. Ale prawda jest taka, że byłem wściekły, bo się bałem. Nigdy w życiu nie bałem się tak jak przez ostatnie miesiące, odkąd wiem o Kurczaczku. A ty nie zrobiłeś nic, by mi ulżyć w tym strachu.

Wyrzuciwszy to z siebie, nieoczekiwanie poczułem ulgę. Problem nie przestaje istnieć, kiedy mówisz o nim głośno, ale nie ma nad tobą władzy w takim stopniu jak wtedy, gdy milczysz. Tak samo jest z sekretami. To jest jak związek przemocowy – przyznanie się do istnienia problemu, a potem wzięcie kogoś na świadka to początek drogi, która prowadzi do wyzwolenia.

– Nie znam się na dzieciach. Nigdy nie byłem ojcem – powiedział Sęp, a ja uświadomiłem sobie, że on naprawdę tego nie rozumie. Czy więc mogłem go winić, skoro sam przez większość czasu nie rozumiałem? Teraz rozjaśniało mi się w głowie, jakby ta cała para, pot i gorąco rozkleiły mi jakąś skorupę w czaszce. Boże, tylko skąd we mnie aż tyle strachu?

– Nie o to chodzi – odparłem sfrustrowany. – Jak mam ci to wytłumaczyć? Przez większość mojego życia nie bałem się niemal niczego. Może trochę tego, że jestem szalony, któregoś dnia to wyjdzie na jaw i zamkną mnie w psychiatryku. Nie zależało mi na niczym wystarczająco, by zasiać we mnie bojaźń bożą. Żyłem z dnia na dzień. Rzuciałem się śmierci w ramiona, a ona odstawiała mnie z powrotem w lepszym czy gorszym stanie. Gdy Ti powiedziała mi, kim jestem, gdy udowodniła, że to nie szaleństwo... Stary, to było jak najlepszy odlot. Byłem spokojny jak stado pieprzonych mnichów. Ogarnęła mnie taka euforia, że prawie udało mi się stworzyć związek z Katią, prawie uwierzyłem, że mogę normalnie funkcjonować. To były najlepsze dwa lata w moim życiu. Jakby wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Nigdy nie mówiłem o swoich emocjach z taką łatwością – tak jakby szalacie potów uwolnił mnie od wszystkich zahamowań.

– I pewnie dlatego tak mnie kopnęło, że w ostatnich miesiącach całą tę błogość kurwica wzięła. Nigdy nie martwiłem się o swoją pracę, teraz nagle mam obawy, że ją

stracę. A przez ostatnie lata to ona trzymała mnie po dobrej stronie. Bez niej stoczyłbym się na dno, przegrał z narkotykami, duchami, które nie dawały mi spokoju. Była moją kotwicą.

– Chyba się nie boisz, że damy ci się stoczyć, gdy tylko przestaniesz pracować w policji?

– Nie. Nie wiem. Nie lubię zmian. A to był constans. Cenię sobie to, co jest stałe i powtarzalne.

– Zbudujesz nową karierę zawodową. Po inicjacji będziesz miał rutyny z duchami po uszy – powiedział.

Westchnąłem. W jego ustach to brzmiało dziwnie łatwo. W mojej głowie biegał spanikowany facecik krzyczący: „Pali się, pali się!”. Ale może tylko udawał, że chodzi o pracę, a tak naprawdę panikował z zupełnie innego powodu.

– Jesteś pewien, że chodzi o pracę? Nie o Kurczaczka? Moim zdaniem w jej przypadku twoje obawy są uzasadnione – zagaił, jakby czytał mi w myślach. Czego nie potrafił, prawda? Nawet w szalacie potów... prawda?

– Ja się nie boję tego, że ją mam. Boję się, że mogę ją stracić. Że nie wiem wystarczająco wiele, by zapewnić jej bezpieczeństwo. W naszym świecie nie ma polisy lepszej niż wiedza. I ty masz tę całą pieprzoną wiedzę świata i odmawiasz dzielenia się nią, bo wolisz oglądać gołe cycki w serialu lub na żywo. Jestem wkurwiony, bo umieram ze strachu, a ty masz to w dupie. Nie śpię, układając w głowie najgorsze scenariusze, próbując z góry znaleźć dla nich rozwiązanie, ale to nie działa. Nie przewidziałem cmentarza czerwonoarmistów i całej tej afery. Potrzebuję wiedzieć, Sępie. Tylko nauka uchroni mnie przed obłędem.

– Nie rozumiem. Jeśli tak bardzo jej chciałeś, czemu unikałeś inicjacji? Przecież to najprostsze rozwiązanie.

Naprawdę nie rozumiał. Westchnąłem.

– A jeśli jej nie przeżyję? Jeśli oszaleję? To często się zdarza, przecież wiesz. I kto się nią wtedy zajmie? Kto ją ochroni? Gdybym był sam na świecie, pewnie zanurkowałbym w tym pieprzonym oleju i oskubał się do czystej kości już jakiś czas temu, choćby po to, by dali mi spokój. Ale... Nie chcę dla niej tej samotności, strachu, braku, który każdą komórkę wypełnia smutkiem. Nie chcę, by była zdana tylko na siebie. Czują, że cały świat się na nią wali, a ona nie ma narzędzi, dzięki którym może utrzymać się na powierzchni. Nie chcę, by poszła moją ścieżką, przez autodestrukcję, depresję, samotność. Dorastanie jest traumą. Dorastanie szamana, z tymi wszystkimi duchami, energią i magią śmierci... To cud, że żyję. Nie chcę, by dla niej cudu zabrakło. Muszę ją chronić, ale nie umiem...

– Kurwa mać.

To było elokwentne.

– Witkacy, nie tylko ty jesteś za nią odpowiedzialny. Ja... nie rozumiem wszystkich twoich emocji, ale znam sporą ich część. Ja... to moja wina. To, co się stało na cmentarzu – wyrzucił z siebie i zamilkł.

– Co masz na myśli? – zapytałem cicho.

– Zakłęcie, którego użyła, było w tej księdze, co jej dałem. Powiedziałem, że nie

ma tam nic, czego nie robiłbym w jej wieku. Tylko nie pomyślałem, że w jej wieku byłem Pierwszym, zrodzonym z magii, uczonym jej od początku. Nie pomyślałem, kurwa. Tak bardzo chciała się uczyć. Tak bardzo się ucieszyła z tej księgi. Powiniennem być jej pilnować.

Zacząłem się śmiać. Nawet w moich uszach brzmiało to jak objaw szaleństwa. Sęp w milczeniu czekał, aż się uspokoję.

Bogowie. Byliśmy nieudacznikami skazanymi na porażkę. Poczucie winy zeżre nas od środka. Pot zalewał mi oczy, gorąco uderzało do głowy coraz bardziej. Schowałem ją pod ręcznikiem i znów mogłem oddychać.

– Masz do mnie żal? – zapytał cicho.

– Nie. Zazdrościłem jej tej księgi. Twoich rozmów z Kurczaczkiem i że ją uczysz. Owszem, głupie, ale wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że to może być początek kłopotów. Wiesz, co mi kiedyś powiedziała Konstancja? Nazwała to sekretem rodzicielstwa, który musisz sobie przyswoić w pierwszym roku życia dziecka albo zwariujesz. „Jak bardzo byś się nie starał, one i tak zrobią sobie krzywdę. Odwrócisz się na chwilę i właśnie wtedy pierwszy raz twoja córka wykona obrót z pleców na brzusek, tak niefortunnie, że spadnie z kanapy na podłogę. A potem spędzasz z nią godziny w szpitalu, modląc się, by nie miała żadnych obrażeń, i wyrzucasz sobie, że jesteś wyrodnym rodzicem. A to dopiero początek. Nie uchronisz jej przed zdzieraniem kolan, nie zasłonisz piersią przed łobuzami w przedszkolu, nie zawsze będziesz przy niej podczas wieczornych powrotów do domu. Nie możesz i nie powinienes, bo zadusiłbyś ją całkowicie”. Nie mieściło mi się to w głowie. Zapytałem, jak można nie oszaleć z tą świadomością niemocy. A ona powiedziała tę absurdalną rzecz: „Nie możesz oszaleć, bo musisz być przy niej, gdy cię potrzebuje. Gdy trzeba podmuchać na skaleczone kolanko i pocieszyć. Ona musi wiedzieć, że jej ufasz i że twoja miłość jest bezwarunkowa. To jest ta siła, którą jesteś jej winien”. Ale ja nie czuję się silny. Jestem głównie przerażony. I wściekły z powodu bezradności. I dlatego wściekałem się też na ciebie. Bo wydawało mi się, że mógłbyś zabrać ten strach. Tylko przecież on nigdy nie minie. A ja muszę nauczyć się z nim żyć.

– Znam zakłęcie przyspieszające gojenie otarć i niedużych ran – powiedział.

Uśmiechałem się, choć w ciemności nie mógł tego widzieć.

– Nie mogłem cię uczyć. To wymaga zaufania. Musiałbym ci powiedzieć prawdę, ale wtedy byłoby po wszystkim.

Westchnąłem ciężko. Wiedziałem, że poznam prawdę jeszcze dziś, choć pewnie nie podczas pierwszej rundy. Kamienie oddały już tyle ciepła, że woda ledwie parowała. Za to ja byłem tak mokry, jakbym wyszedł spod prysznica.

– Koniec rundy otwarcia? – zapytał.

– Wrócimy do tego – zaznaczyłem.

– Tak, wrócimy – powiedział cicho i w ciemności przesunął się do wyjścia. Uchylił klapę i wyszedł na czworakach na zewnątrz, a ja podążyłem za nim. Wytoczyłem się z szałasu i padłem na trawę, ciężko oddychając.

Po kilku minutach wróciliśmy do środka – Sęp z kolejną partią siedmiu rozgrzanych kamieni w kuble. Wszystko miało się zacząć jeszcze raz. Gdy para od nowa

wypełniła szalas, zobaczyłem ognik po drugiej stronie kamienistego dołka, a po chwili do zapachu gorących i wilgotnych kamieni dołączyła woń dymu. To był tytoń z jakimiś domieszkami, czymś drzewnym, a także szalwią wieszczą.

Sęp zaciągał się dymem i wydmuchał go we wszystkich kierunkach, po czym podał mi fajkę, bym zrobił to samo. Mój umysł, już dziwnie jasny, teraz wydawał się rozszerzać. Zmysły były pobudzone, zapachy, faktury, dźwięki stały się intensywniejsze i mózg natychmiast interpretował je i klasyfikował. Szelest kruczego skrzydła, którym Sęp poruszał, by dym dokładnie owiał nasze ciała, był namacalnym dźwiękiem, wyświetlał w głowie obraz tej czynności, choć dla oczu było wciąż za ciemno.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedział. – Nie chcę ci się tłumaczyć, nie chcę się wybielać... Ale nie wszystko to, co o mnie usłyszysz od Pierwszych, jest prawdą, nie wszystko jest uczciwe...

– Więc zacznij od Kojota. Może się mylę, ale czy on nie stanowi części problemu?

– Ile wiesz o tym, kim jest Kojot? – zapytał cicho.

– Pierwszy i trickster, znam podstawy mitologii.

– Więc już wiesz, kim naprawdę jestem?

– Jest was więcej czy tylko jeden Sęp? – upewniłem się.

– Jeden Pierwszy. Był jeszcze Król Sęp, podobno mój kuzyn, ale go wykończyłem.

Był strasznym chujem – wyjaśnił. – Psuł mi reputację. Po jego śmierci zająłem się tym sam.

– Coś mi się obilo o uszy, choć bez szczegółów – przyznałem. – Wiem, że jako jeden z Pierwszych uczestniczyłeś w stworzeniu świata, jaki znamy. I jesteś bóstwem śmierci.

– Tego akurat nie masz mi co wytykać, skoro twoja magia też pochodzi od śmierci.

– Nie wytykam. Nie mam z tym problemu. Jestem szamanem, spotykałem się z nekromantką, śmierć nie jest czymś, co bym piętnował czy odrzucał.

– Dobrze choć to. Ale masz rację: żeby zrozumieć, dlaczego mój status w Zaświatach wygląda tak, a nie inaczej, musisz więcej się dowiedzieć o Kojocie. O mnie i Kojocie. – Westchnął ciężko, znów zaciągnął się dymem i zaczął mówić: – Nie jest łatwo opowiedzieć o tym, jak kształtowała się nasza relacja przez stulecia, a bez tego trudno zrozumieć, co się stało kilka miesięcy temu... Wyobraź sobie, że jest dwóch braci, starszy i młodszy... albo lepiej: chłopiec i dziewczynka, to będzie dla ciebie bardziej zrozumiałe. Więc jest sobie rodzeństwo, są do siebie bardzo podobni, wychowują się razem i to podobieństwo tylko się wzmacnia. I nieustannie coś broją. Prześcigają się w figlach, które z czasem robią się coraz śmielsze, bo przecież muszą nie tylko przeskoczyć żart konkurencji, ale też swój własny z poprzednich dni. Oczywiście co jakiś czas wybucha afera i trafiają na dywanik, oboje, bo przecież to ich wspólny wybryk. Tyle że na tym kończy się równość. Dziewczynka dostaje wykład, bo dziewczynce nie wypada, powinna wiedzieć lepiej, powinna być miła, powinna, powinna, powinna. Jest mnóstwo rzeczy, które powinna. Natomiast chłopiec słyszy, że ojej, taki z niego łobuziak, ale jak to chłopiec, chłopcy tak już mają, więc nu, nu, nu, chłopaczku. A potem dziewczynka dostaje karę, czasami bardzo brutalną, podczas gdy jej bratu wszystko uchodzi na sucho. Co więcej, dziewczynka się stara udobruchać rodzinę, przynosi dobre oceny ze szkoły,

pomaga w domu, zajmuje się młodszym rodzeństwem. Ale nikt tego nie docenia, bo to przecież jej obowiązek. Najgorsze dla niej jest to, że choćby nie wiem jak sobie obiecywała, że już nigdy nie nabroci, w jej relacji z bratem jest coś, co sprawia, że jednak to robi. Dla obojga to naturalne i, o dziwo, wszyscy korzystają, bo bez ich figli w domu nie byłoby tego ruchu powietrza, który towarzyszy silnym emocjom i ekscytacji. Ale o ile rodzina docenia skłonność do wybryków u chłopca, o tyle u dziewczynki widzi w tym przewinienie. Zasługi trafiają na jego konto, wina na jej. I tak przez stulecia.

– Trudno funkcjonować w takich okolicznościach.

– Dziewczynce na pewno. Ale nikt nie myśli o jej uczuciach, bo któż by sobie tym zawracał głowę. Nigdy jednak nie zapomną jej ukarać.

– Jak ją karzą? – zapytałem, świadomy, na jak wiele otwarcia pozwala mu ta metafora.

– Och, różnie. Czasami wyganiają ją z domu, tak że przez dziesięciolecia tuła się na ziemi czy w najbardziej parszywych częściach Zaświatów. Innym razem więżą w jaskini, by w samotności i ciemności „przemyślała, co zrobiła”. A czasami zabijają. Przychodzi im to zdecydowanie łatwiej, odkąd odkryli, że zmartwychwstaje.

– Za pierwszym razem jednak nie wiedzieli? – zapytałem cicho.

– Nie. Nie wiedzieli.

– Nie widzę tu współmierności, o ile ona sama nikogo nie zabiła.

Przez chwilę milczał.

– Nigdy świadomie. Ale zdarzył się bardzo niefortunny wypadek. Więc gdy znów próbowali ją zabić, uciekła. Wykorzystała okazję, która się nadarzyła, i odeszła.

– A kiedy wróciła... rodzina jest zła, że posłusznie nie dała im się wykończyć?

– Tak. W ich oczach tylko jej śmierć mogła zmyć żalobę po innej śmierci.

– Śmierci się nie znoszą, one się kumulują. To nie sprawiedliwość, to zemsta – powiedziałem.

Owszem, w wyjątkowych przypadkach byłem w stanie zaakceptować konieczność zastosowania kary śmierci. Gdy sprawca absolutnie nie rokuje, to jedyne, co może zrobić system, by uchronić potencjalne ofiary. Ale nie śmierć w wyniku wypadku.

– Masz rację. Śmierci się kumulują.

Wiedziałem, że nie mówi już o tej przypadkowej śmierci, ale o własnych nawarstwiających się doświadczeniach. W moim świecie twardej nigdy nie porównałby siebie do małej dziewczynki, ale Sęp nie miał naszych uprzedzeń. W jego świecie kobiety nie były dyskryminowane i słowa „walczysz jak dziewczyna” byłyby uznane za pochwałę. Naprawdę nieźle, olśniło mnie, że właśnie taka kultura przypadła nam, mnie i Kurczaczkowi, jako swoista spuścizna. To, miałem nadzieję, da jej siłę, by nie poddawać się stereotypom.

– Czy rodzina może zmusić dziewczynkę do przyjęcia kary? – zapytałem z obawą.

– Odkąd jest w nowym związku, nie bardzo. Ale mogą na nią krzywo patrzeć.

– Od patrzenia nikt nie umarł.

Sęp się zaśmiał ponuro.

– Może raz. Nieodgadniony Ojciec ma dość świdrujące spojrzenie.

Zastanawiałem się, czy zdoła mówić o tym bez metafor.

– Sępie... Co się stało? Do czego doszło ostatnim razem, kiedy ty i Kojot odstawiliście tricksterski numer?

– Babci Pająk spodobałoby się to określenie, ona też tak to widzi. Tyle że oficjalnie nasza wesolutka rodzinka ma jednego legalnego trickstera, Kojota. Wiesz od Babci o naszych zawodach, jakie sobie co jakiś czas urządzamy? Dzieje się to zwykle wtedy, kiedy po kolejnym zmartwychwstaniu dochodzę do momentu, w którym pamiętam wystarczająco wiele, by być równym partnerem w pojedynku.

– Wspominała o skorpionie i grzechotniku.

– Bardzo stara zabawa. Wciąż uważam, że wygrałem skorpionem.

– Babcia ma żal o to, że to pajęczak.

– Ależ o to chodziło. To było ostrzeżenie dla Białego Kruka, który, jak przystało na bufona, zlekceważył opinię Babci w jakiejś gorącej wówczas kwestii. Więc stworzyłem pajęczaka, którego tylko głupiec spuszcza z oka i lekceważy. Moje metafory nie zawsze trafiają w szerokie gusta... Nie każdy artysta znajduje zrozumienie.

– A co chciał wyrazić Kojot, tworząc grzechotnika? – zapytałem, bo chciałem zrozumieć obie strony dramatu.

– Twierdzi, że zupełnie nic. Podobała mu się myśl o jadowym wężu, który ostrzega cię przed ugryzieniem, ale jeśli go słyszysz, to znaczy, że jesteś za blisko i już za późno na ucieczkę. Kojot uwielbia suspens, ma to we krwi.

– Ty też.

– On legalnie.

Pokiwałem głową. Niezłe rozumiałem tę sytuację, choć byłem jedynakiem.

– Z czasem nasze konkursiki stały się nieco bardziej rozbudowane. W ostatnim mieliśmy stworzyć potwory w całości zbudowane z emocji, emocjami się żywiące i emocjami zabijające.

Zamilkł, jakby nasłuchując echa właśnie zrzuconej bomby.

– Jakie to były emocje? – zapytałem spokojnie.

– Gniew i smutek.

Nie musiałem pytać, który potwór wyszedł spod jego palców.

– Gniew szalał, był w stanie popchnąć ludzi do morderstwa. Smutek dotrzymywał mu kroku. Starły się w uścisku gigantów. Słowo daję, jak King Kong kontra Godzilla. Walka była naprawdę wyrównana i wszyscy zaczęli przyjmować zakłady. Obstawiali, że Gniew jednak zwycięży.

– Głupio obstawiali – wymsknęło mi się.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał z ciekawością.

– Gniew to dużo energii, wypala się szybciej. Smutek jest niskoenergetyczny, może się tlić latami. I na dłuższą metę robi większą krzywdę duchowi.

Klasnął dłońmi o uda.

– Rozumiesz!

Wzruszyłem ramionami. Jestem melancholijnym flegmatykiem ze skłonnością do depresji. Mało kto rozumiał smutek tak dobrze, jak ja.

– Najwięcej na Gniew postawił Biały Kruk. Jeden z Pierwszych. A gdy szala zwycięstwa się przechyliła na korzyść Smutku, wpadł we wściekłość. Było jej tyle, że

starczyłoby na niezłego potwora. Ruszył na Smutek z oszczepem, bo stracił pieniądze i nie potrafił przegrywać. A Smutek, cóż, był sobą. Zwarli się w walce, naga skóra dotykała skóry. Tylko tyle wystarczyło. Odciągnąłem mojego potwora, ale było już za późno. Biały Kruk był skażony. Dwa dni później popełnił samobójstwo. Nie jest łatwo zabić Pierwszego, jeśli Pierwszy nie chce być zabity. Ale jeśli chce i do tego dąży, niewiele można zrobić.

– Czy on też zmartwychwstaje? Jak ty? – zapytałem cicho.

– Nie wiemy. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało. Więc ułożyli go w jaskini, w sarkofagu, i czekają na cud. I zgadnij, kogo uznali za winnego śmierci Białego Kruka?

Pokręciłem głową. To było... absurdalne. Owszem, Kojot i Sęp zbudowali potwory, ale czy zmusili Białego Kruka do hazardu i rzucania się na potwora w szale zabijania? To nie trzymało się kupy.

– Zostałeś moim duchem opiekuńczym, by nie umierać? – zapytałem.

– Wydawało mi się to dobrym rozwiązaniem. Nie chciałem znów przez to przechodzić. Obserwowałem cię chwilę i uznałem, że może wypalić. Ale wbrew temu, w co pozwoliłem ci wierzyć, dopóki nie przejdziemy inicjacji i nie zostaniemy związani na poziomie ducha, moja fucha nie jest zaklepana. Mogę odejść, a ty możesz sobie znaleźć kogoś bardziej odpowiedzialnego i łatwiejszego we współpracy.

– Dlaczego miałbym to robić? – zapytałem.

– Przecież wiesz. Zabiłem Pierwszego. Dopóki nie umrę, nikt poza Babcią Pająk i Jaskółką nie uzna mnie za wartego więcej niż splunięcia. A to może się odbić na tobie. Poza tym jestem oszustem, prawie tak wielkim jak Kojot, a przez to całe umieranie raz po raz jestem znacznie bliżej związany z domeną śmierci niż życia, co czyni ze mnie aberrację.

To było idiotyczne. Przymknąłem oczy i zastanawiałem się, co mu odpowiedzieć, by w pełni oddać moją frustrację i wkurwienie. Nie na niego – na nich. I zamiast ubierać te emocje w kulturalne słowa, postawiłem na dosadność.

– Pieprzę to. Gdyby ktoś próbował traktować mnie w ten sposób, przetestowałbym najpodlejsze klątwy, jakie bym znalazł. Szkoda, że Biały Kruk nie żyje. Nie wiem, nie znałem go, ale jak każdy na świecie miał do odegrania jakąś rolę. Tyle że sam się prosił o kłopoty i poniósł tego konsekwencje. Pieprzę całą resztę. Jeśli cię chcą traktować jak trędowatego, pieprzyć ich. I tak spędzamy tu niewiele czasu. Na ziemi czekają ludzie, do których warto wracać.

Sęp milczał przez długą chwilę, a potem w ciemności usłyszałem jego cichy chichot.

– Wiesz, o czym szepczą za naszymi plecami, odkąd tu jesteśmy? – zapytał.

– Pojęcia nie mam.

– Krażą zakłady o to, co się stanie, gdy się dowiesz, jaką jestem kanalią. Zastanawiają się, czy mnie zabijesz, czy tylko zerwiesz umowę i weźmiesz sobie innego opiekuna spośród nich.

– I która opcja wygrywa?

– Jeszcze dziś rano zabójstwo, ale odkąd masz znak Brata Niedźwiedzia, wydaje się mniej prawdopodobne, byś chciał odebrać komuś życie, więc do puli doszło „trwałe

uszkodzenie ciała”.

– Idioci.

– Nie będę się kłócił. – Westchnął z ulgą. – To było dobre. Wyzwalające.

– Niezłe. Koniec rundy drugiej? – zapytałem. Moje ciało zapewne przyzwyczajało się do gorąca, bo czułem się nawet znośnie. Owszem, byłem mokry i z trudem oddychałem, ale wypełniała mnie lekkość, jakby faktycznie spadł mi kamień z serca.

Podczas trzeciej rundy opowiadał mi spokojnie o tym, co mnie czeka w najbliższych dniach, jeszcze przed inicjacją. Gdy o nią zapytałem, przyznał, że nie może mi powiedzieć – takie są zasady – ale zapewnił, że będzie tam ze mną i jeśli w gorącym oleju zaczną pływać kawałki mojego smażonego mięsa, postara się powstrzymać ślinotok. Dobre i to.

Podczas czwartej rundy paliliśmy fajkę i po prostu rozmawialiśmy. On mi opowiadał o pozostałych Pierwszych, zdradzał sprośne plotki o Przedwiecznych, wspominał najbardziej absurdalne historie z Duchem Zaświatów, który w swoje najlepsze dni był prawie poczytalny, ale przez większość czasu jeździł na różowym baranku szajby.

Ja mu opowiadałem o przygodach u boku Ti, o Kurczaczku, Konstancji i o tym, dlaczego nie planuję „uderzać, bo może jednak wezmę ją na litość, zwłaszcza jeśli się rozbiore”. O tym, co to jest emerytura i co oznacza brak ubezpieczenia zdrowotnego. I że nie wiem, jak mógłbym zarabiać, gdybym przestał pracować w policji, bo nigdy niczego innego nie robiłem. Jeszcze na studiach, rok po odejściu Konstancji, zdecydowałem: zaliczyłem przysposobienie wojskowe, poszedłem do akademii, a że nie miałem planu B, poza zaćpaniem się w ciemnym kącie, więc w plan A włożyłem całą swoją energię. Byłem niezłym policjantem. Umiałem podejść przesłuchiwanego tak, by sam się przyznał ze szczegółami. Łączyłem ślady i znajdowałem poszlaki. Potrafiłem dedukować i analizować poszczególne elementy tak długo, aż dostrzegałem wzór. Nie miało znaczenia, czy zajmowałem się kradzieżą, czy zabójstwem, mój umysł nie zaznawał spokoju, dopóki sprawa nie była rozwiązana, winny ukarany, a niewinni bezpieczni. Don Kichot w niebieskim mundurze. Co zostanie, gdy mi to zabiorą?

– Ale ty pieprzysz, stary – oświadczył Sęp z właściwą sobie empatią i delikatnością. – Jesteś dobrym policjantem, bo to było najbliższe twojemu powołaniu. Zaufaj mi, będziesz miał zatrzęsienie roboty.

– Szkoda, że jako szaman nie mam ubezpieczenia zdrowotnego i planu emerytalnego – burknąłem.

– A kto powiedział, że nie możesz mieć? Coś wymyślę. Najwyżej naślę na tego waszego potwora coś równie bezwzględne.

Zajął mi chwilę, by zrozumieć, że naszym potworem, o którym mówił, jest ZUS. Na samą myśl, że miałby stworzyć coś analogicznie nieludzkiego, poczułem – mimo przebywania w szalacie potów – zimno.

Rozdział 19



Skojarzenie z ostatnią wieczerzą było idiotyczne, ale gdy coś przyklei ci się do głowy, to przepadło. Dlatego właśnie, siedząc po turecku przy ognisku, otoczonym dużymi, nagrzewającymi się kamieniami, na których piekły się cienkie placki z mąki kukurydzianej, zastanawiałem się, kto w towarzystwie pasowałby na Judasza.

Stawiałem na Orła. Przypomniałem sobie, co Sęp mówił o tym, że alternatywną wersją powstania szamanów, było zapłodnienie przez Orła przypadkowej kobiety. Nie tylko Sęp nie chciał sobie nigdy wyobrazić tego zbliżenia. Orzeł był ogromnym facetem. Mierzył ponad dwa metry i musiał ważyć dobre sto pięćdziesiąt kilogramów. W ludzkiej formie miał absurdalnie szerokie barki, w ptasiej – zapewne gigantyczne skrzydła. W swej bezgranicznej skromności nosił tylko przepaskę biodrową, więc wszystkie te węzły mięśni na udach i piersi połyskiwały w blasku ognia, mocno natłuszczone i miedziane. Był łysy, jeśli nie liczyć kępki włosów na szczycie głowy, zwiniętej w kok opleciony rzemykiem i ozdobiony trzema piórami. Połowę twarzy miał pomalowaną na czarno, drugą przecinała pojedyncza, pionowa kreska. Wyglądał jak indiańska wersja Herkulesa czy Conana Barbarzyńcy, ale po minucie w jego towarzystwie wiedziałem, że ma osobowość szkolnego dręczyciela i jest fiutem do potęgi. Stanowczo wolałem mieć za przodka pierwszą morderczynię.

Był mistrzem mikroagresji. Niby nie mówił niczego otwarcie, ale w każdej jego wypowiedzi pobrzmiwała pogarda. Udawał miłego koleśka, by po cichu wbijać kolec między żebra – głównie Sępowi, choć okazywał też zaskakująco niewiele szacunku Babci Pająk i Jaskółce, które wybrały drużynę Sępa. Siedziały przy nim i podawały mu mięso czy miskę z kukurydzą i fasolą, która krążyła wokół ogniska. Gdyby nie one, nie miałyby szans na kolację, podobnie jak na rozmowę.

Orzeł też nie zwracał się do niego, ale do mnie, pozwalając, by jego złośliwość dosięgała nas obu.

– Witkacy – powiedział zaraz na początku posiłku – czy nie myślałeś, by zamiast Sępa wybrać sobie na ducha opiekuńczego koc z zarazkami ospy? Mniej szkód.

Zaśmiał się, zadowolony ze swojego dowcipu.

– No popatrz, wciąż żyjesz, choć siedzisz obok niego. Koc z ospą nie byłby dla ciebie aż tak wspaniałomyślny – odparłem spokojnie i wepchnąłem do ust łyżkę czerwonej fasoli.

Babcia prychnęła pod nosem.

– Witkacy, czy wiesz, skąd ludzie mają światło? – zapytała lekko.

Pokręciłem głową, bo choćbym znał wszystkie legendy świata, odwrócenie uwagi od złośliwości Orła było mile widziane.

– Był czas, kiedy ludzie przedostali się z jednej jaskini do tej, która kiedyś miała być ich światem, ale między wodą i napierającym na nią niebem wciąż było im ciasno. Poprosili o pomoc Sępa, a on machał skrzydłami tak długo, aż wody cofnęły się na wschód i na zachód, odsłaniając łąd, który można było zaludnić. Wciąż jednak żyli w ciemności i nieustannie było im zimno. Próbowaliśmy utkać dla nich światło. Zwinęłam w duży kłębek moją białą nić, ale poświata była słabiutka. Ludzie stworzyli księżyc z białej tarczy zrobionej ze skóry jelenia albinosa i turkusowej farby. Umieściliśmy go na niebie, na wschodzie, by nie zakłócał światła, jakie dawał motek pajęczyny, ale to wciąż nie rozwiązywało problemu.

– Zapomniałaś dodać, że ten samolub miał światło i nie zamierzał się nim dzielić – warknął Orzeł.

Babcia spiorunowała go wzrokiem i mówiła dalej.

– Nie on. Nie udawaj, że nie rozróżniasz Sępa i Króla Sępów – odpowiedziała. – Do tego zresztą dojdziemy. Musisz wiedzieć, Witkacy, że Sęp wyglądał wtedy zupełnie inaczej. Był jednym z najpiękniejszych stworzeń, jakie istniały.

– Nie żeby wiele mi dziś brakowało – szepnął Sęp, a Babcia Pająk poklepała go po kolanie i powiedziała:

– Oczywiście, chłopcze, ale, Witkacy... on wtedy był olśniewająco biały, jego pióra miały w sobie blask tysiąca gwiazd. Przynajmniej tak sobie to wykombinował Kojot, który namówił dwoje ludzi, bliźnięta, by zasadzili się z pułapką na Sępa. Podłożyli truchło tapira, wiedząc, że tym go skuszą.

– Do dzisiaj nie mogę nawet patrzeć na pieczeń z tapira – szepnął mi Sęp.

Jego żarty i mina uświadomiły mi, jak niekomfortowo czuje się z tą opowieścią.

– Sęp nie wiedział, że truchło było napakowane trucizną, którą Kojot stworzył na tę okoliczność – powiedziała Babcia Pająk.

Rozległ się pomruk aprobaty. Najwyraźniej Kojot miał tu swój fanklub.

– Trucizna sparaliżowała Sępa. Nie znieczuliła go, nie odebrała mu przytomności, ale nie mógł się ruszyć ani bronić. A wtedy Kojot i bliźniacy zaczęli wyszarpywać mu piórka z głowy, szyi i nóg, te najdelikatniejsze, najbardziej miękkie, najbardziej lśniące. Rozrzućili je na niebie. Tak powstały gwiazdy. Z większych piór, które pierwotnie stanowiły czub na głowie Sępa, stworzyli słońce. Ciemność nie miała już władzy nad światem. A Sęp był potwornie okaleczony. Gdy go znalazłam, cała jego głowa, szyja, nogi były krwawą miazgą. Wydierając mu pióra, oskórowali go. I już zawsze w tym miejscu miał czerwone blizny, a pióra nigdy nie odrosły.

– Ale ludzie mieli światło – burknął Orzeł.

– Czy Kojotowi, skoro wpadł na pomysł, by wykorzystać pióra Sępa, przyszło do głowy, że mógłby oddać je po dobroci? – zapytałam zimno.

– Nikt mnie o nic nie pytał. Nie wiedziałem, że tak mogą być użyte. Dostałem je od Nieodgadnionego Ojca, który nie ma w zwyczaju dodawać instrukcji obsługi.

– Być może byłeś też odrobinę próżny, chłopcze, ale tak, Witkacy, masz rację,

przemoc nie powinna być pierwszym rozwiązaniem. Sęp słono zapłacił za to, co mu zrobiono.

– A Kojot wyszedł na bohatera – mruknąłem.

– Kojot był bohaterem. Sęp jest samolubnym gnojem i trzymał ogień tylko dla siebie! – wrzasnął Orzeł.

– Król Sęp! – odkrzyknął Sęp. – Naucz się odróżniać, tłuku! To nawet nie byłem ja!

– Ale z jego lędźwi! Pierworodny Pierworodnego! Krwi nie oszukasz. – Orzeł wydawał się wyjątkowo z siebie zadowolony.

– Myślałem, że odpuszczamy sobie całe to pieprzenie o grzechach ojca spadających na syna? – warknął Sęp.

– Oczywiście – przyznała Babcia Pająk – my nie nazywamy tego grzechem. To dziedzictwo.

– Spadku można odmówić. I chyba jasno pokazałem, co o nim myślę, kiedy go zabiłem?

– Dojdziemy i do tego, chłopcze – powiedziała i znów uspokajająco poklepała go po kolanie. – Ale najpierw opowiedzmy Witkacemu, jak to się stało, że ludzie mają ogień.

Zebrani wokół ogniska przytaknęli.

– Ludzie mieli już światło, ale gdy wieczorem słońce zachodziło, cierpieli z powodu chłodu. Trudno im było się wyżywić tylko roślinami, a gdy próbowali jeść surowe mięso, chorowali. Jaskółka przyniosła im kukurydzę, ale to wciąż było niewiele. Nieodgadniony Ojciec powierzył Królowi Sępowi ogień, ale ten nie chciał się nim dzielić z ludźmi czy innymi Pierwszymi. Mówiąc wprost – kawał był z niego sukinsyna.

– Sęp sukinsynem, zdziwienie roku – skomentował Orzeł.

Zastanawiałem się, czy zdążę mu uciec, jeśli go uderzę. Nie wierzyłem, że zdołałbym go uszkodzić, ale wciąż miałem na to wielką ochotę. Jeden cios w nos albo choć kopniak w dupę. Wszystkim nam wolno marzyć.

– Nieodgadniony Ojciec się rozgniewał, ale Król Sęp wytknął mu, że to był prezent i wręczając go, nie powiedział wprost nic o rozdawaniu, więc ten go zatrzymał. Jego strażnicy pilnowali ognia całą dobę. Nieodgadniony Ojciec nie mógł z tym nic zrobić, lecz przyszedł do nas i powiedział Sępowi, że od tego dnia jest jedynym Pierwszym Sępem, którego uznaje za swoje dziecko. Tym samym oznajmił nam, że Król Sęp nie cieszy się już jego względami. Uznaliśmy wobec tego, że musimy mu ukraść ogień. To znaczy kilkoro z nas uznało – powiedziała Babcia Pająk z przekąsem. – Nie wszyscy mieli dość odwagi, by ruszyć na Króla Sępa i jego strażników. Nie mieli dość jaj, jak to mówicie na Ziemi. – Powiodła spojrzeniem po Pierwszych i Drugich. – Spośród tu zebranych zdecydowali się na to Sęp, Opos, Biały Kruk i ja. Pierwszy poszedł Opos. Wówczas wyglądał inaczej niż oposy, które dziś znasz: miał wielką puchatą kitę, której zazdrościły mu lisy i wiewiórki. Zdołał się zakraść do ogniska strażników i wykraść malutką iskierkę. Ukrył ją w swoim ogonie. Ledwie jednak zdołał opuścić obóz Króla Sępa, iskierka buchnęła ogniem i prawie spłonął żywcem. Zdołaliśmy ugasić płomień, ale spaliły mu ogon aż do kości. I taki już pozostał, łysy i niezbyt urodziwy. To cena, jaką Opos zapłacił za odwagę.

Skinęła głową do mężczyzny o pociągłej twarzy, szpiczastym nosie i rozbieganym spojrzeniu. Był drobny i pomarszczony, a długie włosy miał splecione w dwa cieniutkie warkoczyki w stylu Williiego Nelsona. Dopiero po chwili zauważył, że spojrzenia wszystkich są skierowane na niego, i wyraźnie się zawstydził.

– Ach, no tak, nie wyszło mi to najlepiej – bąknął speszony.

– Ale nikt nie może ci odmówić odwagi, bracie Oposie – powiedziała Babcia Pająk.

Znów się spłonił i przysłonił twarz dłońmi, pochylając się tak, jakby chciał zająć jak najmniej miejsca.

– Potem po ogień wyruszył Sęp. Prawie mu się udało. Leciał ile sił z iskrą ukrytą między piórami, choć zaczęły się tlić. To właśnie dym zwabił strażników, którzy dopadli go i odebrali iskrę. Poparzenia na szyi zostały, a pióra Sępa przyciemniały. Już tylko kilka nosiło wspomnienie jasności, z której można było stworzyć słońce i gwiazdy. Dziękuję ci, bracie Sępie, za to, że próbowałeś dać ludziom ogień, gdy inni nie mieli dość odwagi – powiedziała, lecz nie spojrzała na Sępa, tylko znów poklepała go po kolanie, a wzrokiem powiodła po zgromadzonych przy ognisku. – Kolejnym, który podjął się próby, był Biały Kruk. Wtedy kruki były białe i lśniące. Biały Kruk krążył nad ogniskiem otoczonym przez strażników i czekał na dogodny moment, by zanurkować po iskrę. Trwało to tak długo, że dym osmalił mu pióra, które od tego czasu były czarne. Zniszczył mu też struny głosowe i Biały Kruk już nigdy nie był w stanie śpiewać. A gdy dym wypełnił mu płuca, zaczął kasłać, dusić się i strażnicy go zauważyli. Musiał uciekać, bo dopadliby go i zabili.

– Jednak w końcu zginął z rąk Sępa, prawda? – rzucił jadowicie Orzeł.

– Naprawdę? A ja myślałem, że do jego śmierci doprowadził on sam, uprawiając hazard i nie godząc się z przegraną. A może się mylę? – odparłem, wbijając wzrok w Orła.

– Gdyby nie stworzył tego potwora...

– Potwory były dwa, czyż nie? Przypomnij mi, proszę, kto stworzył drugiego? – zapytałem niewinnym tonem, którym zwykle prowokowałem podejrzanych, by pogrążyli się w czasie przesłuchania.

– Kojot. Taka jego rola, by czasami wywoływać zamieszanie. Ale Nieodgadniony Ojciec powołał go, by walczył z potworami i uczył ludzi, jak żyć.

– Świetnie mu to wychodzi – skomentowałem spokojnie.

– Co masz na myśli? – zapytała Babcia Pająk, leciutko się uśmiechając.

– Jak na faceta, który miał kontrolować populację potworów, dość chętnie je stwarza, nie wydaje się wam? I czy zastanawialiście się kiedyś, co by się stało z wami wszystkimi, gdyby Gniew nie napotkał w Smutku godnego przeciwnika? Co by było, gdyby to Gniew wygrał pojedynek, albo w ogóle nie walczył z nikim poza wami?

Nikt nie garnał się do odpowiedzi.

– Kojot nie stworzyłby potwora, gdyby nie Sęp... – zaczął niepewnie jeden z mężczyzn, którego Babcia Pająk przedstawiła jako Czerwonego Byka.

– Oczywiście, bo właśnie z tego słynie, że nieprovokowany nie rozrabia, i siedziałby na rączkach, gdyby nie złe podszepty Sępa – powiedziałem sarkastycznie.

– Nic o nim nie wiesz! – powiedział Orzeł ze złością.

– To prawda. Ale wiem sporo o Sępie. I być może dzięki temu, że przez tysiąclecia nie obrastałem w uprzedzenia wobec niego, wiem, jak interpretować to, że zdołał

stworzyć właśnie Smutek. Nie Gniew, Zazdrość czy Nienawiść, ale Smutek. Jeśli tego nie widzicie, jesteście ślepi.

– Kojot jest niezbędny – powiedział znów Czerwony Byk. – Jest awersem do naszego rewersu, tylko dzięki niemu utrzymujemy równowagę. Jego zamęt popycha świat do przodu.

– Równie często jak popycha go w chaos, jak czytałem. Ale najwyraźniej potrzebuje Sępa, by się dobrze bawić i rozkręcać rozróby. Może więc czas uznać Sępa za kant tej samej monety, czasem tylko łącznik, czasem dodatkową siłę sprawczą, gdy moneta zaczyna się kręcić?

– Zabił człowieka – zaprotestowała Biała Muszla, nieśmiała kobieta, która siedziała obok Oposa. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, niewysoka, z pełnymi biodrami i biustem wypełniającymi prostą błękitną sukienkę.

– Albo uznacie to za wypadek, albo twórców obu potworów powinniście ścigać z takim samym zaangażowaniem. Czy Kojota winicie równie mocno? Jego też chcecie zabić? – zapytałem twardo.

Odpowiedzieli mi milczeniem. Wszystko, co Sęp powiedział mi w szalasię, okazało się prawdą. Rzadko mówiłem tyle publicznie, ale teraz byłem wściekły i czułem, że jeśli nie spróbuję go obronić, nikt tego nie zrobi. Mógł sobie być dupkiem, ale pomógł mi uratować moje dziecko. Był naszym dupkiem i nie pozwoliłbym rzucać w niego kamieniami.

– Zastanówcie się, co by się stało z wami i ze światem, gdyby nie było Sępa. Czy któryś z was umie stworzyć istotę, która stawiałaby czoła potworom Kojota? Pomyślcie też, kto odpowiada za to, że Sęp miał w sobie dość smutku, by starczyło na potwora. – Byłem zdenerwowany i ręce mi się trzęsły, ale musiałem to skończyć. – Sporą część mojego życia poświęciłem łapaniu przestępców. Morderców i tych, dla których przemoc jest naturalną ścieżką. Sęp do nich nie należy. Jest lekkomyślny, bywa nieznośny, ale nie jest psychopatą ani sadystą. Ma wyrzuty sumienia, sam sobie wyznacza pokutę. Jeśli tego nie widzicie, nie rozumiecie, cieszę się, że jest ze mną na ziemi, i nie chcę, by tu wracał.

– Tylko głupiec zaufałby Sępowi – powiedział Orzeł.

Spojrzałem na niego z całą niechęcią, jaką czułem, odkąd pierwszy raz tego wieczoru otworzył gębę.

– Nie mam daru ufności. Na całym świecie były może dwie osoby, którym powierzyłbym pilnowanie moich pleców. Teraz są trzy. Nie rozdaję tych legitymacji lekko. A on na swoją zapracował.

Cała górnolotność tej rozmowy mnie uwierała, ale nie mogłem tego tak zostawić.

– On nikomu nigdy nic nie dał. Samolub i egoista – wytknęła Biała Muszla, pokazując palcem milczącego Sępa.

– Wiesz, jaki jest problem z twoim „nigdy”? – zapytałem. Gdy pokręciła głową, powiedziałem: – Wystarczy jedna sytuacja, kiedy coś komuś dał, by dowieść, że mówisz nieprawdę. A ja byłem świadkiem takich sytuacji. Dał mojej córce książkę i dar nauki. Zrobił dla mnie zakupy spożywcze, co jest chyba równoważnikiem waszego przyniesienia mięsa z polowania. A co do tego, że jest egoistą... Cóż, bywa. Ale pomógł mi, kiedy naprawdę go potrzebowałem. Ryzykował życie, ratując moją córkę, a potem sam jeden

trzymał tysiące duchów z dala od miasta, zanim zdołałem wrócić z pomocą. Mogę tylko zapytać, gdzie byliście, kiedy Toruniowi groziła zagłada? Bo wiem, gdzie on był, i wiem, co zrobił, by do niej nie doszło. Kojot się nie pojawił, choć krążył w okolicy. Żaden z was też nie nadstawiał karku, a wiedzieliście, że coś się dzieje – musieliście wiedzieć, gdy poszliście do bramy po moją córkę.

Babcia Pająk przytaknęła lekko.

– Możecie dalej pierdolić o tym, jakim jest gnojem. Ale ten gnój ocalił dwustutysięczne miasto i małą dziewczynkę. Czy któryś z was zrobił niedawno coś, czym może to przebić? Nabicie fajki czy polowanie na zające się nie liczy.

Byłem nakręcony. Wstałem i odszedłem od ogniska. Mogłem tylko zgadywać, w którą strunę uderzyła moja przemowa. Spotkałem się w swoim życiu ze sporą ilością uprzedzeń. Byłem ćpunem, na miłość bogów, część tych uprzedzeń była w jakimś stopniu zasadna. A jednak, gdy porównywałem własne położenie z sytuacją Sępa, czułem się dzieckiem fortuny. Miałem przyjaciół – niewielu, ale miałem. Matkę, która mnie wspierała, jak długo żyła, i nigdy nie zwątpiłem w jej miłość ani w to, że akceptuje mnie z całym bagażem, który dźwigam. Miałem pracę i odnosiłem w niej sukcesy. I coś, co przez długi czas uważałem za skazę, by wreszcie zrozumieć, że to talent, który otwiera mi liczne drzwi. Cholera, przede wszystkim miałem córkę, a ona nie uważała mnie za totalnego lamusa i zdawała się nawet doceniać moje towarzystwo.



Szedłem prosto do chaty Babci Pająk, jedyne bezpiecznego miejsca w Zaświatach. I jedyne, w którym Sęp mógł odetchnąć. Włókł się kilka kroków za mną, w milczeniu. Za nim dreptała Babcia Pająk, trzymając pod ramię Jaskółkę. Wyglądało na to, że nie tylko mnie zrobiło się duszno przy ognisku.

Zatrzymałem się przed progiem. Babcia Pająk weszła pierwsza i wpuściła nas, przytrzymując drzwi.

– Mam coś dobrego na deser – powiedziała z uśmiechem.

Jaskółka usiadła na stołeczku. Sęp swoim zwyczajem przycupnął pod ścianą (niemal natychmiast w jego dłoniach pojawiły się nóż i rzeźbiony kawałek drewna). Ja zająłem miejsce na posłaniu, zostawiając drugi stołeczek Babci Pająk, która kręciła się przy słomianych koszach z pokrywami. Po chwili wyciągnęła słoik miodu i duże, płaskie placki kukurydziane. Rozrywaliśmy je na kawałki i maczaliśmy w miodzie.

– W końcu nie dowiedziałeś się, kto zdobył dla ludzi ogień – powiedziała Babcia Pająk.

Miałem swoje podejrzenia, ale chciałem usłyszeć to od niej.

– Zostałam już tylko ja. Wcześniej nikt mnie nie słuchał, bo byłam za mała, a wszyscy mają tendencje do lekceważenia małych, rozmiar utożsamiając ze słabością, a czasami i głupotą. Idioci. Więc postanowiłam im udowodnić, że się mylą. Zrobiłam malutki garnuszek z gliny, przemknęłam niepostrzeżenie przez obozowisko Króla Sępa, ominęłam strażników i wdrapałam się na drzewo nad ogniskiem, po czym spuściłam po mojej nici aż na sam dół. Włożyłam żarzący się węgielek do glinianego naczynia, które

od gorąca wypaliło się i stwardniało, wdrapałam się po nici i umknęłam, niezauważona przez nikogo. Zniosłam węgielek ludziom i pokazałam, jak dbać o ogień, jak go rozniecać i podtrzymać. A przy okazji – jak dzięki niemu wytwarzać gliniane naczynia i gotować w nich strawę. Wiesz, jaki z tego morał?

– Jeszcze nie, ale na pewno mi powiesz – odparłem.

Roześmiała się.

– Jestem naprawdę dobra w udowadnianiu im, że się mylą. Ale dziękuję ci, bo dziś bardzo mi pomogłeś. Pokazałeś wszystkim, że byli w błędzie nie tylko, jeśli chodzi o mnie, ale i o Sępa.

– Nic nie dotrze do ich zakutych łbów – mruknął Sęp.

– Nie jest powiedziane – wtrąciła się Jaskółka. – Oni wcześniej nigdy nie patrzyli na ciebie w ten sposób. Nie wiem, czy nagle zaczną się z tobą liczyć, ale nie mają już tego komfortu, który pozwalał im cię ignorować lub dręczyć. Trudniej będzie im się czuć dobrze z tym, że są idiotami. – Zaśmiała się zadowolona. – Poza tym to była naprawdę przednia rozrywka! Jeszcze chwila, a Orłowi trzasnęłaby ta żyłka między brwiami.



Kilka godzin później Jaskółka wróciła do swojego tipi. Babcia Pająk ułożyła się do snu i poradziła mi, bym postarał się szybko zasnąć, ponieważ rano czeka mnie kolejna próba. Tym razem wiedziałem od Sępa, że nie będzie ani łatwa, ani przyjemna.

Nie mogłem zmrużyć oka. Próbowałem upchnąć cały niepokój w małym pudełeczku gdzieś w głowie, na lewo od pudełka nicości, w którym chętnie spędziłbym godziny do świtu – bez snów, bez strachów i zastanawiania się, czy z Kurczaczkiem wszystko w porządku. Nic z tego. Im ciszej było, tym bardziej dokazywały moje rozbiegane myśli. A jedynymi dźwiękami, które rozlegały się w chacie, było ciche pochrapywanie Babci Pająk i skrobanie noża o drewno.

Unosiłem się gdzieś na krawędzi snu, kiedy usłyszałem szept:

– Dzięki za to dziś.

– Za co?

– Za tę obronę. Była epicka. Coś jak obrona Sokratesa.

– Nie nauczyłeś mnie dość, by pozować na Sokratesa.

– Masz rację. To może jak mowa końcowa obrońcy O.J. Simpsona.

– Niewykluczone – przyznałem, zastanawiając się, czy to przypadek, że wybrał jedną z najbardziej kontrowersyjnych spraw: oskarżonego, w którego winę wierzyli właściwie wszyscy, niewykluczone, że również on sam, a którego uniewinnienie do dziś traktowane jest jako dowód na to, że system zawodzi i winni wracają na ulice.

– Śpij, jutro sobie nie pośpisz – dorzucił i resztki mojego spokoju rozbiły się w drobny mak.

Rozdział 20



Przyszli jeszcze przed świtem. Robili tyle hałasu, że wyrwali mnie ze snu, zanim dotarli na próg. Dobięły mnie dźwięki grzechotek, dzwonek, bębnów, gwizdków, kościanych klekoteczek, uderzających o siebie żelaznych rurek – istna kakofonia. To nie była muzyka, a wojenny okrzyk. Miał mnie przestraszyć, przegnać ciszę, sprawić, bym rozpoczął dzień w atmosferze niepokoju. Udało im się.

Serce waliło mi w piersi, jeszcze zanim ich zobaczyłem. Usiadłem na posłaniu i rozejrzałem się za Babcią Pająk i Sępem, ale żadnego z nich nie było w chacie. Poczuliem się jak Kevin sam w domu – gdy za oknem czaili się włamywacze. Ale ci tutaj nie przyszli ukraść stereo.

Nosili duże, drewniane, jaskrawo pomalowane maski. Czerwień, żółć i czerń wydawały się jeszcze bardziej krzykliwe przy idealnej bieli. Mieli na sobie bogato haftowane szaty, ozdobione frędzlami i piórami. Grzechotały kolcami jeżozwierz, muszelkami, koralikami i kośćmi. W zwykłych mokasynach stąpali bezgłośnie, więc na kostkach zawiązali sobie bransoletki z metalowymi talerzykami, które trącały jeden o drugi i dzwoniły przy każdym kroku.

Dopiero po chwili zauważyłem Sępa – stał za nimi, milczący i spokojny, z fletnią Pana zawieszoną na szyi. Zmienił ramoneskę i dżinsy na bogaty kostium – rękawy jego zamszowej koszuli obszyte były biało-czarnymi piórami, na tyle gęsto i równo, że wyglądały jak skrzydła. Spodnie zdobiły pionowe rzędy frędzli, czarnych i czerwonych.

– Już czas – powiedziała postać w masce pomalowanej na czarno, z rzędem żółtych kropek biegnących przez środek. Głos był zniekształcony i nie miałem pewności, czy to Babcia Pająk, ale tak podejrzewałem.

Wyszedłem z domu, założywszy białą koszulę, którą Babcia Pająk zostawiła mi przy posłaniu.

Bez słowa protestu pozwoliłem się zaprowadzić do mojego grobu.



W jaskini było ciemno, zimno i wilgotno. Już na nas czekały dwa sarkofagi wydrążone w pniach sekwoi, każdy z masywnym kamiennym wiekiem.

Zostawili nam jedną pochodnię i dali kwadrans na przygotowanie się do pogrzebania żywcem, dosłownie. Przyciskałem dłonie brzucha. Jak ja się w to wpakowałem? Czemu mnie to spotyka? Jakim cudem nie zdołałem się z tej całej inicjacji

wyplatać? Sęp milczał. Siedząc po turecku na zimnym podłożu, rozrabiał w miseczce pastę hennową, dolewając do niej jakiegoś olejku.

– Powiedz mi jeszcze raz, jakie mamy szanse wyjść z tego żywo? – zapytałem, siląc się na spokój.

– Mniej więcej pół na pół – powiedział, wciąż mieszając pastę.

– Oczywiście potencjalna śmierć czy szaleństwo spadną na mnie, a ty pozbędziesz się kłopotu.

– Nie, Witkacy. Szanse mamy podobne. Może nawet ty masz przewagę, bo na ciebie nie wydano tu wyroku śmierci, przed którym umykniesz od mieściecy.

Przez chwilę patrzyłem na niego, zastanawiając się, czy kłamie. Nie sądziłem, by chciał mnie pocieszać, nie było to w jego stylu.

– Jak się właściwie mamy do tego przygotować? – zapytałem.

– Możemy zadbać o ochronę przed złem, które chciałoby nas zniszczyć czy przejąć podczas transu. Niewiele więcej.

Drewnianą szpatułką rozproszoną część pasty na prawej dłoni i odcisnął jej ślad na skale tuż nad swoją głową. I jeszcze raz, zaraz obok, i jeszcze, aż ślad był ledwie widoczny. Podał mi miseczkę i kazał zrobić to samo. Umazałem dłoń i odcisnąłem trzy ślady.

Sęp wstał i ustawił się naprzeciwko mnie.

– Naznaczę cię, a ty naznacz mnie, byśmy odnaleźli się podczas transu.

Odcisnął na mojej białej koszuli niewyraźny hennowy ślad dłoni.

– Bądź silny nawet w swojej słabości, odważny w swoim strachu, bądź skromny, kiedy zwycięszasz – powiedział, a ja poczułem, jak okruchy błogosławieństwa przywierają mi do skóry i duszy.

Z wahaniem przyłożyłem dłoń do jego szaty.

– Mam cię jakoś błogosławić? – zapytałem, bo wcześniej o tym nie wspominał.

– Mnie już nic nie pomoże. Będzie, co ma być.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Życzę ci, by spotkała cię sprawiedliwość – powiedziałem.

Zaśmiał się smutno.

– Zabrzmiało jak groźba.

– Zabrzmiało jak obietnica czegoś, co cię omijało – odparłem, a on zamilkł.

Odsunął kamienne wieka sarkofagów. Chropowate płyty miały koło czterech centymetrów grubości i przy takiej powierzchni musiały ważyć ćwierć tony – dość, bym wiedział, że nie zdołam swojej dźwignąć, kiedy będę zamknięty w środku.

– To kompletna głupota – powiedziałem.

– Nie zaprzeczam. Możesz się wycofać, wiesz? Mogę wyprowadzić cię przez jaskinię w okolicy bramy i uciekniesz na ziemię, zanim się zorientują.

– A ty?

– Ja nie wyjdę z Zaświatów niezauważony.

– Więc jest, jak jest – powiedziałem. Nawet nie zamierzałem rozważać pomysłu, bym miał go tu zostawić. Kurczaczek by mi nie wybaczyła. – Jeśli coś się spierdoli, jeśli ty z tego wyjdiesz, a ja nie, idź do niej i powiedz, że to była moja świadoma decyzja, że

znałem rozwiązanie awaryjne, ale z niego nie skorzystałem.

– Po co miałbym jej to mówić? – zdziwił się.

– Żeby się na ciebie nie wściekła, bo zginałem na twojej służbie. Będzie cię potrzebowała. Obiecuj mi, że będziesz ją uczył i chronił, jeśli mnie się nie uda.

– Szykujesz się do dezercji?

– Wiesz, że nie jestem najbardziej optymistycznym kwiatuszkiem w ogrodzie. Obiecuj. Chcę mieć spokojną głowę, że jeśli nie dam rady, ona nie pójdzie moją drogą.

Przez chwilę tylko patrzył na mnie, unosząc brew.

– Powierzasz mi życie i edukację twojej córki?

– Nie znam nikogo, kto radziłby sobie z tym lepiej. A Konstancja przypilnuje, byś zachowywał się przyzwoicie – dodałem.

Uśmiechnął się i ucisnął moją wyciągniętą w oczekiwaniu dłoń.

– Wyjdziemy z tego, szamanie. Ale dziękuję za zaufanie.

Przekroczył krawędź sarkofagu i położył się na dnie. Zniknął w ciemności. Płomień pochodni nie był w stanie rozproszyć tego, co wypełniało grobowce – starej magii i koszmarów.

Wszedłem do swojej trumny. Boczna krawędź sięgała mi połowy uda. Położyłem się. I od razu poczułem, że nie mogę oddychać. Usiadłem, póki jeszcze byłem w stanie, łapiąc gwałtownie powietrze.

Weszli do jaskini – jakby wyczuli, że wykorzystaliśmy już swój czas. Hałas, który robili instrumentami i szatami, odbijał się echem od sklepienia jaskini.

Pierwsza – podejrzewałem, że Babcia Pająk – podała mi czarę z tykwy, mówiąc:

– Wypij to, chłopcze. To sok snów.

Wzdychając ciężko, wypłem. Napój był gorzki, cierpki i dziwnie gęsty, już po jednym łyku poczułem pieczenie w żołądku. Nim wypłem do dna, nad moim umysłem zaczęła zamykać się ciemność. Osunąłem się na dno sarkofagu, a inny Pierwszy zasunął wieko. Nie było idealnie szczelne, przez szpary między kamieniem a pniem wpadało światło. A to znaczyło, że i powietrze, pocieszałem się. Usłyszałem szuranie drugiego wieka. A potem światło w szparze zniknęło.

Zostawili nas jak w grobowcu.

Próbowałem oddychać powoli, by nie zacząć hiperwentylować, choć ciemność wokół naciskała mnie jak coś żywego i głodnego.

Zamknąłem oczy.

Pod powiekami rozbłyskiwały mi gwiazdy.

Spadałem.



Byłem zupełnie sam. Ostatni człowiek na ziemi. W jaskini zbyt głębokiej, bym kiedykolwiek zdołał z niej wyjść.

Nikt nie usłyszy twojego krzyku. Nikt nie ma dla ciebie dobrego słowa. Nie ma dobrych słów dla takich jak ja. Trząsałem się z zimna – bardziej emocjonalnego niż fizycznego.

Ból zgiął mnie w pół. Klatka piersiowa prawie eksplodowała.

– Nikt nie usłyszy tu twojego krzyku, Witkacy – usłyszałem szept w mojej głowie.

Mój własny głos. Prawie wyłem z żalu, że nie należał do kogokolwiek innego. Cudzy byłby znakiem, że jest ktoś poza mną. Że nie jestem tylko ja, sam na sam z głosami szepczącymi groźby.

Nagle ciemność się rozstała. Gdzie ja byłem? Pomieszczenie wydawało się znajome...

Bogowie! Rozpoznałem te zielonkawe lamperie i okratowane okna. Skoczyłem do drzwi – zamknięte. Czemu mam na sobie piżamę? Nigdy nie spałem w piżamie. Stara flanela w paski. Było zbyt jasno, jarzeniowe światło wypalało dziury w siatkówkach.

– Jest tu ktoś? To pomyłka! Nie powinno mnie tu być! Nie jestem szalony! – krzyczałem.

– Cicho tam – usłyszałem zza drzwi skrzekliwy kobiecy głos.

– Nie jestem szalony! Proszę, wypuść mnie! Muszę stąd wyjść – wołałem.

– Wszyscy tak mówią. Nigdzie nie ma tylu przekonanych, że nie są wariatami, co w wariatkowie – powiedział głos zza drzwi.

– Nie rozumiesz, jestem szamanem, naprawdę wszystko ze mną w porządku.

– Szamanem, dobre. Przebijasz w dzisiejszym rankingu szajby tego spod siódemki, który twierdzi, że jest zabójcą Reptilian.

Nie, myliła się. Byłem szamanem, prawda? Widziałem duchy, prawda? Magia istnieje... Reptilianie nie... prawda? Nie wiedziałem. Czemu nigdy nie zapytałem, czy istnieją Reptilianie? Czy to możliwe, że koleś spod siódemki naprawdę jest zabójcą Reptilian? A jeśli nie? Jeśli obaj jesteśmy zagubieni we własnych urojeniach?

Skąd mam wiedzieć, co jest prawdą, a co tylko złudzeniem?

Szarpałem za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Przez okno, chronione grubą kratą, także nie mogłem się wydostać – zresztą znajdowałem się na drugim piętrze, jeśli nie wyżej. Czy szamani potrafią latać?

Czy są tu jakieś duchy? One będą znały prawdę...

Rozglądałem się, ale byłem tu sam.

– Nie ma duchów. Jesteś równie szalony co zabójca Reptilian – usłyszałem swój własny głos.

Szczypałem się w rękę, czekając, aż się obudzę. To musiał być sen. Nie jestem w psychiatryku! Nie zamknęli mnie. To nie są urojenia...

Nagle sobie przypomniałem – Kurczaczek! Nie byłem sam. Miałem córkę, która potrzebuje, bym ją chronił. Muszę przetrwać, albo Sęp zdeprawuje ją japońskim porno z mackami. Nie wiedziałem, skąd to przekonanie, ale nagle stało się dla mnie jasne, że jeśli ktoś na świecie jest fanem porno z mackami, to właśnie on. Zacząłem krzyczeć z przerażenia. Nie mogłem mu powierzyć edukacji mojej córki. Konstancja nie zdoła jej ochronić przed jego złym wpływem. Kurczaczek potrzebuje ojca, nawet jeśli nigdy go nie miała...



Głowami prawie dotykaliśmy nieba. Wieżowiec był naprawdę ogromny. Stałem na dachu górującego nad okolicą drapacza chmur, czerwone linie wyznaczały lądowisko dla śmigłowców. Miałem coś do zrobienia... nie pamiętałem co, ale to było takie ważne... Uderzyłem dłonią w skroń, próbując wytrząsnąć wspomnienie, jak kuleczkę we fliperze.

A tak, ona tu jest! Musiałem ją powstrzymać! Odwróciłem się, lustrując rozległą przestrzeń wokół siebie. Stała tam, na samiuteńkiej krawędzi. W letniej sukience, którą szarpał wcale nie letni wiatr. Co ona tu robi? Czemu stoi nad przepaścią?

I już pamiętałem.

– Nie! Kurczaczku! Nie! – wrzasnąłem i skoczyłem w jej stronę, ale dzieliła nas zbyt duża odległość.

Odwróciła się w moją stronę.

– Nie mów do mnie Kurczaczku! Kurczaczki nie latają – powiedziała, rozrzuciła szeroko ramiona i zrobiła krok w tył, w pustkę.

Byłem zbyt wolny, zbyt ciężki. Gdy dopadłem krawędzi, wciąż spadała, szybowiała jak liść, powoli, ale nieubłaganie. Rozbije się. I choć chciałem się odwrócić, zamknąłem oczy, udać, że to się nie może wydarzyć, patrzyłem, aż rozkwitła szkarłatem na chodniku. Ból uderzył mnie w pierś, serce ruszyło we wściekły galop. Upadłem na plecy, zaciskając kurczowo dłonie na koszuli, łapiąc powietrze głośno i z trudem. Bogowie, chyba miałem zawał...

– Witkacy! Proszę, pomóż mi! – usłyszałem głos i rozpoznałem go natychmiast. Przez tyle lat nawiedzał mnie w snach.

Usiadłem, wciąż dociskając pięść do mostka.

Konstancja balansowała na krawędzi, dokładnie po drugiej stronie dachu. Stała na palcach, chwiejąc się nad przepaścią.

– Proszę! – krzyknęła raz jeszcze. Wiatr szarpał jej letnią czerwoną sukienkę i ciemne włosy.

Nie zdążę, nie mogłem zdążyć, mimo to wstałem i chwiejnie, krok za krokiem ruszyłem w jej stronę. Każdy ruch wybuchał fajerwerkami bólu w klatce piersiowej.

– Konstancjo, odejź od krawędzi! – krzyknąłem, dysząc z wysiłku.

– Nie mogę, proszę, pomóż mi! Jest tak daleko do ziemi! – odkrzyknęła.



Nie miałem szans, wiedziałem o tym, ale musiałem spróbować. Byłem w połowie drogi, gdy wiatr nagle dmuchnął mi w plecy i porwał ją jak świstek papieru. Przez chwilę unosiła się ponad krawędzią dachu. Trwało to na tyle długo, bym zdążył dostrzec zawód w jej oczach. A potem spadła. Szybko i cicho. Jakby nie został w niej nawet ten ostatni krzyk.

Ścięło mnie z nóg. Zwinąłem się w kłębek, bezradny i wściekły. Gdybym miał dość siły, dowlóknęłbym się do krawędzi. Spadając i tak zabrały kawałki mnie, bez których nie byłbym w stanie trwać.



Wyszli z lasu. Ściana ciemnej zieleni zdawała się przesuwać, jakby las szedł z nimi, był ich częścią, emanacją, albo jakby oni byli lasem. Kim są – potworami czy demonami? Tworem ludzi czy bogów? Nie wiedziałem i bałem się poznać odpowiedź. Zbliżali się, a ja nie mogłem wykonać żadnego ruchu, związany ciasno jak wielkanocna szynka. Im bardziej się szarpałem, tym oploty sznura mocniej wpijały się w moje ciało.

Stanęli nade mną, szczelnie mnie otaczając. Nie było ucieczki przed ich potwornością. Pół ludzie, pół zwierzęta, skóra przechodziła w futro, futro w pierze, kolce wyrastały między łuskami. Nie umiałem nazwać żadnego z tych stworów. Język ludzki nie zawierał takich słów, nauka ani magia, którą znałem, nie dopuszczały możliwości istnienia czegoś, co jest człowiekiem, żurawiem, jaszczurką i wiewiórką, ma oczy ważki i potężne pazury dużego drapieżnika. Nie znały ich mitologie światów i dotarło do mnie, że ktoś je takimi stworzył, że nie zrodziły się same na skutek jakiegoś kaprysu. Każdy był inny, ale zaczynałem dostrzegać wzór, wedle którego połączone były ze sobą skrzydła, kły, pazury, łuski...

Nachylił się niżej, śliniąc się i szczerząc zębiska. Zacząłem krzyczeć, czując, że po mnie sięgają – ich jaźnie próbowały dotknąć mojej, zgnieść ją jak robaka pod kciukiem. Jeden, z łapami goryla, skórą twardą jak u nosorożca i długim, bocianim dziobem osadzonym w jaszczurzej głowie, złapał za koniec liny i zaczął ciągnąć, szorując mną po ziemi, jakbym był którąś z tych drewnianych zabawek dla maluchów. Pozostali poszli za nami.

Z każdym metrem ziemia stawała się bardziej wysuszona, spękana, martwa. Byliśmy na pustyni? Czy wróciłem na pustynię?

Nagle podłoże uciekło spode mnie i spadłem na dno wąskiego dołu, podejrzenie przypominającego grób. Pierwsza gruda ziemi pacnęła mnie w pierś.

– Sęęęęęęp!!! Do kurwy jasnej, gdzie jesteś?! – wrzeszczałem, szarpiąc się z węzłami, przysypywany powoli, ale systematycznie twardymi grudami ziemi.

A gdy spodziewałem się kolejnego uderzenia, nie nastąpiło. Stwory na krawędzi dołu zamarły. Wyprostowane, nasłuchiwały dźwięków, które napływały z podmuchami gorącego powietrza z głębi pustyni.

Rozpoznałem melodię i zacząłem się śmiać. Uwierzcie mi, gdybyście usłyszeli *Bohemian Rhapsody* na fletnię Pana, też zaczęlibyście się śmiać. Stwory wciąż wydawały

się skoncentrowane na zbliżających się dźwiękach. Czy były zaniepokojone, czy tylko ciekawe?

– Sęp! Zabierz mnie stąd! – wrzasnąłem, bojąc się, że stworzenia zasłonią dół i już tu zostanę.

Jak dziecko czekające na Świętego Mikołaja wypatrywałem czarno-czerwonej gęby nad krawędzią dołu, ale się nie pojawiła, a muzyka ucichła. Znów zacząłem panikować, szarpiąc się w linach, bo z góry spadły grudki ziemi i kamyki. Nie byłem pewien – przypadkowe czy wrócili do zakopywania mnie żywcem.

Wibracja była na początku ledwie wyczuwalna, ale każde kolejne tąpnięcie, zaskakująco rytmiczne i harmonijne, wnikało w glebę coraz głębiej, wypełniając dół drgającym echem kroków. To taniec, dotarło do mnie, on tańczy! Nie grał już, lecz zamiast tego zaczął melodyjnie zawodzić.

Ziemia słuchała jego pieśni – tak jak zawsze słuchała pieśni Katii. Całym ciałem wyczuwałem wypływające z głębi rytmiczne wstrząsy. Katia zwykle zakopywała w ten sposób zombiaki i pluje, ale, ku mojej bezbrzeżnej uldze, mój grób nie zamykał się, przeciwnie – to ja dostawałem nakaz eksmisji, kiedy twarda gleba pod moimi plecami z drżeniem zaczęła się wybrzuszać, wypychając mnie w górę.

Zobaczyłem Sępa. Tańczył zapamiętałe, zamaszyste ruchy jego ramion w pierzastej bluzie przypominały machanie skrzydłami. Stopy, obute w mokasyny, uderzały w spękaną, pustynną powierzchnię, a echo każdego kroku rozchodziło się szeroko. Wysokie, gardłowe, harmonijne dźwięki przywodziły na myśl plemienne pieśni, tyle że bez słów. Sęp okrążał szeroko mój grób, a zaniepokojone potwory cofały się przed jego muzyką, tańcem, echem odpowiadającej na wezwanie ziemi.

Sęp załopotał ramionami i naszyte pióra zafurkotały nienaturalnie głośno. Zataczał coraz mniejsze kręgi, a stwory wydawały się jeszcze bardziej przerażone. Tłoczyły się, cofały, wpadały jeden na drugiego. Nagle zrozumiałem – nie mogły odejść. A gdy Sęp zatrzymał się przed nimi i zadał we fletnię, uderzając w nie dysharmonijną płataninę dźwięków, rozległ się ptasi skrzek i ryk drapieżców. Emocje stały się czytelne w całym ich ekstremum.

Mój duch opiekuńczy wyjął z ukrytej w wysokich mokasynach pochwy nóż i wbił go w ziemię aż po rękojeść. I ziemia otworzyła się posłusznie, ledwie metr od moich związanych stóp, i wyglądało to tak, jakby powstał nowy uskoki tektoniczny. Napiąłem mięśnie, próbując przeturlać się jak najdalej.

Spadali z wrzaskiem. Po jakimś czasie Sęp wyjął nóż i ziemia zamknęła się na powrót. Wkrótce nie było już śladu ani po szczelinie, ani po potworach. Sęp podszedł do mnie i przeciął więzy. Usiadłem i zacząłem rozcierać pocierane i zeszywniałe nadgarstki.

– Gdzie byłeś? – zapytałem.

– Miałem cię zapytać o to samo. Powinieneś pojawić się tu zaraz za mną, czekałem na ciebie godzinami. Więc gdzie zawędrowałeś?

– Najwyraźniej musiałem najpierw odwiedzić kilka najgorszych strachów.

– Mówiłem, że masz się skupić na rytuale, ale nawet tu ci się włącza dryfter.

Kiwnąłem tylko głową, nie chcąc mu opowiadać o tym, co widziałem.

– Sok snów jest perfidny. Wyciąga z twoich wspomnień słabe punkty. Musisz się nauczyć na nim jeździć, jak na bestii – okropnej, ale wciąż posłusznej cugłom.

– To były tylko halucynacje? – upewniłem się.

– A co innego?

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc nawet powiedzieć na głos, że miałyby być przepowiednią.

– Nie, Witkacy. To nie prorocstwo. To twoje najgorsze strachy. Nie ma w tym żadnej mocy sprawczej.

Odetchnąłem.

– Co to w ogóle było? – zapytałem, kiwając głową w stronę miejsca, które połknęło stworzenia.

– Demony. Są duchy miejsc, rzeczy, ludzi. Są też demony – stworzenia utkane z ciemności przez czarowników i szamanów, którzy wolą tańczyć dla mroku. To ich pupilki, wysyłane, by w snach krzywdzić przeciwników.

– Przedwieczni je tu przysłali? – domyśliłem się.

– Tak podejrzewam. Stracili zabawki, jakże nam smutno. Możesz wstać? Nie obili cię za bardzo? – zapytał.

Pozbieranie się z ziemi trochę mi zajęło, ale wstałem i tupałem przez chwilę, by wróciło mi krążenie w stopach.

– Jest w porządku – odparłem. – A czemu pytasz?

– Bo mamy kawałeczek do przejścia.

– W jakieś konkretne miejsce?

– Cóż, gdy na ciebie czekałem, dostałem zaproszenie. Jedno z tych, którym się nie odmawia.

Uniosłem brwi, bo Sęp, jakiego znałem, odmówiłby wypicia herbaty z królową Elżbietą, choćby jej osobisty corgi przyniósł zaproszenie w pyszczku. Zrobiłby to tylko dlatego, że bawiłaby go mina królowej, gdy usłyszałaby: „spierdaj”.



Dotarłem na miejsce spocony i zmęczony. Pod palącym słońcem pustyni mój szpik kostny ugotował się al dente.

Dom z bali wyglądał nawet przyjaźnie – z masywnym kominem, szeroką werandą i dużymi oknami, w których powiewały białe pasy tkaniny. Zakładałem, że takim naprawdę zatwardziałym przestępcom nie chce się dekorować okien. Ale może się myliłem i to nie były firanki, a szarpie, do opatrywania ran postrzałowych.

Cała moja ufność ulotniła się, gdy zerknąłem na Sępa. Facet, który w obliczu Pierwszych był burkliwy, ale nie tracił aroganckiej pewności siebie, teraz wyglądał, jakby czekało go leczenie kanałowe bez znieczulenia.

– Co jest? – zapytałem cicho.

– Bądź miły. Nie podskakuj. Jeśli zdołasz, nie zwracaj na siebie przesadnie uwagi. Ci, których uważają za naprawdę interesujących, mają zawsze pod górę, bo stają się częścią ich zakładów.

– Nigdy w życiu nie udało mi się być interesującym, więc powinienem dać radę.

Prychnął i wyprostował się jak uczeń. Przyglądał włosy. Zaczęły mi drżeć ręce.

Nie wyglądała strasznie – pomyślałem, patrząc na kobietę, która wyłoniła się z domu i kiwała nam energicznie palcem. Niewysoka, bujna, z czarnymi włosami splecionymi w ciasne warkocze, w białej sukience. Frędzle na jej rękawach były tak długie, że gdyby rozpostarła ramiona, utworzyłyby kurtynę. Jak na tutejszą modę jej suknia była skromna – żadnych koralików, haftów, kolców jeżozwierza czy piór – a jednak robiła wrażenie przez ten szelest towarzyszący każdemu gestowi. Miałem problem z przyjrzeniem się twarzy nieznajomej. Ilekroć próbowałem skupić się na jej rysach, czułem dziwną potrzebę, by odwrócić wzrok, popatrzeć pod nogi lub przez ramię. Udało mi się, dopiero kiedy zerknąłem z ukosa, udając, że wcale tego nie robię. Miała okrągłą twarz, wydatne kości policzkowe, pełne usta, nos, który mógł świadczyć o naszym pokrewieństwie, i głęboko osadzone oczy. Raczej charakterna niż piękna, wyglądała na pięćdziesiąt doskonale zakonserwowanych lat. Właściwie nie, uświadomiłem sobie. Nie widziałem na jej twarzy śladów mijającego czasu, po prostu z jakiegoś powodu wyglądała mi na kogoś, kto ma dorosłe dzieci, i stąd fałszywa ocena wieku. Pewnie miała ich niemało, skoro posługiwała się urokiem dla tak błahych celów.

– Nieznośny chłopak – powiedziała i roześmiała się, jakbym właśnie zrobił jakąś sztuczkę. – Wejdźcie, plansza już czeka – dodała.

Weszła z powrotem do domu, zostawiając uchylone drzwi.

– Nie gap się, kurwa, Witkacy! Której części „nie zwracaj na siebie uwagi” nie rozumiesz? – syknął wściekle.

– O czym ty mówisz? Chciałem po prostu zobaczyć, do kogo przyszliśmy. Nie ufam ludziom, którzy używają uroku, by ukryć swoją twarz.

– Ona może mieć każdą twarz, jaką zechce. To, że ją widzisz, nie znaczy, że następnym razem będzie wyglądać tak samo.

– Chyba nie mówisz mi, że...

– Pramatka. Zdolna stworzyć świat kichnięciem, nieco ekscentryczna i z potwierdzonymi skłonnościami do hazardu. Miej się na baczności, nie żartuję. Może uda nam się stąd wyjść.

– Po co nas wezwali? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Może są ciekawi. Dawno nie było w okolicy żadnego nowego szamana.

– Idziecie? – zawołała z wnętrza domu.

Sęp miał dość godności, by nie biec, ale był blisko.

Jeśli to była Pramatka, pomyślałem, czy mieszka tu sama? Traktaty magiczne i grimuary rzadko zajmują się plotkowaniem o życiu towarzyskim i erotycznym bóstw, koncentrując się raczej na mocach, ulubionych ofiarach i statystykach ciosów.

Wchodząc do domu pachnącego żywicą i słodką gotowaną kukurydzą, zastanawiałem się, czy wyzwaniem na dziś było nie dać się zabić jednemu bóstwu, czy też trafił mi się cały komplet.



Dałbym mu może sześćdziesiąt lat, ale przestrzeliłbym o nieskończoność. Jego wiek był równie nieodgadniony, jak cała reszta. Może tak naprawdę był prostym i miłym facetem, który próbuje tylko dorosnąć do swojego przydomka, by nie sprawić zawodu nam, maluczkim. Postawny, z wąskim irokezem biegnącym przez środek wygolonej czaszki, wyglądał na gościa, który gdyby zechciał, wbiłby cię w ścianę tylko dlatego, że dzień wcześniej oglądał dokument o meksykańskich zapaśniczkach w lateksowych strojach i był ciekawy, jak to jest zrobić z kogoś miazgę. I nawet by się nie spocił.

Czy bogowie w ogóle mogą się pocić?

Siedział przy solidnym stole, którego blat wykonany był z promieniście ułożonych jasnych i ciemnych trójkątów drewna. Większość jego powierzchni zajmowała skomplikowana, piętrowa kolorowa plansza.

– Siadajcie. – Wskazał stołki naprzeciwko siebie.

Kobieta zajmowała miejsce po jego prawicy. Skubała zielone winogrona z wielkiego półmiska. Nawet na chwilę nie traciła czujności.

Nie miałem ochoty siadać. Coś w tej planszy, schodach, figurach podobnych do szachowych, ale pozostawionych w dziwnych miejscach, pozornie bez logiki, sprawiało, że moja intuicja zaklinała mnie na wszelkie świętości, bym nie był dość głupi, aby przyjąć zaproszenie. Prawdą jest, że czasem nie doceniam swojej głupoty, pomyślałem, siadając na stołku tak wyslizganym i niewygodnym, że prawie wylądowałem na podłodze.

Sęp usiadł obok mnie, wciąż powściągliwy. Praojciec skoncentrował się na nim, mnie poświęcał niewiele uwagi. Byłem za to naprawdę wdzięczny.

– Jesteś gotowy? – zapytał.

Sęp skinął głową.

– Nie będzie odwrotu.

Wzruszył ramionami.

– Więc dobrze. Wszystko przygotowane – powiedział starzec, wskazując na planszę.

Sęp wyjął z kieszeni biały kamyk, idealnie gładki i mlecznie półprzezroczysty, i położył go na prawym rogu planszy, między sobą a Pramatką.

– Tylko jeden? – zapytała.

– Gram o swój.

– No proszę, przyszedł ten dzień! – Zaklaskała z radości.

Niewiele z tego rozumiałem. Próbowałem pojąć zasady gry, ale to był jakiś chaos – hybryda szachów, okrętów, chińczyka i *Dungeons & Dragons*. Pośrodku planszy, w okręgu ułożonym z ołowianych kulek, stały figurki-totemy. Wyglądały tak, jakby ktoś chciał ująć w jednej rzeźbie moment przemiany Pierwszych z ludzi w ich zwierzęce odpowiedniki.

Gospodarz wyjął z kręgu jedną z figurek – a jakże, czarno-białego ptaka – i powiedział:

– Rzut otwarcia.

Sęp wziął podany mu drewniany kubek, potrząsnął nim i wyrzucił na stół kości: trzy większe, sześciokątne, oraz trzy małe i nieregularne, pomalowane na podstawowe

w tej kulturze kolory: biel, czerwień, czerń i żółć, które oznaczały kierunki geograficzne.

– Cztery, dwa, sześć, czerwony – odczytał i poruszył pionkiem tylko po to, by odkryć, że stanął na polach trzęsawiska.

Pramatka klasnęła w dłonie z uciechy i wyrzuciła trójkę na kostce z dwunastoma polami.

– To sobie chwileczkę postoisz – powiedziała.

Przez chwilę ona i Praojciec grali tylko we dwoje, przesuwali pionki w różnych miejscach planszy, wyraźnie zaabsorbowani zabawą. Nie pytałem, czy jest tu gdzieś figura dla mnie i czy też mam rzucać kostkami, bo podskórnie czułem, że to coś więcej niż gra, choć nie byłem w stanie odgadnąć co. Śledząc zmiany na planszy, Sęp przeżuwał wnętrze policzka i mrużył oczy za każdym razem, gdy kostki toczyły się po blacie. Gdy zerknąłem pod stół, zauważyłem, że wykręca sobie palce.

– Wracam – powiedział z wyraźną ulgą i sięgnął po kostki.

Wyrzucił piątkę, dwójkę, czwórkę i żółty. Przeskoczył nad trzęsawiskiem i poruszał pionkiem, aż dotarł do pola mostu zawieszonoego nad przepaścią – trójwymiarowego, skonstruowanego z cienkich patyczków i postrzępionych sznureczków.

– Cholera jasna – szepnął. Policzyłem pola na moście: by go przejść, potrzebował osiemnastu oczek.

– Pamiętaj, nie możesz się zatrzymać na moście, bo będzie po sprawie – odezwała się Pramatka. – Winogrono? – dodała, przysuwając misę z owocami w naszą stronę.

Sęp przez chwilę milczał, wyraźnie zdenerwowany, po czym nagle powiedział, podając mi kubek z kostkami:

– Ty wyrzucić... Proszę – dodał, gdy nie zareagowałem.

– Ja nie gram.

– Wszyscy grają – powiedział Praojciec, zacierając ręce.

Czy to ten czas, by powiedzieć Sępowi, że nigdy nie grałem w nic bardziej skomplikowanego niż kółko i krzyżyk, a hazard mnie nie pociąga? Nie, chyba nie czas, pomyślałem, widząc, że pobladł i wpatruje się w koślawy mostek jak w swój pomnik nagrobny z wczorajszą datą.

Potrząsnąłem kubkiem kilka razy i wyrzuciłem kostki na stół. Wszyscy z zapartym tchem czekali, aż się zatrzymają.

– Osiemnaście! – zawołała podekscytowana Pramatka – I biały! Och, ty szczęściarzu! – Zaklaskała w dłonie. Praojciec wyrażał nieco mniej entuzjazmu.

Sęp przesunął pionek nad mostem. Sięgnął po mleczny kamyk i zamknął go w dłoni.

– Na dziś wystarczy – powiedział.

– Jesteś pewien? Za mniej niż dwadzieścia pól masz smoczą jaskinię – kusila kobieta.

– Dziś dostałem już to, czego chciałem – zapewnił i schował kamyk w kieszeni.

– Cykor – rzucił Praojciec burkliwie.

– Ostrożny gracz żyje dłużej – odparł Sęp.

– Ale co to jest za życie? – znów burknął Praojciec.

– Rozkosznie nudne. Nauczyłem się je doceniać, odkąd wróciłem na ziemię – stwierdził i wyszczerzył się w uśmiechu.

Wstaliśmy i skinieniem głowy pożegnaliśmy się z gospodarzami. Sęp starał się nie okazywać emocji, ale gdy tylko wyszliśmy z domu, odetchnął z tak wyraźną ulgą, że musiałem zapytać:

– O co w tym wszystkim chodziło?

– Mój wyrok właśnie został unieważniony.

– Czyli gdybym nie wyrzucił osiemnastki...

– Restart systemu, cholernie bolesna sprawa.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– A tam, drżenie rąk nic by ci nie pomogło. Dobra nasza! Możemy wracać do jaskini. Na dziś lepszego wyniku nie mogliśmy mieć.

– Miło mi, że uratowałem ci tyłek – powiedziałem rozdrażniony, bo znów poczułem się jak mało rozgarnięte dziecko we mgle.

– Nie tylko mnie, Witkacy. Nie poradziłyś sobie z ostatnim zadaniem, które wciąż jest przed tobą. Nie jestem pewien, co to będzie, ale zawsze uwzględniają moce ducha opiekuńczego, by przetestować więź.

– Ostatnim? To znaczy, że kończymy zaświatową przygodę? – zapytałem z nadzieją.

– Jeszcze jeden przystanek, raczej przyjemny, a potem już stacja końcowa. – Poklepał mnie po plecach.

Szliśmy dłuższą chwilę, wracając do jaskini, gdziekolwiek była – miałem nadzieję, że przynajmniej Sęp nie stracił orientacji.

– Czym był ten kamyk, który postawiłeś? – zagadnąłem.

– Moją duszą. Gdybyś nie wyrzucił osiemnastki, umarłbym ostatni raz – odparł niefrasobliwie.

– Jesteś idiotą.

– Ale z idiotą ze szczęśliwą ręką u boku. – Rąbnął mnie pięścią w ramię i dodał: – Braterstwo w głupocie, stary!

Rozdział 21



Dom był nieduży i gdybym wystawiał go na sprzedaż, w dziale ogłoszeń napisałbym, że jest klimatyczny, rustykalny i niepowtarzalny, co w wolnym tłumaczeniu znaczy, że był dziwny, zaniedbany i będący jawnym pogwałceniem architektonicznego ładu. A jednak, na swój dziwaczny sposób, uroczy. Kurczaczkowi na pewno by się spodobał – moja córka ma słabość do dziwactw.

Z połączenia kamiennej stodoły, nadmorskiego bungalowu i rezydencji rodem z plantacji na południu Stanów Zjednoczonych wyszła nieco nieregularna konstrukcja z ogromną, w porównaniu z resztą domu, werandą obiegającą go dookoła, potężnymi kolumnami z okorowanych pni, dachem z łupków, monstrealnymi francuskimi oknami i białymi drzwiami z okrągłym witrażem na środku.

Stałem przed domiszczem z szeroko otwartymi ustami. Przełknąłbym samą konstrukcję – w końcu pochodzę z kraju, gdzie architektura jest dziwką nowobogackich, dla których szczytem marzeń są gargamelki, a jeśli dach nie ma pięćdziesięciu trzech wykuszów, to sąsiedzi uznają, że skąpisz – ale był jeszcze dźwięk.

Na ogromnej werandzie wisały setki dzwonek wietrznych. Były szklane, miedziane, drewniane, bambusowe, ze stali nierdzewnej, kryształów, artystyczne ze starych sztuców czy zielonych butelek po winie, z wygładzonych przez wodę kawałków drewna, muszli i szkiełek, metalowych śrubek i nakrętek... Jedne misternie wykonane i piękne, inne tandetne. Nie wiedziałem, że jest ich tyle rodzajów. A każdy wydawał swój rodzaj dźwięku. Sam w sobie niezbyt głośny, ale w połączeniu z resztą tworzył dziwną kakofoniczno-melodyjną kombinację tonów wysokich i niskich, czystych i fałszywych, matowych... Bogowie, być może wszystkie istniejące na świecie dzwonki wietrzne wysłały swojego ambasadora, by zamieszkał na tej werandzie i zajmował się polityką dzwonekowej populacji.

Były jeszcze łapacze snów. Wisały na dużym, najprawdopodobniej martwym, bo całkiem nagim, drzewie. I znów – jedynym kryterium wyboru musiała być różnorodność. Wypatrzyłem tradycyjne koronkowe, robione na szydełku, artystyczne – z metalu, rzeźbione, ale także chińskie, ze sztucznie podkolorowanymi piórkami i masą ozdobnego badziewia. Te, co prawda, nie dzwoniły, ale widok martwego drzewa obwieszzonego przynajmniej dwustoma łapaczami snów robił wrażenie.

– Czy on jest całkiem szalony? – zapytałem cicho.

– Dzwonki i łapacze dostaje w prezencie. Gdy zobaczysz, jak się cieszy, gdy ktoś

daje mu taki, jakiego jeszcze nie miał, sam zaczniesz szukać po sklepach indyjskich i na targach staroci.

– Odpowiadasz za ten koszmar?

– Nie, my mamy swoją walutę – mrugnął porozumiewawczo. – Ty pewnie też z czasem jakąś z nim ustalisz. To jest w porządku koleś, chcesz z nim żyć dobrze, zaufaj mi.

– Czyżbyśmy spotkali w Zaświatach kogoś, z kim żyjesz dobrze, a nie jest Babcią Pająk?

– Wędrowiec jest z nami niedługo i nigdy nie zwracał sobie głowy starymi waśniami. Ma do wszystkiego dość luźne podejście, wiesz, palenie skręta pokoju i te sprawy. Nasz człowiek – wyjaśnił.

Wszedł na werandę i głośno zapukał do drzwi. I jeszcze raz, by dźwięk przebił się przez melodię Jefferson Airplane dobiegającą ze środka.

– Wchodźcie, chłopaki! Jestem w warsztacie! – usłyszałem, a muzyka nieco przycichła.

Sęp czuł się u Wędrowca bardzo komfortowo. Przeprowadził mnie przez część mieszkalną, z niewielką wnęką kuchenną i otwartą przestrzenią pokoju dziennego. Jedna ściana była niemal całkowicie przeszklona, wielkie drzwi tarasowe wychodziły na werandę, a dalej rozciągał się niesamowity krajobraz z połyskującym w słońcu jeziorem, drapieżną ścianą gór po drugiej stronie, odbijającą się w lustrze wody, i mnóstwem zieleni. Naprzeciwko okna ustawiony był wielki fotel-worek uszyty z dzinsowych łąt. Byłem przekonany, że ten, kto tu mieszkał, spędzał w nim całe godziny, gapiąc się na ten krajobraz, jak inni gapili się w telewizor. Na niskim stoliku obok fotela stało kilka butelek po piwie. Drugą ścianę zajmował najpotężniejszy system nagłośnieniowy, jaki kiedykolwiek widziałem. Kilka rodzajów kolumn ustawiono w przemyślny sposób, tak że fotel był centrum wszechświata otoczonym dźwiękiem. Kolekcja CD i winyli robiła nie lada wrażenie. Przez chwilę gapiłem się z zachwytem i na nią, i na oprawione w ramki platynowe i złote płyty. Niemożliwe, pomyślałem.

– Idziesz? – zapytał Sęp, wracając po mnie. A widząc moją minę, dodał: – Tylko się nie brandzluj do tej ściany. Bardzo tego nie lubi, nawet jeśli nie ubrudzisz podłogi.

Gdy dotarliśmy do warsztatu, nie zdążyłem się rozejrzeć. Oto wysoki, szczupły facet z afro i skórą ciemną jak mocna kawa z odrobiną mleka zamknął mnie w uścisku silnych ramion, klepiąc po plecach i krzycząc tuż przy uchu:

– Stary! Już myślałem, że nigdy tu, kurwa, nie trafisz!

Odsunął się i uśmiechał tak szczerze, że zamrugalem. Wyglądał jak jeden z tych młodych geniuszy gitarowych występujących na Woodstock, który jeszcze nie opłacił talentu daniną ze zdrowia i nałogu. Wąskie dzinsowe dzwony opinały mu biodra i uda w niepodrabialny sposób, który tylko w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych mógł uchodzić za męski, a luźna jedwabna koszula, rozpięta do pasa była tak obłędnie kolorowa, że patrzenie na nią bez okularów słonecznych wymagało samozaparcia. Podzwaniał wisiorami, sznurami koralików i bransoletkami tak licznymi, że Jack Sparrow płakałby w kącie, bo nie miałby szans w obliczu takiego blingu. Z prawego ucha zwisał mu kolczyk z intensywnie niebieskim piórkiem, chyba zimorodka.

– A ciebie, stary, wieki nie widziałem! Dobrze cię oglądać żywym! – wykrzyknął, po czym wziął Sępa w ramiona.

Dotąd nie widziałem nikogo, kto aż tak cieszyłby się na jego widok. Nie widziałem też, by Sęp z takim entuzjazmem klepał kogokolwiek po plecach na powitanie.

– Nie bierz tego do siebie, ale reszta twoich ziomów potrafi zniechęcić do wizyt w okolicy – powiedziałem, gdy skończyli się witać i znów patrzył na mnie z tym szczerym, chłopięcym entuzjazmem.

– Oj, mnie to mówisz? Prawie pół wieku siedzę tu z tymi sztywniakami, a oni wciąż nie zlurowali *cojones*. Niby te ich portki uciskają mniej niż moje, ale stary, tam musi być jakieś konkretne zgniatanie jąder przy każdym kroku. Nie znalazłem innego wyjaśnienia, a kminię naprawdę od dawna. Nie czują rocka, stary, jedni to mają, inni ni chuja. A ty? – zapytał i zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Jestem raczej bluesowym typem.

– B.B. King czy Yardbirds? – testował dalej.

– Z szacunkiem dla króla, Muddy Waters.

– Swoją chłop. – Znów mnie uściskał. – Blues jest korzeniem, z niego wszystko, co szarpie bebechy i wykrwawia serce. Daj się pobłogosławić psychodelą i heavy metalem, a ta energia otworzy ci to ciasne pudełko tutaj – powiedział i lekko dźgnął mnie palcem w mostek.

Kiwnąłem głową. Od czasów liceum i pierwszego spotkania z Ti nikt nie przepytывał mnie z muzyki. Ale może coś w tym jest, że poznając czyjś gust muzyczny, dostajemy się na skróty do jego najbardziej prywatnego pokoju.

– A skoro my o tym, stary, masz coś dla mnie? – zapytał, zwracając się do Sępa.

– Awaryjne lądowanie było, ale już namierzyłem i dostarczę przy następnym spotkaniu. Perelka – zapewnił i znów wywołał szeroki uśmiech na twarzy Wędrowca.

– No racja, awaryjnie było – przyznał, skubiąc bokobrody. – Ale nie ma tego złego, twoja mała ma ikrę, Witkacy! Petarda, mówię ci!

– Poznałeś Kurczaczka?

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– W skali od jednego do dziesięciu: jak bardzo masz przejebane, kiedy słyszy, że ją tak nazywasz?

Wzruszyłem ramionami, bo było to silniejsze ode mnie, mimo obietnic, jakie jej złożyłem.

– No tak. Mnie się przedstawiła jako Wiktoria. Mały Ptaszek dla tych z wioski, jak słyszałem. Fajna jest. I ma dobre wibracje. Dobraliśmy dla niej instrument w kilka minut.

– Instrument?

– Jasna sprawa, też dostaniesz, taki mój obowiązek. Jestem waszą szamańską dobrą wróżką czy coś. Ale z góry mówię, że nie wiem, jak się robi szklane pantofelki – dodał, po czym on i Sęp się roześmiali w głos. A mnie się zrobiło odrobinę lżej. Byłem pewien, że młoda go pokochała. Miała dziwaczny gust, skoro lubiła mnie czy Sępa, ale ten koleś był jeden na milion.

– Jest trochę spięty, nie? – zwrócił się Wędrowiec do Sępa, a ten z powagą pokiwał głową.

– Wiesz, ta cała inicjacja strasznie go stresuje. Nie żeby był największym luzakiem świata, ale teraz stanowczo nie jest w formie.

– No tak, to kurestwo może napędzić stracha. – Skrzywił się i przeczesał palcami afro, jakby chciał odpędzić wspomnienia. – Ale nie martw się, już prawie jesteś u celu. I słyszałem, że świetnie sobie radzisz. Babcia Pająk mówi, że masz niewymuszony wdzięk. Dla mnie to brzmi tak, jakby dawała ci referencje do baletu, ale dla niej to chyba duży komplement. Mówiła mi dziś, że skompletowałeś dwunastkę cnót. Szacun, bardzo dobry wynik.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Niewykluczone, że i on nie do końca wiedział. Przypominał mi nieco wuja. Moja mama mówiła z czułością, że jest „oryginałem, który nawet jeśli ma wszystkie klepki, to troszkę poluzowane i niekoniecznie we właściwej kolejności”.

– Jeśli ci zależało – powiedziałem po chwili wahania – dlaczego się nie pojawiłeś wtedy, gdy mnie dopadli? Gdy próbowali mnie siłą zawlec na inicjację?

Zmieszał się i znów zaczął skubać bokobrody.

– No tak, byłem wtedy trochę nie teges... Pustynia, meskalina i przypadkowe ugryzienie przez grzechotnika. Kiepskie połączenie. Byłem nie do użytku.

– Ta ilość bimbru, którym się leczyłeś, też raczej nie pomogła – wtrącił Sęp.

– Bimber jeszcze nikomu nie zaszkodził – zaprotestował Wędrowiec.

Sęp uniósł ręce na znak, że nie zamierza dyskutować z faktami.

– No, to zabieramy się do rzeczy, stary, na ostatniej prostej musisz już mieć instrument – podjął nasz gospodarz. – Nie obrażając twojej bransoletki, bo fajna jest i chętnie ją przyjmę, kiedy już nie będziesz jej potrzebował, ale zmordujesz nadgarstki jak piętnastolatek z darmowym abonamentem na RedTubie. Wybieraj sobie, co chcesz, każdy z tych instrumentów może być twój – powiedział i powiódł ręką po pomieszczeniu. – Ty – wskazał na Sępa – idź do pokoju sobie czegoś posłuchać, bo masz za silną aurę i możesz mu zakłócać wybór, a nie ma czasu na reklamacje.

Sęp bez dyskusji wyszedł z warsztatu i chwilę później usłyszałem zza ściany Deep Purple.

– Rozejrzyj się dokładnie i słuchaj bebechów. Cokolwiek to będzie, odezwie się do ciebie.

Dopiero teraz zacząłem się rozglądać. Warsztat był chyba największym pomieszczeniem w domu. Na ścianach zamontowano drewniane kratki, a na nich, na hakach, wisiały narzędzia i instrumenty: bębny ramowe, bongosy, kołatki, talerzyki, grzechotki skórzane, tykwowe i drewniane, flety, fletnie Pana, kije deszczowe w kilku rozmiarach, ukulele, harmonijki ustne i tamburyny.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy. We łbie ci się nie mieści, jak ciężko zrobić skrzypce czy harfę, musiałbym ściągać tu specjalistę, a to potrwa. W każdym razie zanim nie znajdziesz swojego instrumentu, nie zakończysz inicjacji i nie wrócisz na ziemię. Trochę lipa.

– No, trochę. – Skrzywiłem się. Wołałem nie myśleć, ile czasu moje sztywne i zimne ciało leży na podłodze bez czucia. Dobrze, że Kurczaczek już wróciła, może Konstancja za bardzo nie świruje.

Chodziłem po pomieszczeniu jak oczarowany i dotykałem nieznanymi mi przedmiotów. Na szerokim i długim prawie na dwa metry stole leżały gotowe ramy pod bęben z jasnego drewna, dwa inne wciąż schły na metalowej formie, przypięte stolarskimi klamrami. Zwoje rzemieni piętrzyły się obok dużych kawałków miękkiej i gładkiej skóry. W dużej puszcze po kawie sterczało kilkadziesiąt pędzli różnej grubości, w plastikowym wiaderku żółciła się suszona kukurydza. Zapach trocin i mokrej skóry kręcił w nosie. A kawałek dalej leżał podajnik z dużą tubą silikonu sanitarnego. Uniosłem wzrok na Wędrowca. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Przy tych prypciach i tak nigdy nie będę dość ortodoksyjny, więc nie muszę wszystkiego robić metodami sprzed ponad pięciuset lat. Świetnie się sprawdza jako baza pałek do bębnów.

To ma sens, pomyślałem. Wędrowiec, jak i szamani tacy jak ja, skundleni dla jednych, eklektyczni dla tych mądrzejszych, mieli dużo większą swobodę rytuału, a współczesność i zdobycze cywilizacji nie kłóciły nam się z magią, bo pierwsze stanowiły część nas, a druga towarzyszyła od urodzenia. Zapalniczka była dla mnie równie naturalnym narzędziem, jak zapalniczka, a na pewno bardziej niż krzesiwo, choć Jeździec Burzy dostawał zawału, ilekroć wyciągałem ją, by odpalić skręta czy trociczki.

Niektóre instrumenty wyglądały na jeszcze nieskończone, na kilku schła farba, inne sprawiały wrażenie leciwych i używanych. Zaskoczyło mnie, że ten stary hippis i luzak potrafił wykonać rzeczy tak misterne i wymagające nie tylko talentu, ale i dyscypliny. Ale może nie powinienem oceniać książki po okładce.

Nagle poczułem szarpnięcie, a moje palce dotknęły gładkiego bębna. Był nieduży, miał może trzydzieści centymetrów średnicy i ramę z jasnego drewna. Rzemienne naciągi spletały się z tyłu w uchwyt w kształcie krzyża, ciasno opleciony ciemniejszym rzemieniem. Uderzyłem w membranę kilka razy, a gdy rozległo się niskie, ale dźwięczne dudnienie, poczułem dziwną mieszankę ekscytacji i wzruszenia. Jakbym już znał ten odgłos i bezwiednie za nim tęsknił. Rozejrzałem się po stole i znalazłem pałkę, obitą jasną skórą, z trzonkiem udekorowanym czerwoną, żółtą, czarną i białą włóczką oraz piórami w tych samych kolorach. Gdy tylko wziąłem ją do ręki, poczułem, że tak powinno być, że pałka i bęben są przedłużeniem mnie i nie zdołałem ich odłożyć.

– Brzoza i skóra łosia, tak czułem. – Wędrowiec uśmiechnął się szeroko. – Gdybyś nic dziś nie znalazł, zrobiłbym coś nowego. Zwykle muszę zobaczyć szamana choć raz, by coś dla niego wykonać, ale po spotkaniu z twoją córką miałem o tobie jakieś pojęcie i zacząłem robić ten bęben. Pomyślałem, że docenisz, jeśli nie będziesz musiał czekać dziesięć dni, zanim zrobię ci jakiś na twoich oczach.

– Dziesięć dni? – zapytałem głucho.

– Tyle trwa cały proces, od wycięcia deski, przez moczenie jej w jeziorze, kształtowanie na formie, moczenie i czyszczenie skóry, rzemieni, naciąganie, schnięcie, po poprawki... Kupa roboty. Ale sam widzisz, że warto. Będzie ci służył długie lata – stwierdził zadowolony. – Tylko trzeba go ozdobić, ale to już chwila. Musisz mi tylko powiedzieć jak.

– Nie może zostać taki? Przecież do mnie pasuje.

– Stary, nie doceniasz siebie i masz życzenie śmierci. Bęben musi być odbiciem

ciebie, twojej motywacji, magii, wiary i tego, co dla ciebie święte, czemu ufasz, z czego czerpiesz siłę.

Pogładziłem skórzaną membranę. I już wiedziałem. Gdy wyjaśniłem, co chciałbym widzieć na swoim instrumencie, Wędrowiec zapalił się do roboty. W małych miseczkach wymieszał mineralne proszki z olejem, tak że powstały gęste jak pasta farby. Kiedy zaczął rysować ołówkiem delikatny kontur, zauważyłem, że jest leworęczny.

– A ty? Na czym grasz? – zagadnąłem.

Uniósł głowę i kiwnął na wnękę po drugiej stronie pokoju. Podświetlony jak święty obrazek albo dzieło sztuki w galerii wisiał biały stratocaster.

– To maleństwo jest poza waszym wyborem – powiedział i spojrzał z czułością na gitarę. – Jedyłą osobą, która może dotykać Lady, jestem ja.

– Nie obraż się, ale nie jesteś standardowym Przedwiecznym.

Parsknął śmiechem.

– Stary, mam się obrażać, bo usłyszałem, że nie mam kija w dupie i nie wracam w koszmarach? Nie jestem taki jak oni... nie do końca. Po prostu dostałem nie najgorszą fuchę.

Wysunąłem spod stołu taboret na wysokich metalowych nóżkach, przysiadłem, podpierając się łokciami o blat i obserwowałem postępy w pracy. Miał ciekawą kreskę i umiejętność przedstawienia tematu w taki sposób, że całość prezentowała się lekko, a symbolika była czytelna, lecz niezbyt nachalna.

– Kto właściwie daje taką robotę? I jak? – zapytałem.

– Widzisz, szamanizm się zmienia, magia ewoluuje, jest żywym organizmem splecionym z tkanką rzeczywistości, co umyka tym, którzy szwendają się po Zaświatach od setek lat. Z jednej strony tracą kontakt ze światem i przestają go rozumieć. Z drugiej elementy tego świata nie zdołają się porozumieć z kimś, kto jest od nich odległy o lata świetlne. Pramatka pierwsza zauważyła, że przestali się pojawiać szamani. Myślała, że po prostu wymarli, a nowi się nie urodzili, ale gdy wsłuchiwała się w prądy magii, usłyszała melodie ich dusz. Tyle że ci nowi nie trafiali do Zaświatów. Nie było Przedwiecznego, który mógłby ich przyprowadzić, bo Przedwieczni są niereformowalnie przywiązani do magii plemiennej, rodowej, genealogicznej. Jeśli nie masz w sobie wystarczająco wiele z Indianina – Czejena czy Siuksa – nie przyjdą, nie znajdą cię, nie zdołają się związać. Dla mnie, stary, to luka w systemie, ale gdy kładziono podwaliny, nikt sobie nie wyobrażał takiego świata, jaki dziś mamy – pomieszanego, różnorodnego i szalonego. Pramatka zrozumiała, że potrzebują kogoś nowego, kto lepiej od Przedwiecznych wyczuwa ducha współczesnego szamanizmu.

– Raczej nie dała ogłoszenia o pracę?

Zaśmiał się.

– Mogłaby, jest do tego zdolna. W przeciwieństwie do Praojca lubi podglądać świat i ludzi, więc uczy się ich na bieżąco. Ale akurat ze mną było tak, bo odwaliłem na tyle gruby numer, że uznała to za zgłoszenie się do roboty.

– Wpadłeś jej w oko?

– Tak było, stary. Epicka akcja. Grałem wtedy koncert. Wielki festiwal, trzydzieści tysięcy ludu. Deszcz napierdalał i musieliśmy czekać, bo powiedzieli, że jak podłączymy

wzmacniacze w takich warunkach, raz-dwa wpadniemy na piwo do Abrahama. No to czekaliśmy. I nudziliśmy się strasznie, więc gdy ktoś przyniósł kwas, stwierdziłem, że czemu nie. Wiesz, jak jest. Popiłem wódą, żeby lepiej weszło. A jak już staliśmy na scenie, czułem się, jakbym był podłączony do linii wysokiego napięcia. Stary! Miałem MOC. Grało mi się lepiej niż kiedykolwiek. Improwizacja płynęła jak gorąca magma, powalająca energia. Byłem jak bóg, a moja gitara wypowiadała słowa, które stwarzały światy. Moc, chłopie. I ta moc ściągnęła duchy. Widywałem je wcześniej, właściwie od dziecka, ale nigdy dwa tysiące naraz. Wyły tak głośno, że zagłuszały muzykę, choć napierdalaliśmy w struny i perkusję, jakby szatan płacił nam od decybeli. Spojrzałem na ludzi i zrozumiałem, że choć ich nie widzą, to ich gubimy. Duchy pochłaniały energię, którą dzieliliśmy się z tłumem, aż nic dla niego nie zostało. Emocje opadały. Wkurwiłem się, że mi psują jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy koncert życia, i je odesłałem. Od razu wszystkie, piętnastominutową solówką i przesterem na wzmacniaczu. Umordowałem się, bo musiałem wpleść w melodię jak najwięcej z ich sygnatur. Pierwszy raz wszedłem w to tak głęboko. A kiedy pojawiła się brama, to spakowałem za nią dupską dwóch tysięcy duchów i wysłałem je, by się poskarżyły mamie. Nie pomyślałem, że mama patrzy i klaszcze w ręce z radości. Jest trochę kopnięta, wiesz?

– Tak mi się wydaje – przyznałem.

– Częstowała cię czymś?

– Winogronami.

– Czyli musiała cię polubić. Gdyby cię nie lubiła, podsunęłaby ci proteinowe kulki z kalafiora czy coś takiego. Jest gościnna i zawsze proponuje poczęstunek, ale jeśli za kimś nie przepada, zadba o to, by gość nie znalazł w nim żadnej przyjemności. Wtedy, po koncercie, przyszła do mnie z miską truskawek i zaczęła nawijkę, że mam przed sobą wielką przyszłość. Powiedziałem, że owszem, podpisaliśmy kontrakt, pracuję nad płytą, ale co to ma do rzeczy. Odparła, że będzie śledziła moją karierę i jeszcze na siebie wpadniemy. Wziąłem ją za *groupie*, trochę dziwną, ciut starszą niż średnia, ale człowieku, przecież jest gorąca, więc zapewniłem, że moja garderoba zawsze dla niej stoi otworem. A trzy lata później, po udanej trasie w Europie, wszystko się zmieniło. Zawsze kiedy byłem zmęczony, niedospany, skacowany, duchy robiły się bardziej natarczywe. W hotelu, w którym spaliśmy w Londynie, było ich tyle, że musiały się zlecieć z połowy miasta. Chciałem, żeby się zamknęły, a nie znałem skuteczniejszej metody niż nawalenie się. Nie pamiętam już, co wtedy zarzuciłem, ale straciłem rachubę. Nigdy nie bierz tego gówna na recepty, barbituranów i innych. Nie są kompatybilne z naszą magią. Połączenie się rwie, więc chcesz wziąć jeszcze jedną, i jeszcze, a potem popić wódą, żeby napięcie na linii wzrosło... Przepis na gównianą katastrofę. Nie chcesz umierać w kałuży wymiocin, zaufaj mi.

Nawet na chwilę nie przestawał malować. Małym pędzelkiem nanosił farbę na skórzaną membranę. Przyglądałem mu się, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że to wszystko brzmi cholernie znajomo.

– Ile miałaś wtedy lat? – zapytałem podejrzliwie.

– Prawie dwadzieścia osiem, niewiele mi brakowało.

– Jak ty właściwie masz na imię? – dopytywałem.

Spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Ojciec mówił na mnie Marshall. Nazwał mnie po swoim bracie. Ale od dawna wolę Wędrowiec. Jest w tym szacunek do Drogi i Losu, który pasuje mi lepiej niż Marshall.

Pokiwałem głową. Więcej nie naciskałem.

– Więć wracając do historii – podjął – możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie. Bo ostatnie, co pamiętam, to myśl, że umieram z własnej głupoty, a potem budzę się i stoi nade mną tamta *groupie*. Uznałem, że to sen albo że mnie przepłukali, ale nic z tego. Byłem trupem. I mogłem nim pozostać na zawsze, ale mogłem też stać się Wędrowcem, przewodnikiem dla innych dusz marnotrawnych. Powiedziała, że będę mógł nawet, w przeciwieństwie do tych sztywniaków, odwiedzać ziemię co jakiś czas. Delegacja z Zaświatów, tak to nazwała. Zapytałem, czy do tej roboty nie muszę być Indiańcem. Machnęła ręką i powiedziała, że jeśli ktoś ma problem z tym, że świat się zmienia, niech przyjdzie do niej na skargę i rzuca kostką. Nie dopytywałem. I z czasem naprawdę polubiłem tę robotę. I okolicę. Zbudowałem dom, gram i buduję instrumenty. Tylko koncertów mi brakuje. Byłem na ziemi na kilku festiwalach, ale wszystko się zmieniło. Trafiłem na tę całą Coachellę. Muzyka słaba jak shirley temple czy inne szczynty, ślicznotek od groma, ale bardziej je interesowało, gdzie kupiłem ciuchy, niż to, by je ze mnie zdjąć. Już nie to samo.

Westchnął zboląły, a ja zastanawiałem się, czy seksualne frustracje i lata posuchy nie są czasem elementem umowy z Zaświatami, tyle że wzmiankę o nich dopisano drobnym drukiem na dole kontraktu. Niepokojąco wpisywałem się w ten schemat.

– No i co myślisz? – zapytał, pokazując mi bęben.

Przez środek biegły odciski ptasich łapek. Po prawej widniały trzy pióra sępa, czarno-białe, ułożone w kępkę przewiązaną rzemykiem. Środkowe pióro było nacięte od góry, co symbolizowało „wielokrotnie ranny w walce”. Na lewej połowie bębena Wędrowiec namalował czarny odcisk niedźwiedziej łapy i trzy ślady pazurów, takich samych jak te na mojej ręce. Dookoła krawędzi było dwanaście kropek, na zmianę czarnych, białych, czerwonych i żółtych.

– To symbol dwunastu cnót, których dowiodłeś. Jutro powiedzą ci więcej, nie chcę Babci psuć suspense, ale to dowód, że masz prawo przystąpić do ostatecznej inicjacji – wyjaśnił, kiedy o nie zapytałem. – Dzięki podziałowi na pola Sępa i Brata Niedźwiedzia wystarczy ci jeden bęben do obu typów rytuałów. Sprytne.

Przytaknąłem i wziąłem instrument z jego rąk. Palce same znalazły idealny chwyt na krzyżaku. Pałeczką uderzyłem ostrożnie w miejsce, w którym nie było mokrej farby. Dźwięk rozszedł mi się po kościach i wiedziałem, że tego dokładnie potrzebowałem.

– Wszystko się zacznie o północy. Odpocznij, prześpij się, daj się porozpieszczać Babci Pająk, pomedytuj, rób cokolwiek, co cię uspokaja. Nie mogę ci powiedzieć, jak to dokładnie wygląda, ale będę tam z tobą. Możesz zostawić bęben do wyschnięcia, przyniosę ci go na próbę.

Pokręciłem głową. Był mój i nie zamierzałem się z nim rozstawać przez jakiś czas. Dziwne, irracjonalne uczucie jak na faceta, któremu dotąd do szczęścia wystarczała bransoletka.

- Jaki instrument wybrał Kurczaczek? – zapytałem.
- Kij deszczowy.
- Jej matka się ucieszy, że nie perkusję czy coś ze wzmacniaczami – skomentowałem.

Wolałem myśleć, jak zareaguje Konstancja, niż o tym, że o północy czeka mnie coś, przed czym nie zdołam uciec.

Rozdział 22



Nie zaczęli na północ. Nie zaczęli też na Wędrowca. Widać nie dostali korporacyjnej notatki o planie dnia. A może zależało im na tym, by dopaść mnie samego, bo wpakowali się do domu Babci Pająk akurat wtedy, gdy zagnała Sępa do narąbania jej drew do paleniska. Chciała uwarzyć napój uspokajający, uznając, że może mi się przydać przed ostatnią próbą. Niegłupie, choć teraz nie wydawało się takim dobrym pomysłem.

Zwierzęce maskary z koszmarów wdarły się do środka, porwały mnie z posłania i wyciągnęły za próg, nie zwracając sobie głowy moimi protestami. Pamiętałem je, już się spotkaliśmy. Rogacz, z czaszką bizona na głowie, odziany w płaszcz ze skrawków futer, szarpi i gałęzi, boleśnie ścisnął moje ramię pod pachą. Drugi, szaman któregoś z południowoamerykańskich plemion – nagi, nie licząc tykwy na penisie – dźgał mnie w plecy kijem, a jego kruk latał nad nami i co chwilę wyszarpywał mi kilka włosów. Jak sądziłem, z czystej złości.

Na zewnątrz było ich więcej. Kobieta Lis, z łukiem i strzałą w pogotowiu, miała taką minę, jakby liczyła, że będę uciekał. Wilczyca – z twarzą pomalowaną w białe pasy, uzbrojona w dzidę – patrzyła na mnie jak na kogoś, kto osobiście zgwałcił jej córkę i nie przepuścił kozom. Starsza kobieta owinięta w skórę leoparda i podzwaniająca setkami rozmaitych wisiorów, mimo solidnych rozmiarów maczety u pasa, wydawała się najmniej wrogo nastawioną osobą w tym towarzystwie.

Nigdzie natomiast nie widziałem Wędrowca.

– Nie możecie mnie zabrać bez mojego Przedwiecznego. To on ma przeprowadzić moją próbę – powiedziałem, zapierając się piętami.

Nawet nie zwolnili.

– Dość szargania tradycji – warknął Bizon. – Tacy jak ty, z waszą rozrzedzoną krwią, pogardą dla naszych bogów i bez szacunku dla tradycji, zbyt długo bawili się w szamanizm. Udowodnię, że nie jesteś wart tego miana.

– Sęp! – wrzasnąłem, mając nadzieję, że nie poszli po to drewno do jakiejś odległej o kilometry puszczy. – Sęp! Babciu Pająk! Wędrowcze! – Czułem, że bez ich pomocy nie mam szans przetrwać tego, co zgotowali mi Przedwieczni.

Dobiegły mnie odgłosy bójki. Odwróciłem się, wciąż szarpany i ciągnięty przez Bizona, by zobaczyć, że Orzeł przyłączył się do Przedwiecznych i próbuje związać Sępa. Był większy i cięższy, ale liczyłem na to, że mój duch opiekuńczy skopie mu kłamliwe

i zdradzieckie dupsko. Bo ktoś wpuścił Przedwiecznych do wioski i miałem swoje typy.

Coś mi mówiło, że Sęp nie da sobie zrobić krzywdy. Był przebiegły i złośliwy, nawet jeśli udawał niefrasobliwego chłopaczka z plaży. Tyle że to mogło jeszcze chwilę potrwać.

– Jaskółko! Wezwij Wędrowca! – zawołałem, widząc kołujący nad głową czarny apostrof na tle czerwonego nieba. Wzbiła się wyżej i szybkim zwodem ominęła kruka, który zamierzył się na nią dziobem. Wzbiła się w chmury i zniknęła mi z oczu.

Wlekli mnie dobre pół godziny. Próbowaliśmy ich spowolnić, potykając się i przewracając, ale jedyne, co zyskałem, to kopniaki w żebra. Za wsią do pochodu dołączyli się następni Przedwieczni. Cała menażeria straszaków. Gdy znów upadłem, któryś zaczął mnie okładać grubym kijem, drugi świsnął po plecach batem, przecinając skórę. Zasłoniłem ramionami głowę, by ochronić ją przed kopniakami, i zwinąłem się w kłębek, próbując osłonić brzuch. Otrzymałem jeszcze kilka ciosów, po czym usłyszałem głos. Coś mi mówiło, że należy do Kobiety Leopard.

– Czy naprawdę nie możecie dać sobie na wstrzymanie? – spytała spokojnym, lekko znudzonym tonem. – W tym tempie dotrzemy na wzgórze po północy. Niektórzy z nas mają plany i życie towarzyskie.

Czyjeś ręce brutalnie dźwignęły mnie z ziemi i popchnęły, bym szedł dalej. Mijały minuty, a Sępa wciąż nie było. Ogarnęły mnie złe przeczucia. Może nie wystarczy być sarkastycznym i wyszczekany.

Na tle zachodzącego słońca Wzgórze Wisielców wyglądało posepnie. Efekt rodem z ekspresjonistycznego dzieła niemieckiej kinematografii – martwe drzewa, wisielcy dyndający na nagich konarach, krwistoczerwone niebo – wzmacniały dym pożogi i złowrogi bulgot lawy, która wydawała się nawet gorętsza, niż kiedy byłem tu poprzednio.

Znów upadłem. Skuliłem się na ułamek chwili przed nadejściem pierwszych ciosów. Czyjś but dosięgnął mojej nerki i szarpiący ból zapowiedział, że będę jutro sikał na czerwono. O ile czeka mnie jeszcze jakieś jutro, pomyślałem. Lecz wtedy, między świśnięciem bata a kolejnym kopniakiem, usłyszałem, że Bizon i Tykwa kłócą się o to, co mnie czeka w najbliższym czasie. Bizon szedł na całość, niechętny, by zostawiać rzeczy przypadkowi:

– Nasza tradycja mówi jasno: musi być ugotowany, a potem powinien odjąć swoje mięso od kości i znaleźć kość szamańską. Dopiero wtedy dowiedzie, że jest wart przekraczania bramy – perorował. Wcześniej nie byłem pewien, ale teraz już tak: reprezentował szamanów azjatyckich, Jakutów lub Inuitów. Przepis na szamana gotowanego w oleju był ich złotym przebojem inicjacyjnym.

– To dla mięczaków! – zaoponował Tykwa. – Dół węży już czeka! Ugotować może się każdy, ale tylko najlepsi przetrwają spotkanie z jadowitymi węzami!

– A nie możemy go po prostu zakopać żywcem trzy metry pod ziemią i sprawdzić, czy zdoła wyjść? – zapytała Wilczyca, nieco znudzona.

– W ogniu się hartują szamani, z ognia wychodzą najlepsi – odparła Lisica.

Ewidentnie nie ustalili detali. I im dłużej się kłócili, tym bardziej zapominali o regularnych kopniakach. Upatrywałem w tym swojej szansy.

Poruszyłem się najciszej, jak mogłem. Odpęzłem może piętnaście centymetrów, kiedy usłyszałem nowy głos. Dziwnie znajomy.

– Och, macie zabawkę! – zawołał Duch Zaświatów, podskakując entuzjastycznie, aż rozgrzechotały się kości jego stroju. – Cudownie! Co z nim zrobicie? – zapytał. Choć kilka dni wcześniej poddał mnie próbie potu, krwi i łez, wciąż wydawał się nieusatisfakcjonowany.

– Właśnie próbują to ustalić – powiedziała Kobieta Leopard. – A ja tylko zauważę, że olej odpada, skoro Wielki Bizon, leniwa dupa, dużo gada, ale nie przygotował kotła i paleniska, a ja nie mam całego dnia! Cholerni Jakuci, z całym tym zamiłowaniem do makabry. Jesteście śmierdzące lenie, nic dziwnego, że potrzebujecie na inicjację siedmiu dni!

– A co proponujesz? – warknął Bizon.

– Ja? Nic. Głosowałam, by zostawić go Wędrowcowi, ale wy zawsze wiecie lepiej! Bizon splunął jej pod nogi.

– Pieprzeni meksykańcy. Sami jesteście skundleni, to wam mieszańce nie przeszkadzają!

Kobieta Leopard uniosła przed siebie dłoń udekorowaną ogromnymi, kocimi pazurami i ścisnęła ją w pięść. Bizon zachrypiał i poczerwieniał, z trudem łapiąc powietrze.

– Nie zapominaj, byczku, że nie jestem tu z powodu urody i znakomitego ciała – warknęła. Rozprostowała palce i cofnęła się o krok. A ja zrozumiałem, że zmieniła strony, ot tak.

– Węże macie gotowe? – dopytywał Duch Zaświatów, a ja w myślach rzucałem na niego najpodlejsze klątwy.

– Tak jakby – przyznał Tykwa. – Mam dół, węże są w koszach, w naszej siedzibie. Nie chciałem, by się rozpełzły, długo ich szukałem.

– Zanim je tu dotaszczysz, sam, bo nikt się nie rwie, by ci pomagać z tymi diabłami, miną co najmniej dwie godziny. Podpalmy go! – zawołała Kobieta Lis.

– Masz stos? – zapytał Duch Zaświatów.

– Też mi problem, zbudować stos. – Wzruszyła ramionami.

– Chyba nie myślisz, by mi znów wyciąć pół Lasu Wisielców? Bardzo go lubię i dopiero niedawno odrósł – oświadczył Duch Zaświatów.

Absurdalność tej konwersacji była wręcz nieprawdopodobna. Zachowywali się jak ja na zakupach spożywczych. Żadnej listy, żadnego planu, wrzucanie do koszyka wszystkiego, co wpadnie w ręce... Nie żebym żałował, bo w czasie całej tej przepychanki odpuścili sobie znęcanie się nade mną. Znów przesunąłem się o kilka centymetrów.

– A czemu go po prostu nie wrzucicie do rzeki lawy? – zapytał Duch Zaświatów. – Będzie się mógł ugotować i spalić jednocześnie. Jak coś zostanie, to akurat zdążysz przynieść węże.

Ja pierdołę.

Przez chwilę wymieniali spojrzenia.

– To nie do końca zgodne z tradycją – powiedział Bizon.

– W sumie sam twierdziłeś, że nie przestrzegają tradycji i nie zasługują na tytuł

szamański... Skoro tak, to chyba małe odstępstwo nie zaszkodzi, prawda? I tak tego nie przetrwa.

– Nie ma jaj – orzekł Tykwa.

Gdyby nie to, że starałem się nie zwracać na siebie uwagi, wtrąciłbym się do rozmowy i powiedział, że za to jego jaja są w drewnianej butelce, więc może lepiej niech nie porusza tematu. Zamiast tego znów przesunąłem się o kilka centymetrów.

– Coś mi mówi, że gdy się już ugotuje i będzie obierał z mięsa do usranej śmierci, wszyscy na własne oczy zobaczą, że nie ma odpowiedniej kości – rzuciła Wilczyca, czyszcząc sobie pazury grotem dzidy.

Prawie zacząłem śpiewać hymny pochwalne, gdy usłyszałem łopot skrzydeł.

Sęp opadł na ziemię tuż obok mnie, odpychając Tykwę i Lisicę, którzy byli najbliżej. Chyba nigdy tak się nie cieszyłem na jego widok.

– Co wy odpierdalacie, do chuja? – zapytał z kulturą właściwą starożytnemu bóstwu.

– Mamy prawo udowodnić, że jest uzurpatorem! – oświadczył Bizon.

– Akurat. Doskonale wiecie, że nie podlega wam, tylko Wędrowcowi! – powiedział Sęp.

– Jego też powinniśmy wrzucić do lawy – odparował Tykwa.

– Możecie spróbować, gdy się pojawi. – Sęp nie krył rozbawienia na samą myśl. – Przypomnijcie mi, ilu macie teraz podopiecznych. Który z was miał jakąkolwiek pozytywną inicjację przez ostatnie pół wieku? A on? Kto jest pieprzonym królem tej dzielnicy?

– Pramatka popełniła błąd – stwierdził Bizon.

– Powiesz jej to w twarz? – zapytał Sęp i odpowiedziała mu cisza.

– Czy możemy przestać gadać i wrzucić go wreszcie do lawy? – Kobieta Leopard pokręciła głową z niesmakiem. – Najpierw organizujecie to gównu bez uprzedzenia, mając w dupie, że co roku koniec kwietnia mam zawalony robotą, a teraz jeszcze marnujecie mój czas na głupie gadanie! Miejmy to już za sobą! – krzyknęła, wyrzucając dłonie w powietrze.

– Chodzi wam tylko o kość szamańską? O to czy ją ma, czy nie ma? – Sęp stał wciąż między mną a nimi, z ramionami zaplecionymi na piersi.

Ostrożnie wstałem, czując ból w każdej obitej kości.

– Tak! – warknęła Kobieta Leopard. – Im szybciej, tym lepiej! Ma, to super, wszyscy się myliliśmy, należy do Wędrowca, nic tu po nas. Nie ma: pozwalamy mu szczeznąć na dnie rzeki za marnowanie naszego czasu.

– W ciągu pięciu minut udowodnię, że jest szamanem i ma prawo tu być – oświadczył Sęp.

– Oszustwo go nie uratuje – warknął Bizon.

– Nikt nie zdołałby tego zrobić, nawet Pramatka – zaoponowała Lisica.

– Nie przekona nas nic poza kością, jej nie da się sfalszować – dodała Wilczyca. – Nie zdołasz tego zrobić nawet ty.

– Kość szamańska. Udowodnię, że ją ma, w pięć minut. Bez gotowania i skubania

mięsa, co przecież może potrwać całe dni.

– Głosuję za. – Kobieta Leopard uniosła rękę i poruszyła pazurami. – Nawet jeśli wy jesteście przeciw, nie mamy już jednomyślności, więc albo pozwolicie mu zrobić, co chce, albo powiem Wędrowcowi, co odpierdoliliście za jego plecami. Współcześni ludzie wydają się mieć słabość do kotów. Może gdy was wszystkich załatwimy, podzielimy terytorium po równo? – powiedziała do reszty Przedwiecznych i miauknęła.

W czasie tej przemowy Sęp odwrócił się do mnie i spytał ledwie słyszalnie:

– Ufasz mi?

– Dziś bardziej niż wczoraj, wczoraj bardziej niż dzień wcześniej.

– Czy to wystarczy, byś mi uwierzył, że ból, który cię czeka, to nic w porównaniu z tym, co czekałoby na ciebie w bramce numer dwa?

Zerknąłem na rzekę lawy za jego plecami.

– Nie podoba mi się, że w ogóle zaboli.

– Rozumiem. Naprawdę rozumiem – powiedział i bez ostrzeżenia wbił dłoń w moją klatkę piersiową, aż po nadgarstek, i zaczął gmerać.

Takiego bólu nie doświadczyłem jeszcze nigdy. Sęp przytrzymał mnie drugą ręką. Kiedy zacząłem się osuwać na ziemię, jeszcze mocniej zabełtał mi w bebechach. Gdy dotknął mojego serca, na chwilę się zatrzymało, a potem skurczyło, mocno, nierówno, promieniując nową falą bólu.

– Aj, trochę wyżej – cmoknął Sęp. – To przez tę waszą anatomię, wszystko macie tak ciasno upakowane.

Zimno rozlewało się po całym moim ciele, ból przekraczał znaną mi skalę. Nie myślałem jasno i zacząłem żałować, że nie wybrałem kąpieli w lawie. Miałem wrażenie, że czas zwolnił i to trwa wiecznie, albo że wręcz stoi i ta chwila nigdy nie minie. Sęp nagle zacisnął pięść i szarpnął coś z triumfalnym uśmiechem.

Pozbawiony jego mocnego uchwytu, upadłem do tyłu jak worek kartofli. Przyciskałem ręce do piersi w obawie, że wnętrzności wyleją się ze mnie przez powstałą ranę. Skóra była gorąca, ale gładka. Ani śladu krwi. Ból był tylko koszmarnym wspomnieniem.

– Aj, no tak. – Znów się zmieszał i pomógł mi usiąść.

W dłoni trzymał zakrwawioną kość. Otarł ją o nogawkę dżinsów i pokazał pozostałym. Biała, idealnie gładka, musiała być obojczykiem, ale kiedy pomacałem się po ramionach i barkach, oba obojczyki były na miejscu, więc jeden z nich musiał być podwójny. Pośrodku miała okrągły otwór, wygładzony i obramowany złotem.

– Szamańska kość – powiedziała zaskoczona Kobieta Leopard. – Skąd wiedziałeś, gdzie ją ma?

– Trochę się znamy. Poza tym blefowałem z tymi pięcioma minutami, gdyby nie było jej w klatce piersiowej, szukałbym dalej, mając nadzieję, że to nie jedna z dziesiątków kosteczek dłoni czy stóp. – Wyszczrzył się w nonszalanckim uśmiechu, a Kobieta Leopard odpowiedziała mu zalotnym zmrużeniem oczu.

– To oszustwo. – Bizon szedł w zaparte.

– A ty jesteś idiotą. I jedno z tych zdań jest bez wątpienia prawdą, głosujemy? – zapytał Sęp, unosząc dwa palce w górę. – Albo może Witkacy powie wam, co przez nią

widzi?

Przytknął mi kość do oka. Złożony otwór był jak monokl obejmujący mi oczodół.

I nagle zobaczyłem ich zupełnie inaczej. Zwierzęce maski były tylko kostiumami.

– Jesteście martwi. Wszyscy jesteście chodzącymi trupami. Tylko ja i Sęp żyjemy. Nie będę mediował z trupami, nie mam w zwyczaju tego robić, zwykle pomagam je zakopywać w ziemi i słucham, jak moja przyjaciółka śpiewa dla nich kołysankę wieczystą. Wkurwiajcie mnie dalej, a chętnie wam pokażę, gdzie jest umocowana nić, która trzyma was w kupie. Może Pramatka będzie mi miała za złe zniszczenie jej starych zabawek, ale znów wyrzucę kilka szóstek i wygram dla siebie rozgrzeszenie – powiedziałem ze złością.

– Ładnie powiedziane! – zawołał Wędrowiec, który właśnie ten moment wybrał, by pojawić się z Jaskółką u boku. No tak, nie miał skrzydeł i dostanie się tu mogło mu chwilę zająć. Odszczeakałem w myślach wszystko, co miałem mu powiedzieć na temat składania czczych obietnic.

Podszedł niespiesznie do Przedwiecznych. Miał na sobie koszulkę z napisem „Drużyna Babci Pająk i Człowieka Pajaka”, pod którym widniał wizerunek Spidermana. Przez ramię przewiesił białego stratocastera na szerokim, tkanym pasie. Ujął go w dłonie i zagrał pierwsze akordy. Spodziewałem się cichego, stłumionego brzmienia, skoro gitara nie była podłączona do pieca, ale najwyraźniej tu wystarczyły magia i geniusz, by wydobyć z instrumentu dźwięk tak głośny, że pojedyncza nuta kilka sekund wybrzmiewała w kościach.

– Tolerowałem was, panowie i panie, bo mama uczyła mnie szacunku dla starszych, ale naszczaliście mi do ogródka...

I zagrał, palcem w szklanej tulejce dociskając struny do gryfu. Nie rozpoznawałem konkretnej piosenki, to była raczej wściekła improwizacja i surowe emocje. Dominował w niej powracający rytmicznie wysoki dźwięk pojedynczej struny. Brzmiał jak odliczanie.

Zaroilo się od duchów. Były wszędzie, jakby wypłynęły spod ziemi, spłynęły z niebios, zmaterializowały się w oddechach. Z każdą nutą, z każdym szarpnięciem struny stawały się bardziej i bardziej namacalne, a szczegóły ich wyglądu wyraźniejsze.

Rzuciłem wiazanką, orientując się, co widzę. Znałem te duchy! Znałem wszystkie, bo całkiem niedawno odprawialiśmy je z cmentarza czerwonoarmistów. Odsyłaliśmy je tu w przekonaniu, że odchodzą na zawsze, a one tu były! Wydawały się zdezorientowane, tłoczyły się, nie wiedząc, co mają robić.

Wtedy Wędrowiec poszedł na całość. Tylko raz słyszałem, by ktoś tak grał. Gitara przemówiła nagle milionem języków, mocne uderzenia rozbrzmiewały wybuchami i seriami strzałów, w ciągu minuty udało się wyczarować całą grozę wojny, całą wściekłość, beznadzieję, porwane strzępy hymnów państw, które rzucały w siebie żołnierzami jak dzieciaki piłką podczas gry w dwa ognie. Słyszałem w muzyce Wędrowca krzyki i zwierzęce zawodzenie mordowanych. Pod powiekami rozkwitły mi wybuchy bomb i napalnu.

Z każdą minutą w duchach czerwonoarmistów coś się zmieniało, rosła w nich

agresja, aż przez monokl szamańskiej kości widziałem ją jako czerwoną chmurę, otaczającą ich ciała – zbyt materialne, bym czuł się bezpiecznie. A gdy dźwięki zlały się w ścianę furii, duchy rzuciły się na Przedwiecznych jak wygłodniałe pitbulle. Ci odpierali ataki, lecz przy tej liczbie czerwonoarmistów byli bez szans. W skłębionej masie wściekłych duchów widziałem żółte opary strachu i krew – całkiem realną.

Wędrowiec urwał nagle i przytrzymał dłonią struny, wyciszając ostatnie dźwięki. Spodziewałem się, że duchy odpuszczą, ich gniew odpłynie, kiedy przestaną go podsycać wściekle riffy, ale nic takiego nie zaszło. Walczyły ze sobą, walczyły z Przedwiecznymi, wycie i krzyki wypełniały uszy grozą.

Wędrowiec zdawał się to ignorować.

– No, cieszę się, że zdążyłem. Nie poturbowali cię za bardzo? – zapytał z rzeczywiście zainteresowaniem.

Wzruszyłem ramionami, bo w obliczu horroru, który miałem przed oczami, wszystko, czego dziś doświadczyłem, wydało mi się dziwnie błahe. A przecież chwilę wcześniej Sęp gmerał mi w klatce piersiowej! Czy to jest właśnie spaczona perspektywa?

Mój duch opiekuńczy stał obok, milcząc. Również wpatrywał się w rozwścieczone kłębowisko. Widok mroził krew w żyłach – jakby ktoś do okopów wypełnionych zrozpaczonymi i zdesperowanymi ludźmi wpuścił gaz likwidujący hamulce i budzący agresję. Duchy zgubiły ostatecznie człowieczeństwo. Były piekielnymi bestiami łaknącymi krwi. I sięgały po nią, tak jak po energię i magię Przedwiecznych. Ci jeszcze się trzymali, ale ich zasoby nie były nieskończone.

– Zaraz się nimi zajmiesz – powiedział Wędrowiec, widząc, co mnie rozprasza. – Na czym stanęliście, zanim się pojawiłem?

Sęp uniósł z dumą moją kość szamańską. Trzymał ją jak relikwie.

– Fantastycznie – rzekł Wędrowiec. – No, to teraz powinienem cię zapytać, czy zniosłeś jajo, w którym będziemy ją przechowywać – dodał z ironicznym uśmiechem.

– Pomyślałem, że dam sobie spokój z tym całym znoszeniem jaj. W dwudziestym pierwszym wieku wypada mieć odrobinę godności. Ale mam coś innego. – Z torby na ramieniu Sęp wyciągnął drewnianą rzeźbę, tę, nad którą pracował od wielu dni. Była jeszcze bardziej misterna, niż kiedy widziałem ją ostatnio. Kruche, filigranowe dekoracje i ażurowa forma przywodziły na myśl jajko Fabergé. Miało może dwanaście centymetrów wysokości i z osiem średnicy. Płynnym ruchem otworzył je jak matrioszkę – w środku była niewielka przestrzeń, do której włożył kość.

– Musi cię lubić – powiedział Wędrowiec, oglądając misternie wykonane opakowanie.

– Nie powiedziałbym – mruknąłem.

– Nie okradł cię. Nie oszukał. Nie spalił ci domu, nie uwiódł córki. Nadstawia dla ciebie karku. I zrobił dla ciebie to cudencko. Ja bym powiedział, że to dość jednoznaczne sygnały.

Może miał rację. Ale wciąż nie byliśmy na etapie, by sobie takie rzeczy mówić wprost. Może po litrze bimbru na głowę, zaraz po tym, gdy czarne światło rozпали się pod powiekami.

– W sumie dobrze, że to jednak nie była piszczel, cała ta misterna robota wzięłaby

w łeb – powiedziałem.

Sęp się tylko uśmiechnął tajemniczo.

– Doskonale. Dopilnuj, by trafiło do świątyni, jeśli Witkacy przejdzie próbę – oświadczył Wędrowiec, oddając mu jajo.

– Jeszcze jedną? Serio? Od tygodnia nic innego nie robię, tylko przechodzę próby – warknąłem.

– Udowodniłeś, że masz wszystkie dwanaście cnót, dla których żyją Pierwsi i ich potomkowie – powiedział Wędrowiec, odginając jeden palec. – Dowiodłeś, że jesteś szamanem, skoro masz szamańską kość. Jesteś prawie u celu.

– Czego mam teraz dowieść? Że umiem żonglować gęsiami? – zachnąłem się.

– Że sobie z nimi poradzisz. – Kiwnął głową w stronę kłębowiska duchów.

– Już raz sobie z nimi poradziłem – powiedziałem niepewnie.

– Wtedy opanowałeś ich z Harfiarką u boku i Sępem jako skrzydłowym. Ale muszę wiedzieć, że gdyby ich zabrakło – co jest możliwe, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ilu wrogów ma Sęp – to sobie poradzisz.

– Poradzę sobie? – bardziej zapytałem, niż stwierdziłem.

– Jeśli nie, lawa wciąż czeka – odparł i nie miałem pewności, czy to był żart.

Jaskółka podała mi bęben, którego nie zdążyłem zabrać z chaty Babci Pająk.

Naprawdę oczekiwali, że podołam, więc postanowiłem dać sobie szansę. Chciałem mieć to wszystko już za sobą. Chciałem, by mieli rację. A przede wszystkim chciałem wrócić do domu. Zamknąłem oczy, bo widząc rozwścieczone twarze duchów, nie byłem w stanie odnaleźć w sobie choćby okruszyny spokoju. Uderzałem w bęben powoli, szukając w głowie melodii, która mogłaby wyrażać spokój, wręcz błogostan. I w pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że te uczucia właściwie są mi obce. Nie byłem prawdziwie spokojny od lat, a pozory wyciszenia były raczej melancholijnym wyczekiwaniem katastrofy, wstrzymywaniem oddechu przed potencjalnym wybuchem. Szukałem w pamięci, ale ostatnie błogie chwile, jakie mogłem sobie przypomnieć, były oddalone o trzydzieści lat.

Przez chwilę wystukiwałem jakiś dziecięcy rym, ale czułem, że to nie działa. Uniosłem powieki – stanowczo nie zdobyłem ich uwagi. To się nie uda. Szyba między nami za chwilę rozsypie się w proch i gdy skończą z Przedwiecznymi, rzucą się na nas. Wyssa mnie przez słomkę.

– Witkacy – usłyszałem szept Sępa. – Skoncentruj się na tu i teraz. Nie myśl o przyszłości, nie snuj katastroficznych wizji. Myśl, czego potrzebujesz, by złamać ich wzór.

– Potrzebuję spokoju, ale nie mam pojęcia, co to znaczy – odpowiedziałem, gubiąc rytm.

– Niewielu z nas wie. Ale nie tylko spokój jest po drugiej stronie skali. Myśl – szeptał gorączkowo.

Czułem, że chciałby powiedzieć więcej, ale Wędrowiec władczo opuścił dłoń na jego ramię i ścisnął palce. Niewypowiedziana groźba.

I nagle zrozumiałem – druga strona skali. Przecież każdy potwór ma przeciwnika. Godzilla i King Kong. A przeciwieństwem gniewu był nie tylko spokój.

Zacząłem wystukiwać powolny rytm, nasycając wyłaniającą się spomiędzy uderzeń melodię całą melancholią, jaką w sobie miałem. Starczyłoby jej na zbudowanie cholernie wielkiego potwora. Może dlatego, mimo wszystko, dobrze się z Sępem rozumieliśmy. Może dlatego czułem potrzebę, by go bronić, nawet jeśli był dupkiem. Gromadziłem w sobie ten smutek przez lata – jako wyrzutek, samotnik, obcy, inny, prawie wariat, opuszczony, przekonany o własnym szaleństwie, odgradzony tajemnicą nawet od najbliższych. Obrazy wypływały z moich wspomnień, a ja tkąłem z nich smutną opowieść, uderzając w bęben pałką, kciukiem i palcami drugiej dłoni, mrużąc i gwizdząc, pozwalając sobie na improwizację, skupiony na wspomnieniu ciemności podtapiającej mi duszę, smutku, który odbierał nadzieję, powracającą depresję z jej ciężkim, smoczym cielskiem, dociskającym mnie do łóżka i uniemożliwiającym wstanie. Leki na mnie nie działały, podobnie jak narkotyki, w których szukałem ucieczki. Przypomnił mi się głośny, chrapliwy oddech śmierci i mój własny jęk w czasie bezsennych nocy, kiedy wydawało mi się, że jest tylko jeden sposób, by uciszyć upiory, duchy i demony wykrzykujące mi w twarz swoją wściekłość. Wszystko to wróciło jak wiosenna fala podtopień, gdy puszczają lody. Pustka w środku, żarłoczna i nienasycona pochłaniała kolejne obrazy, ssanie doprowadzało mnie do rozpaczy. Świt nie nadejdzie...

Odpląnąłem tak daleko, że nie wiedziałem, czy zdołam wrócić. Chyba wciąż grałem, choć równie dobrze mogłem kiwać się skulony na podłodze w swojej łazience. To prawie zawsze jest łazienka, prawda? Jak chore zwierzę uciekasz do najmniejszego pomieszczenia i przez chwilę myślisz, że może zdołasz się schować, ale błędne spojrzenie trafia na lustro i widzisz swoje odbicie, z ciemnymi jamami zamiast oczu, z wykrzywionymi ustami, i wiesz, że to nie minie, to nigdy już nie minie, a ty jesteś tak bardzo zmęczony, tak bardzo pozbawiony sił...

Czasami udaje ci się nawet wyjść z domu, po heroicznym dwóch godzinach wstawania z łóżka. Myślisz, że może poprawi ci się tam, między ludźmi, na słońcu. Że normalność jest zaraźliwa i ktoś na ciebie kichnie. Ale tak się nie stanie. Jest jeszcze gorzej, bo dociera do ciebie, jak bardzo nie pasujesz do świata.

Ból w piersi narastał. Może dostawałem zawału, ale nie potrafiłem się tym przejąć.

– Witkacy, już dość. Teraz musisz to wypuścić – usłyszałem pełen troski szept Sępa.

Jak to wypuścić? To była część mnie. Wrosnięte we mnie rakowe guzy, które już dawno rozsiały przerzutami... jak kryształki lodu, które pochłaniały cząsteczki wilgoci w sąsiednich komórkach i zamrażały mnie od środka. Dygotałem z zimna.

– Puść – powtórzył cicho i położył mi dłoń na karku, tak cholernie gorącą. – Kotwica. Pamiętaj o kotwicy – szeptał.

Kotwica? Przypomniałem sobie czerwony kamień. Jaspis. Konstancja. I Kurczaczek. Węzeł w środku puścił. Ból się cofał. Nie, on mnie opuszczał. Wychodził ze mnie z każdą nutą, w powolnym, przygnębiającym rytmie.

– Sam zobacz – znów szept Sępa.

Otworzyłem oczy.

Szaleństwo minęło. Już się nie szarpali, nie próbowali wydłubać sobie oczu, poprzegryzać gardła. Nie żywili się energią Przedwiecznych. Gdybym ich zaprowadził na

most, skakaliby jeden za drugim, aż zbudowałiby ze swoich ciał tamę, która wstrzymałaby bieg rzeki. I czułem się z tym źle – nie chciałem ich tak zostawić, nawet jeśli spełniłem wymóg Wędrowca i uspokoiłem hałas.

Zacząłem wystukiwać melodię starego bluesa. Jednego z tych, w których choć serce złamane, czas ruszyć w drogę, bez żalu, bo tak już w życiu jest, że nie możesz mieć wszystkiego. Ale kto wie, co czeka cię za kolejnym zakrętem, w kolejnym mieście, barze, w ramionach następnej ślicznotki o sercu ze złota.

Daleko im do entuzjastycznej radości, ale może nie poprzegryzają sobie żył w najbliższym czasie, pomyślałem, kiedy zaczęli się rozpraszać, odchodzić w większych i mniejszych grupkach, by po kilkunastu metrach rozpląnąć się w powietrzu.

Wędrowiec zaklaskał z zadowoleniem.

– To było mocne, Witkacy. Czujesz bluesa, zaliczone! Sępie, możesz zanieść jego kość do świątyni. Od dziś będziesz miał łączność z Zaświatami, a brama będzie ci posłuszna, bo rozpozna w tobie jednego z nas – powiedział, po czym zwrócił się do poobijanych Przedwiecznych: – Tak się to robi, oferry. Podziękujcie koledze za miłosierne skrócenie wam kary.

Nie odpowiedzieli. Lisica i Wilczyca wciąż tuliły się do siebie, drżąc z zimna. Kobieta Leopard owinęła się ciaśniej futrem i gdybym obiecał, że wymażę z jej pamięci ostatnią godzinę, jeśli tylko poderżnie gardła pozostałym, zrobiłaby to bez wahania. Tykwa – jako jedyny był bez ubrania, więc na jego nagiej skórze widniały liczne ślady pazurów i zębów – wyglądał na pobitego. Bizon nie. Wściekły, pokonany, ale nie pogodzony z klęską, zaciskał pięści na drzewcu dzidy, którą wcześniej próbował odganiać duchy. On wciąż z nami nie skończył, ale ja nie miałem już siły na dogrywkę.

Wstałem, zeszywniały i obolały.

– Możemy już wracać na ziemię i mieć to z głowy?

– Jeszcze kilka minut formalności i będziesz wolnym człowiekiem, Witkacy – zapewnił Wędrowiec.

Wszystko stało się tak niespodziewanie, że nawet nie pamiętam, czy krzyknąłem, gdy stalowy grot dzidy przebił Sępa i impet tego uderzenia posłał go w powietrze, prosto w nurt płonącej lawy. Rzuciłem się za nim, Jaskółka też, ale nie mieliśmy szans. W ułamku sekundy ciało z pluśnięciem wpadło do rzeki. Jaskółka płynnie zmieniła się w swoją ptasią formę, większą od tej, którą widziałem, i schwyciła Sępa za włosy, unosząc mu głowę nad lawą i przytrzymując, by prąd nie zniósł go dalej, ale nie miała dość siły, by go wydostać. Klęcząc na brzegu, wyciągałem ręce najdalej, jak mogłem, i prawie zdołałem dosięgnąć obutej w mokasyn stopy. Przesunąłem się jeszcze trochę, zaciskając zęby, gdy żar wgryzał mi się w prawe kolano. Nagle zachwiałem się i pewnie wpadłbym na twarz w lawę, ale ktoś złapał mnie za koszulę na plecach i przytrzymał. Wygiąłem się jeszcze mocniej i zdołałem przyciągnąć Sępa do brzegu z wydatną pomocą Jaskółki.

Wydostaliśmy go na ląd. Na dłoniach wyskoczyły mi pęcherze, ledwie dotknąłem jego ramion. Gdyby nie miał na sobie ramoneski, pewnie wypaliłoby go do kości, ale nawet skórzana kurtka nie dawała całkowitej ochrony – lawa poparzyła mu plecy i ramiona, z brzucha sterczała dzida.

Obejrzałem się przez ramię na Bizona.

– Stała się wola Praojca – powiedział z zadowoleniem.

– Nie pierdol, zawistny sukinsynu. Sęp miał dość jaj, by zagrać z Praojcem o swoją duszę i życie. Wygrał. Nie zwalaj na Praojca swoich zbrodni.

– On mnie osądzi – powiedział z pewnością siebie, za którą chciałem mu obić głowę.

– Dopilnuję, by tak się stało. Niech cię szlag za to, co zrobiłeś – powiedziałem mściwie.

I wiedziałem, że przyjdzie czas, kiedy go dopadnę. Ale teraz miałem większe zmartwienie. Sęp był nieruchomy, dziwnie sztywny, nie jęczał i nie marudził, choć poparzenia i rany musiały go boleć. Miałem gorącą nadzieję, że żyje, ale nie było ku temu żadnych przesłanek.

– Musisz usunąć grot – powiedziała Jaskółka. Klęczała naprzeciwko mnie.

– Wykrwawi się – odparłem. Na kursie pierwszej pomocy uczyli mnie, że usunięcie ciała obcego to gwarancja krwotoku, i tamponada to jedyna szansa, by ranny dożył operacji. Ale jak, u diabła, Sęp miał tu trafić na stół operacyjny?

– To dzida Przedwiecznego, jego magia. Ja nie mogę jej dotknąć, Sęp też nie. Ale ty żyjesz, ciebie ta magia nie zabije, nie wydrenuje – zapewniła.

Zerknąłem na Wędrowca – jedynego względnie współczesnego mi człowieka – a on skinął głową. Jego twarz nie wyrażała emocji.

Uniosłem delikatnie Sępa i pomacałem go po plecach. Wyczułem grot w lewym boku. Wszedł nieco ukosem, przeszywając ciało niemal na wylot, więcej niż połowa ostrza była widoczna przez wypalone dziury w kurtce i T-shircie.

– Daj mi maczetę – powiedziałem do Kobiety Leopard, która stała kilka kroków dalej. Zawahała się, lecz wykonała polecenie. Ręka zamrowiła mnie od magii. – Przytrzymaj tu, by grot nie rozszarpał ciała jeszcze bardziej. – Wskazałem Jaskółce miejsce, gdzie ostrze osadzało się w drzewcu. Nie chciałem wyciągać dzidy, by nie narobić jeszcze więcej szkód, ale przeciąganie całej przez ciało stałoby się torturą. Gdyby to była strzała, moglibyśmy ją ułamać, jednak nie miałem dość krzepy, by ułamać kij gruby na dwa palce.

Potrzebowałem trzech czy czterech uderzeń maczetą, by przeciąć drąg. Oddałem broń Kobiecie Leopard, która bardzo ostrożnie przejęła ją z moich rąk. Czułem, że powietrze wokół nas gęstnieje, ale nie miałem czasu na rozglądanie się i ocenianie, jak układają się linie demarkacyjne. Bizon nie działał w próżni. I choć Sęp miał tu wielu wrogów, tym razem byłem absolutnie pewien, że Bizon nie zaatakował go z zemsty za jego przewinienia. Zrobił to z mojego powodu. Chciał powstrzymać Sępa przed dostarczeniem mojej kości szamańskiej do świątyni. Pragnął ją zniszczyć, a tym samym usunąć dowód, że mam prawo tu być.

A Sęp, nawet w tym stanie, zawieszony między życiem a śmiercią, ścisnął jajo w poparzonej dłoni. Wydawało się nienaruszone, jakby delikatne filigrany z drewna były znacznie odporniejsze od skóry i kości.

Oczyściłem końcówkę kija z luźnych drzazg, przekręciłem Sępa na bok i poprosiłem Jaskółkę, bo go przytrzymała. Gdy to zrobiła, złapałem grot i pociągnąłem, drugą ręką przepychając końcówkę drzewca.

Gdy zdołałem go wyjąć, Sęp nagle łapczywie zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw, których nie powstydziliby się najstarszy wilk morski. Zważyłem grot w dłoni, wciąż czując obecną w nim obcą magię. Wbrew pokusie nie wyrzuciłem go do lawy, ale zatknąłem za pasem na plecach. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się broń pochłaniająca magię Przedwiecznych.

W lepszym świecie samo wyciągnięcie grotu powinno sprawić, że Sęp zacząłby się błyskawicznie goić, usiadłby, nonszalancko poprawił włosy i powiedział, że zmywamy się stąd, bo piwa za ciepłe, a gospodarze zimni. To jednak nie był dobry świat.

– Zrób coś, do cholery – powiedziałem do Wędrowca, który kucał obok i tylko patrzył na pobladłą z bólu twarz Sępa.

– Nic nie mogę zrobić. Nie umiem uleczyć takich ran. Gdy była moja kolej, wybrałem pumę – powiedział i zawiesił głos przy ostatnich słowach, jakbym miał domyślić się reszty.

No tak, ja wybrałem Brata Niedźwiedzia. Powinienem móc go wezwać, prawda? Co powiedział? Przyjdę, gdy będziesz mnie potrzebował? No więc potrzebowałem go jak cholera.

Modliłem się cicho, by mnie usłyszał.

Głuchy ryk rozszedł się w powietrzu jak fala uderzeniowa. Przedwieczni cofnęli się z respektem, gdy rozległy się donośne tąpnięcia. Brat Niedźwiedź najwyraźniej rozwijał tylko dwie prędkości – niespieszny spacer i pęd godny oddziału kawalerii. Nie miałem nic przeciwko. Ogromna góra futra, mięśni i tłuszczu zbliżała się jak kula armatnia. Wyhamował kilka metrów od nas, całym swoim ciężarem wpadając na Bizona. Gdyby przyszło mi zeznawać w sądzie, powiedziałbym, że to był przypadek. I nawet bym się nie zająknął, że w ostatniej chwili lekko odbił w lewo, by go trafić, ani o pełnym satysfakcji mrugnięciu. Nie poświęcając Przedwiecznemu więcej uwagi, podszedł do mnie i powąchał powietrze wokół.

– Krwawisz, mały bracie.

– Nie przejmuj się mną. To on jest w kiepskim stanie. – Pokazałem palcem Sępa.

Brat Niedźwiedź prychnął zdegustowany. Ciężko stąpając, podszedł do jęczącego i krwawiącego Sępa, powąchał go, dosłownie, wsadzając nos w ranę w brzuchu, posapał i parsknął, po czym powiedział:

– Możesz się go pozbyć. Wystarczy, że nic nie będziesz robił. Do pół godziny będzie trupem.

– Nie chcę, by był trupem! Nie wezwałem cię po to, byś obwieszczał zgon. Jesteś Bratem Niedźwiedziem, czy nie powinienes go uleczyć? – zapytałem.

– Mogę. Ale to bardziej skomplikowane. Nie mieliśmy czasu o tym porozmawiać, a muszę ci wytłumaczyć kilka rzeczy. Może zaczniemy od następnego, a temu tu pozwolimy umrzeć?

Sięgnąłem po bęben. Obróciłem go, by połówka ze znakami Brata Niedźwiedzia znajdowała się po prawej stronie, i zacząłem uderzać w membranę palcami. Nie wiedziałem, jakie są melodie uzdrawiania, nigdy się nad tym nie zastanawiałem, nie nadałem żadnej takiego znaczenia. Z tego, co czytałem, jeśli włożyłbym w to odpowiednią ilość magii, leczyć mogła nawet piosenka *Panie Janie*, ale nie miałem czasu,

by nasycić muzykę magią.

Więc wystukiwałem najprostszy rytm świata. Puk-puk, puk-puk, puk-puk. Rytm zdrowego serca.

– Nie wiesz wszystkiego, mały bracie – powiedział Brat Niedźwiedź.

– Nie wiem i nigdy nie będę wiedział. Ale jestem pewien, że chcę, by on żył.

Brat Niedźwiedź pokiwał głową, ale wciąż nic nie robił.

– Wezwałem cię, gram dla ciebie, czy potrzebujesz jeszcze podania ze zdjęciem i wyciągu z rachunku w Kasie Chorych? Czy nawet w Zaświatach najpierw sprawdzają ubezpieczenie, zanim zaczną leczyć? – warknąłem.

– Charakter to czy impertynencja? – zapytał Brat Niedźwiedź, wyraźnie rozbawiony.

A mnie puściły hamulce.

– Zmęczenie, Puchatku. Zostałem pobity, zastraszony, wybebeszony, a potem wywlekłem z samego dna piekła całą swoją melancholię, by nakłonić tysiąc duchów do samobójstwa. Cały czas byłem uprzejmy i wcale nie pyskowałem. Nawet raz nie nazwałem tych tam – wskazałem głową Przedwiecznych, którzy obserwowali moje wysiłki, bez wątplenia licząc, że mi się nie uda – żalonymi ścierwami wyżywającymi się na słabszych. Świat się zmienił, magia wraz z nim, a oni nie nadążają. Nawet nie zająknąłem się o tym, że mnie kusiło, by poczekać z uspokojeniem duchów do czasu, aż nie będzie z nich co zbierać. Ani nie wytknąłem im, że zabrali ze sobą broń, a nie instrumenty, co dowodzi, że raczej nie są zbyt aktywnymi szamanami, nie? W przeciwieństwie do Wędrowca.

Poczułem się lepiej, gdy im to wygarnąłem. Odetchnąłem i znów zacząłem wystukiwać rytm bijącego serca.

– No tak, miło z twojej strony, że nic nie powiedziałaś. To takie kruche stworzenia. Łapą pacnąć nie możesz, bo łamią się jak zapalki. Prawdy im nie powiesz, bo zwiną się w kacie, szlochając – skomentował, trzęsąc się od tłumionego śmiechu. – Musisz wiedzieć jedno: źródło magii uzdrawiania nie jest bez dna. Odnawia się, ale powoli. To znaczy, że nie mogę uzdrowić jego i ciebie. Musisz wybrać.

– Nic mi nie jest. Siniaki się zagoją.

Kiwnął głową.

– I musisz wiedzieć, że oddajesz mu kawałek siebie, część swojej energii. Ja jestem tylko katalizatorem. To wiąże. Nie rób tego z obcymi czy tymi, których nie darzysz szacunkiem.

– Dobra, nie traćmy czasu – pospieszyłem go.

– Więc skup się na intencji. Graj, a ja pokieruję magią.

Uderzałem mocno, aż rozbolała mnie ręka. Poczułem szarpnięcie mocy i ciepło promieniujące od Brata Niedźwiedzia. I przepływ. Jakbym stał w przeciagu, a wiatr unosił firankę, tak że otulała mi głowę swoją miękkością i cichym szelestem. Ciepła dłoń dotykała mojego mózgu, a włoski na skórze stawały dęba.

Grunt uciekł mi spod nóg, uderzyłem o ziemię plecami i potylicą.

– Dość. Nie masz więcej, by oddać – powiedział Brat Niedźwiedź.

– Starczyło? – zapytałem słabym głosem.

– Jest w nie gorszym stanie niż ty. Czyli obaj jesteście w kiepskim, ale przeżyjecie.

Gdy usiadłem, masując tył głowy, widziałem jeszcze jego masywną, falującą przy każdym kroku sylwetkę, gdy niespiesznie zniknął za drzewami.

Jaskółka pomogła wstać Sępowi, mocno przytrzymując go w pasie. Rany po grocie zniknęły, ale wciąż był blady, a po skroniach spływały mu krople potu. Chciał przykozać, ale po kilku sekundach samodzielnego stania przyjął pomoc Jaskółki z wyraźną wdzięcznością.

– Możemy już wracać? – zapytałem cicho, wciąż siedząc na ziemi. Nie wiedziałem, czy nie wstanę tylko po to, by zaraz znów się przewrócić, a nie chciałem dawać Przedwiecznym satysfakcji.

– W tym stanie nie przetrwacie podróży. Rano osobiście odprowadzę was do bramy, obiecuję – zapewnił Wędrowiec.

Skinąłem obolałą głową. Wędrowiec wyciągnął rękę i pomógł mi wstać.

Gdy mijaliśmy grupkę posępnie milczących Przedwiecznych, zapytałem mojego mentora:

– Mówiłeś, że jak bardzo są tu potrzebni? Może Pramatka mogłaby zastąpić ich nowszymi modelami, które mają mniej uprzedzeń?

– Porozmawiam z nią o tym. Niektóre modele stanowczo nadają się już tylko do wymiany – odparł, podchwytyjąc ton.

Gdy odchodziliśmy, grot wciśnięty za pasek spodni wydawał się rozgrzewać, ale po kilku kolejnych metrach to wrażenie minęło.

Rozdział 23



Dotrzymał słowa i zabrał nas do bramy. Tyle że oczywiście był jeszcze jeden, mały problem. Zawsze jest jeszcze jeden problem.

Po nieprzespanej nocy miałem w sobie dobre dwa litry leczniczego wywaru, Sępowi musiało się już nosem przelewać, ale Babcia Pająk była nieustępliwa i w czasie imprezy absolwentkiej dolewała nam go nieustannie. Siedzieliśmy przy ognisku, opierając się ciężko o pień zwalonego drzewa, nie mając siły na rozmowy, tańce czy śpiewy – czyli czynności, którym wioska Pierwszych oddawała się z upodobaniem. Wyglądało na to, że moje dopełnienie inicjacji było głównym powodem tej fety. Prawie wszyscy mi gratulowali i nawet wobec Sępa zachowywali się z minimalnie większą dozą kultury osobistej. To znaczy, że rzucali mu nieprzyjemne spojrzenia, ale nikt nie spluwał na jego widok.

Orła nigdzie nie widziałem. Miałem nadzieję, że Sęp załatwił go na dłużej.

Owinięty w gruby koc, słuchałem, jak Babcia Pająk opowiada historię o moich próbach. Przedstawiała je niczym wielkie czyny z bohaterskich mitów, tak jakby nikt poza nią nie uczestniczył w większości minionych wydarzeń i nie znał wypadków z ostatnich dni. Może nie znał. Sam byłem zaskoczony więcej niż raz. Dobra narracja naprawdę buduje legendę.

Moje zaprzeczanie, jakobym był bohaterem, wzięto za przejaw skromności – uznawanej za pierwszą cnotę. Dla mnie to był brak urojeń. Próba krwi, potu i łez potwierdziła moją wytrwałość, miłość i zdolność do poświęcenia. Szacunku dowiodłem, słuchając Babczi Pająk i pomagając jej przy przygotowaniu posiłku. Honorem wykazałem się, bo nie uciekłem, choć więcej niż raz miałem taką możliwość. Prawdzie oddałem hołd w szalacie potów. Odwagę i współczucie przetestował wilk w sekwojowym lesie. Szczęście trzymało się mnie w czasie hazardowej gry o duszę Sępa. Z mojej hojności, zdaniem Babczi Pająk, najczęściej korzystał Sęp. A mądrości dowiodłem, wybierając Brata Niedźwiedzia.

Przez większość czasu nie miałem pojęcia, że poddają mnie testom i liczą punkty, i tylko dzięki temu zdałem ten egzamin. Może jeszcze dlatego, że egzaminatorka odpowiedzialna za odhaczanie zadań naprawdę mnie lubiła i chciała, bym je zaliczył. Kolejny dowód na moje szczęście.

Moja kość, umieszczona w dekoracyjnym jaju, spoczęła w świątyni, przez co już oficjalnie mogłem się tytułować szamanem. Został jeszcze tylko jeden drobny szczegół.

Mianowicie imię.

Przez pół godziny zabawiali się wymyślaniem mi prawdziwego indiańskiego imienia. Może Niezbyt Lotna Strzała? Blade Oczy? Wolno Przesuwająca się Chmura, skoro tyle mi to zajęło? Słaby Promyk? Wszystkie wydawały im się nieskończenie zabawne i doświadczyłem widoku Pierwszych tarzających się ze śmiechu wokół ogniska. Widząc, że nie bawią mnie ich żarty, przerzucali się kolejnymi propozycjami uwłaczających imion.

Nie komentowałem. Nie miałem siły. Sęp również musiał być wykończony, skoro przegapił moment, by sobie ze mnie zadrwić.

– Nie potrzebuję nowego imienia – powiedziałem spokojnie, gdy ich śmiechy ucichły. – Jestem Witkacy. To w zupełności wystarczy.

– To twoje ludzkie imię. Musisz mieć jeszcze szamańskie – zaprotestowała Biała Muszla.

– Moje ludzkie imię to Piotr Duszyński. Witkacy to przydomek, wynikający właśnie z tego, że jestem szamanem.

– Co to znaczy w języku twoich ludzi? – zapytała Babcia Pająk.

– To przydomek szamana żyjącego wcześniej. Wielkiego artysty, geniusza, który całe życie szukał schodów i bramy, ale nie zdołał ich odnaleźć.

– Tobie też to trochę zajęło. Ale jednak ci się udało – odparła Babcia Pająk i znów dołała mi wywaru leczniczego.

– Nie wiadomo, czy brama przyjmie takie imię – powiedziała Biała Muszla z wyraźnym powątpiewaniem. Może w jej opinii imiona bez przymiotnika czy przydawki się nie liczyły. Jeśli tak, zostanę Witkacym, Który Ma Wyjebane.

Świt zastał nas wciąż siedzących przy ognisku. Podobno zgodnie z tradycją w noc po inicjacji nikt nie kładł się spać. Ostatnim razem, kiedy ktoś pilnował, bym nie zasypiał, byłem w szpitalu. Miałem wstrząśnienie mózgu i kiedy otwierałem oczy, widziałem Konstancję. Teraz widoki były znacznie mniej przyjemne.

Wędrowiec pojawił się wraz z pierwszymi promieniami słońca. Odprowadził nas do bramy, która teraz wydawała się całkiem niedaleko. Może nie tylko czas płatał tu figle.

Wrota były zamknięte szczelnie.

– Musisz je otworzyć – powiedział Wędrowiec.

– Jak?

– Powiedz swoje imię. Zaświaty je przyjmą lub nie. To jedyny sposób, by sprawdzić, czy więź między tobą a krainą jest kompletna.

– Witkacy – powiedziałem głośno i dotknąłem bramy otwartą dłonią.

Przez kilka długich sekund nie działo się nic. Potem na bramie i framudze zaczęły rozbłyskiwać inne imiona, przesuwwały się, aż zrobiło się wolne miejsce. Ogniste litery ułożyły się w moje imię, a ja poczułem ulgę tak potężną, że prawie zacząłem szlochać. Chciałem już wrócić, tak bardzo chciałem wrócić do domu.

Skrzydło bramy uchyliło się, a powietrze zaśniło błękitem eteru. Po drugiej stronie stał nasz komitet powitalny.

Harfiarka uśmiechnęła się szeroko do nas obu i powiedziała:

– No, chłopcy, słyszałam, że potrzebujecie wsparcia moralnego, by na schodach

nie paść na pyszczki.

– Nigdy aż tak się nie cieszyłem na twój widok – odparł Sęp.

– Widać nabrałeś rozsądku – odpowiedziała i wyciągnęła ręce w naszą stronę.

Schodziliśmy po schodach jak przedszkolaki prowadzone przez opiekunkę. Może niezbyt chwalebny moment, ale miałem to gdzieś. Wracalem, nareszcie wracałem.



Są dni, kiedy nie tyle się budzisz, co zmartwychwstajesz. Przynajmniej tak ci się wydaje, bo – prawdę mówiąc – nie masz porównania. Ja już miałem. Zmartwychwstanie boli dużo bardziej. Nawet pomijając wszystkie obrażenia z Zaświatów, to zeszywniałe mięśnie, a także serce, które potrzebowało chwili, by złapać właściwy rytm, dawały mi do wiwatu.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Wciąż byłem w szkole Nissima, rozpoznawałem pokój, gdzie przeprowadzaliśmy rytuał, ale leżałem na łóżku, na którym wcześniej był Kurczaczek. Teraz nie było jej nigdzie.

– Spokojnie, zaraz się pojawią – powiedziała Harfiarka. – Chyba nie chciałeś, by przez cały ten czas przy tobie siedziały. Musiały jeść, spać, chodzić do pracy i szkoły.

– Ile czasu minęło po tej stronie? – zapytałem zaniepokojony. Spodziewałem się, że minął dzień, może dwa.

– Dwa tygodnie bez jednego dnia.

– Mówiłeś, że czas tam płynie inaczej – powiedziałem z wyrzutem do Sępa.

– Bo płynie. I nie jest na tyle przewidywalny, byś mógł się umawiać na godzinę po którejkolwiek ze stron bramy.

Usiadł z jęknięciem na fotelu, masując bok, jeszcze niedawno przebity na wylot.

– Miałeś gościa. Wysoki, przystojny, stanowczo coś pierzastego – powiedziała Harfiarka. – Chyba jest jednym z nauczycieli w tej szkole.

– Joshua? – zapytałem, bo pasował do opisu.

– Prosił, by ci przekazać, gdy się obudzisz, że Dora złamała obietnicę złożoną Jemiole i jest uziemiona na kilka dni, ale pamięta o sprawie i dom jest pod obserwacją. Zajmiecie się tym, gdy Jemioła zdejmie jej gips i nogę z wyciągu.

Śmiałem się dłuższą chwilę. Nie byłem zaskoczony, że nie wytrzymała i wdała się w jakąś awanturę. Ale miło się było śmiać. Nawet jeśli kosztowało mnie to tyle energii, że koszulka przykleiła mi się do ciała. Powąchałem ją. Była świeża. A ja, choć spędziłem w łóżku dwa tygodnie, nie śmierdziałem specjalnie.

– A tak, przegapiłeś kąpiel z użyciem gąbki. Nawet kilka – powiedziała Harfiarka.

– Konstancja? – zapytałem zawstydzony.

– Wolałbyś Nissima? Nie wydawała się wzdrygać z obrzydzenia – dodała, przeżuając.

Dopiero teraz zauważyłem wielką miche winogron. Urywała po kilka kulek i pakowała je do ust. Nie wierzyłem w przypadki.

– Kurczaczek?

Wiedziała, o co pytam.

– Cała, zdrowa, skruszona. Wykorzystałam ten czas, by przerobić z nią podstawy ochrony kryształami, zaprojektowałyśmy tatuaże – na razie zrobiłam jej hennę. Konstancja się musi zastanowić, czy zgoda na tatuaż zaraz po takim wybryku nie zostanie zinterpretowana jako nagroda.

Wybryku. Dobrze. Nasza córka prawie sprowadziła apokalipsę na miasto. Nikt poza nami nic nie wie, co nie czyni tej wiedzy mniej przerażającą. Musiałem się tym zająć. Przypilnować, by się nigdy więcej nie powtórzyło. A jeśliby miało, że będzie wiedziała, by wołać nas na pomoc, jeszcze zanim sprawy wymkną się spod kontroli. Oczywiście, jeśli Konstancja uzna, że może ryzykować nasze kontakty. Bo przecież to była moja wina. Dobra, Sępa też odrobinę, ale nawet gdyby nie dał jej tej książki i tak prędzej czy później znów wpakowałyby się w kłopoty.

Konstancja miała prawo się na mnie wściekać. Złapałem się na tym, że w myślach przygotowuję mowę obronną, płomienną jak z amerykańskich filmów. Potrzebowałem takiej mocarnej jak ta, która uchroniła O.J. Simpsona od więzienia.



Pakowałem swoje rzeczy, chcąc zbiec do swojego mieszkania, nim Nissim każe mi opłacić czynsz za cały miesiąc, kiedy zauważyłem, że moja komórka zdechła. Albo bateria się rozładowała, albo – co prawdopodobne – usmażyłem ją magią podczas rytuału. Zwykle pamiętałem, by ją wyłączyć, ale nie miałem głowy do takich drobiazgów, umierając ze strachu o Kurczaczka.

Harfiarka spakowała już swoje torby i była gotowa do odjazdu. Obiecała zaglądać do nas, a przede wszystkim do Kurczaczka. Już na odchodnym uściskała Sępa – tak mocno, że aż jęknął i złapał się za pokiereszowany bok.

– Jestem z ciebie dumna. Udowodniłeś im, że się mylili. A co ważniejsze, sam w to uwierzyłeś.

– Taaa, powiedzmy.

– Pracuj nad pewnością siebie. Przyda ci się, gdy Kojot cię odnajdzie.

– Wiesz, że ma ze sobą oba potwory? – zapytał cicho.

Skinęła głową i nie powiedziała nic więcej.

– Będiesz tu, kiedy mnie znajdzie? – wyszeptał.

– Nie wiem. Chciałabym.

To musiało mu wystarczyć.

Zajął mi dłuższą chwilę, nim dotarło do mnie, że nie powiedział „jeśli mnie odnajdzie”, a „kiedy”.

Rozdział 24



Włamanie do szkoły w celach wychowawczych wydaje się pomysłem dość kontrowersyjnym, zwłaszcza gdy zabierasz na akcję swoją ledwie piętnastoletnią córkę. Oczywiście przemknęło mi to przez myśl, kiedy wcześniej tego dnia poprosiłem Kurczaczka, by zostawiła otwarte okno na parterze, od strony szkolnego boiska. Mimo naklejki ostrzegającej, że budynek jest pod opieką firmy ochroniarskiej, wiedziałem, że tyle w tym prawdy, co na etykietach suplementów diety. Oczekaliśmy więc, aż budynek opustoszeje, i wślizgnęliśmy się do środka.

Wziąłem ze sobą bęben, ale nie miałem zamiaru go używać. Ten duch był zadaniem dla Kurczaczka. Wczoraj, gdy zobaczyliśmy się pierwszy raz po moim powrocie, z surową miną oświadczyłem, że nie jestem pod wrażeniem jej poczucia odpowiedzialności w użytkowaniu magii. Bo w magii nie chodzi o oceny (wybacz, Nissimie, jeśli właśnie rozwalilem ci część systemu motywacyjnego) ani o to, że ktoś jest w czymś lepszy. Wszystko sprowadza się do tego, czy ty jesteś najlepszym sobą, jakim możesz być, czy się przykładasz, czy się uczysz, czy ponosisz konsekwencje swoich działań. Wyjaśniłem jej, jak mogła się skończyć inwazja duchów na miasto. Dorzuciłem, że nie tylko ona mogła zginąć, ale i ja. I że nie wiem, czy jako duchy zdołalibyśmy przeprosić Konstancję za ten wyczyn.

Była autentycznie skruszona i rozumiała, jak wielką popełniła głupotę. Wydawała się też czymś przygnębiona.

– Nie pozwolił mi się już uczyć w szkole Nissima, prawda? – spytała cichutko.

I przysięgam, oczy mi się spociły tylko odrobinę. Ale musiałem być twardy.

– Przeciwnie, moja droga. Wygląda na to, że musimy ci nieco dokręcić śrubę. Biorę to na siebie, choć Sęp też zapowiedział, że się będzie angażował.

Patrzyła na mnie niepewnie, nie rozumiejąc, do czego zmierzam.

– Duch w szkole. Wiedziałaś, że tam jest i że jest agresywny. A jednak nie zadbałaś o bezpieczeństwo swoich kolegów. To nie jest podejście zgodne z założeniami odpowiedzialnego szamanizmu, który popieramy, ja i twoja matka – powiedziałem, zastanawiając się, czy w historii ludzkości jakikolwiek ojciec powiedział coś takiego do dziecka.

– Co powinnam zrobić?

– Powiadomić mnie od razu. To pierwsza zasada. Jestem za ciebie odpowiedzialny. To znaczy, że stanowią twoje wsparcie.

– On się zawziął tylko na mnie. Nikomu nie robił krzywdy poza mną – wyjaśniła.
– Na razie. Stało się tak tylko dlatego, że byłaś jedyną osobą, z którą mógł wejść w interakcję. A co, gdyby pojawiła się inna uczennica, która też miałaby w sobie dość magii, by mógł ją skrzywdzić, ale nie umiałaby się obronić?

– No tak – przyznała skruszona.

– Dlatego musimy się tym zająć. Ty musisz się nim zająć.

– Ale jak? Nigdy nie odsyłałam ducha.

– Zawsze jest ten pierwszy raz. Więc jak zamierzasz do tego przystąpić?

– Muszę wiedzieć, kim on jest?

Przytaknąłem. To zawsze ułatwiało odesłanie.

– Masz czas do jutra, by wygrzebać z Internetu czy gazet informacje, kim jest ten chłopak i jak zginął.

– Zginął w szkole, prawda?

– To najbardziej logiczne założenie – przyznałem.

Kilka godzin później pojawiła się z grubą teczką wydruków. Bartosz Wurst, lat szesnaście, w 1997 roku skrzywdził sobie kark, spadając z wysokich schodów. Jakiś dzieciak był podejrzewany o to, że go popchnął, ale ostatecznie sprawę uznano za nieszczęśliwy wypadek. Lokalna prasa poświęciła mu sporo uwagi. Lecz to nie wszystko. Moja dzielna córeczka dzięki Facebookowi odnalazła dyrektorkę szkoły z 1997 roku, obecnie emerytowaną, którą przekonała, że jest redaktorką szkolnej gazetki i chciałyby napisać artykuł wspomnieniowy o zmarłym dokładnie dwadzieścia lat wcześniej Bartku. Dyrektorka okazała się chętna do plotek i szybko wyszło na jaw, że chłopak nikt specjalnie nie opłakiwał. Najprawdopodobniej faktycznie został popchnięty, ale w ramach obrony koniecznej, przez młodszego i znacznie drobniejszego ucznia, którego Bartosz dręczył i właśnie próbował powiesić za pasek od spodni po zewnętrznej stronie balustrady. Zrobił to już wcześniej dwóm uczniom. Sprawę wyciszono ze względu na reputację szkoły. Dyrektorka wyraziła ubolewanie, że w tamtych czasach temat przemocy w szkole nie był traktowany poważnie, i zaczęła się zastanawiać, czy gdyby Bartosz przeżył, to dziś byłby w więzieniu, czy w sejmie. Obie wersje wydawały się jej równie prawdopodobne.

Przejrzałem artykuły i zapis rozmowy. Nie znalazłem błędów w rozumowaniu.

– Więc jaki rytuał odwołania uważasz za odpowiedni? – dopytywałem.

Wskazała ambitny, ale adekwatny. Każdy element opisała prawidłowo.

– Teoria opanowana. Czas na praktykę – zawyrokowałem.

Gdy już znaleźliśmy się w szkole, powiedziałem, że może się brać do roboty, a ja sobie popatrzę z boku. Wyciągnąłem z plecaka bęben i położyłem go sobie na kolanach, by wiedziała, że ma asekurację. Jeśli jej się udało samodzielnie odesłać ducha, przestałyby się porównywać z innymi dzieciakami w szkole Nissima, które mogły być zaawansowane na swoich polach magii, ale przecież nie potrafiły zrobić tego, co ona.

Obserwowałem, jak na podłodze w łazience kreśli sigil wiązania. Używała tej samej różowej kredy z brokatowymi drobinkami, którą kupiłem przed rytuałem na cmentarzu. Była dokładniejsza i bardziej staranna niż ja kiedykolwiek. W środku heksagramu wpisała imię i nazwisko ducha. Zapaliła świece i pęczek szalwii wieszce.

Rozłożyła ręcznik, usiadła na nim po turecku i wyciągnęła z plecaka swój kij deszczowy. Był nieduży i bardzo zgrabny – rozmiarami zbliżony do jej przedramienia.

Obserwowanie jej, jak odszukuje melodię ducha, zaczyna grać i nucić, kołysząc się do rytmu, jak koncentruje się na zadaniu, spięta i uważna, było dziwnym doświadczeniem. Wyglądała w tamtej chwili tak dorosłe, że coś ścisnęło mnie w gardle.

Przywołała go wzorcowo, nie dając mu się rozproszyć, kiedy już się pojawił. Nie zawahała się nawet na ułamek sekundy, choć próbował szarpać ją za włosy i popychać. Uchyliła wrota i sprawnie, jakby robiła to już dziesiątki razy, naznaczyła go pasmem eteru. Melodia przywołania zmieniła się w pożegnalną. Zaświaty upominały się o swoją duszę.

Wszystko trwało dwadzieścia siedem minut, z zegarkiem w ręku. Imponujące!

Pochwaliłem Kurczaczka i wyjaśniłem jej, że to było stosunkowo proste, bo duch był młody i nie dorobił się wielu umiejętności. Ponadto przypominałem, że zdarzają się trudniejsze sytuacje i właśnie dlatego nigdy nie powinna działać sama, dopóki nie zdobędzie większego doświadczenia.



– Ty robiłeś to sam – wytknęła.
– Po pierwsze, byłem głupi. Po drugie, nie miałem nikogo, kto mógłby mnie w tym wspierać. Po trzecie, teraz zawsze mogę zawołać Sępa, by mi pomógł.
– Przecież tylko by siedział z boku i rzucał głupie komentarze.
– To prawda. Ale jeśli okaże się, że nagle przebudziłem kilka tysięcy duchów na cmentarzu, to będzie wiedział, jak je powstrzymać. A właśnie, to mi przypomina o kolejnym zadaniu. Masz tydzień, by napisać wypracowanie o tamtych wydarzeniach, w którym zanalizujesz wszystkie swoje błędy. Skup się szczególnie na środkach ostrożności, które zaniedbałaś.
– Będziesz mi to wypominać, prawda? – Spuściła głowę.
Nie chciałem. Wolałbym być cool tatką, z którym je się niezdrowe żarcie, ogląda głupie filmy i dobrze się bawi. Ale wtedy robiłbym tylko połowę swojej roboty.
– Nie martw się, nie do końca życia.
– A jak długo?
– Aż będę pewien, że to się nie powtórzy, bo wyciągniesz wnioski i zrozumiesz błędy.
– To chyba sprawiedliwe – przyznała niechętnie.
– Też mi się tak wydaje. A teraz zatrzymajmy ślady i opuśćmy miejsce zbrodni.
Chusteczkami dla niemowląt wytarła kredę z podłogi, spakowała wszystko do plecaka i zgasła świece.
– To było fajne – powiedziała, gdy byliśmy już na ulicy.
– Mam nadzieję, że nie włamanie? Nie o tym powinnaś pamiętać, wspominając tę noc.
– Nie. Z duchem. Czulałam, że to jest... właściwe. Że to moje miejsce. Rozumiesz?
Och, rozumiałem doskonale.



Odwiozłem młodą do domu. Ledwie zaparkowałem pod blokiem, zobaczyłem, że poruszyła się firanka w kuchni i po paru sekundach zapaliło się światło na klatce. Kurczaczek posłała mi współczujące spojrzenie i zdezerterowała z samochodu. Mogłem odjechać, udając, że niczego nie zauważyłem. Wczoraj zwiąłem ze szkoły, choć wiedziałem, że Konstancja jest w drodze. A gdy pukała do moich drzwi wieczorem, udałem, że już śpię. Niezbyt dojrzałe, ale naprawdę bałem się tego, co mi chce powiedzieć.

Wypadła z klatki w powiewającym czerwonym płaszczu, narzuconym na legginsy i luźny T-shirt. Chyba się spodziewała, że będzie mnie gonić, bo gdy zobaczyła, że samochód stoi z wciąż zgaszonym silnikiem, wyraźnie ją zamurowało.

Podeszła od strony pasażera i zapytała:

– Możemy porozmawiać? To ważne.

Westchnąłem.

– Jasne.

– Możemy pojechać do ciebie, jeśli chcesz. Wolałabym, by Kurczaczka nie było w zasięgu słuchu.

– Czy to jedna z tych rozmów nie na samochód?

– Chyba trochę tak. – Skrzywiła się, splatając ramiona na piersi i uciekając wzrokiem.

– Jadłeś już kolację? – zapytałem.

Zaskoczona pokręciła głową. Jeśli zamierzała zrzucić na mnie tonę cegieł, równie dobrze mogłem coś zjeść.

– Wsiadaj. Ciągle mam tę zapiekankę, którą przyniosła Kurczaczek. Dziękuję, nie wiem, czy ci przekazała.

Konstancja wskoczyła na siedzenie i zapięła pasy.

– Długo nie jadłeś. Schudłeś.

– Sekrety szamańskiej diety – zażartowałem, ale żadne z nas się nie zaśmiało.

Drogę pokonaliśmy w milczeniu. Również bez słowa przepuściłem ją w drzwiach na klatkę. W mieszkaniu po cichu wstawiłem naczynie z zapiekanką do mikrofal.

Musiała być mocno strapiona, bo nawet mnie za to nie skrytykowała.

– Słuchaj – zacząłem, nie mogąc znieść napięcia – wiem, że spieprzyłem. Obiecałem ci, że będę ją chronił i dopilnuję, by jej wejście w świat magii odbyło się płynnie i nie skończyło uszczerbkiem na zdrowiu. Rozumiem, może ci się wydawać, że moje dalsze kontakty z nią to zły pomysł i lepiej dla was, jeśli zniknę... ale ja nie chcę zniknąć. Spieprzyłem, ale każdy czasami pieprzy. Nie ma poradników dla ojców debiutujących w tej roli, kiedy dziecko ma kilkanaście lat, a to, że jesteśmy szamanami, wcale nie ułatwia sprawy. Ale to jest coś, co rozgryziemy. Naprawdę się staram. I będę się starał jeszcze bardziej. Będę walczył. Nawet w sądzie, jeśli tego chcesz. – Mówiłem to wszystko podniesionym tonem, chodząc po niewielkiej przestrzeni między blatem a małą wyspą. Po jej drugiej stronie siedziała milcząca Konstancja. – Ja ją kocham. Nie skreślaj mnie, nie teraz, kiedy już wiem, co stracę. Już nie zdołasz sobie wmówić, że skoro nie wiem, nie boli mnie brak.

Oparłem się ciężko o blat i ledwie oddychałem. Krew szumiała mi w uszach, a oczy znów się spociły.

– Witkacy... Ona powiedziała właściwie to samo. Prosiła, bym cię nie skreślała, bo to była jej wina, nie twoja i byłabym straszliwie nieuczciwa, gdybym ukarała ciebie, was, za jej błąd.

– Tak powiedziała?

– Tak. I prosiła, bym nie zabraniała wam się spotykać, bo oboje tego potrzebujecie. Zagroziła, że jeśli będę próbowała, pójdzie do sądu i przekona sędziego, że w wieku piętnastu lat ma prawo do samodzielnego podejmowania decyzji w tej sprawie. Zacytowała mi paragrafy przemawiające na jej korzyść.

Nie zdołałem zachować powagi.

– Zwyczajne dzieciaki uciekają z domu. Nasza mała idzie do biblioteki. Nie wiem, po kim ona ma te wszystkie szare komórki. Na pewno nie po mnie.

– Po tobie na pewno ma skłonność do pochopnego wyciągania wniosków – powiedziała, wstając ze stołka. Obeszła wyspę, wyciągnęła kubki i zrobiła herbatę. –

Wcale nie zamierzałam ograniczać waszych kontaktów. Przeciwnie. Chciałam cię zapytać, czy nie mógłbyś się zaangażować bardziej.

Przełknąłem ślinę. Nie tego się spodziewałem.

– Zastanawiam się nad powrotem na studia, oczywiście zaoczne. Może mógłbyś się nią zajmować w weekendy zjazdów? Studia są w Warszawie, więc musiałabym tam nocować. Nie chciałabym jej zostawiać wtedy samej, za dużo swobody w tym wieku to gwarancja kłopotów. Byłabym spokojniejsza, gdybyście spędzali ten czas razem. Wam też się chyba to przyda.

– Wchodzę w to – odparłem bez zastanowienia.

– To będzie od ciebie wymagać uwzględniania w swoim grafiku moich zjazdów. Będziesz miał ograniczone pole manewru, mniej wolnego – argumentowała.

– Wchodzę w to – powtórzyłem.

– Ale...

– Jestem jej ojcem, Konstancjo. Uczę się nim być. Ominęły mnie pieluchy, ząbkowanie, zarwane noce i kucyki pony. Nie chcę, by ominęła mnie reszta.

– Ona wciąż ma schowane w szafie dwa kucyki. Nie mów jej, że ci powiedziałam.

– Uśmiechnęła się i pierwszy raz tego wieczoru uśmiech dotarł też do oczu.

– Wciąż mam swojego Dartha Vadera z osiemdziesiątego drugiego.

– Naprawdę w to wchodzisz.

– Jasne. Tylko ostrzegam, że Sęp jest w pakiecie.

– Trudno. Każde dziecko powinno mieć jednego wujka ekscentryka.

– Tańczącego na krawędzi obłędu.

– Tarzającego się w nim jak prosię w błocie – podrzuciła.

Gdy odwiozłem ją do mieszkania, na pożegnanie powiedziała:

– Jeszcze jedna sprawa. Nawet jeśli uznasz, że chcę powiedzieć ci coś przykrego, nieodbieranie telefonów to żadne rozwiązanie. Zwłaszcza w te weekendy, kiedy mała będzie z tobą.

Pacnąłem się w czoło. Telefon wciąż wisiał na ładowarce, zapomniałem sprawdzić, czy działa, czy też muszę kupić nowy – wystarczająco stary – by magia nie smażyła mu obwodów samym swoim istnieniem.

– Słowo skauta – zapewniłem.

Parsknęła śmiechem i wróciła do siebie.

A ja czułem się jak wtedy, kiedy pierwszy raz przetestowałem autorską mieszankę ziół i tytoniu. Moja dusza nie ważyła grama i wypełniała ją jasność.

Innymi słowy, byłem na lekkim haju i zbierało mi się na poezję. Poczulem, że naprawdę muszę się napić.



W mieszkaniu sprawdziłem telefon. Był wyłączony, ale reagował. Gdy go odpaliłem, na dłuższą chwilę zapomniałem o oddychaniu. Miałem kilkadziesiąt nieodebranych połączeń i drugie tyle wiadomości. Tylko kilka ostatnich było od Konstancji. Większość pozostałych – z komendy i z prywatnej komórki Anity.

Nie jestem popularnym chłopakiem. Moja poczta głosowa zwykle porasta mchem i paprociami. Dziś było na niej kilkanaście wiadomości od mojej szefowej z prośbą o niezwłoczny kontakt.

Oddzwoniłem.

Odebrała po ósmym dzwonku. Zwykle robiła to natychmiast, jakby zawsze miała telefon pod ręką.

– Halo...? – burknęła niewyraźnie.

Rozpoznałem, że piła. I płakała.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Witkacy? To ty, parszywy robaku niegodny? – zapytała.

– Co zrobiłem, szefowo?

– Nic. Właśnie sęk w tym, że nic. Już nie jestem twoją szefową.

– Wywalili mnie? – zapytałem ze zgrozą.

– A czego się spodziewałeś? Zniknąłeś na dwa tygodnie, nie dawałeś znaku życia! Dostałeś wezwanie na komisję dyscyplinarną i to też miałeś w dupie! – krzyczała w słuchawkę, pociągając nosem.

– Coś mi wypadło.

– Zawsze ci wypada. Taki twój urok. Więc owszem, już nie pracujesz w policji. Żadne z nas nie pracuje w policji. – Zaszlochała.

Zmroziło mnie.

– Może da się to odkręcić...

– Gównno się da! Przepadło. Nie mam już nic.

– Szefowo...

– Cicho bądź – warknęła. – Nie chcę dziś rozmawiać. Dziś piję i uzalam się nad sobą, mam prawo. Jutro mój syn wróci od dziadków i będę opoką, jak zawsze. Ale dziś...

– Przykro mi – zapewniłem.

– Tym nie zapłacimy czynszu, nie? – warknęła i się rozłączyła.

Już nie czułem, że moja dusza jest lekka i wypełniona jasnością. Szła na dno obciążona grzechami, które kosztowały moją szefową pracę.

I wtedy wszedł on, cały na białą.

Właściwie w czerwonej skórzanej kurtce. Z podbitym okiem i połową twarzy umazaną krwią.

Nawet nie skomentowałem tego, że otworzył sobie drzwi dorobionym kluczem. Ani że przemaszerował w ubłoconych butach przez całe mieszkanie, namoczył całą rolkę ręczników papierowych i przyłożył ją sobie do oka.

Czekałem.

A gdy powiedział:

– Witkacy, mamy zajebiste kłopoty...

Nawet nie zacząłem kląć.

KONIEC



Aneta Jadłowska

Nie interesują jej małe wyzwania – skoro już spełnia się dziecięce marzenia o pisaniu powieści, nie ma powodu, by się ograniczać. Tak powstała sześcioczęściowa seria o Dorze Wilk, toruńskiej policjantce-wiedźmie. Nie lubi bezczynności i nudy, więc kończąc prace nad heksalogią, już obmyśla kolejne powieści.

Czyta wszystko, co jej wpadnie w ręce, uwielbia seriale kryminalne i muzykę rockową. Byłaby dziś frontmenką kapeli rockowej, gdyby nie została obdarzona słuchem wystarczająco dobrym, by wiedzieć, że za grosz nie potrafi śpiewać.

Gdyby miała 9 żywotów jak kot, mogłaby zrealizować fantazje o zawodach idealnych: byłaby policjantką, dziennikarką, aktorką, szalonym naukowcem... Ale że na stanie posiada pojedynczy żywot, zajmuje się pisaniem, a jej bohaterowie przeżywają przygody, których starczyłoby na 9 żyć.





DO TANGA TRZEBA TROJGA WITKACY, KURCZACZEK I SĘP WKRACZAJĄ DO AKCJI

Ddkąd został ojcem, w jego życiu, poza nastoletnią córką, za gościła odpowiedzialność, stabilizacja, a nawet regularne posiłki. W pakiecie z nimi dostał: zamieszanie, strach i bezsenne noce. A jest jeszcze Sęp, nieustanne źródło chaosu. Przedwieczni w Zaświatach, którzy domagają się spłaty długu. I nie mniej przerażająca cicha rewolucja na komisariacie.

Śmierć? Szaleństwo? Emerytura?
Witkacy nie ma łatwych wyborów.
Gdy na szali leży nie tylko jego spokój,
ale i życie Kurczaczka, Szaman rusza w Tango.
Taniec miłości i śmierci.



 facebook.com/fabryka



Polub
fanpage
Autorki

Wyłączny
dystrybutor

